

*Nikt w takim stopniu nie opanował sztuki stworzenia
współczesnej i rodzinnej powieści jak Amanda Prokse*
— „DAILY MAIL”

Amanda
PROKSE

*Córnka
doskonała*





Amanda
PROWSE

*Cóvka
doskonala*

PRZEŁOŻYŁA
Anna Sauvignon

 WYDAWNICTWO
KOBIECE

Prolog

Gdy za ostatnim z gości zamknęły się drzwi i Jacks zawinęła w folię pozostałe po przyjęciu przekąski, nowożeńcy pozbyli się kopniakami butów i padli na swoje nowe, małżeńskie łóżko, spoglądając w sufit.

– Chyba dobrze poszło, co?

Ślub w Urzędzie Stanu Cywilnego przy Boulevard był skromny i kameralny. Urzędnik wymamrotał swoje zwyczajowe formułki, mama Pete'a się popłakała, po czym wszyscy przenieśli się do ich nowego domu na Sunnyside Road, kupionego dzięki pomocy rodziców obu stron. Pete kręcił się, wsuwając podstawki pod puszki z piwem, Jacks krążyła po pokoju z tacami kanapeczek i kawałków ciasta, a jej najlepsza przyjaciółka Gina pokpiwała sobie, że już zachowuje się jak stara, szacowna żona. Jacks ogarnęła spojrzeniem niewielką kwadratową kuchnię ich skromnego segmentu w Weston-super-Mare, próbując odpędzić od siebie wspomnienie innej, pełnej światła, przestronnej kuchni w willi nad brzegiem morza, gdzie nie tak dawno leżała na kozetce całkowicie zauroczona chłopcem, który snuł przed nią opowieść o wielkim, fascynującym świecie i zapewniał, że któregoś dnia sama go zobaczy.

Jej wzrok padł na tatę obejmującego Pete'a za ramiona i doznała uczucia dziwnej satysfakcji. Podeszła i wślizgnęła się pomiędzy nich.

– Mówię właśnie Pete'owi, że moja najlepsza rada to nigdy nie kłaść się spać w trakcie kłótni. Jeżeli nauczycie się pokonywać trudności z uśmiechem, pomyśl tylko, ile radości czeka was w dobrych czasach!

– A moja najlepsza rada to nigdy nie słuchać jego rad! – Mama Jacks wskazała męża kciukiem. Mówiła nieco głośniejszym głosem niż zazwyczaj, ale nieczęsto zdarzało jej się wychylić trzy kieliszki musującego wina i cztery cytrynowe

martini.

– Dziękuję, Don. – Pete z uśmiechem popatrzył na swoją świeżo upieczoną żonę. – Będę się nią dobrze opiekował, obiecuję – dodał, jakby jej tam nie było.

Pete przekręcił się na łóżku i pogłaskał Jacks po ramieniu, wyrywając ją z zamyślenia:

– Dziwnie jest mieć ten cały dom tylko dla siebie. Trzy sypialnie, łazienka i dwa pokoje na dole... Nie mogę się przyzwyczaić po tylu latach w mojej klitce u mamy!

– Wiem, ja też. Tak się cieszę, Pete, tyle tu miejsca. – Pomasowała napiętą skórę na brzuchu. – Zwłaszcza że ani się obejrzymy, a będzie nas więcej!

– Mhm, już się nie mogę doczekać. Trzeba będzie odświeżyć najmniejszy pokoik, przytulnie go urządzić.

– Za co? Nie stać nas teraz na nowe wyposażenie. – Była na siebie zła, że musi ostudzić jego zapał.

– Wiem. Nie miałem na myśli żadnych wielkich remontów. Ale można przecież parę razy przejechać tam pędzlem. A Gina ma zdolności artystyczne, moglibyśmy poprosić ją, żeby coś narysowała na ścianach...

– Nie ma mowy, widziałam jej „twórczość”. Dziękuję bardzo. Biedny dzieciak musiałby co rano po otwarciu oczu patrzeć na logo Take That.

Zachichotali oboje. Pete sięgnął po jej rękę.

– Mam żonę.

– Aha – uśmiechnęła się.

– Czujesz, że jesteś żoną? – zapytał.

– Chyba tak. A jak się powinna czuć żona?

Wyczuła, że wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Może jak połowa jakiejś większej całości, która nie musi już samotnie zmagać się ze światem.

– O, Pete, jaki z ciebie romantyk! To urocze, co mówisz. I tak, w takim razie czuję się jak żona. – Nachyliła się i pocałowała go w usta. – Ciekawe, jak długo będziemy tu mieszkać... – Słowa Jacks zawisły w ciemności.

– Pewnie z kilka lat, do czasu, aż staniemy na nogi. Ogarniemy to miejsce na wysoki połysk, wymienimy okna, zrobimy porządek w ogrodzie, odnowimy kuchnię i przeprowadzimy się do czegoś lepszego.

Jacks uśmiechnęła się w mroku na myśl o nowej kuchni i zadbanym ogrodzie.

– Biedny dom. Mieszkamy w nim niecałe trzy tygodnie, a już kombinujemy, jak by się stąd wynieść!

– Dobrze jest mieć plan, Jacks, wyznaczyć sobie cel, a potem do niego dążyć. Na tym polega życie. Trzeba robić wszystko, żeby było coraz lepiej.

– To mi się podoba. Róbmy wszystko, żeby było coraz lepiej. Taki jest plan. – Ścisnęła go za rękę. – Chociaż mnie wystarczy to, co już mamy. No, może przydałaby się jeszcze łazienka w sypialni i wnęka na taką wielgachną lodówkę w kuchni.

– A ja bym chciał mieć garaż. Zrobiłbym sobie warsztat, miałbym gdzie trzymać wszystkie moje narzędzia i mógłbym robić rozmaite rzeczy.

Usłyszała, że się uśmiecha.

– Co na przykład?

– Nie wiem. Budować coś, naprawiać. Majsterkować. Marzy mi się takie dłubanie wokół domu.

Jacks zachichotała.

– Mówisz jak mój tata!

– Uznam to za komplement.

– A wiesz, co mnie się marzy? Przeszklona oranżeria z rattanowymi meblami, żeby się wyłożyć z nogami do góry, czytać gazetę i popijać kawę.

– Dopisuję do planu.

Przylgnęła do niego i położyła mu głowę na piersi.

– W życiu wszystko zawsze jakoś się układa, prawda, pani Davies?

Jacks uśmiechnęła się na ten wciąż nowo dla niej brzmiący zwrot.

– Prawda.

Jeden

Powinna pewnie uważać to za swego rodzaju dar, tę zdolność do budzenia się każdego ranka na kilka minut przed dzwonkiem budzika. Niby żaden problem – w końcu co za znaczenie mają dwie minuty tu czy tam? Ale gdyby je tak pododawać, to w skali roku zrobiło się z tego siedemset trzydzieści nieprzespanych minut, a dla kogoś równie przemęczonego jak ona takie dodatkowe dwanaście godzin snu byłoby na wagę złota. Pomyśleć, że mogłaby je wszystkie wykorzystać za jednym zamachem. Po prostu zostać w łóżku w absolutnej ciszy i odpłynąć bez najmniejszej obawy, że coś ją obudzi. Cóż by to była za rozkosz.

Leżała tak, wpatrując się w sufit, z którego zwisał obszyty frędzlami niebieski abażur w indyjskie łożki, osłaniając pojedynczą żarówkę. Mieli zamiar wymienić go na coś w odcieniu żółci, pod kolor tapety. Taki był plan. Chyba nawet oglądali raz jakieś lampy w British Home Stores, już sama nie pamiętała. Dość, że piętnaście lat później wszystko nadal było po staremu. Podobnie jak w przypadku wszelkich innych sprzętów, które nie działały, nie pasowały lub dokonywały żywota. Nauczyli się przywykać do każdej niewygody i żyli z nią, aż stawała się normą. To samo tyczyło się nawet kartonowych pudeł pełnych rupieci, których cały stos piętrzył się w korytarzu na dole. Miały wylądować na poddaszu. Co on wtedy powiedział? „Zostaw je tutaj, zabiorę to na strych następnym razem, jak przyniosę drabinę”. Trzy lata później pudła zapuściły w korytarzu korzenie i stały się nieodłącznym elementem wystroju, niczym meble. Zamiast je wreszcie wynieść, odkurzała je w trakcie porządków, układała na nich czyste pranie, a dzieciaki rzucały na nie swoje szkolne torby. Już nawet nie wiedziała, co znajdowało się

w środku.

Rozwarła szeroko oczy, zmuszając ociężały od snu umysł do oprzytomnienia. Koszula nocna zrolowała jej się w niewygodną obręcz wokół talii. Uniosła biodra i jak wielki krab obciągnęła tkaninę, aż ułożyła się jej gładko pod nogami. Miała zwyczaj spać jednocześnie w koszuli nocnej i spodniach od piżamy, sama nie wiedziała, czy to z obawy przed chłodem, czy żeby utrudnić pole manewru Pete'owi, gdyby go naszła ochota. Chociaż trzeba przyznać, że ochota nie naszła go już dawno. I całe szczęście.

Spojrzała w bok, na swojego męża, który spał bez poduszki, z głową odchyloną do tyłu, otwartymi ustami i ciemną masą drobnych igiełek zarostu przenikających przez skórę, której przydałaby się solidna porcja kremu nawilżającego. Na to nie było co liczyć – zdaniem Pete'a prawdziwy mężczyzna nie powinien nawet posiadać kosmetyków. Nieświadomy jej wzroku, podniósł rękę i potarł się po nosie, po czym przekreślił się i sapnął jej prosto w twarz. Odwróciła głowę. O tej porze roztaczał wokół siebie mało przyjemny zapach. Był jeszcze młodym mężczyzną i nadal atrakcyjnym, kiedy się ładnie ubrał i wyszykował, ale w świetle wczesnego poranka jego spocona od ciepłego snu twarz i nieświeży oddech budziły w niej obrzydzenie.

Uśmiechnęła się gorzko i poruszyła palcami u stóp obleczonej w jego stare, sportowe skarpety, których używała do spania. Sexy, nie ma co. Czasami jeszcze potrafił wyzwolić w niej głęboko ukrytą tęsknotę, szczególnie gdy ładnie pachniał i tryskał energią, przypominając tego rezolutnego i pewnego siebie zgrywusa z dawnych lat. Jej myśli uciekły do czasów, gdy kończyli szkołę osiemnaście lat temu. Uchodziła wtedy za piękność, z długimi, smukłymi nogami, jasnymi włosami i cudowną opalenizną utrzymującą się cały rok. Miała nos obsypany piegami i zielone oczy w obramowaniu długich, gęstych rzęs, których nawet nie trzeba było

akcentować tuszem. Za każdym razem, gdy wpadało jej w ręce jakieś zdjęcie z młodości, nie mogła się nadziwić, ile miała wdzięku i jak zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Pamiętała za to świetnie wszystkie swoje kompleksy z powodu wgłębienia w podbródku i pająkowatych kończyn.

Pobrali się szybko, krótko po tym, jak się zaczęli spotykać. W tamtym czasie zawsze spali głęboko wtuleni w siebie, ze splecionymi nogami i jej twarzą leżącą mu na piersi. Każda chwila osobno zdawała się stratą czasu. Budzili się nad ranem, kochali się leniwie i znowu zasypiali. Wtedy odpoczynek nie był jeszcze tak ważny. Nie potrzebowała snu ani jedzenia, do życia był jej niezbędny tylko on, wystarczała sama świadomość, że ma go przy sobie. Był dla niej wówczas wszystkim.

Jacks wysunęła się z łóżka i spojrzała za siebie, a on zacisnął oczy, zmarszczył nos i naraz puścił bąka. Przewróciła oczami.

– Wtedy to były czasy – wyszeptała, zdejmując ręcznik z oparcia starego stołowego krzesła stojącego w kącie, i ruszyła pod prysznic.

– Mamo?

– Co? – odparła Jacks, nie podnosząc oczu znad gazety. Była siódma piętnaście. Odkąd wstała rano, zarzuciła coś na siebie i uczesała włosy, zdążyła już pozapalać światła, włączyć ogrzewanie, wyłożyć na stół płatki śniadaniowe i zaparzyć herbatę. Teraz siedziała przy kuchennym stole i rozkoszowała się swoją jedyną wolną chwilą w ciągu dnia, przeglądając lokalne wiadomości. Krótki moment spokoju, zanim zwał się na nią cały świat i porywał ją w szalony wir. Jak tę akrobatkę balansującą na gładkiej, lśniącej piłce, którą widziała raz w cyrku. Twarz miała rozciągniętą w przyklejonym uśmiechu, ale pod grubymi, sztucznymi rzęsami Jacks dostrzegła w jej oczach śmiertelne przerażenie. Jeden niebaczny krok i runęłaby w dół. Jacks doskonale знаła to uczucie.

– Mamo? – rozległo się znowu, tym razem znacznie głośniej.

Zamknęła oczy.

– Na litość boską, Martha, wiesz, że nie znoszę, kiedy wołasz mnie przez cały dom. – Uderzyła rozpostartą dłonią w blat stołu, a ślubna obrączka stuknęła miękko o drewno. – Ile razy mam ci powtarzać, że jeżeli czegoś ode mnie chcesz, to masz schodzić na dół! – Pokręciła głową i wróciła do czytania artykułu w „Weston Mercury”, który objaśniał, jak uniknąć smug podczas polerowania okien oranżerii jedynie przy użyciu ciepłej wody i kropelki octu.

Kroki córki zadudniły na drewnianych schodach. Jacks nabrała powietrza. Ile razy już ją upominała? Jak grochem o ścianę. Martha mieszkała z nią pod jednym dachem od siedemnastu lat, ale nadal nie opanowała sztuki rozmowy twarzą w twarz, woląc się wydzierać między pokojami, i najwyraźniej nie potrafiła nauczyć się korzystać ze schodów tak, żeby cały dom nie trząsł się w posadach.

– Mam jakąś bluzkę do szkoły? – zapytała, podrygując niecierpliwie w miejscu. W jej głosie dał się słyszeć gorączkowy ton. Jacks nie mogła pojąć, jakim cudem, mimo że od sześciu lat dzień w dzień wychodzili z domu za piętnaście ósma, poranek wydawał się niezmiennie Marthę zaskakiwać, jakby każdego dnia był czymś zgoła nieoczekiwanym, jakimś odstępstwem od normy.

Podniosła wzrok na przesadnie wyperfumowaną córkę, która stała w progu w wąskiej, czarnej spódnicy, grubych, wełnianych pończochach i bluzie od piżamy, przestępując z nogi na nogę i tapirując sobie włosy u nasady. Postanowiła przemilczeć mocne, czarne krechy wokół oczu, przez które jej drobna, trójkątna buzia wyglądała niemiłosiernie prostacko. Gdy zostanie panią mecenas i będzie wbiegać po sądowych schodach w śnieżnobiałej bluzce, z teczką dokumentów pod pachą, na pewno daruje

sobie kołtuny na głowie i krzykliwy makijaż. Upodobni się do swoich kolegów adwokatów. Jacks uśmiechnęła się do wizji swojej błyskotliwej córki popisowo zdającej nadchodzącą maturę, która otworzy przed nią bramy najlepszych uniwersytetów i utoruje drogę do oszałamiającej kariery. Ogromne wrażenie zrobiła na Jacks pani Fentiman, kobieta, która wygłosiła w szkole Marthy pogadankę o zaletach pracy prawnika, a opowiadała w tak plastyczny i ekspresyjny sposób, że Jacks niemal czuła w ustach smak szampana po wygranym procesie i zapach drewnianego biurka w kancelarii z widokiem na Katedrę św. Pawła. Pani Fentiman miała na sobie świetnie skrojony kostium i kolczyki Chanel. Takiego właśnie życia Jacks pragnęła dla Marthy. Chciała, żeby jej córka występowała w szkołach i motywowała młode dziewczęta do walki o lepszą przyszłość. Żeby popijała szampana na salonach, a nie piwo pod mostem.

– To jak, mam jakąś bluzkę? – marudziła Martha.

Jacks kiwnęła głową.

– W bieliźniarce.

– W tej na górze przy schodach, tam, skąd właśnie zeszłam? – Martha wskazała na sufit.

– Właśnie tej. – Jacks wodziła palcem po tekście artykułu, nieporuszona sarkazmem w głosie córki.

– Mogę zapytać, co takiego czytasz? – zapytała Martha, ciamkając w ustach gumę – nawyk całkiem dla Jacks niepojęty przed śniadaniem. Wszystko potem musi przecież mieć miętowy posmak. A co, gdyby się zachłysnęła przez przypadek? Nie warto było nawet o tym myśleć.

– Artykuł na temat pielęgnacji okien w oranżerii. – Podniosła oczy na córkę, a okulary w szylkretowych oprawkach zjechały jej na dół nosa.

– Ale my przecież nie mamy oranżerii! – Martha wzniosła oczy do góry.

Jacks zdjęła okulary i zapatrzyła się w szczytową ścianę kuchni biegnącą

przez całą szerokość segmentu.

– Jeszcze nie. Nie mamy oranżerii na razie.

Martha po raz kolejny przewróciła oczami.

– Może zamiast oranżerii moglibyśmy urządzić pokój na poddaszu, żebym nie musiała gnieździć się razem z Jontym? Nie cierpię z nim mieszkać. To niesprawiedliwe!

– O, naprawdę? Czemu nic nie mówiłaś? – Jacks uśmiechnęła się lekceważąco, podczas gdy dziewczyna z łomotem wbiegła znowu na górę. Jacks poczuła dobrze znane, nieprzyjemne ukłucie. Martha miała rację. Nie powinna mieszkać z małym bratem. Ustawili regał w poprzek jej pokoju i upchnęli za nim Jonty’ego, kiedy wprowadziła się do nich jej matka. Od tej pory Martha nie omieszkała się na to skarżyć przy każdej najmniejszej okazji. Jacks miała nadzieję, że temat z czasem przycichnie, ale tak się nie stało.

Pierwszy raz tego dnia pomyślała o siedmiu tysiącach czterystu osiemdziesięciu dwóch funtach leżących na ich koncie oszczędnościowym od nieco ponad roku. Tyle zostało ze sprzedaży domu jej rodziców przy Addicott Road, kilka ulic dalej, po tym, jak opłacili montaż podnośnika wannowego w łazience. Podnośnika, którego jej matka bała się używać, a poza tym, jak się okazało, znacznie łatwiej i szybciej było kąpać ją pod prysznicem. Koszt tego urządzenia był jednak niczym w porównaniu z instalacją dźwigu schodowego, o który Jacks obijała się regularnie w środku nocy i przez który musiała nieustannie strofować Jonty’ego lubiącego przewozić nim swoje transformery.

– Wróć późno! Bristol City grają dziś mecz towarzyski, więc nie czekaj na mnie z kolacją, zjem coś na stadionie! – zawołał z górnego podestu Pete z podnieceniem w głosie. Jacks pokręciła głową. Nic dziwnego, że Martha pozwalała sobie wrzeszczeć na cały dom.

– Dobrze – westchnęła. Sięgnęła po kubek i wychyliła to, co w nim

zostało. Pierwszy kubek herbaty w ciągu dnia był bez wątpienia najlepszy.

– Ma-mo! – zawył Jonty zza drzwi swojego pokoju.

– Poddaję się. – Jacks złożyła gazetę i wstawiła pusty kubek i talerz po grzance do zlewu. – Co, kochanie?

– Potrzebuję jakieś przybory, żeby zrobić sławną budowlę!

– Co takiego? – Jacks odwróciła się i wyszła na korytarz, lawirując między porzuconą w przejściu torbą sportową i zbiorowiskiem pudeł, z nadzieją, że się przesłyszała.

– Pani Palmer kazała nam przynieść z domu suche odpady, z których będziemy robić model słynnej budowli. – Precyzyjny język wskazywał, że Jonty czytał z notatki, na którą bez wątpienia natknął się przed sekundą.

– Na kiedy?

Tylko nie dzisiaj, błagam, tylko nie dzisiaj...

– Na dzisiaj! – odkrzyknął.

– Chryste, Jonty, i mówisz mi o tym *teraz*? – fuknęła Jacks.

Oparła dłonie na szczupłych biodrach i starała się zebrać myśli. Co takiego ostatnio wyrzucili, co mogłoby się nadać na model?

– Myślałam, że nie wolno się wydzierać na cały dom? – Martha wystawiła głowę zza drzwi łazienki, manipulując przy włosach prostownicą podłączoną do gniazdka nad schodami.

– Nie pouczaj mamy – wtrącił Pete, zbiegając po schodach w bluzie z długim rękawem, puchowym bezrękawniku, szerokich spodniach od dresu i grubych skarpetach – stroju przystosowanym do pracy na świeżym powietrzu.

– Powiedziałbym wcześniej, ale zapomniałem – tłumaczył się Jonty.

– Mleko się skończyło? – krzyknął Pete.

Jacks odwróciła się w stronę kuchni.

– Nie, stoi na szafce, obok czajnika! – Weszła na pierwszy stopień. – Co to znaczy „zapomniałem”, Jonty? Mówiłam ci, że masz mi pokazywać kartki, które rozdają wam w szkole, zaraz po powrocie do domu. Na przygotowanie do lekcji potrzeba trochę czasu.

– No! Żeby nie było takiej wtopy jak na Święto Plonów – zaśmiała się Martha.

– Dziękuję za pomoc, Martha. Może lepiej kończ się szykować. – Jacks poczuła falę gorąca na twarzy na wspomnienie o tym, jak wyprawiła syna na dziękczynną mszę z puszką czerwonej fasoli i czekoladowym jajkiem Cadbury w ofierze. Tyle udało jej się złapać w ostatniej chwili przed wyjściem. Podobno pani Palmer cmoknęła na ich widok z niezadowoleniem i zapytała, do czego ma służyć fasola, na co Jonty odparł: „Do jedzenia”. Jacks zgarnęła ją kiedyś przez nieuwagę w sklepie i prawdę mówiąc, z ulgą pozbyła się ze spiżarni puszki, której wymyślna etykieta tylko ją denerwowała, jak nieme szyderstwo z jej mizernych zdolności kulinarnych.

– Przepraszam – miauknął Jonty.

– Nic się nie stało – uśmiechnęła się, bo na dźwięk skruszonego głosu ośmioletniego chłopca z miejsca stopniało jej serce. Był dobrym dzieckiem, jej ukochanym synkiem. – Możecie już schodzić oboje i siadać do śniadania? Inaczej się spóźnimy!

– A ja przekazałam ci tydzień temu kartkę z informacją o wycieczce do Paryża i ciągle nie powiedziałaś, czy mogę jechać, czy nie! – upomniała się Martha.

– Nie podjęliśmy z tatą decyzji – kiwnęła w jej stronę Jacks. Przyłożyła sobie rękę do czoła i rozmyślała usilnie, z czym wyprawić Jonty’ego do szkoły i jak wytłumaczyć Marcie, że nie stać ich na jej wyjazd do Francji. Oszczędności na koncie trzymali na czarną godzinę albo na wypadek awaryjnych wydatków na mamę. Własna oranżeria pozostanie dla niej już

zawsze w sferze marzeń, tak jak wyjazd do Paryża dla Marthy. Paryż, to ci dopiero! Zachciało jej się śmiać. Za jej czasów jeździło się na wycieczki do elektrowni jądrowej Oldbury, pięćdziesiąt kilometrów od domu, z całodniową wałówką w plecaku.

– W jakiej sprawie? – zapytał Pete z kuchni.

– Wycieczki do Paryża! – odpowiedziała Jacks.

– To co? *Mogę* jechać? – naciskała Martha.

Jacks pokręciła głową.

– Nie podjęliśmy jeszcze decyzji!

– Nie rozumiem, po co w ogóle ktoś mógłby chcieć jechać do Paryża! – dorzucił Pete zza stołu. – Okropne, brudne miasto, w którym roi się od bandytów, a żeby kupić filiżankę herbaty, trzeba zastawić dom!

– Dla ciebie wszędzie roi się od bandytów! Jak jechałam sama autobusem do Worle poza miastem, też mówiłeś, że mnie napadną, a nic się takiego nie stało!

– Miałaś po prostu szczęście. A to, że w Worle nic ci się nie stało, nie znaczy, że w Paryżu byłoby tak samo.

– A skąd ty możesz wiedzieć cokolwiek o Paryżu? Nigdy tam nie byłeś! – przypuściła szturm Martha.

– Nie mam takiej potrzeby, skarbie. Wyłącznie dlatego.

– Ale cieszysz się, jak jedziesz do Bristolu!

– Dlatego że City grają. – Pete klasnął głośno w dłonie.

– Mogę iść z tobą na mecz dziś wieczorem, tato? – zapytał Jonty.

– Nie, chłopie. Żadnych meczów w tygodniu do czasu, aż będziesz mógł postawić swoją kolejkę w The Robins. Takie są zasady.

– Bierzesz te zasady z powietrza, jak ci pasuje – ujęła się za bratem Martha. – Mamo, dlaczego tata ma decydować o tym, czy pojedę do Paryża,

czy nie? Wiesz, jaki on jest!

– Słyszałem, panienko Martho! – krzyknął Pete.

– Mamo, jaką budowlę mam zrobić? – zapytał Jonty.

– Hmm... – zamyśliła się Jacks, gdy nagle ponad fruujące między piętrami wymówki i pokrzykiwania wybił się czysty, donośny dźwięk dzwonka.

– Babcia dzwoni! – krzyknęli Martha i Jonty jednocześnie.

Wiem, nie jestem głucha.

Kiedy matka Jacks, Ida Morgan, zamieszkała z nimi półtora roku temu, sprawiała wrażenie zahukanej i wylęknionej. Wtedy Jacks kupiła jej dzwoneczek, żeby w każdej chwili mogła wezwać pomoc. Niestety okazało się, że starsza pani potrzebuje jej aż za często.

Nikt nie zwrócił uwagi na pierwsze objawy demencji, które dały o sobie znać kilka lat wcześniej. Ojciec Jacks, Don, uważał, że to nic poważnego, a reszta rodziny poszła za jego przykładem, woląc pokpiwać sobie z jej roztargnienia. Co z tego, że Idzie zdarzało się zapomnieć, gdzie mieszka, albo podać na stół nieupieczone frytki prosto z zamrażalnika? Że przekręcała imiona bliskich, trzymała jajka w bębnie suszarki na pranie, a kluczyki samochodowe w pojemniku z kawą? Tata Jacks bagatelizował to wszystko i udawał, że nic się nie dzieje, nie chcąc straszyć żony i przysparzać dodatkowych zmartwień jedynaczce. Ale po jego śmierci stan Idy gwałtownie się pogorszył. A może po prostu ojciec skutecznie ukrywał przed Jacks powagę sytuacji. Tak czy siak, był to dla niej prawdziwy zimny prysznic.

Początkowo Jacks chodziła na Addicott Road, żeby zająć się mamą w ciągu dnia, a wieczorem zaglądał do niej Pete – sprawdzał, czy wszystko w porządku, i zamykał na noc drzwi i okna. Któregoś dnia znalazł ją w ogrodzie w samej koszuli nocnej, gdy rozsypywała jedzenie na trawniku.

Przez jakiś czas przyglądał się, jak układa stos z nieugotowanych ziemniaków, wytrząsa płatki z pudełek i rzuca w trawę szkielet starego kurczaka i kawałki sera.

– Co robisz, Ida? – spytał łagodnie.

Popatrzyła na niego błędnym wzrokiem.

– Daję jeść królikom – odpowiedziała. – One nie umieją polować, wiesz?

– To nie jest najlepszy pomysł. Możesz przywabić szczury – tłumaczył miękko, jednocześnie zachodząc w głowę, czy teściowie mieli kiedykolwiek u siebie jakiegoś królika.

– Nie opowiadaj głupot! – prychnęła. – To nie jest jedzenie dla szczurów, tylko dla królików!

Odprowadził ją do domu, gdzie jakby nigdy nic wzięła się do parzenia herbaty.

Wkrótce potem Jacks i Pete zdecydowali, że powinna przeprowadzić się do nich na Sunnyside Road, a półtora roku później Ida pogrążyła się w zupełnym otępieniu. Przestała się odzywać, nie licząc sporadycznych przebłysków świadomości. Nie chciała schodzić na dół na kanapę i cały czas spędzała w łóżku w swoim pokoju, przywiązana do starych nawyków i znanych sobie przedmiotów. Bywały dni, gdy rozpoznawała niektórych członków rodziny, ale tylko przelotnie. Jej życie stało się monotonne, wypełnione apatią i samotnością. I chociaż Jacks, Pete i dzieci nie chcieli tego przyznać, wszyscy mieli wrażenie, że mieszka z nimi upiór, realny i przerażający, i gdy tylko mogli, woleli się do Idy nie zbliżać. Kochali ją, rzecz jasna, ale dzieciom trudno było rozpoznać w tej niedołącznej, gniewnej starszej pani ich ukochaną babcię, która robiła najlepszą szarlotkę pod słońcem i podrzucała im po kryjomu słodczyce przed pójściem spać, gdy mama nie patrzyła.

Jacks przyłożyła zwinięte w trąbkę dłonie do ust i krzyknęła:

– Już idę, mamó! – Wpadła do kuchni. – Pete, mama dzwoni. Możesz pomóc Jonty’emu znaleźć coś na ten model? Pogrzebicie w pojemniku na odpady segregowane za domem. – I wybiegła znów na korytarz.

Pete przestał wiosłować łyżką w płatkach kukurydzianych i popatrzył na drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła jego żona.

– Że co? – zawołał, ale było za późno. Kroki Jacks już tupotały na schodach. Przystanąła na małym, kwadratowym podeście, położyła rękę na klamce, odetchnęła głęboko i przywołała uśmiech na twarz.

Jak co rano wstrzymała oddech, nie chcąc wdychać przesyconego zapachem amoniaku i jakby zgnilizny zaduchu wypełniającego zamknięte pomieszczenie. Podeszła do okna, rozsunęła zasłony i z ulgą wpuściła do środka podmuch świeżego powietrza, który połaskotał ją w twarz. Pokój był dość duży, z zabudowanymi szafami wzdłuż jednej ze ścian i podwójnym łóżkiem ustawionym na wprost okna. Wzorzysty dywan w kwiaty pochodził z domu jej rodziców, tak samo jak wiszące na ścianach obrazy i zestaw fotografii na parapecie, które przedstawiały Jacks na różnych etapach życia.

Odwróciła się ku zasuszonej postaci leżącej pośrodku łóżka. Ida kurczyła się w oczach z miesiąca na miesiąc, jakby każdej nocy zapadała się w materac coraz głębiej. Jacks miała wrażenie, że któregoś dnia po prostu się rozsypie i zupełnie zniknie. Wtedy przynajmniej Jonty odzyskałby swój pokój. Odegnęła od siebie tę niegodziwą myśl. To była w końcu jej matka.

– Dzień dobry, mamó! – zaświergotała, nie licząc na odpowiedź. W rozmowach z matką Jacks podświadomie przybierała sztucznie radosny ton. Jakoś łatwiej było się z tym wszystkim zmierzyć, siląc się na wesołość. Podobnie jak optymistyczny nastrój pomaga uporać się z trudnym klientem i przetrwać w uciążliwej pracy. – Jak ci się spało? Dobrze? No to chodź, czas wstawać.

Odwinęła różową kapę zdobioną wypukłym haftem, która od zawsze okrywała łóżko jej rodziców. Pamiętała, do jakiej złości doprowadzała matkę, gdy zawzięcie skubała ponaszywany wzór i tak długo międlila nitki w palcach, aż urastał jej w rękach kołtun zmierzwionej włóczki, a w tym miejscu narzuty zostawał łysy placek. Nieśmiertelna kapa znalazła się wśród nielicznych rzeczy, które Ida zabrała ze sobą w czasie przeprowadzki.

– Piękny dzisiaj dzień! – szczebiotała radośnie Jacks, podciągając mamie bladoliliową koszulę powyżej pieluchy. Przestała się już krępować, a nawet zauważać nasiąkniętą bułę między wymizerowanymi udami. Jej ruchy były celowe i precyzyjne. Jednak nie zawsze tak było. Pierwsze miesiące okazały się dla niej prawdziwą szkołą życia. Widok ciała matki zaskoczył ją i zdeprimował, a wstręt i obawa przed tym, żeby go dotykać, dodatkowo utrudniały im obu współżycie. Nigdy nie okazywały sobie przesadnej czułości, w ich relacji rzadko pojawiały się uściski i pocałunki, a nagość zawsze stanowiła wielki temat tabu. Przez całe życie Jacks może raz czy dwa widziała matkę w kostiumie kąpielowym, i to było maksimum, do jakiego sięgała ich wzajemna intymność. Aż do tej pory, bo oto stanęła wobec konieczności obmywania wysuszonych, zwiotczałych piersi o wydłużonych brodawkach, które zwisały smętnie ku dołowi, dotykania sędziwej, pomarszczonej, nieomal przeźroczystej skóry naciągniętej wokół łamliwych kości, pociętej siatką sinych, wystających żył i okrywania jej najbardziej intymnych narządów, teraz już bezwłosych i nieaktywnych. Z początku czuła odrazę i zażenowanie, ale wkrótce te okolice stały się po prostu jeszcze jednym miejscem, które należało obmyć i osuszyć przed otuleniem go dużą, upokarzającą pieluchą sprowadzającą matkę do roli bezbronnego dziecka.

– Ułożymy się wygodnie – uśmiechnęła się, przekręcając delikatnie ciało matki na bok. Ortalionowe prześcieradło pod spodem wydało znajomy chrzęst. Jacks wyjęła świeżą pieluchę z koszyka na komódce przy łóżku

i sięgnęła po nawilżane chusteczki leżące tuż obok. – Najpierw się odświeżymy, a potem przyniosę ci kubek gorącej herbatki, hm? Odwiozę tylko dzieci do szkoły, a po powrocie przygotuję ci pyszne śniadanie. Nie zajmie mi to długo, a Pete zostanie w domu jeszcze parę minut. Będziesz sama najwyżej przez chwilę. – Powtarzała te same komunikaty codziennie, nie wiedząc, ile z tego dociera do zamglonej świadomości matki, ale na nią samą wpływało to kojąco.

– Czekam na list – oznajmiła starsza pani trzeźwo i stanowczo.

– A, no tak. Listonosza jeszcze nie było, ale będę pamiętać i jeżeli przyjdzie coś do ciebie, to zaraz ci przyniosę – odparła Jacks pojednawczo, jakby mówiła do kapryśnego dziecka. Czekanie na wymaginowane listy stało się najnowszą obsesją Idy. Zaczęło się którejś niedzieli przy obiedzie, gdy ni stąd, ni zowąd wybuchnęła płaczem i zawołała:

– Zgubiłam je! Zgubiłam je wszystkie! Były związane w pęczek, wszystkie moje listy. Chciałam je ochronić, ale gdzieś przepadły!

Nikt nie rozumiał, co miała na myśli, ale zdążyli się już zorientować, że w takich sytuacjach najlepiej było ją czymś rozweselić.

– Już wiem! – krzyknął Pete, stając u podnóża schodów. – Co powiesz na Krzywą Wieżę w Pizie? Do tego wystarczą cztery puszki piwa i pudełko po lodach.

– Nie chcę robić wieży! To obciach tylko poustawiać na sobie kilka puszek! – skrzywił się Jonty. – Ma-mo! Mamo! Powiedz tacie, że budowanie wieży to badziewny pomysł!

– Na tym polega cały projekt, ciemniaku! – roześmiała się Martha.

– Sekundę, mamo. – Jacks okryła kołdrą obnażone ciało starszej pani. Wrzuciła zużyta pieluchę do reklamówki i zawiązała uszy na podwójny supeł. Wystawiła głowę przez drzwi i powiedziała cicho, lecz dobitnie:

– Martha, nie nazywaj brata ciemniakiem. A ty, Jonty, na tym etapie nie

masz już nic do gadania. Tata próbuje coś dla ciebie wynaleźć na ostatnią chwilę. A teraz szorujcie oboje na dół na śniadanie. – Uśmiechnęła się do syna, który stał na podeście schodów z założonymi rękami.

– Ale ja nie chcę robić wieży. To straszna kaszana. – Oczy mu się zaszklily.

– To co byś chciał zrobić? – zapytała Jacks szybko, żeby go ponaglić. Musiała jeszcze obsłużyć matkę, posprzątać po śniadaniu, a za szesnaście, nie, piętnaście minut powinna z dwójką dzieci siedzieć w samochodzie.

– Wiszący most z Clifton! – zapalił się, zachwycony.

– Wiszący most? – zarzął Pete. – To musisz się nieźle postarać. Obawiam się, że zostaje ci wybór między Krzywą Wieżą a ewentualnie Aniołem Północy*, jeżeli uda ci się wygiąć te wieszaki. – Podniósł do góry trzymane w ręku ramiączka.

– Anioł Północy to nie jest budynek! – zawołała Martha, zbiegając z łomotem na dół z kurtką w garści i torbą przewieszoną przez ramię.

– Och, najmocniej przepraszam! Nie każdy jest taki mądry jak ty, co nie, Jacks? – Pete mrugnął do żony z dołu.

Jacks nachyliła się i zmierzwiła synowi włosy.

– Wieża jest okej, Jonty. Możesz ją potem pomalować, dokleić jakieś ozdóbki i będzie pierwsza klasa. Poza tym nie masz innego wyjścia.

– No dooobra – wymruczał i ruszył wreszcie na dół.

Jacks wyprostowała się i wróciła do pokoju mamy. Już od progu uderzył ją w nozdrza przeraźliwy smród, aż straciła oddech.

– Chryste! – wyszeptała, zakrywając nos i usta dłonią.

– Popłynęłam – zakomunikowała Ida bez troski, jakby informowała, jaki dziś dzień tygodnia.

Jacks kiwnęła głową i odchyliła kołdrę, starając się nie oddychać przez

nos.

– Dobrze, mamó. Szybka zmiana planu: przed odwiezieniem dzieci wskoczmy jeszcze pod prysznic, okej? – Zebrała prześcieradło, owinęła nim matkę, po czym podniosła ją do pozycji siedzącej.

– Czekam na list.

– Tak, tak – zgodziła się Jacks, podtrzymując chuderławą postać, w miarę jak dźwigała ją do pionu. – Kiedy przyjdzie, to ci go przyniosę, nic się nie martw.

Na szczęście w łazience nie było już nikogo. Otworzyła drzwi łokciem, odkręciła wodę, po czym zdjęła z mamy prześcieradło, szlafrok, koszulę nocną i skarpety i, zwinięte w kłęb, rzuciła w kąt na podłogę.

– Wchodzimy. – Wprowadziła Idę pod natrysk.

– Ojoj! Za gorąca! Poparzysz mnie! Pomocy! Niech mi ktoś pomoże! – wrzasnęła Ida.

Jacks uśmiechnęła się i włożyła ręce pod strumień.

– Zobacz, mamó! Zobacz! Gdyby była gorąca, to ja też bym się poparzyła. Jest w porządku. Sprawdziłam. Przysięgam ci, że nie jest za gorąca. – Sięgnęła do przymocowanego do ściany pojemnika z mydłem. – Jest dobra, mamó, dokładnie taka jak trzeba. Widzisz? Wszystko w porządku.

Już nie panikowała, kiedy matka zaczynała zawodzić i histeryzować. Przywykła, a nawet spodziewała się tego. Od kiedy uprzedziła mieszkających po sąsiedzku Angelę i Ivora, że mogą czasem słyszeć rozpaczliwe wołanie o pomoc, nie obawiała się już, że zrobi się zamieszanie. Próbowwała nie patrzeć na ciemne grudki zbierające się w odpływie brodzika, gdzie stawały jej dzieci. Zamiast tego skupiła się na jak najszybszym namydleniu całego ciała matki.

Cztery minuty przed czasem pachnąca talkiem Ida znalazła się na powrót w czystym łóżku, otulona w wełniany sweter, z Radiem 4 nastawionym do

towarzystwa.

Pete zapukał do drzwi i wszedł z tacą, na której stały filiżanka herbaty i talerz biszkoptów.

– Dzień dobry, Ido. Proszę bardzo, poranna herbatka. – Postawił tacę na komodzie przy łóżku.

– Dziękuję ci, Toto. To miło z twojej strony. – Ida niezdarnie przyklepała sobie przerzedzone włosy.

– Dziękuję, kochanie. – Jacks uśmiechnęła się do męża z wdzięcznością. Mogłaby go ozłocić za te drobne gesty idealnie w porę, kiedy nie dawała już rady.

– Toto! – zawołała Ida, wsparta na poduszkach.

– Tak? – Pete przystanął w progu i odwrócił się. Nie przeszkadzało mu, że Ida myli go ze swoim dawno nieżyjącym bratem. Toto należał do sił lotniczych RAF i prawdę mówiąc, Pete’owi nawet schlebiało, że Ida przypisuje mu bardziej ambitne zajęcie niż budowa tarasów i altanek przy domach jednorodzinnych wyrastających teraz w sąsiedztwie jak grzyby po deszczu.

– Muszę dostać ten list. – Popatrzyła na niego z niepokojem.

– A, nic się nie przejmuj. Jeżeli przyjdzie dzisiaj, na pewno ci przekażę.

– Ma-mo! – krzyknął Jonty.

– Tak, już idę, kochanie! Mamo, niedługo wracam i wtedy zrobię ci śniadanie, okej?

Ida sięgnęła po filiżankę herbaty z domieszką zimnego mleka, nie poświęcając słowom córki najmniejszej uwagi.

Ot, dzień jak co dzień.

* Rzeźba zaprojektowana przez Antony'ego Gormleya, stojąca w Gateshead, w północnej Anglii (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

Dwa

Dziewiętnaście lat wcześniej

Tata stał w ogrodzie, jakby jej wypatrywał.

– Która to godzina? – zawołał gromko, ale w oczach migotały mu wesołe iskierki.

Jacks roześmiała się, patrząc, jak stoi, oparty o kosiarkę, z rękawami podwiniętymi wyżej łokci, i sili się na srogi wyraz twarzy. Odurzający zapach skoszonej trawy przywodził na myśl słońce i beztroskę wakacyjnych dni. Trawnik jak zwykle wyglądał nieskazitelnie, wypielony i równiutko przycięty na brzegach. Tata do znudzenia powtarzał, że trawa wymaga stałej pielęgnacji, tak samo jak włosy na głowie.

Lato zbliżało się wielkimi krokami i Jacks już się nie mogła doczekać! Miała przed sobą sześć tygodni ganiań w krótkich spodenkach bez znienawidzonego dzwonka wcześnie rano. Latem Weston-super-Mare budziło się do życia, pensjonaty zapełniały się turystami, a na nadmorskim bulwarze Marine Parade roiło się od obcych, rozradowanych twarzy. Wydawało się, jakby w tym czasie całe miasto oddychało z ulgą. Zarobki szły do góry dzięki kolejkom ustawiającym się po lody, chrupki i przejażdżki na osłach. W całym mieście, nawet w jego najbardziej ponurych zakamarkach, unosiły się śmiechy i intensywny zapach olejku do opalania, roztaczając wokół pogodny, beztroski nastrój.

Zerknęła na zegarek.

– Dochodzi wpół do szóstej!

– Dobry miałaś dzień? – zapytał, odpalając papierosa. Zaciągnął się głęboko i z upodobaniem, jakby to było czyste, świeże powietrze, po czym

dwukrotnie potrząsnął zapalką typowym dla siebie gestem, żeby na pewno zgasła.

Kiwnęła głową. Prawdę mówiąc, to był wspaniały dzień. Poczowała radosne furkotanie motyli w żołądku, które uniosło się aż do gardła.

– Jak tam netball*?

– Wygrałyśmy! Ale sędzia była do niczego. Wyraźnie trzymała ich stronę. Już się złożyłam do rzutu, kiedy wpadła na mnie ich atakująca. A ona nic, chociaż wszystko działo się tuż pod jej nosem. Myślałam, że nie wytrzymam, ale wiedziałam, że to tylko skrupiłoby się na mnie, więc nic nie powiedziałam.

– No ale wygrałyście?

– Tak.

– O, i z tego płynie najlepsza nauka. – Pokiwał głową mentorsko.

– Jaka nauka? – Jacks podciągnęła rękawy rozpinanego swetra.

Tata potarł się po podbródku.

– A bo ja wiem! Pewnie coś w stylu „pomyśl, zanim coś zrobisz” albo „nie dawaj się ponieść nerwom”, czy takie tam. Ale wygrałyście, więc kogo to obchodzi!

Podszedł i objął ją za ramiona ręką bez papierosa, przygarnął do siebie i pocałował w głowę, a potem obsypał ją garścią ściętej trawy, którą specjalnie w tym celu chował w zaciśniętej dłoni.

Jacks wrzasnęła i odskoczyła do tyłu, potrząsając długimi włosami i otrzepując ubranie.

– Tato! – Instynktownie obejrzała się na kuchenne okno, za którym obok zlewu stała mama, wyprostowana jak struna, z mocno zaciśniętymi ustami. Jacks przez skórę wyczuła jej dezaprobatę.

– Oj, uważaj! Służby antyfiglowe mają cię na oku. – Tata wskazał dom

głową i wyszczerzył zęby. – Ostatnie ostrzeżenie, żadnych więcej wygłupów!
– mrugnął do córki.

Miała ochotę roześmiać się i zażartować w odpowiedzi, ale poczucie lojalności wobec matki kazało jej zamilczeć. Zawsze tak było. Jako jedynaczka nieustannie czuła się rozdarta, mimo woli uczestnicząc w ich odwiecznej wojnie.

– Masz jakąś pracę domową? – zapytał.

– Trochę. Muszę przeczytać scenę z *Męża idealnego* Oscara Wilde’a. I narysować wykres na zajęcia z ekonomii.

– Mąż idealny? W tym mogę ci pomóc. To przecież jakby o mnie! – Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

– No nie wiem, czy mama przyznałaby ci rację. – Jacks zarzuciła sobie torbę na ramię i ruszyła w kierunku domu.

– Słonko, jeżeli ja mówię „czarne”, twoja matka zawsze powie „białe”. Nie ma takiej rzeczy, co do której ta kobieta przyznałaby mi rację.

Jacks puściła jego uwagę mimo uszu i pchnęła kuchenne drzwi. Nie chciała, żeby ich zgryźliwości popsuky jej ten cudowny dzień.

– Zaraz będzie kolacja – rzekła mama cicho, wsypując równy sznureczek soli do garnka z gotującą się wodą, do którego następnie wrzuciła obraną i posiekaną na plasterki marchew. – Masz kilka minut, jeżeli chcesz iść na górę i rozłożyć rzeczy. Już nakrywam do stołu.

Jacks skinęła głową, ogarniając spojrzeniem nieprawdopodobny bałagan, jaki jej matka zawsze robiła podczas gotowania.

– Z czego się tak śmialiście z ojcem? Widziałam, jak się wygłupiacie w ogrodzie. – Ida uśmiechnęła się lekko, sięgając po widelce i noże oraz butelkę ketchupu.

– E, nic takiego. – Jacks wzruszyła ramionami i zarumieniła się, jakby wygłupy z tatą były czymś niewłaściwym.

Weszła na górę, ściągnęła buty i zsunęła pończochy, rozcierając uda w miejscu, gdzie ściągacze odcisnęły jej się na skórze, po czym opadła na łóżko. Przez chwilę przyglądała się wiszącemu na ścianie plakatowi Take That, a następnie wyjęła z torby notatnik i po raz pierwszy napisała jego imię i obrysowała je serduszkami: „Sven”. *Sven*. To słowo wypełniało jej myśli i tańczyło na końcu języka. *Sven*. Pojawił się w ich szkole jakieś pół roku temu, ale poza tym, że zauważyła jego burzę blond włosów i nietypowe, ręcznie robione swetry, nie zamienili ze sobą dotąd ani słowa. Był jednym z najlepszych uczniów, ale kiedy wypowiadał się na zajęciach, Jacks i jej znajomi podśmiewali się z jego obcego akcentu. Na stołówce chłopcy podpytywali go, czy nie śpiewa w Abbie i czy jego rodzice mają swoje volvo. Odcinał się błyskawicznie, mówiąc, że nie, co za pomysł, żeby jeździć volvo, za to owszem, jest w rzeczywistości Agnethą w przebraniu. „Sven”, napisała znowu, a obok jeszcze: „Jackie Lundgren”.

– Kolacja gotowa! – zawołała mama, stając u podnóża schodów.

Jacks zeszła cicho na dół i przystanąła przed lustrem w korytarzu. Wyprostowała się i podniosła do góry piersi o wiele mniejsze, niżby tego chciała. Jej przyjaciółka Gina, ta to miała biust. Chociaż porównywanie się z Giną nie miało większego sensu, bo różniły się od siebie najbardziej, jak tylko się dało, i to pod każdym względem. Wprawdzie patrząc z boku widać było rysujące jej się pod bluzką małe wybrzuszenie, ale od przodu wyglądała jak deska.

– Co jesteś taka markotna, moja panno?

Podniosła oczy na mamę.

– Nic, tylko chciałabym wyglądać bardziej jak Gina.

– Gina? – roześmiał się ojciec. – Chyba żartujesz! Nie chcę być złośliwy, ale ona musi jednak przyłożyć się do nauki, żeby do czegoś dojść. Ty natomiast, jak wszyscy w naszej rodzinie, zawojujesz świat samą urodą. –

Zatrzepotał rżęsami.

– Nie pochlebiaj sobie. Może w twojej rodzinie tak, ale mój ojciec był niezwykle inteligentny – przycięła mu Ida, stawiając przed córką talerz. – Zrobił karierę w firmie energetycznej. Bardzo rozważny człowiek, zgromadził nie lada fortunę w obligacjach.

Tata zrobił pocieszoną minę.

– A, tak, zapomniałem o tych przesławnych obligacjach! Wiesz, Ida, gdyby one naprawdę istniały, to sprzedalibyśmy je już lata temu i zafundowali sobie wyjazd na Teneryfę! Ale ponieważ nikt nie wie, gdzie ich szukać, to spędzimy wakacje w przyczepie na kempingu, jak zwykle – zachichotał.

Jacks wpatrywała się w marchewkę z groszkiem i gotowane ziemniaczki, na których spoczywała okrągła porcja dymiącego kurczaka w cieście, dokładnie tak jak lubiła.

– Mmm, pycha! – Patrzyła, jak ojciec z pełnymi ustami puszcza do żony oko, a twarz mamy rozjaśnia się z radości, jak za pstryknięciem jakiegoś przełącznika. Jacks gmerała w groszku na talerzu, rozmyślając o tym, co jadało się na kolację w Szwecji.

– Halo, tu Ziemia, rozmarzona laleczko! – Tata nabił na widelec kawałek unurzanego w sosie mięsa i kilka kawałków marchewki.

– Hm? – Jacks nie słuchała.

– Jesteś zupełnie gdzie indziej. Nie powiesz mi, że ciągle chodzi o tę niesprawiedliwą sędzię?

Potrząsnęła głową.

– Nie. Zastanawiam się, co się je na kolację w Szwecji.

– Pewnie *knäckebröd*. Taki chrupki chleb skandynawski – stwierdziła mama z miną specjalistki.

– I zaśmierdłe śledzie – dodał ojciec. – Pamiętam, jak jeden facet na

odwiertach mi o tym opowiadał. Podobno zostawiają ryby na słońcu, żeby się zepsuły, i jedzą je rok później, czy coś w tym rodzaju.

– Faj, brzmi ohydnie! – skrzywiła się Jacks.

– A skąd to nagłe zainteresowanie szwedzką kuchnią? – zapytał tata z pełnymi ustami i kilka groszków prawie wyleciało mu z ust, ale złapał je zwinnie językiem.

– Tak sobie. Mam w klasie chłopaka ze Szwecji, nazywa się Sven. – Skwapliwie skorzystała z okazji, żeby o nim wspomnieć i wymówić na głos jego imię.

– Sven? Czy to nie jeden z tych koleś z Abby? – Don puścił do córki oko.

Jacks wybuchnęła śmiechem.

– Nie. Jest bardzo dowcipny i inteligentny. – Znow stanął jej przed oczami z gęstwiną jasnych włosów i przenikliwym spojrzeniem. – Jego tata jest architektem, pracuje w Bristolu. W szkole robią sobie z niego ja... żarty, bo jest trochę dziwny, ale ja go lubię. Jest inny niż wszyscy.

Widziała, że rodzice wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

– Myślałam, że lubisz Petera Daviesa – zauważyła mama, rozgniatając widelcem ziarnka groszku.

– Lubię go. Kumplujemy się. – Jacks wbiła wzrok w jedzenie na talerzu, próbując wymazać z pamięci pieszczoty, na jakie pozwolili raz sobie w klubie Mr B.

– Jego mama jest przekonana, że jesteście kimś więcej niż tylko kumplami. Powiedziała mi, że ze sobą chodzicie. I że wpadł po uszy – dorzuciła Ida niewinnie.

Jacks wzdrygnęła się. Pete poszedł już u niej w odstawkę i nie lubiła, gdy przypominano jej całą tę historię.

– Pete to straszny palant, a zachowuje się, jakby był co najmniej drugim Garym Linekerem^{**}.

– Podobno Bristol City chcą go przetestować – rozkręciła się mama.

– Tak, tak, wszyscy to wiedzą, bo gęba mu się nie zamyka na ten temat. Sven nie uprawia sportu, za to chce iść na studia.

– Sven to, Sven tamto. Zdaje się, że ktoś inny też tu wpadł po uszy – powiedziała mama do taty, jakby Jacks nie siedziała z nimi.

– Nieprawda! – krzyknęła Jacks. – To kolega z klasy, i tyle!

– To dobrze – powiedział tata. – Peter to dobry chłopak i znamy jego mamę.

– A co to ma do rzeczy? – zachnęła się Jacks.

– Nie krzycz! – upomniała ją Ida. – Nie ma co histeryzować.

– Ja histeryzuję? Nie wydaje mi się, zważywszy że praktycznie wysyłacie mnie przed ołtarz z Peterem Daviesem tylko dlatego, że znacie jego mamę!

– Nikt nic takiego nie mówi! – fuknęła Ida. – Nie przesadzaj, Jackie!

– To dobrze, bo sędzę, że stać mnie na kogoś lepszego niż byle jaki piłkarz, który po szkole załapie się najwyżej do pracy w McDonalddie.

– Hej, jesteś złośliwa – cmoknęła Ida z przyganą.

– Nie, takie są fakty. Pete jest bardzo fajny, ale to nie gość w moim typie. On chce mieszkać w Weston, jak najbliżej stadionu, a ja chcę iść na studia i podróżować.

– Do Szwecji? – upewniła się mama.

– Może sobie jechać, gdzie jej się podoba, prawda, słonko? – uśmiechnął się do niej tata, lojalny jak zawsze.

Ida odłożyła sztucę na krawędź talerza.

– Oczywiście, że tak. Czy ja mówię, że nie?

– Może i nie, ale twój wyraz twarzy wskazuje coś innego. – Pokręcił

głową Don.

– To przestań na nią patrzeć, tak chyba zresztą wolisz?

– Zaczyna się...

Jacks wstała od stołu i pognała na górę. Rzuciła się na łóżko, a z dołu dolatywały podniesione głosy. Otworzyła notes i wzmocniła długopisem zarys serduszka otaczającego imię obiektu swoich westchnień. *Sven*.

* Jedna z wersji żeńskiej koszykówki, pochodząca z Anglii.

** Angielski piłkarz, trzykrotny król strzelców ligi angielskiej.

Trzy

Jacks otworzyła schowek pod schodami, zdjęła wiszący na drzwiach jasny, lniany płaszcz z wielkimi guzikami i wsunęła weń swoją drobną postać. Założyła na nogi znoszone, brązowe kozaki, po czym zgarnęła kluczyki i pudło z odpadami, które Pete wyszperał dla Jonty'ego.

– Jacks, możesz jeszcze kupić mi żyletki? I płatki kukurydziane, dzieciaki wszystko wyjadły – zawołał Pete, przechylając się nad barierką na piętrze.

Jacks kiwnęła głową.

– Dobrze. To pa! Dzieci, idziemy!

Na chodniku przed domem wpakowała pudło na tył samochodu.

– Dzień dobry, Ivor! – pomachała sąsiadowi, który załadowywał swoją furgonetkę.

– Serwus, Jacks! Ale się ochłodziło, co? – Potarł o siebie potężne, robotnicze dłonie, takie same jak dłonie Pete'a.

Uśmiechnęła się. Podobnie jak jej mąż Ivor też niezmiennie dziwował się pogodzie. Korciło ją, aby mu przypomnieć, że właśnie zaczął się wrzesień, a mieszkają w Weston-super-Mare, a nie na Bahamach.

– Jak tam maleństwo? – zawołała, obchodząc samochód w stronę drzwi kierowcy. Osiem tygodni temu Ivorowi i Angeli urodził się synek Jayden.

– Kawał szelmy! – rozpromienił się. – Nie daje nam zmrużyć oka, ciągle domaga się jeść – cmoknął.

– To zupełnie jak moje, mimo że ma osiemdziesiąt jeden lat więcej! – rzuciła Jacks wesoło.

– Mogłoby być gorzej – odparł i oboje wybuchnęli śmiechem, choć właściwie nie wiedziała dlaczego. – Mam nadzieję, że nasz łobuz nie

przeszkadza wam spać? – zapytał niepewnie.

– O, mój drogi, zapominasz, że sama mam dwoje. Wiem, jak to jest. Nie przejmuj się, jest po prostu nowym członkiem dzielnicy i chce dać o sobie znać. Tylko się komunikuje.

Ivor podniósł skrzynkę narzędzi i wstawił ją na tył furgonetki. Jacks zauważyła w przelocie termos i pudełko z jedzeniem. Ujęło ją, że Angela miała jeszcze czas zrobić mężowi kanapki. Biedny Pete musiał się teraz żywić w samochodowych knajpach w wolnej chwili.

– Mógłby się komunikować między dziewiątą a siedemnastą, a przez resztę doby trzymać buzię na kłódkę! – zażartował Ivor.

– Żeby tylko to było takie proste! – uśmiechnęła się, a z domu wypadły dzieci, zapominając o drzwiach, które zamknął za nimi ich ojciec, i władowały się do samochodu.

– Przez całą noc się ten bachor wydzierał. Szału można dostać – skrzywiła się Martha.

– Przesłodki maluszek – rozczuliła się Jacks.

– E tam. Paskudny, czerwony wyjec. Tylko sra, śpi i wrzeszczy. Nie widzę w tym nic słodkiego.

– Inaczej się na to patrzy, kiedy ma się swoje – zaśmiała się Jacks.

– Mam nadzieję.

– Pasy pozapinane? – upewniła się Jacks.

Nie odpowiedzieli, jak zwykle, bo nigdy o tym nie zapominali.

Jacks zjechała w zatoczkę i pomachała najpierw Jonty’emu, a następnie Marcie, którzy rozeszli się do swoich sąsiadujących szkół. Patrzyła, jak jej syn mozoli się niezdarnie ze szkolnym plecakiem i pudłem pełnym puszek, z trudem operując rękami schowanymi w rękawach o wiele za dużej bluzy, która miała mu starczyć na cały najbliższy rok.

– Przeklęty most z Clifton! – roześmiała się i uchyliła szybę, wciągając z lubością powietrze.

Przystanek autobusu, który podjeżdżał praktycznie pod samą bramę szkoły, mieścił się dwa kroki od ich domu, a cała trasa nie przekraczała nawet trzech kilometrów, więc Jacks pozwalała im wracać samym, o ile byli razem albo z kolegami. Pete wiele razy proponował, że może ich podwozić, ale ona uparcie odmawiała. Ta codzienna przejażdżka była dla niej czymś więcej niż tylko obowiązkiem. To był jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogła być zupełnie sama i nikt jej nie przeszkadzał. Potrzebowała tych dwudziestu minut tylko dla siebie.

Odchyliła się do tyłu, oparta o zagłówek, i oddychała głęboko. W samochodzie wciąż unosił się nikły zapach taty i wdychając go, miała wrażenie, jakby ją obejmował. Za nią przystanęło duże, czarne kombi, z którego wyskoczyła trójka jasnowłosych dzieci w różnym wieku, i samochód z miejsca odjechał. Kiedy mijał jej skodę, Jacks zdążyła zauważyć siedzącą po stronie pasażera kobietę w dużych ciemnych okularach, chociaż ranek był raczej pochmurny, która malowała usta przed lusterkiem i usuwała nadmiar pomadki, zaciskając wargi na chusteczce.

Jacks zamknęła oczy i wyobraziła sobie siebie samą w podobnym luksusowym samochodzie. Pozwoliła myślom ulecieć do świata marzeń i nagle nie była już sama. Obok niej za kierownicą siedział Sven.

– Dokąd jedziemy? – zapytał. – Moje spotkanie zostało odwołane, więc mamy dla siebie caluteńki dzień.

Odrzuciła głowę do tyłu i westchnęła, przesuwając dłonią po wąskich, markowych dzinsach.

– Wszystko jedno, byle we dwoje. Może lunch w Bristolu? Na tarasie jakiejś miłej restauracji z widokiem.

– Znam takie miejsce. – Sven podniósł jej dłoń do ust i błędził po niej

wargami. – Co powiesz na romantyczny spacer, a potem obiad i butelkę szampana?

– A co świętujemy? – zapytała.

– Nasz kolejny dzień razem.

– Rozpieszczasz mnie – przymiliła się, kładąc mu rękę na udzie.

– To dlatego, że cię Kocham – odparł z uśmiechem i ruszył. Wyobraziła sobie, jak pędzą autostradą z opuszczonymi szybami, a wiatr rozwiewa jej włosy. Wolni od obowiązków i bez planu dnia. Jacks zaśmiała się sama do siebie, wrzuciła kierunkowskaz i wyjechała z zatoczki. Fantazje się rozpląnęły, ale i tak było jej znacznie lepiej.

Uśmiechała się jeszcze, kiedy stanęła w korku i wygrzebała z kieszeni chusteczkę do przetrucia szyby. Samochód przed nią podpełzł nieco do przodu, a Jacks podążyła za nim starą fabią taty. W drodze machała ręką sąsiadom, których znała z nazwiska lub tylko z widzenia.

Skręciła w Marine Parade nad brzegiem rozpościerającego się po lewej stronie morza, a jej wzrok powędrował jak zwykle w kierunku młyńskiego koła Weston Wheel.

– Zupełnie jak Londyńskie Oko – mawiał Pete – tylko lepsze, bo bliżej!

Ogarnęła spojrzeniem bezmiar nieba nad sobą i pas mola rysujący się na horyzoncie, napawając się cudownym widokiem pięknego jesiennego dnia. Próbowwała nie zwracać uwagi na bezdomnych i narkomanów okupujących przystanki wzdłuż drogi. Sezon wypoczynkowy się skończył, więc nikt nie przeganiał ich z ławek, na których zalegali całymi dniami, nie mając nic do roboty. Przejechała wzdłuż rzędu sklepów, spośród których wiele najwyraźniej zmieniło właściciela albo w ogóle zawiesiło działalność, jak to często bywa w nadmorskich miejscowościach przed nadejściem zimy.

Obmyślając, co zrobić na kolację, mijała grupki studentów obładowanych książkami, sterczących na przystankach w wąskich dzinsach i śmiesznych

węlnianych czapkach, które wyglądały, jakby ich właściciele mieli jakieś zwierzę albo deser na głowie. Obok nich tkwili młodzi pracownicy zmierzający do biur w Bristolu i w Portishead, których skusiła wizja zamieszkania w jednym z rozległych wiktoriańskich domów Weston, żeby następnie rozbudować go i sprzedać po znacznie wyższej cenie. Zawsze zachwycały ją te imponujące wille o szerokich schodach, wykładanych kafelkami posadzkach i okazałych kominkach, ze stojakami na buty wystawionymi przed masywne drzwi i wymyślną wieżyczką dorzuconą jakby od niechcienia w rogu dachu. Kiedy była mała, wyobrażała sobie, że śpi w jednym z tych okrągłych pokoi, niczym mała księżniczka. Zarówno wtedy, jak i teraz podobny dom pozostawał dla niej tylko niedoścignionym marzeniem.

Sven i jego rodzice mieszkali w takiej willi i z perspektywy czasu sama przyznawała, że między innymi właśnie to tak jej się w nim podobało. Zanim ich poznała, żyła w przeświadczeniu, że pochodzi ze światowej rodziny. Inaczej niż to było w domach innych dzieci, rodzice zabierali ją do pubów na krewetki z frytkami, a latem siadali na zewnątrz i chrupali chipsy serowo-cebulowe. Tata zamawiał piwo, mama brała martini z plasterkiem cytryny na skraju kieliszka, a Jacks dostawała butelkę pepsi-coli ze słomką. Pepsi kojarzyła jej się z Ameryką, a Ameryka z powiewem wielkiego świata. Lecz gdy poznała Svena, uświadomiła sobie, że nie ma o świecie pojęcia. Wczasy w kurorcie w Devon i okazjonalne wypadki do Londynu były niczym w porównaniu z miejscami, które on zwiedził w dzieciństwie. Oczarowana, chłonęła opowieści o podniebnych podróżach, strzelistych szczytach górskich, bezkresnych pustyniach i plażach z pierzastymi palmami. To był dla niej zupełnie inny świat. A im dłużej słuchała o dalekich, egzotycznych krajach, tym bardziej pospolite wydawały jej się ulice Weston-super-Mare.

– Och, Sven...

Poczuła na sobie surowe spojrzenie taty. *Co tak patrzysz, wolno mi go chyba pamiętać, prawda? Nie ma w tym nic złego.*

Odkąd tata zmarł, nieustannie miała jego obraz przed oczami. Ale to nie było odległe wspomnienie powracające w myślach, gdy znalazła się gdzieś, gdzie razem chodzili, lub pochwyciła piosenkę, której lubił słuchać, tylko utrwalona wizja taty w jego dawnym, radosnym wcieleniu, z ciemną, błyszczącą czupryną, wesołymi iskierkami w oczach i nieznacznym skrzywieniem ust, jakby zaraz miał się roześmiać. Taki, jaki był, zanim bezlitosne macki choroby zniekształciły każdą część jego ciała. I ten obraz towarzyszył jej stale, był tuż pod powiekami, tak bliski i wyrazisty, że kiedy czytała książkę lub patrzyła na jakąkolwiek ilustrację, musiała go niemal omijać.

W centrum trafiła na zieloną fałę, więc udało jej się pokonać labirynt jednokierunkowych ulic prawie bez przestoju. Była chyba jedynym kierowcą w całym mieście, którego cieszyły korki, bo dzięki nim mogła dłużej pozostać w samotności.

Przekręciła klucz w zamku i od progu krzyknęła:

– Jestem, mammo!

Weszła na górę, otworzyła drzwi do sypialni i jak zwykle znalazła matkę w łóżku skubiącą rąbek szlafroka.

– Masz mój list? – zapytała Ida nerwowo. – Jest mi bardzo potrzebny.

– Nie, poczta jeszcze nie przyszła. – Jacks przeszła przez pokój i przytknęła okno. Po tym, jak rano musiała zmienić pościel, zostawiła je lekko uchylone, więc smród się nieco wywietrzył. – Co powiesz na owsiankę? A może wolisz dziś grzanki?

– Kiedy przyjdzie Don? – zapytała Ida.

– Nie wiem – uśmiechnęła się Jacks. Wciąż jeszcze nie wiedziała, jak

radzić sobie z pytaniami o tatę.

– Mówiłam, żeby tego wszystkiego nie spisywać, a teraz nie wiadomo, gdzie się ten list podział.

Jacks westchnęła i przysiadła na skraju łóżka. Poprawiła matce szlafrok na ramionach, patrząc, jak luźne fałdy tkaniny marszczą się w zagięciach jej łokci. Nabrała w garść porcję kremu do rąk i zaczęła wcierać go w kościste palce, kruche nadgarstki i zbielełe dłonie.

– Powąchaj tylko, mamó. To lawenda. Ładnie pachnie, prawda? – Podniosła wynędzniałą rękę i podsunęła mamie pod nos.

– Pachnie Francją. – Iskra zaskoczyła ni z tego, ni z owego i odległe skojarzenie wychynęło, spójne i przytomne, z odmętów zamglonej świadomości.

– Tak! Mieliście z tatą wspaniałą podróż, prawda? Pamiętasz, jak byliście we Francji na polu lawendowym? Pojechaliście autokarem i przywieźliście mi zasuszony bukiet, który jeszcze długo potem utrzymywał zapach. Powiesiłam go sobie w kuchni, pachniał naprawdę cudownie. Każdy, kto tylko wchodził, od razu się zachwycał. – Uśmiechnęła się na wspomnienie wyprawy, jaką rodzice zafundowali sobie na złotą rocznicę ślubu. Na wypadek gdyby nie posmakowało im jedzenie, tata zabrał ze sobą trzy torby herbatników i tyle pasty rybnej, żeby starczyło na kanapki przez całe cztery dni.

– Muszę znaleźć ten list. – Iskra rozbłysła i zgasła, a one jakby nigdy nic wróciły do punktu wyjścia.

Jacks kiwnęła głową.

– Pójdę zrobić śniadanie.

Otuliła matce nogi kocem i zamknęła za sobą drzwi. Zebrała z podłogi w łazience kłęb zabrudzonej bielizny i wlała do brodzika pokąźną ilość wybielacza, po czym ruszyła na dół. Jeszcze nie zeszła ze schodów, a już

z góry dobiegł ją przyzywający dźwięk dzwonka. Westchnęła i pomyślała o ukochanym tacie.

Potrafiła odtworzyć w pamięci jego ostatni dzień, jakby to był film. Jego szerokie oczy, zeszywniałe palce, które na próżno próbowały dosięgnąć maski tlenowej, żeby ściągnąć gumkę przytrzymującą mu ją na twarzy. Nie podeszła, żeby mu pomóc. Wyręczenie go oznaczałoby uznanie jego słabości, więc wolała odgrywać komedię. Czekwała cierpliwie z uśmiechem, jakby mógł sam sobie poradzić, jakby wciąż był silnym, zręcznym, pełnym werwy mężczyzną, który kosił trawniki i jeździł samochodem. Splatała palce, ogryzała paznokcie, wszystko, byle tylko go nie oporządzać i nie zastępować go, kiedy sękaty dłoń odmawiały mu posłuszeństwa. Pozwalała sobie nawet na żarty:

– Nie śpiesz się, mamy czas... Opłaciłam parking na trzy godziny.

Ten beztroski ton był tylko na pokaz, kiedy w istocie serce pękało jej z rozpaczy jak dojrzały pomidor. *Nie zostawiaj mnie, tato, proszę cię, jeszcze nie jestem gotowa...* Niemniej czy kiedykolwiek nadszedłby taki moment, gdy byłaby gotowa?

– Obiecuj mi coś – wychrypiał łamliwym szeptem wśród urywanych oddechów. – Obiecuj mi...

– Co, tato? – próbowała zdobyć się na dziarski ton poprzez strumienie łez.

– Obiecuj mi... że zaopiekujesz się mamą. Proszę... Postaraj się... – Wpatrywał się w nią z napięciem, jakby nie mógł ustąpić bez jej zapewnienia.

Kiwnęła głową.

– Obiecuję.

W chwili gdy wypowiedziała to słowo, z ust wyrwało mu się długie, świszczące westchnienie, a jego powykrzywiane palce rozluźniły się

wreszcie.

Często powracała w myślach do tych ostatnich chwil. Jak przywarła do niego i chłonęła gasnący oddech, chcąc być blisko niego do samego końca w tej ulotnej przestrzeni, w której jeszcze unosiło się życie. Całowała jego umęczoną głowę i głaskała papierowy policzek, w miarę jak się oddalał. Odchodził stopniowo, powoli, a w jego miejsce zakradała się pustka, aż wreszcie Jacks została sama w tej szpitalnej sali, czując, że razem z nim opuściła ją istota radości życia. Tata nie żyje. Jej ukochany tata! Musiała to sobie powtarzać na okrągło, bo nawet miesiąc, rok, półtora roku później to wciąż brzmiało zupełnie nierealnie. Jak mógł ją zostawić? Tak go potrzebowała. Ale do tego przecież nie mogła przyznać się otwarcie. Była dorosłą kobietą, miała swoją rodzinę i, jak potem wiele razy usłyszała, „Taka jest kolej rzeczy...”, „Miał szczęśliwe życie...”, „Dobrze, że już nie cierpi...”. Może i tak, ale od tego wcale nie robiło się lżej. Często mawiał, że dzięki jednemu człowiekowi świat nie stanie się inny, ale nie miał racji. Dzięki niemu jej świat był inny – lepszy. Kochała go bezgranicznie. To dlatego złożyła mu tę obietnicę. Nigdy wcześniej o nic jej nie prosił i zrobiłaby wszystko, żeby go uszczęśliwić. Problem w tym, że bardzo trudno było jej kochać matkę. Tak naprawdę, chociaż nie potrafiłaby się sama do tego przyznać, to nawet jej nie lubiła.

Cztery

Dziewiętnaście lat wcześniej

– Czy to miejsce jest wolne?

Jacks się roześmiała. Sven zadał pytanie, jakby byli parą staruszków w wykwintnej restauracji, a nie nastolatkami na szkolnej stołówce.

– Proszę. – Wskazała ręką puste miejsce naprzeciwko siebie. Odruchowo rzuciła na boki spłoszone spojrzenia, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, i zawstydzila się. Sven jej się podobał, ale nie chciała, żeby znajomi drwili sobie potem, że jadła obiad z cudzoziemskim dziwakiem.

– Co się jada w Szwecji? – zapytała.

– W sensie? – uśmiechnął się.

– Jakie jedzenie? Tak mi przyszło do głowy.

– To samo, co tu – ziemniaki, mięso, warzywa. Może je się trochę więcej ryb. Suszonych, jak wędzony łosoś, mój ulubiony. A poza tym nic nadzwyczajnego. – Uważnie zdjął górną warstwę chleba ze swojej kanapki i zaczął zeskrobywać majonez z liści sałaty.

Jacks była zachwycona. Nigdy nie próbowała wędzonego łososa. Jedyna postać ryby, jaką знаła, to panierowana kostka, na którą nie wiedzieć czemu mówiło się paluszek, albo mrożony filec bez panierki, w pietruszkowym sosie z torebki.

– To jakie jest najlepsze danie twojej mamy? – Ugryzła ostrożnie koniuszek swojej bułki, starając się wyglądać możliwie dystyngowanie, nagle speszona jedzeniem w jego towarzystwie.

Sven z powrotem przykrył kanapkę chlebem i wytarł palce o spodnie,

zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Pizza – nie jest znowu jakąś wybitną mistrzynią kuchni. Ale jeżeli pytasz o tradycyjne dania, to chyba klopsiki z purée, konfiturą i korniszonami. A twojej?

– Eee... – Zaskoczył ją tym pytaniem, jakby nic, co dotyczyło jej własnej rodziny, nie mogło być ciekawe. – Moi rodzice są już trochę starzy i raczej drętwi. No, może nie tata, ale mama jest strasznie drętwa. A jak chodzi o jedzenie, to... – Przełknęła ślinę, czując, że zaczyna się plątać. – Chyba pieczeń albo zapiekanka, takie tam, nic szczególnego. – Pociągnęła łyk z kartonika.

– Od zawsze mieszkasz w Weston? – Uniósł podbródek z namysłem, czekając na jej odpowiedź.

– Niestety. Ale nie mam zamiaru tu zostać. To okropna dziura. Chciałabym podróżować, pojechać do Nowego Jorku, może znaleźć tam jakąś pracę. – Zarumieniła się z nadzieją, że to wyznanie wypadło tak szczerze, jak by sobie życzyła.

– No, w Nowym Jorku jest fajnie – przytaknął z uśmiechem.

– Byłeś tam? – Aż się przechyliła do przodu, a w głowie zaroily jej się setki pytań. *Chodziłeś po Piątej Alei? Widziałeś Times Square? Czy to prawda, że wszyscy ciągle jedzą hot dogi?*

– Tak. Mieszkaliśmy tam jakiś czas. Mój tata jest architektem i to z jego powodu teraz przenieśliśmy się tutaj. Pracuje nad projektem w Bristolu.

– Super – wymknęło jej się i natychmiast przygryzła wargi, żałując, że nie może cofnąć tej głupiej uwagi, a zamiast tego zadać dodatkowych pytań. Wypaliła więc: – Sama nie wiem, czemu to powiedziałam. „Super” w zasadzie znaczy, że albo nie masz pojęcia, o czym jest mowa, albo nie wiesz, co powiedzieć, żeby nie wyjść na durnia.

Sven spojrział na nią przez stół.

– Lubisz astronomię?

– Nie wiem. – Nie była do końca pewna, jaka jest różnica między astronomią a astrologią, ale z tym nie zamierzała się zdradzać.

– Nie wiesz? – Znieruchomiał z kanapką w powietrzu. – To tak jak powiedzieć, że nie wiesz, czy lubisz poezję albo sztukę. Powinnaś wiedzieć, czy coś lubisz, czy nie. – roześmiał się lekko.

Jacks zagapiła się na tego chłopca, tak innego od wszystkich jej kolegów ze szkoły. W sumie to od wszystkich jej kolegów w ogóle. Był pewny siebie i wyglądało, że ani trochę nie przejmuje się tym, co myślą o nim inni. Kiedy nabijali się z jego zrobionych na drutach swetrów, z szerokim uśmiechem dziękował im za komplement, jakby naprawdę zamierzali zrobić mu przyjemność.

– A poezję lubisz?

– Kogo widzę! – Jacks nie zauważyła Pete’a i jego kumpli zbliżających się do ich stolika, aż do chwili, gdy się rozsiedli na ławce po obu stronach Svena. – Co słyhać, Waterloo?

– Wszystko gra, dziękuję – odparł Sven prostodusznie, jakby pytanie było zadane bez śladu ironii. – A u ciebie?

– Ach, no wiesz. – Pete potarł dłonią zaciśniętą pięść. – Mam sporo roboty, muszę się przygotować do testów sprawnościowych. Bristol City zaprosili mnie do naboru.

– Super. – Sven pochwycił spojrzenie Jacks i mrugnął znacząco, po czym kiwnął głową w stronę Pete’a. – Na jakiej grasz pozycji? – zapytał.

Znajomi Pete’a wybuchnęli śmiechem.

– Na jakiej ghasz pozycji? – powtórzyli, nieudolnie naśladowując germański akcent.

Sven podniósł ręce do góry.

– Och, wybaczcie, proszę, wiem, że daleko mi do poprawnej wymowy.

Może wobec tego przejdziemy na szwedzki albo na francuski? Po niemiecku mógłbym dać radę, ale ostrzegam, że mam jeszcze gorszy akcent niż w angielskim! – zaśmiał się.

Towarzysze Pete’a zaniemówili.

– Jacks, przyjdiesz dzisiaj na molo? – zapytał Pete, przechodząc do sedna sprawy.

Jacks splonęła rumieńcem.

– Nie.

Pete przyglądał się jej przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co dalej.

– Muszę lecieć. Mam jeszcze parę serii na siłowni do zrobienia.

– Baw się dobrze. – Pomachała mu na odchodnym.

– Chyba wiesz, czy lubisz czytać wiersze? – naciskał Sven, jakby nic nie zaszło, co Jacks przyjęła z wdzięcznością, bo nie miała najmniejszej ochoty komentować plotek, jakoby migdałiła się z Peterem Daviesem w klubie Mr B.

– Lubię niektóre – wyszeptała.

– To już coś. – Rozpogodził się.

– Jacks! – zawołała Gina z drugiego końca sali. – Chodźże! Wszędzie cię szukam. Muszę iść zająć! – Podniosła dwa palce do ust, naśladując zaciąganie się papierosem.

Dwoje nauczycieli siedzących przy stole pośrodku odwróciło się i zgromiło ją wzrokiem. Gina złapała się za usta teatralnym gestem, niby zdając sobie sprawę z własnej gafy. Wszyscy przepadali za Giną. Była niska, korpulentna, zuchwała i pewna siebie. Nic sobie nie robiła z przepisów i zakazów, ale jej wesoła bezczelność wzbudzała powszechną sympatię. No i była najlepszą przyjaciółką Jacks.

– Muszę iść. – Jacks odstawiła talerz i pusty kartonik po soku na

brązową, plastikową tacę.

Sven położył dłoń na jej ręce.

– Mówią, że początki bywają najlepsze.

Przełknęła ślinę i utkwiała w nim oczy, drżąc na całym ciele.

– Jacks, pośpiesz się, królewno, tracimy czas na dymka! – Słowa Giny ugodziły ją jak odłamki szkła i czar chwili prysnął.

Pięć

Jacks usłyszała głuchy stuk ciężkich roboczych butów o podłogę, po czym materac ugiął się pod ciężarem Pete'a, który wrócił do domu po meczu Bristol City i kładł się spać u jej boku. Zastygli plecami do siebie. Spojrzała na zegarek. Piętnaście po jedenastej. Doleciał ją nikły zapach piwa i smażonego jedzenia.

– Wygraliśmy? – wymamrotała, lekko zamroczone od snu.

– No raczej! – zaśmiał się uradowany. – Chłopaki byli dziś w formie.

Zamknęła oczy i z powrotem odpłynęła w niebyt przed kolejnym pracowitym dniem.

– Dwa do jaja! Dwa do jaja! Ole, ole, ole, ole, Bristol City! – śpiewał Pete, klaszcząc rytmicznie nad głową na podeście schodów.

Jacks napełniła czajnik na swoją pierwszą herbatę i związała jasne włosy w koński ogon. Cesała się tak co drugi dzień, żeby zaoszczędzić sobie dwadzieścia minut, które musiałaby spędzić pochylona nad zlewem w kuchni, spłukując szampon przy pomocy plastikowego kubeczka, kiedy reszta rodziny przepychała się w kolejce do łazienki.

– A jak poszło tamtym? – krzyknął Jonty z pokoju.

– Jakim „tamtym”? – zarechotał Pete.

– Tym, z którymi grali Bristol City.

Drzwi do łazienki otworzyły się i Martha wystawiła głowę na korytarz.

– Nie wiesz, co znaczy „jajo”, matole? To znaczy „zero”, tyle nastukali nam tamci, czyli nic!

– Martha, nie nazywaj brata matolem – zawołała Jacks z dołu. I wtedy,

drrrrr, rozległ się krystaliczny dźwięk dzwonka.

– Babcia dzwoni! – wrzasnęły dzieci chórem.

– Idę! – Jacks zebrała kurtkę i kibicowski szalik ciśnięte w korytarzu. Nigdy nie kursować z pustymi rękami, taką miała zasadę.

– Piękny dzisiaj dzień! – zaćwierkała, odsłaniając okno u Idy w pokoju.

– Popłynęłam – obwieściła matka radośnie.

– Tak, nic nie szkodzi, mamó. Zaraz się umyjemy. Pomyślałam, że może kiedy wrócę ze szkoły, wybierzemy się na przechadzkę? Weźmiemy ze sobą wózek. Zrobimy jakieś zakupy na kolację i przejdziemy się brzegiem morza, co? – Uchyliła okno.

– Czekam na list.

Jacks przełknęła ślinę i odwróciła się z zamiarem zapewnienia matki, że przyniesie go, jak tylko przyjdzie.

– Jacks, kupiłeś żyletki? – krzyknął Pete.

– Tak, są w szafce w łazience.

– Nie widzę – zawył.

– Poczekaj. – Wybiegła z pokoju.

Na podeście Martha złapała ją w locie za ramię, aż Jacks zatoczyła się jak w jakimś szalonym tańcu.

– Mam jakąś bluzkę?

– Tak, wyprasowana i złożona leży u ciebie w szafie.

– Spoko.

Jacks uśmiechnęła się. To było prawie jak „dziękuję”.

– Ma-mo?

– Tak, Jonty?

– Skąd wiadomo, że nie jesteśmy w grze komputerowej i ktoś nie steruje nami konsolą?

Jacks przystanęła i spojrzała na swojego chudziutkiego syna stojącego w progu bez koszulki, w samych spodniach od piżamy ze Spidermanem.

– Dobrze pytanie, Jont, nie mam bladego pojęcia. Wiem jedno, gdyby tak było, to chciałabym, żeby wybiło mu zakichane korki i mogłabym na chwilę przystanąć.

– Mama powiedziała „zakichane” – zachwycił się Jonty.

Czerwone. Jacks zaciągnęła ręczny i czekała. Jonty stracił kontakt ze światem z nosem zatopionym w komiksie. Martha włączyła radio i wewnątrz samochodu wypełnił trudny do określenia łomot. Dziewczyna zakołysała głową.

– Nie rozumiem, jak możesz tego słuchać.

Martha parsknęła śmiechem.

– Zawsze tak mówisz! Nie podoba ci się żaden zespół, którego słucham.

– Z wyjątkiem 1D*. – Jacks mrugnęła do córki.

– Podobają ci się chłopaki, a nie ich muzyka.

Jacks roześmiała się w głos.

– Co ty opowiadasz, mogłabym być ich matką! Uważam tylko, że są przeuroczy. Wyglądają na fajnych chłopaków. Nie miałabym nic przeciwko, gdybyś zaczęła umawiać się z którymś z nich.

Martha spojrzała na matkę.

– Dziękuję za pozwolenie, kamień spadł mi z serca. Zaraz któregoś poderwę. Często przecież wpadamy na siebie w kolejce po frytki, kiedy włączą się u nas po dzielnicy!

– Podoba mi się, jak śpiewają, bo mogę podłapać i melodię, i słowa, nie to co ten hurgot. – Jacks wskazała na radio. – Od tej łupaniny tylko boli mnie głowa!

– To dlatego, że jesteś stara i skapcianała.

Jacks parsknęła śmiechem.

– Ja jestem skapcaniała? Mój Boże. Nawet nie wiesz, jaką masz fajną mamę. Twoja babcia nigdy nie pożyczyłaby mi swoich ciuchów ani nie pozwoliłaby mi podbierać kosmetyków. Nie żebym w ogóle chciała, ubierała się okropnie staroświecko. Zawsze wyglądała jak z innej epoki. W przeciwieństwie do mnie – miss elegancji.

– Tak, tak, mamó, moi znajomi nazywają cię Alexa Chung**, taka z ciebie królowa stylu!

– Kto?

W odpowiedzi Martha tylko prychnęła wyniośle. Jacks otworzyła usta, żeby się odgryźć, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Poza tym nie chciała dać córce kolejnej okazji do przewracania oczami, jakby była zacofana i plotła same głupstwa. Pamiętała, że odbyła kiedyś podobną rozmowę z tatą, tyle że jej rodzice naprawdę byli bardzo staromodni. Urodziła się, gdy mieli po czterdzieści pięć lat. Dzisiaj to i może nic nadzwyczajnego, żeby mieć pierwsze dziecko w tym wieku, ale w 1979 rzecz była absolutnie nie do pomyślenia. Z tego, co wiedziała, rodzice przez długi czas sądzili, że nie mogą mieć dzieci. Podobno na wiadomość o ciąży mama była kompletnie zszokowana, a nawet zawstydzona, ale tata wpadł w euforię. I tak też traktował córkę przez całe życie, jakby była dla niego najcenniejszym skarbem.

– Wiesz, Martha, że ja nie jestem taka stara? Mam dopiero trzydzieści sześć lat. Nawet nie dobijam jeszcze do półmetka!

– Tak sobie tłumacz – odparowała Martha.

– Słusznie, nigdy nic nie wiadomo – roześmiała się Jacks.

– Co jest najgorsze, kiedy się jest starym? – Martha bawiła się końcem rozjaśnionego warkocza.

Jacks zachichotała, bo przypomniała sobie, że kiedy sama miała

siedemnaście lat, ludzie powyżej dwudziestu pięciu w jej oczach stali już niemal nad grobem. Co do Jonty'ego, to owszem, on miał starszą mamę. Dziesięć lat między rodzeństwem to spora różnica. Jak na ironię, dopiero po tym, gdy zrezygnowali z Pete'em ze starań o drugie dziecko po wielu latach prób, w tym po nieudanym zabiegu in vitro, od razu zaszła w ciążę i urodziła ich ukochanego chłopca, ich mały, żywy cud.

– Mówię ci, że w ogólnym rozrachunku jestem jeszcze dość młoda. Kiedyś to zrozumiesz. Ale najgorsze w tym, że robisz się starsza, jest słuchanie tego potwornego wrzasku! – Skrzywiła się z niesmakiem. – I to, że nie można jeść tego samego, co wcześniej. Kiedy byłam młodsza, mogłam wsunąć całe góry frytek i tony czekolady i nie przytyć nawet o kilogram. A teraz biodra rosną mi już od samego tylko patrzenia na kawałek sera. – Puściła do córki oko.

– Koszmar – wzdrygnęła się Martha.

Jacks wybuchnęła śmiechem. Tak było najlepiej. Obrócić wszystko w żart. Bo co mogła zrobić innego? Powiedzieć jej prawdę? Za nic.

Martha zaczęła śpiewać z ryczącym wokalistą.

Jacks pchała fotel Idy wzdłuż Marine Parade, raz po raz przystając, żeby upewnić się, czy starsza pani jest szczelnie okryta, lub przekręcić wózek w stronę morza, które o tej porze roku przypominało siną, rozkołysaną masę za burym pasem błota, uprzejmię nazywanym przez przyjezdnych plażą. Mewy z wrzaskiem unosiły się nad ich głowami, wypatrując porzuconych opakowań po frytkach i hamburgerach, których resztki wytyczały na ziemi paskudny szlak, jakby dzisiejsi Jaś i Małgosia oznaczyli sobie drogę z powrotem do McDonalda.

Przystawała, kłaniając się niekiedy spotykanym spacerowiczom i rolkarzom, którzy wylegli na bulwar łyknąć świeżego powietrza. Zastanawiała się, czy oni też musieli wyrwać się z ciasnoty domu zbyt

małego dla swoich mieszkańców oraz ich kłopotów. Może także mieli u siebie szafy pękające od rzeczy, na których wyrzucenie nie mogli się zdobyć? I zaczęli dusić się wśród klaustrofobicznych ścian przesiąkniętych poczuciem winy, bo miały tylko być etapem przejściowym, aż... Ich dom przy Sunnyside Road był tymczasowy, odkąd się pobrali osiemnaście lat temu. Ulepszenia, które planowali, z biegiem lat stały się nieosiągalnym marzeniem: oranżeria, zagospodarowane poddasze, własnoręcznie odnowiona kuchnia. Pomyślała o pieniądzach na koncie oszczędnościowym. Chyba pierwszy raz mieli jakiegokolwiek rezerwy. Czuła się z tym pewniej.

Nieprawdą było to, co powiedziała Marcie. Słuchanie hałaśliwej muzyki? Dobrze sobie. Nie to było najgorsze na starość. Najgorsza była świadomość, że nigdy nie osiągnie tego, co kiedyś planowała. Straciła nadzieję, że los chowa dla niej jeszcze coś w zanadrzu. Czuła się uziemiona. Była żoną Pete'a, matką dzieci i opiekunką Idy. To cała treść jej życia. Była jak napisana już do końca książka, a to, co widziała, spoglądając w lustro, nijak miało się do jej młodzięcych wyobrażeń.

– Najgorsze w starzeniu się jest poczucie, że twoje życie jest tak strasznie zwyczajne, a miało być zupełnie wyjątkowe, i świadomość, że kończy ci się czas, żeby coś z tym zrobić – wyszeptwała ponad głową matki.

– I tak już zostanie. Trzeba się zadowolić tym, co jest. Tak to właśnie wygląda. Cieszyć się z tego, co się ma. – Głos Idy zabrzmiał czysto i wyraźnie.

Jacks nachyliła się i zajrzała jej w twarz, uderzona trafnością słów matki. Ida wpatrywała się w morze, znów niema i nieruchoma, jak obraz. Czyżby Jacks sobie to wymyśliła?

– Polly, trzymaj go, do cholery! – rozległ się w pobliżu męski głos, podczas gdy jakaś kobieta rzuciła się ku nim w karkołomnej pogoni za włochatym border terrierem, który zapałał ciekawością do fotela Idy.

– Staram się, Paz! A co, wydaje ci się, że go puściłam specjalnie? – dyszała kobieta ze śmiechem, przekomicznie sadząc po bulwarze w zbyt wysokich szpilkach. – Jejku, przepraszam panie. Jest u nas od niedawna i ciągle się jeszcze wprawiamy. Chyba nawet z dziećmi jest łatwiej, chociaż one nie są takie słodkie! – uśmiechnęła się.

Ida przechyliła się i wyciągnęła rękę.

– Cześć, Rexy! – zakwiliła. – Jaki dobry piesek.

Najwyraźniej uznała, że to jej pies z dzieciństwa, który zdechł, kiedy miała sześć lat. Gdyby żył, zbliżałby się dziś do osiemdziesiątki, pomyślała Jacks, a co dopiero w psich latach! Zakładając, że to ten sam, fantastycznie się trzymał.

– Chodź tu, Bert! Przepraszam, przyjechaliśmy tu tylko odpocząć na kilka dni. To londyński pies, nie jest przyzwyczajony do morskiego powietrza i ptaków wszędzie dookoła, zupełnie mu przez to odbija! – Kobieta pomachała przepaszająco w ich stronę i wróciła biegiem do długowłosego męża, rozbawionego do łez tym, jak żona niezdarnie obchodzi się z rozbrykanym pupilem.

Jacks podjęła przechadzkę, z rozrzuwionym uśmiechem obserwując, jak kobieta wpada w mężowskie ramiona. Po co było gasić młodzieńczy zapał Marthy opowieścią o monotonii jej własnego życia, kiedy córka naprawdę miała szansę zawojować świat? Była mądrą dziewczyną, pracowitą i powszechnie lubianą. Jacks wyobraziła ją sobie jako panią adwokat w luksusowym apartamencie gdzieś daleko, w Paryżu lub w Nowym Jorku! Tak, tak, to wszystko przed nią. Jacks już się nie mogła doczekać. Pewnie, że będzie tęsknić, ale postanowiła odwiedzać ją w każde urodziny i zabierać na elegancki obiad z kawą i deserem. Jak to ujął jej wychowawca? „Dla takiej dziewczyny jak Martha nie ma ograniczeń. Jeżeli się postara i dobrze przyłoży, to sama może zdecydować o swojej przyszłości”. Pamiętała, że

gardło ścisnęło się jej z emocji. Zdecydować o swojej przyszłości... Jak wspaniale. *Możesz to zrobić za nas obie, Martha. Masz przed sobą wszystkie możliwości, których ja nie mogłam wykorzystać.*

Jacks regularnie wysłuchiwała od Giny i innych koleżanek ze szkoły opowieści o dziewczynach, którym się powiodło, które wyjechały z Weston-super-Mare i coś osiągnęły. Na przykład Rosie Barnes wyszła za bankiera i mieszkała teraz w Monako, w rezydencji z basenem w piwnicy i kortem tenisowym na dachu. Wprawdzie pomysł wydawał się trochę absurdalny; ile to się trzeba nabiegać za każdą straconą piłką! Albo Martine Braithwaite, która wyjechała na studia do Oksfordu. Trudno było tego nie wiedzieć, zważywszy że jej matka nie omieszkiała wspomnieć o tym przy każdej najmniejszej okazji, bez względu na związek z tematem.

– Dzień dobry, pani Braithwaite. Ale dzisiaj wiatr!

– O, tak, w Oksfordzie też ponoć wieje. Mówiła mi Martine, bo ona tam studiuje!

– Pani Braithwaite, dalej dokuczają pani hemoroidy?

– Nie, już wszystko w porządku. Poszłam do lekarza. Bardzo mądry człowiek, ale nie tak mądry jak moja Martine, która wyjechała na studia do Oksfordu, wie pani.

Rozśmieszyła ją ta wyimaginowana rozmowa. Martine była dziś poważaną lekarką, pracowała w Londynie i co jakiś czas zapraszano ją do BBC, gdzie opowiadała o swoich dokonaniach. Nie chodziło o to, że Jacks zazdrościła ludziom pokroju Rosie czy Martine – to zresztą byłoby nielogiczne, skoro sama chciała, żeby Martha okazała się taką Martine swojego rocznika – lecz istotnie była na tym punkcie nader wyczulona. Coś ją w głębi zawsze uwierało, a niekiedy wręcz gryzło, obracając się nawet w bezsensowną złość, którą tłumiała z trudem. To nie to, że chciałyby być na ich miejscu. Bynajmniej. Żałowała tylko, że jej własne życie jest takie

bezbarwne i płytkie. Czasami, w chwilach szczególnego zmęczenia i chandry, wyobrażała sobie Rosie w blasku słońca, z dala od sędziwych rodziców i porywistego, nadmorskiego wiatru, wolną od ciężaru codziennych obowiązków. Zdarzało się, że sprząając po niedołącznej matce, z rękami aż po łokcie w brudnej, letniej wodzie, fantazjowała, jak Rosie budzi się w południe, schodzi na dół po krętych, lśniących schodach i krąży po ulicy, podnosząc z ziemi tenisowe piłki. Innym razem, kiedy z góry dobiegał dźwięk dzwonka, domagając się szklanki herbaty, dodatkowej poduszki albo zmiany pościeli, uciekała myślami do Martine, która po całym dniu pracy w szpitalu relaksuje się przy rozrywkach wielkomiejskiego życia.

Bywało, że podrywała się w nocy, zlana potem, przekonana, że słyszała dzwonek, ale gdy chwiejnym krokiem docierała do sypialni Idy, znajdowała ją pogrążoną w nieświadomym śnie z luźno otwartymi ustami, z których dobywały się charczące dźwięki. Jakby jakiś złośliwy klaun specjalnie wyczekiwał do czwartej nad ranem, żeby podstępem postawić ją na nogi, wiedząc, że potem nie uda jej się już zasnąć.

Wzrok Jacks powędrował w przeciwnym kierunku, gdzie za domem opieki Beach Lawns mieszkał kiedyś Sven ze swoją rodziną. Przypomniła jej się dzień, gdy jako nastolatka ze spuszoną trwałą i natapirowaną grzywką szła przez ogród do wejścia ze ściśniętym z nerwów żołądkiem. Kto wie, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby Sven nie wyjechał i gdyby zamieszkali razem w jednym z tych pięknych domów. Oczami wyobraźni zobaczyła siebie, jak budzi się w białej pościeli obok jego uśpionego ciała w pokoju pełnym słońca wpadającego przez wysokie okna otwierane do góry. Przeciąga się i ogarnia wzrokiem wielkie pomieszczenie z białym dywanem, stylową toaletką i oprawionymi w srebrne ramki zdjęciami z ich zagranicznych podróży.

– Popłynęłam. – Matka wyciągnęła za siebie dłoń i chwyciła Jacks za

rękaw płaszcza, przywracając ją do rzeczywistości.

– A, no dobrze, mamó. Nie ma problemu. To chyba wrócimy? –
Uśmiechnęła się i powoli zawróciła wózek.

Nie potrafiła dociec, co takiego się stało, że jej życie potoczyło się w ten sposób. Sven powiedział kiedyś:

– Ty nie jesteś głupią gęsią z pipidówki. Jesteś inna. Masz przed sobą niesamowitą podróż.

No i dokąd zawędrowała? Trzy przecznice od miejsca, gdzie jej to powiedział, gdy leżeli na trawie w środku nocy. To dopiero wyprawa! Dobrze, że dla pewności nie kupiła biletu powrotnego. Przyspieszyła kroku. Nici z zakupów, na kolację trzeba będzie odgrzać jakąś mrożonkę. Na szczęście zerwał się wiatr i unosił przykry zapach w stronę morza.

* One Direction, brytyjsko-irlandzki boysband.

** Brytyjska modelka i prezenterka telewizyjna.

Sześci

Dziewiętnaście lat wcześniej

To był pierwszy dzień po wakacjach, jej ostatni rok w szkole. Maturalna klasa! Siedziała przy stole w jadalni i chrupała lukrowane płatki. W porannej audycji radiowej Steve'a Wrighta leciał skoczny kawałek Whigfield *Saturday Night*. Na suszarce walały się zwinięte w zatłuszczony kłęb opakowania po rybie z frytkami z wczorajszej kolacji. Jacks bębniła palcami o blat stołu w rytm muzyki.

Do kuchni weszła mama.

– Jesteś gotowa, Jackie?

– Tak, mam wszystko, co trzeba, dzięki.

Ida stała, przez chwilę niezdecydowana, miętosząc ściereczkę w dłoniach.

– Wczoraj w nocy... Słyszałaś, jak tata wrócił?

– Z pracy? Nie. Już spałam. I miałam słuchawki na uszach.

Tata pracował do późna. Był taki kochany. Miał już przecież swoje lata, a cały czas zasuwał na pełnych obrotach.

– Kto by pomyślał. Matura. Nie do wiary, jak to szybko zleciało. – Idzie zaszklily się oczy.

– Oj, mam, nigdzie się nie wyprowadzam. Idę tylko do szkoły. Będę w domu przed czwartą.

Mama poklepała ją po ramieniu.

– Wiem, kochanie. Wiem. – Odwróciła się i zaczęła pobrzękiwać naczyniami w zlewie.

Jacks wyruszyła z domu z pewnością siebie osoby stojącej najwyżej

w szkolnej hierarchii społecznej. Bardzo szybko zatęskniła za Giną, która w tym roku zdecydowała się na inne przedmioty, przez co spotykały się znacznie rzadziej niż kiedyś. Wydzieliła materiały na najbliższe zajęcia z angielskiego i z ekonomii, a resztę ułożyła w swojej nowej szafce. Z przyjemnością spojrzała na czyste zeszyty, świeżo zaostrzone ołówki i nowiutkie teczki i poczuła dreszcz podniecenia na myśl o nadchodzącym semestrze. Jeszcze tylko rok, ostatni rok w szkole, a potem, jak zgodził się tata, może iść na studia. Pierwszy krok, żeby się stąd wyrwać, wyjechać w nieznane, gdziekolwiek, byle dalej od Weston--super-Mare!

Nagle zauważyła, że się do niej zbliża. Zrobiło jej się gorąco, jakby przyniósł ze sobą wakacyjne słońce w ten rześki, jesienny poranek. Serce zaczęło jej walić, jak gdyby miała zemdleć. *Kocham cię. Kocham cię!* Słowa te zatańczyły jej na końcu języka, po czym uniosły się i z całą mocą eksplodowały w myślach. Nie miała wątpliwości, że gdyby tylko dobrze się przypatrzył, jej roziskrzona oczy zdradziłyby wszystko. Nie mogła mu tego wyznać za żadne skarby świata, bo chybaby umarła, gdyby ją odtrącił. Dosłownie by umarła.

Wystarczyło, że mignął gdzieś w oddali, a głos wiązał jej w gardle i traciła oddech. Jej przystojny, szwedzki, jasnowłosy chłopak ciągle robił na niej tak samo silne wrażenie, jak kiedy się poznali, i za każdym razem, gdy wypatrywał jej na korytarzach – jej, pospolitej Jackie Morgan – czuła się kimś ważnym i wyjątkowym. Jakby była jedną z tych wzorowych uczennic, które rozprawiały o uniwersytetach, planowały przyszłe kariery albo jeździły latem za granicę szlifować język obcy. W rzeczywistości jednak była dokładnie wszystkim, tylko nie tym – przeciętnie zdolną dziewczyną bez wyrazu, która mogła liczyć najwyżej na posadę asystentki w jakiejś małej firmie dwa kroki od domu. Tak było, zanim odkryła, o czym naprawdę marzy, a wtedy BAM! Nic jej nie mogło powstrzymać. Przepadała za tym

uczuciem, nawet jeżeli pojawiało się tylko, kiedy była przy nim.

Gina uważała go za kujona.

– Cholerny mózgowiec – mawiała, a Jacks promieniała szczęściem, bo chociaż Gina zżymała się na niego, to przynajmniej o nim rozmawiały, a to był zdecydowanie jej ulubiony temat.

W ciągu sześciotygodniowej przerwy wakacyjnej widzieli się osiem razy. Spacerowali na bosaka nad brzegiem zimnego morza i gdy przypadkiem dotknęli się stopami, Jacks przeszywał strumień ognistego prądu. Czegoś takiego nie da się zapomnieć. Tak samo reagowała, kiedy brał ją za rękę. Jeździli na przejażdżki rowerowe wzdłuż Szlaku Poetów, robiąc postój na piknik w Sugar Lookout, skąd rozciągał się wspaniały widok na Kanał Bristolski. To właśnie podczas któregoś z tych wypadów, gdy, zapatrzeni w niebo, leżeli z rękami pod głową, Jacks dowiedziała się, że jego mama ma na imię Stina i jest ze Sztokholmu. Nie mogła potem usnąć, rozmyślając o tym, jak musiała być inna. Czy w miejscu, gdzie się wychowała, ciągle padał śnieg? Czy obchodzą tam Boże Narodzenie? Jego rodzina była nieskończonym źródłem fascynacji dla kogoś, kto rwał się w świat, tęsknie spoglądał za każdym samolotem, marzył, żeby skosztować obcych potraw w świetle zagranicznego słońca i pływać się w dalekich, ciepłych morzach. Stina miała gruby, jasny warkocz spływający po lewym ramieniu i jasnoniebieskie oczy osadzone w drobnej, trójkątnej twarzy. Co dziwne, chociaż jasnowłosa i smukła, wszystkie jej pozornie atrakcyjne przymioty nie składały się na ujmującą całość. Wydawała się męska, kanciasta i ciężka, z delikatnym puszkim wokół ust.

Jacks tylko raz miała okazję usłyszeć jej głos, kiedy podjechała pod szkołę przysadzistym volvo, spuściła szybę i krzyknęła coś do Svena po szwedzku. Naturalnie Jacks nie zrozumiała z tego ani słowa, ale słuchała z zachwytem kanonady następujących po sobie „w” i „j” przeplatanych

przeciąganymi „o”. Sądząc jednak z wyrazu twarzy Svena i jego zwieszonych ramion, wszystkie matki krzyczały mniej więcej to samo tak po szwedzku, jak po angielsku: „Pośpiesz się, Sven! Nie będę na ciebie czekać cały dzień! Twój brat ma zebranie drużyny, a kolacja sama się nie ugotuje!”. Tak przynajmniej przypuszczała Jacks.

Teraz, pierwszego dnia po wakacjach, Sven zbliżył się, patrząc na nią w ten typowy dla siebie przenikliwy sposób, i powiedział bez cienia skrępowania, jakby wokół nich nie było żywej duszy:

– Śniłaś mi się dzisiaj.

– Tak? – Jacks skuliła się i rzuciła na boki wylęknione spojrzenia w obawie, że ktoś usłyszy.

Skinął głową.

– Biegaliśmy w słońcu po gorącym piasku na wielkiej, złotej plaży pośród palm. Było cudownie. Zatrzymałem się i zapytałem: „Dokąd teraz jedziemy?”, a ty powiedziałaś: „Wszystko jedno, byle we dwoje”. – Zrobił krok do przodu i stanął przy niej tak blisko, że prawie się dotykali. – Powiedziałabyś tak, prawda?

Musnął jej policzek ustami. Jacks wolno skinęła głową, nie mogąc oderwać od niego rozświetlonych oczu. Tak. Powiedziałaby tak.

Siedem

Jacks zamieszała widelcem w garnku z ryżem, żeby sprawdzić, czy się ugotował. Nie miała do końca pewności, więc parząc sobie palce, wyciągnęła kilka ziarenek ze zmętniałego wrzątku i spróbowała zębami. Nadal były twarde i zwirowate.

Z holu dobiegał głos Marthy, która rozmawiała ze swoją koleżanką Stephanie w progu salonu. Jacks bardzo rzadko zaglądała do tego pokoju. Nie żeby ich dom był znowu taki duży, ale w salonie siadało się, żeby pogawędzić albo pooglądać telewizję, a ona ani na jedno, ani na drugie nigdy nie miała czasu. Wyposażony w zapadłą kanapę i dwa wygodne fotele salon, zagracony, jeszcze zanim Ida się do nich wprowadziła, teraz musiał pomieścić także jej szpargały, zbyt cenne, żeby je wyrzucić lub wynieść na przechowanie do garażu Giny. Na półce nad kominkiem gazowym tłoczyły się pamiątki i bibeloty – wśród nich kolekcja porcelanowych ptaszków, które jej tata zbierał całymi latami, i kilka koślawych, pomalowanych odręcznie figurek Harry’ego Pottera, wykonanych przez Marthę w szkole podstawowej.

W trakcie zakupów, czekając w kolejce do kasy, Jacks lubiła niekiedy przeglądać pisma o wystroju wnętrz. Przewracała błyszczące strony, zachwycając się gustownie dobranymi tkaninami i lśniącymi powierzchniami bez odrobiny kurzu, przy czym na żadnym zdjęciu nie dopatrzyła się ani jednego kartonowego pudła. Bardzo chciałyby wiedzieć, jak to zrobić, żeby mieć taki dom. Ostatecznie doszła do wniosku, że w tym celu należałoby najpierw nie mieć dzieci i nie ograniczać swoich aspiracji estetycznych do bezmyślnego kupowania wszystkiego, co się podoba Pete’owi, oraz wypadów do Ikei dwa razy w roku.

– Daj spokój, Martha! Ale z ciebie sztywniara! Zaraz Halloween, trzeba

się trochę rozerwać. Chodź, połączmy po molu i jak ich spotkamy, to super, a jak nie, to możemy wrócić i coś razem porobić.

– Nie mogę, Steph. Muszę przygotować plan eseju dla pana Greene’a.

– Nie zgrywaj takiego kujona. Nie możesz sobie jeden raz odpuścić? – Steph cmoknęła z niezadowoleniem.

– Nie, jeżeli mam zdać maturę i dostać się do Warwick.

Jacks pękała z dumy.

– O rany, co to ma za znaczenie, gdzie się w końcu dostaniesz. Uczelnia to uczelnia. Nie ma się co przez to zabijać i ryć od rana do nocy.

Martha roześmiała się lekko.

– A dla mnie ma znaczenie. Od tego wszystko zależy. Jak będę mieć porządne świadectwo, to załapię się na dobrą uczelnię, skończę prawo w biznesie i jeszcze przed trzydziestką będę milionerką.

– Eee, Martha, pieniądze to nie wszystko! – W głosie Stephanie zabrzmiała nuta niesmaku.

– Wiem. Ale wyobraź sobie, że masz tyle kasy, że możesz robić wszystko, na co masz ochotę. Wszystko! Pieniądze dają możliwości, a to właśnie jest wolność, nie jest tak? Na przykład: „O, ale zimno, miło byłoby się wyciągnąć gdzieś na słońcu”, i od ręki dzwonisz i bukujesz bilet na samolot. Albo zapraszają cię na jakąś odlotową imprezę, a ty tylko wchodzisz do swojej garderoby i wybierasz cokolwiek, bo masz u siebie ciuchy dosłownie na każdą okazję. Albo nie musisz robić tego, czego nie lubisz, bo możesz sobie do tego wynająć innych ludzi. I nigdy już nie będziesz spać z kimś w jednym pokoju, chyba że będziesz chciała, oczywiście! – zachichotała Martha.

– Oczywiście! – zawtórowała Stephanie.

Były tak pełne marzeń i entuzjazmu, że Jacks poczuła ostre ukłucie zazdrości.

– Pomyśl tylko, jak by to było fajnie móc tak w pełni kierować swoim życiem. Mieć wszystko, czego ci trzeba, na wyciągnięcie ręki.

Jacks oparła dłonie o zlew i zapatrzyła się przed siebie na długi, wąski ogród, do którego miejscami wdzierały się już wybujające krzaki Angeli i Ivora. W uszach zadzwoniły jej obietnice rancza aż po widnokrąg. To by było coś. Słowa córki zalały jej serce słodyczą jak najpiękniejsza modlitwa, którą posłała do nieba. *Słyszysz, tato, jaką mam mądrą dziewczynkę?*

– Dobra, ja idę poszukać chłopaków. Na pewno nie chcesz się ruszyć? – spróbowała Stephanie jeszcze raz.

– Nie, dzięki. Ale napisz mi potem, co się wydarzyło!

– Jasne. Do widzenia! – krzyknęła Stephanie w głąb domu.

– Do widzenia, na razie! – Jacks wyszła z kuchni i oparła się o framugę salonowych drzwi, wycierając mokre ręce ściereczką. Przez chwilę przyglądała się, jak Martha sadowi się wśród rozłożonych notatek na kanapie i grzebie w kieszeni plecaka, szukając długopisu.

– Skąd u ciebie taki rozsądek? – Uśmiechnęła się do swojej ślicznej dziewczynki.

Martha wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie mam to po matce.

Jacks wyprostowała się.

– Nie byłabym taka pewna.

Na górze zabrzmiał dzwonek, a zaraz potem rozległ się rozdierający okrzyk:

– Halo, jest tam kto? Pomocy!

– Chyba ktoś cię woła – powiedziała Martha ze współczuciem.

Jacks westchnęła i ruszyła na górę.

– Halo! Toto? – zawołała Ida jeszcze głośniej.

– Idę, mammo! – krzyknęła Jacks, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Wpadła do pokoju i zobaczyła mamę zapuchniętą i zasmarkaną, z oczami czerwonymi od łez.

– Mamo! – Usiadła na łóżku i wyłuskała chusteczkę z paczki na parapecie. – Co się stało? Czekaj no, otrzemy te łzy. – Odgarnęła matce z czoła cienkie, posiwiałe kosmyki i delikatnie osuszała jej twarz. – No, już dobrze. Nic się nie dzieje! – Uśmiechnęła się, chociaż tak bliski kontakt z twarzą starej matki budził w niej obrzydzenie, a chwilę potem przykre wyrzuty sumienia.

– Gdzie jest mój list? – zawyła Ida. – Muszę go mieć. Obiecał mi. To żadna przyjemność tak tu samej siedzieć i czekać, a on mi obiecał! Nie wiem, gdzie on jest. Pojechał gdzieś wiercić ropę.

– Wiesz, jak to bywa z pocztą. Ale skoro obiecał, to list na pewno jest w drodze. – Jacks z trudem przełknęła gulę narastającą jej w gardle. Tak by chciała, żeby to była prawda. Zanim się urodziła, tata pracował na platformach wiertniczych gdzieś za granicą i kiedy wracał przez całą Europę, wysyłał co jakiś czas do domu krótki list.

– Tęsknię za nim – załkała mama.

Ja też... Objęła niezdarnie kościste ramiona matki i przygarnęła do siebie. Nawet w chwilach słabości okazywanie tej kobiecie ciepła przychodziło jej nienaturalnie i z trudem. Już łatwiej było zaspokajać jej podstawowe potrzeby, myć, ubierać, karmić, bo to mieściło się w ramach najniezbędniejszej opieki, jak obsługa medyczna.

– Ćśśś – wymruczała, podczas gdy matka uczepliła się kurczowo jej ramienia. Postronny obserwator natychmiast wzruszyłby się na widok starej, bezbronnej kobiety, zbolalej i przerażonej. Ale Jacks nie była postronnym obserwatorem. Ją i matkę dzielił zbyt gruby mur niezatartych wspomnień, który utrudniał im każdy kontakt.

Kiedy była mała, powrotem ojca z pracy zawsze towarzyszyły krzyki, a potem płacz matki. Pamiętała, że od tego łaskotało ją niemile w żołądku. Nie chciała, żeby mama płakała, nie chciała zasypiać w strachu. Tata zaglądał do niej do pokoju utulić ją na dobranoc. Zawsze była dla niego najważniejsza. Nachylał się i całował ją w czoło, roztaczając zapach piwa, papierosów i swojego ulubionego płynu po goleniu z nutą piżma.

– Słodkich snów, rozmarzona laleczko. – Wycofywał się na palcach z pokoju, a potem dobiegało ją lekkie skrzypienie schodów pod jego stopami.

Od czasu do czasu z dołu dolatywały urywki ich kłótni. „To nie do zniesienia... Już nie wytrzymam... Zobacz, do czego doprowadziłeś! To niesprawiedliwe. W życiu nie spotkałam takiego egoisty!”. Jacks modliła się wtedy, żeby już przestali.

Teraz kołysała matkę w ramionach, próbując wyrzucić te obrazy z pamięci. Często się zastanawiała, dlaczego mama musiała być tak cięta i dokuczliwa. Natomiast po każdym wybuchu robiła się przymilna i czarująca, jakby chciała zatrzeć całą awanturę. Dlatego też zgryźliwe wyrzekania, jakim to jej mąż jest głupcem i nieudacznikiem, rekompensowała świeżo upieczona na kolację szarlotka. Nieprzyjemne szturchnięcie w żebra, kiedy Don nachylał się po buziaka, wynagradzały wydziergane własnoręcznie szalik albo czapka, wręczone z uroczym uśmiechem. Z obserwacji Jacks wynikało, że te dyskretne gesty pojednania działały. Tata rozjaśniał się i potrząsał głową, jakby szczerze wzruszony, po czym sytuacja wracała do punktu wyjścia. Gdyby tylko Jacks mogła o tym zapomnieć.

U drzwi rozległ się dzwonek.

– Zaraz wracam, mamó. Ktoś przyszedł.

Delikatnie wyplątała się z objęć Idy i ruszyła na dół, ale okazało się, że uprzedziła ją Martha. Przystanęła w pół schodów, przypatrując się profilowi

córki, i serce w niej zamarło. Może to matczyzna intuicja, ale patrząc na nią nie dłużej niż pięć sekund, Jacks wyczuła śmiertelne zagrożenie.

– Steph mówi, że nie chcesz wyjść – powiedział chłopak z silnym, westońskim akcentem. W ręce trzymał kask motocyklowy, którym uderzał się miarowo po udzie. Był wysoki, wyższy nawet od Pete’a, szeroki w ramionach, ale szczupły w talii, ubrany w dżinsy i dopasowany szary podkoszulek podkreślający ładnie opalone ciało. Proste, lśniące włosy sięgały mu do ramion, niemal przesłaniając prawą stronę twarzy. Wydawał się rezolutny i pewny siebie. Najwyraźniej nie było to ich pierwsze spotkanie.

– Tak. – Martha skrzyżowała nogi z przekrzywioną głową i pełnym wdzięku uśmiechem. Spoglądali na siebie porozumiewawczo, jakby mieli jakąś wspólną tajemnicę.

Jacks doleciał zza progu jego śmiech, dziwnie znaczący i uszczęśliwiony. Nie wiedziała, kim on jest, ale nie spodobał jej się sposób, w jaki Martha na niego patrzyła. Nie podobało jej się to zalotne przechylenie głowy, trzepotanie rzęsami, układanie ust w dzióbek i powabny rumieniec, które zdawały się krzyczeć: „Kochaj mnie!”. Jacks miała ochotę zatrzaskać mu drzwi przed nosem, wziąć buzię córki w dłonie, siłą odwrócić jej wzrok i wrzasnąć: „Nie on! Nie! Nikt z tej zapadłej dziury! Poczekaj jeszcze! Na wykładach poznasz inteligentnego, obytego chłopaka z ambicjami, który zabierze cię na wakacje na południe Francji i zbuduje ci oranżerię!”. Ale zamiast tego zeszła na dół i uśmiechnęła się do długowłosego młodzieńca z olśniewającymi zębami i w skórzanej kurtce stojącego w drzwiach.

– Dzień dobry!

Chłopak uniósł dłoń śmiałym, powitalnym gestem, a Martha przewróciła oczami w jego stronę, jakby chciała się usprawiedliwić.

Jacks podeszła do nich, nie zwracając na nią uwagi.

– Miło cię poznać. Chętnie zaprosiłabym cię do środka, ale właśnie

siadamy do kolacji.

– Dziękuję, pani D., nie ma sprawy. I tak muszę uciekać. Chciałem tylko zobaczyć się z Martha.

– No i się zobaczyłeś.

Martha uśmiechnęła się, przygryzając dolną wargę.

Jacks nie potrafiła powiedzieć, czy podoba jej się, kiedy nazywano ją „panią D.”, ale musiała przyznać, że chłopak miał w sobie urok.

– To na razie – wymruczała Martha z łuną na twarzy. Gdy za gościem zamknęły się drzwi, dziewczyna wbiła w matkę wyzywające spojrzenie, jakby czekając na atak, po czym pomknęła na górę z maślanym uśmiechem na ustach.

Jacks ustawiła pośrodku stołu salaterkę z chilli, a obok miskę obrzydliwie rozgotowanego ryżu.

– Nałożę ci, mamó. – Wzięła talerz Idy i umieściła na nim niewielką kupkę ryżu, którą polala następnie odrobiną mięsnego, pikantnego sosu. – Proszę bardzo. Nie bój się, nie jest za gorące. – Uśmiechnęła się, chcąc uprzędzić możliwe biadolenie.

– Chcecie usłyszeć dowcip? – wystrzelił Jonty, wiercąc się niecierpliwie na krześle.

– Pewnie, dawaj! – kiwnęła głową Jacks i postawiła pełen talerz przed Pete'em.

– Nie lubię czerwonej fasoli! – pożaliła się Martha, wzięwszy do ręki widelec.

– To ją sobie wybierz i poodkładaj na bok – westchnęła Jacks, podając córce talerz.

– To co, słuchacie?

– Tak, przepraszam, Jonty, opowiadaj. Słucham. – Nabrała porcję

jedzenia na łyżkę i pomogła matce podnieść ją do ust.

– Jest ich całe mnóstwo. Umrę z głodu, zanim je powybieram. Od samego widoku robi mi się niedobrze. Mogę zjeść tylko ryż? – Martha gmerała w jedzeniu, przetaczając po talerzu pękate, czerwone kulki z ustami wygiętymi w podkówkę.

– Martha, na litość boską! – zawołał Pete, a ziarenka ryżu wyleciały mu z ust. – Po pierwsze, twoja mama zrobiła ci kolację, więc nie jęcz, tylko jedz! A po drugie, twój brat chciałby coś powiedzieć!

– Mogę zrobić grzanki? – marudziła Martha.

– Nie! – krzyknęli Jacks i Pete jednocześnie.

– A gdybym została wegetarianką? Wtedy nie moglibyście mnie zmuszać do jedzenia tego!

Puścili jej uwagę mimo uszu.

– Słuchamy, Jont. – Kiwnęła na syna Jacks. Chłopczyk z przejęciem nabrał głęboko powietrza.

– Dlaczego kosmonauci nigdy nie robią imprez na Księżycu?

– Nie wiem – odparli zgodnie Jacks i Pete.

– Bo nie ma atmosfery! – wykrzyknął uszczęśliwiony.

– Ale mi dowcip, Jonty. Ubaw nie z tej ziemi – przygadała mu Martha z uśmiechem.

– Spokój! – westchnął Pete. – Jedz kolację, Martha. Księżyc już swoją zjadł, bo widzę, że jest pełny!

– Tato! – jęknęły dzieci.

– I nie macie co marzyć o deserze – dodała Jacks srogim tonem. – Chociaż jak będziecie grzeczni, to mogę wam dać po marsie.

Roześmieli się wszyscy czworo, każdy szukając kolejnego kosmicznego żartu. Marta wymyśliła pierwsza, kiedy Jacks podawała matce następną łyżkę

ryżu.

– Nie chcę mojego chilli. Chętnie wybrałabym się do tej nowej restauracji na rogu, chociaż podobno mają tam astronomiczne ceny!

Jonty parsknął śmiechem, a Pete przyglądał mu się z rozbawieniem.

– Genialne – śmiała się Jacks. – Jesteście niemożliwi!

Nagłe charczenie Idy sprowadziło ich brutalnie na ziemię. Starsza pani była wyraźnie poirytowana.

– Babciu! Co się dzieje? – Martha nachyliła się nad nią z czułością.

– Co tam, mamó? – Jacks położyła Idzie rękę na ramieniu.

– Muszę go odnaleźć, ale nie wiem, od czego zacząć. Ktoś mi musi pomóc!

W jednej chwili radosny nastrój prysnął i reszta posiłku minęła im w milczeniu. Ciszę przerywało tylko paskudne siorbanie Idy przy kolejnych łyżkach, których zawartość ściekała jej głównie po brodzie.

Jacks ucałowała Jonty’ego w czoło i zgasila lampkę przy łóżku.

– Dlaczego babcia tak się o wszystko złości? – wyszeptał chłopczyk żałośnie.

– Bo czuje się zagubiona, kochanie. Jest jej smutno i sama nie wie dlaczego. Czasem wydaje jej się, że znowu jest młoda, i czeka, aż dziadek wróci z pracy do domu. A czasem, myślę, że jest przygnębiona, bo wie, że dziadek nie wróci, i bardzo jej go brakuje.

– Mnie też go brakuje. – Jonty naciągnął sobie kołdrę na buzię.

– I mnie.

– Spodobałby mu się mój dowcip, co?

– O! – Jacks pokiwała głową. – Na pewno!

Patrzyła, jak Jonty przekręca się na bok twarzą do ściany, owinięty kołdrą z Batmanem jak larwa w kokonie.

Przeszła na stronę Marthy i pogłaskała córkę po jasnych włosach, w których odbijały się miedziane refleksy.

– Dobranoc, kochanie.

– Dobranoc, mamó.

Jacks podniosła się i po chwili wahania wskazała na książkę w jej dłoniach.

– Nie siedź za długo. – Wiedziała, że Martha czyta czasem do białego rana.

Martha skinęła głową.

– Wygląda na sympatycznego, ten chłopak, co tu dziś zajrzał.

– Mhm... – Twarz Marthy rozjaśniła się niemal automatycznie.

– Znaście się ze szkoły?

– Nie, skończył naukę kilka lat temu. Pracuje przy samochodach.

– Aha. To kolega Steph? – Jacks starała się, żeby jej głos brzmiał jak najswobodniej.

– Nie, to mój kolega. – Martha opadła na poduszkę, zakładając ręce za głowę, i westchnęła.

– Jak się nazywa?

– O Jezusie, mamó, co to za przesłuchanie?

– Żadne przesłuchanie. Po prostu nie widziałam go wcześniej, a ciekawi mnie, z kim się spotykasz. Powinnaś się cieszyć. Są rodzice, których to w ogóle nie interesuje. – Jacks podniosła z podłogi porzuconą niedbale koszulkę i złożyła ją z udawaną niefrasobliwością.

– Dla mnie bomba. Gdzie można takich znaleźć?

– Ha, ha! – Jacks cisnęła w nią podkoszulkiem.

– Nazywa się Gideon Parks. Ma dwadzieścia lat i jest naprawdę miły i inteligentny. Pracuje w warsztacie, ale jest bardzo ambitny. Ma świetne

plany na przyszłość. – Zarumieniła się Martha.

– Cieszę się, że masz tu przyjaciół. Potem wyjedziesz na studia i poznasz wielu nowych, bez wątpienia. – Jacks sama się upewniała co do świetnych planów na przyszłość swojej córki. Jej życie miało się zacząć, kiedy stąd wyjedzie. Tak jak on, jak Sven. Wyjechał i nigdy nie wrócił.

– Słodkich snów, aniołki – wyszeptała, wycofując się z pokoju i zamykając drzwi.

Jacks uprzątnęła kuchnię, wytarła blaty i umyła pozostałe garnki i talerze. Potem wrzuciła jeszcze brudne ubrania do pralki i poszła się wreszcie położyć. Pete, już w piżamie, rozparty na poduszkach, czytał wymięty magazyn motoryzacyjny.

– Wiesz, Jacks, że można dostać całkiem fajny motocykl już za siedem tysięcy? – Mrugnął do niej wesoło.

– Świetny pomysł. Przepuścmy oszczędności na fajny motocykl. To na pewno da nam więcej miejsca i rozwiąże nasze problemy. Będziemy jeść posiłki na siodelku, a gdyby zrobić Jonty’emu łóżeczko na baku, to Martha miałaby z powrotem swój pokój! – Mimo że okrasiała sarkazm żartobliwym tonem, dostrzegła jego niezadowolone skrzywienie w okolicy ust.

Weszła pod kołdrę i z ulgą rozluźniła obolałe mięśnie, zapadając się w wysłużony materac. Potoczyła wzrokiem po żółtych różach na tapecie, która całkiem jej się podobała, kiedy kładli ją piętnaście lat temu. Martha była wtedy jeszcze zupełnie malutka. Ile to było śmiechu przy rozpościeraniu długich, nieporęcznych zwojów i przyklejaniu ich do ścian w ciasnym pomieszczeniu. Wtedy jakoś ze wszystkiego potrafili się śmiać.

– Będziesz jeszcze czytać, kochanie? – zapytał Pete znad swojego pisma.

– Nie. Zostawiłam okulary na dole i nie chce mi się schodzić.

– Przynieść ci je?

Jacks posłała mu uśmiech.

– Nie. Ale dziękuję. Nawet lubię taką zamgloną rzeczywistość. Są tego pewne plusy. Kiedy widzę siebie bez okularów, mam wrażenie, że całkiem nieźle wyglądam. Może nie tak świeżo i promiennie, ale niczego sobie. Wiesz, czasem zapominam, że nie mam już siedemnastu lat. Patrę w lustro i nie mogę się nadziwić temu, co tam widzę. Daję słowo, że nad górną wargą zaczynają rosnąć mi włoski, a kiedy mrużę oczy, robią mi się zmarszczki.

Pete parsknął śmiechem.

– Jacks, każdemu robią się zmarszczki, kiedy mruży oczy. Dla mnie wyglądasz świetnie. Nie mam pojęcia, czemu się tak tym przejmujesz i paćkasz tymi wszystkimi kremami.

– Bo chciałabym cofnąć czas. – Jacks uniosła podbródek i masowała sobie szyję okrężnymi ruchami ku górze.

– Ale po co go cofać? Pomijając już, że zwykły krem nic ci w tym nie pomoże. Przydałaby się raczej operacja plastyczna.

– Wielkie dzięki! Czyli co, twoim zdaniem mam dać się pokroić? – Wsparła się na łokciu.

– Nie! – roześmiał się Pete. – Moim zdaniem wszystkie te magiczne mikstury to tylko strata czasu.

– Po co wyrzucać pieniądze na operację plastyczną, nawet gdyby mnie było stać, skoro wystarczy, że zdejmę okulary i od razu wyglądam lepiej? Nieostro, ale lepiej!

– Wariatka. – Nachylił się i pocałował ją w czoło, lecz natychmiast wyprostował się z sykiem. – Ooo, moje plecy! Mówię ci, robię się za stary do tej roboty. Staram się dotrzymywać tempa młodszym chłopakom, ale z każdym rokiem robię się powolniejszy.

– Nie mów, masz dopiero trzydzieści sześć lat! Jesteś w kwiecie wieku! – roześmiała się Jacks.

– Tak słyszałem. Ale powiedz to raczej moim plecocom. – Urwał. – Będę musiał się namyślić, Jacks, rozejrzeć się za czymś innym.

– Jaki masz plan, Pete? Co możemy zrobić? – Jacks przełknęła ślinę.

Pete potrząsnął głową.

– Jeszcze nie wiem. Coś się trafi. Zobacysz. W życiu zawsze wszystko jakoś się układa.

Pokiwała głową z rezygnacją. Powtarzał to na okrągło, jeszcze od czasów szkoły.

Osunęła się na poduszkę i zamknęła oczy. Przyszło jej do głowy, że co noc kładzie się spać obok swojego mężczyzny bez najmniejszej iskry pożądania. Lubiała go, kochała, ale wydawało się, że przekroczyli już jakąś granicę i bezpowrotnie pogrzebali tę sferę ich wspólnego życia. Tak się wygodnie urządzili, każde w swoich przyzwyczajeniach, że na żadne spontaniczne impulsy, w tym seks, nie było już miejsca. Czasami rozmyślała, jak mogłaby zacząć, gdyby tylko miała jeszcze siłę. Ale nie miała. Poza tym krępowała ją myśl, że mogłoby go dotknąć w ten sposób. Upłynęło już zbyt wiele czasu. Smutna to była prawda. Przed oczami stanął jej Sven. Ciekawe, czy gdyby to on co wieczór kładł się u jej boku, umiałaby tak samo łatwo stłumić swoje potrzeby. Szybko odpędziła od siebie te grzeszne rozważania.

– Kocham cię, Pete. – Często to robiła. Wymawiała te słowa na zatarcie nielojalnych myśli.

– Wiem. – Poklepał ją pod kołdrą po biodrze.

Jacks odetchnęła głęboko i pozwoliła ramionom zatonać w materacu. Była wykończona. Powieki opadały jej coraz wolniej i unosiły się coraz rzadziej, aż pozostały zamknięte. Jedną, dwie, trzy sekundy później jej oddech się wyrównał, a usta rozchyliły się lekko. I wtedy zabrzmiał gwałtowny, świdrujący dźwięk dzwonka z drugiej strony schodów, wrywając ją ze snu i z ciepłego dołka w pościeli, gdzie tak pragnęła już

zostać.

Na wpeł przytomna, mozoliła się ze splątanim szlafrokiem.

– Idę, mamó! – powiedziała na tyle głośno, żeby jej głos dotarł do uszu matki, ale jednocześnie nie obudził dzieci. Szukając po omacku poręczy na podeście, uderzyła się ręką o ścianę.

Uchyliła drzwi do sypialni matki. W świetle nocnej lampki postać starszej pani wyraźnie odcinała się na tle pościeli.

– Trzeba puścić prysznic! – poleciła Ida rzeczowo i z zadziwiającą przenikliwością.

Jacks podeszła do łóżka i zmarszczyła nos. Odwinęła kołdrę, z całych sił walcząc ze łzami.

– Chodź, pójdziemy się umyć. – Pomogła matce usiąść.

– Mamó! Chce mi się pić! – zaskomlał Jonty w ciemności.

– Już, kochanie. Chwileczkę! – krzyknęła przez ramię.

Niespodziewanie jej piersią wstrząsnął nagły szloch, a łzy popłynęły niepohamowanym strumieniem. *Daj spokój, Jacks. Jesteś po prostu zmęczona. Zwyczajnie zmęczona. Wszystko będzie dobrze. Pete ma rację, w życiu zawsze wszystko jakoś się układa.*

Osiem

Dziewiętnaście lat wcześniej

Sven kroczył przodem, w miarę jak pokonywali boisko, tracąc równowagę na załamaniach terenu i potykając się o sterczące kępy trawy. Z nerwów zaczęli się śmiać z tych swoich niezgrabnych poczynań. Jacks ze wszystkich sił próbowała opanować drżenie, ale Sven przyśpieszył, pogrążając się w gęstym mroku. Nie miała odwagi obejrzeć się na drzewa rosnące wokół stadionu. W nocy ich cienie przybierały przerażającą postać. Rosa przesiąkała jej przez tenisówki i białe, szkolne pończochy.

– To tu – obwieścił autorytatywnie, jakby opierał się na jakichś naukowych pomiarach. Przystanął pośrodku boiska, trzymając się pod boki, po czym szybkim ruchem położył się na ziemi. – Musisz się położyć na plecach i popatrzeć w niebo! – wyjaśnił, ciągnąc ją za sobą na mokrą murawę.

– Mundurek mi przemoknie! – zaprotestowała, opadając przy nim na kolana.

– O, daj spokój, nie wygłupiaj się. Co z tego, że zmoczysz ubranie? Wyschnie przecież. Słyszałaś kiedyś, żeby Vasco da Gama mówił: „O, nie! Nie mogę się przepawić przez ocean i odkryć nowych lądów, bo zamoknie mi peleryna!”?

Jacks spojrzała na niego z góry.

– Nigdy nie słyszałam, żeby cokolwiek mówił, a różnica polega na tym, że on nie musiał potem tłumaczyć mojej mamie, dlaczego wraca do domu cały mokry – roześmiała się, wiedząc, że i tak mu ulegnie.

Owinęła sobie nogi spódnicą i ostrożnie wyciągnęła się w ciemności na

trawie tuż obok niego. Czując na skórze zimną wilgoć wieczornej rosy przenikającej przez sweter i bluzkę, pożałowała, że nie wzięła z sobą kurtki, którą wcześniej proponował jej tata. Ale nie minęło nawet kilka sekund, a całkiem zapomniała o fatalnych plamach z trawy na ubraniu i poskręcanych wokół szyi włosach. Odchyliła nagle ociężałą głowę i rozluźniła się, zgodnie z poleceniem spoglądając w górę na oszałamiający, potężny bezmiar nieba. A im dłużej patrzyła, tym szerzej się ono przed nią otwierało. Nigdy wcześniej nie było tak blisko.

Sven sięgnął po jej rękę. Uśmiechnęła się w mroku z dłonią otuloną jego palcami, jak wilgotny skarb. Podniósł drugą rękę.

– Zobacz, dokładnie po prawej masz Wielki Wóz. Tworzy go siedem gwiazd, łatwo go rozpoznać po kształcie... – Nakreślił zarys w powietrzu. – Wszystkie jego gwiazdy są dosyć wyraźne. Niektórzy mówią na niego Wielka Chochla, bo wygląda trochę jak łyżka. Widzisz?

Kiwnęła głową. Tak! Naprawdę widziała.

– A teraz popatrz na te dwie gwiazdy na jego prawym brzegu i spójrz wzdłuż ich linii do góry, przesuń wzrok o mniej więcej pięciokrotność dystansu między nimi. To jest Gwiazda Polarna z gwiazdozbioru Małej Niedźwiedzicy. Jedna z najjaśniejszych gwiazd, moja ulubiona. Widzisz?

– Tak! – Jacks zmrużyła oczy i wpatrywała się w atramentowe niebo, na którym rozżarzone punkciki układały się w zawile kompozycje. Na skraju wisiał ogromny, srebrny księżyc. Przez chwilę nic nie mówili, wydychając przed siebie kłęby pary.

– Dobra, a teraz zaciśnij pięść i podnieś kciuk do góry. Zamknij jedno oko i zobaczysz, że cały księżyc wejdzie ci pod paznokieć. – Obydwoje wystawili ręce tak, jak powiedział. – Niesamowite, co? Księżyc znajduje się prawie czterysta tysięcy kilometrów od Ziemi i ma blisko trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów średnicy, a może się cały zmieścić pod paznokciem! Już

samo to wystarczy, żeby zdać sobie sprawę, jaki wszechświat jest skomplikowany i jak nasze pojmowanie pewnych rzeczy może się zmieniać w zależności od perspektywy.

Zastygli na chwilę z wyciągniętymi przed siebie rękami i zmrużonymi oczami.

– Jak to się dzieje, że tyle o wszystkim wiesz? – zapytała Jacks, starając się ukryć podziw w swoim głosie.

Sven się roześmiał.

– Nieprawda. Wiem trochę o pewnych rzeczach. Ale łudzę się, że jeżeli będę się przed tobą popisował, to moje szanse wzrosną.

Więcej niż szanse. Ja cię chyba kocham. Naprawdę...

– Wiesz znacznie więcej niż trochę – zapewniła żarliwie. – Pamiętaj, że chodzę z tobą prawie na wszystkie przedmioty. Nigdy ci się nie zdarza zapomnieć języka w gębie, tak jak mnie.

– Cały sekret polega na tym, żeby czytać trochę z wyprzedzeniem. Trzeba wiedzieć ciut więcej niż to, czego uczą na lekcji. To kwestia dobrej organizacji, a nie inteligencji. Staram się zawsze być o jeden rozdział do przodu. – Znowu się roześmiał.

– Nie wyobrażam sobie, jak miałabym jeszcze zdążyć wyprzedzać materiał. Ledwo się wyrabiam z tym, co nam zadają.

– Masz szczęście. Ty nie musisz uczyć się naprzód ani odrabiać zadań, bo jesteś wyjątkowa. Nie taka jak te prymitywne dziewczyny, które wszystkie wyglądają tak samo, uganiają się za tak samo prymitywnymi chłopakami, słuchają prymitywnej muzyki i prowadzą żałośnie prymitywne życie. Jesteś inna. Piękna, w środku i na zewnątrz. I to piękno otworzy przed tobą świat, nawet jeżeli to nie całkiem sprawiedliwe. Masz przed sobą niesamowitą podróż. Za to ja muszę zdobyć wiedzę. To moja jedyna szansa.

Ścisnęła jego dłoń. W jednej chwili oddałabym to wszystko za odrobinę

wiedzy. *To byłby mój bilet i wziąłabym cię ze sobą.*

– Jak myślisz, co będziesz robił, kiedy stąd wyjedziesz? – zapytała, siłąc się na obojętność. *Za niecały rok już cię tu nie będzie, wiem o tym. Studia i podróże... Kiedy myślę o twoim wyjeździe, serce mi zamiera.*

– Pewnie zostanę architektem, tak jak tata. W rodzinie by się cieszyli. Ale gdyby to ode mnie zależało... – Urwał.

– Powiedz. Gdyby to od ciebie zależało...?

Usłyszała, jak wypuszcza powietrze, i odprowadziła wzrokiem smużkę pary uciekającą ku niebu.

– Gdyby to ode mnie zależało, to chciałbym pływać na statku.

– Na statku? Masz na myśli marynarkę wojskową? – Wyobraziła sobie szary okręt wojenny, spanie w koi i mundury ze śmiesznymi czapkami.

– No, niezupełnie. – Znow zamilkł. – Chciałbym kupić sobie wielką łódź i żeglować po całym świecie, zatrzymując się to tu, to tam, i spotykać się z tysiącami najróżniejszych ludzi. Chciałbym wszystkiego spróbować, wszystko zobaczyć i wypełnić sobie w głowie te miejsca, gdzie dzisiaj mam na razie tylko luźny zarys albo skojarzenia. – Bił od niego entuzjazm.

– A nie tęskniłoby ci się za domem? – Pożałowała tego naiwnego pytania, jak tylko je zadała.

– Nie. Tyle razy się przeprowadzałem, że nie traktuję domu jako miejsca. To raczej stan świadomości, poczucie przywiązania. Na przykład czuję się w domu teraz, tutaj, z tobą.

Jacks zawrzało w żołądku z fascynacji tym obeznanym chłopcem, który mówił poetyckim językiem i patrzył na świat inaczej niż wszyscy, których znała. Całkowicie odstawał od innych nastolatków, którzy żyli wyłącznie piłką nożną i przepuszczali pieniądze na chipsy i hamburgery po szkole.

– Może popłynęłabym z tobą! – rzuciła ze śmiechem, lekkim tonem pokrywając pragnienie w swoim głosie.

– Zabrałbym cię wszędzie.

– Ach tak? – Trudno było to sobie wyobrazić, biorąc pod uwagę jej marne oszczędności i fakt, że codziennie musiała być w domu na kolacji.

Poczuła, że przewrócił się na bok i nagle wyrósł tuż nad nią, przesłaniając księżyc. Jego cień odcinał się wyraźnie na tle rozgwieźdzonego nieba.

– To proste. – Splótł ze sobą palce ich złączonych dłoni. – Co wieczór przed zaśnięciem spójrz przez okno na księżyc i pozwól się zabrać do Jeziora Snów.

– To prawdziwe miejsce? – wyszeptała.

– Tak. Znajduje się na samym przodzie księżycy. Tam będę na ciebie czekał. I pożeglujemy sobie razem daleko od tych wszystkich prymitywnych ludzi, gdzie nikt i nic już nas nie dosięgnie. Nigdy. Będziemy tylko ty i ja, i całe mnóstwo czasu, żeby wybrać się, gdziekolwiek nam się zamarzy.

– Brzmi cudownie.

– Będzie cudownie. Spotkajmy się tam dzisiaj. To będzie początek naszej wielkiej, wspólnej przygody!

Skinęła głową, a Sven nachylił się i pocałował ją delikatnie w usta. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła go mocno do siebie.

– Początek naszej przygody... – westchnęła, a on znów zamknął jej usta pocałunkiem. Jego ręka wślizgnęła się jej pod bluzkę i błędziła po roziskrzanej od dotyku skórze. Zamknęła oczy i zapragnęła, żeby mogli tak zostać na wilgotnej ziemi już na zawsze.

Dziewięć

Zimny, paskudny listopad. Porywisty wiatr i zacinający deszcz wypłoszyły z centrum Weston ostatnie niedobitki turystów. Jacks nigdy nie mogła oprzeć się wrażeniu, że nic nie wygląda tak przygnębiająco jak nadmorska miejscowość w czasie zimy. Stali mieszkańcy, przeważnie w podeszłym wieku, kryli się po kawiarniach, zakutani w ortalionowe prochowce, i patrzyli smętnie przez zalane strugami deszczu szyby na posępne morze rozkołysane wiatrem, podobni do mew, które zbijały się na plaży w nastroszone, żałosne stadka.

– Chilli? – mamrotała do siebie Jacks, przebiegając wzrokiem półki w supermarkecie. – Nie, jedliśmy to niedawno. – Odgarnęła opadające na oczy włosy. – Kurczak? Może być. O, już wiem. Coś meksykańskiego, jak faszerowana tortilla. Lubią to. – Wrzuciła kilka produktów do koszyka na kolanach matki. – Guacamole. To z Meksyku? Nie jestem pewna.

– Jacks?

Odwróciła się i zobaczyła Lynne Gilgeddy z Bourneville. Była o kilka lat starsza od Jacks i znały się, odkąd mogła sięgnąć pamięcią. W młodości tańczyły obok siebie na lepkich parkietach tych samych klubów nocnych i razem włóczyły się po molu Grand Pier w tę i z powrotem w szortach i kusych koszulkach odsłaniających pępek, chichocząc, gdy tylko spojrzeł na nie jakiś chłopak ze Środkowej Anglii. Potem, kiedy ich córki były już w przedszkolu, organizowały wspólne zabawy dla dziewczynek. To było dawno temu i dziś Lynne wyglądała na kogoś, kto już przeszedł swoje – miała mizerne włosy, przerzedzone brwi i głębokie bruzdy wokół ust od częstego zaciągania się papierosem. Jacks odnotowała te zmiany bez

złościwości. Bardzo lubiła Lynne i miała podstawy sądzić, że jej sympatia jest odwzajemniona. Ale ona przynajmniej starała się maskować połyskujące we włosach srebrne nitki tanimi środkami koloryzującymi, a mimo poszerzającej się talii i więdnącego biustu zachowała swoje smukłe, długie nogi z dawnych lat.

– Jak się masz?

– W porządku, Lynne. Jakoś leci. – Wiadomo, że ludzie nie chcą słyszeć prawdy w odpowiedzi na takie pytanie. Nikogo nie interesowała lista jej problemów. – A ty?

– Dobrze, nie narzekam. Ashley całkiem nieźle sobie radzi. Ciągle tańczy, wiesz? Dostała pracę na statku wycieczkowym, zobaczy trochę świata. Kto by pomyślał, co? – Lynne pokręciła głową. – A główna nowina jest taka, że zostanę babcią. Caitlin-Marie będzie miała dziecko! – Jej twarz zmieniła wyraz momentalnie, jakby w środku zapaliła się żarówka.

– O! – Jacks z wysiłkiem podtrzymywała uśmiech. – No to gratuluję! I co, planuje wyjść za mąż? – wymknęło jej się niechcący.

– Nie. Taki przelotny romans, wiesz, jacy są młodzi. – Lynne cmoknęła z niesmakiem.

Jacks skinęła głową, a przed oczami mignął jej Gideon Parks.

– Ale co zrobić, Jacks? Nie pozostaje nam nic innego, jak się z tym pogodzić, prawda?

Jacks znów przytaknęła. *Nie moja dziewczynka. Moja Martha nie będzie tańczyć na statkach ani pałętać się nad morzem z używanym wózkiem i niemowlęciem ubranym w znoszone fatałaszkę po przyszywanej kuzynce. Moja córka zrobi karierę, zostanie szanowaną prawniczką. Będzie jeździć po całym świecie na konferencje międzynarodowe z małą, czarną walizeczką na kółkach, a kiedy ludzie zobaczą jej pewny siebie krok i prześliczną twarz, od razu będą wiedzieć, że jest kimś, kobietą, która niejedno widziała... A do tego potrzebne są studia. Wysłała już podanie i czeka na oferty.*

– Jak się pani miewa, pani Morgan? – Lynne zwróciła się bezpośrednio do Idy na fotelu. Jacks zrobiło się miło.

– Całkiem nieźle – odpowiedziała za matkę. Ida patrzyła przed siebie nieruchomo, na przemian otwierając i zamykając usta i splatając nerwowo palce na kolanach.

– Spotykasz się czasem z Giną?

– Tak, ciągle się przyjaźnimy. – Jacks uśmiechnęła się na wspomnienie Giny.

– Pozdrów ją ode mnie, dobrze? Nie widziałam jej całe wieki.

– Pozdrowię. I wszystkiego dobrego. Kiedy się urodzi maleństwo?

Lynne rozpromieniła się znowu.

– Za dziesięć tygodni. Już się nie mogę doczekać! – Klasnęła radośnie w dłonie.

Gdy bez większych przygód wróciły do domu, Jacks umościła matkę wygodnie na poduszkach. Pokój Idy był jedynym pomieszczeniem, gdzie przez cały dzień panowało ciepło. Kiedy dzieci były w szkole, z uwagi na koszty wyłączali pozostałe kaloryfery, ale w pokoju matki ogrzewanie działało nieustannie.

– Miło było zobaczyć dziś Lynne, prawda, mamó? Nie do wiary, że zostanie babcią. Wydaje się, jakbyśmy nie dalej jak kilka lat temu obchodzili jej osiemnastkę – szczebiotała, zmieniając matce ubranie, po czym przetarła jej twarz nawilżaną chusteczką. – Masz ochotę zejść na dół, mamó, czy wolisz posiedzieć tutaj? Zdaje się, że właśnie leci *Bargain Hunt*, chyba lubisz ten program?

– Muszę znaleźć ten list! – krzyknęła Ida. – Bez tego ani rusz!

– Jak tylko go dostanę, to ci przyniosę, tak? Wiesz co, może zostań sobie trochę tutaj. Nastawię ci telewizorek i może dla rozrywki zejdziesz na dół na

obiad, hm?

Jacks otuliła mamie nogi kołdrą i zapakowała brudną pieluchę do plastikowej torebki. Sprzątnęła łazienkę, wylewając do brodzika resztki wybielacza.

– Domestos powinien mi zaproponować u siebie jakieś udziały – westchnęła do siebie.

Pościeliła łóżka w pokoju dzieci i ruszyła do sypialni pozbierać brudne ubrania, które Pete co wieczór rzucał na podłogę. Gdy wyrównywała narzutę, na szafce zadzwonił telefon.

– Gina! A to dopiero! Właśnie o tobie rozmawialiśmy z Lynne Gilgeddy, wpadłam na nią w sklepie.

– No popatrz! Ta to ma życie, co?

– Wiesz, że zostanie babcią?

– Co ty mówisz! Przecież jest niewiele starsza od nas! Tylko mi nie mów, że Kyle zostanie ojcem. Tego nam tylko trzeba, kolejnego pokolenia grafficiarzy!

– Na ten temat nic mi nie wiadomo. Caitlin-Marie jest w ciąży.

– A, okej. Mam nadzieję, że im się ułoży. Chcesz za to usłyszeć coś zabawnego? – Gina zachichotała.

Jacks usiadła na łóżku i odłożyła zwój brudnych ubrań i reklamówkę z nieczystościami na bok.

– Zamieniam się w słuch.

– Pamiętasz, jak kilka miesięcy temu zabrałam Roba do Londynu na wystawę łodzi?

– Mhm. – Jacks nie miała pojęcia, do czego Gina zmierza.

– Prysłali nam broszurę, w razie gdybyśmy chcieli pojechać znowu w przyszłym roku. Marne szanse, kłóciliśmy się przez całą drogę do domu.

Mniejsza z tym. Przeglądam więc ten katalog i czyje zdjęcie widzę na okładce jako jedną z głównych gwiazd tegorocznych targów z jakimś wypasionym, zabójczo drogim jachtem za plecami?

– Nie wiem – odparła Jacks z rezygnacją. W myślach przebiegała listę rzeczy, które musiała zrobić przed pojechaniem po dzieci. Nie chciała, żeby wracały pieszo w taką pogodę. Jednocześnie główkowała też, jak doprowadzić kurczaka, żeby wyszedł możliwie po meksykańsku, ale nie był zbyt pikantny dla Idy.

– Strzelaj!

– Nie wiem... Gary'ego Barlowa*? Papieża?

– Na jedno wychodzi. Ale nie. Nawet nie jesteś blisko. Naszego szkolnego mózgowca! Twojego amanta Svena!

Wszystkie myśli momentalnie uciekły Jacks z głowy. Serce zaczęło jej walić, a w skroniach odezwał się szum.

– Mówię ci, że to on – ciągnęła Gina. – Trochę się postarzał, to fakt, ale to jego zdjęcie, jak nic. Nawet napisali „Sven Lundgren, światowej sławy projektant jachtów, zaprezentuje swoje najnowsze modele łodzi bla bla bla na nadchodzących targach”, a obok on na pokładzie jak największa gwiazda! „Światowej sławy”, dasz wiarę?

Jacks przypomniała sobie tamten wieczór przed laty i słowa, które tak głęboko utkwily jej w pamięci. *Chciałbym pływać na statku. Chciałbym kupić sobie wielką łódź i żeglować po całym świecie, zatrzymując się to tu, to tam...* Pomyślała o wypełnionych rozpaczą tygodniach, kiedy zniknął bez pożegnania. Serce ciążyło jej w piersi, jakby miało pęknąć z nadmiaru goryczy i żalu. Co wieczór wylewała w poduszkę morze łez, powtarzając w myślach z desperacją: *Co ja teraz zrobię? Matko boska, co ja mam teraz zrobić?* A wtedy nadarzył się Pete, jak szczęśliwe zrządzenie losu. Miły, uczynny Pete. Bez głębszego namysłu przeniosła wtedy na niego swoje

uczucia do Svena.

– Jacks? Jesteś tam? – zawołała Gina.

– Tak, wybacz, kochana. A niech mnie. To ci historia! – Przełknęła ciskające się jej na usta setki pytań. *Wygląda na szczęśliwego? Jest żonaty? Nadal ma jasne włosy? Gdzie mieszka?*

– Chciałabyś zobaczyć? – zapytała Gina swobodnie.

Tak! Chcę zobaczyć! Zaraz, natychmiast! Przynieś mi to, błagam!

– Mogę rzucić okiem. – Próbowała przyjąć podobnie niedbały ton. – Podrzucić mi go kiedyś, ale tylko, jak ci będzie po drodze.

– W porządku. To do zobaczenia, buziaki.

– Trzymaj się, pa.

Jacks odłożyła słuchawkę i oparła się o wezgielnie łóżka. Popatrzyła na wgniecenie w poduszce, na której co wieczór spoczywała głowa Pete’a Daviesa. Położyła dłoń w zagłębieniu, zamknęła oczy i przywołała obraz jego ciepłych, pełnych napięcia oczu w dniu, kiedy się oświadczył. Ileż mieli wtedy w sobie zapału i nadziei... A skończyło się na ciągłym zapieprzaniu i podcieraniu matce tyłka pośród ścian obłazących z tapet, łuszczącej się wszędzie farby i pełnych barachła pudeł w każdym możliwym kącie. Przez lata tylko pograżali się coraz bardziej w miernocie, odmawiając sobie wszystkiego: przyjemności, wygód, przestrzeni, ciepła, a w końcu i czułości.

Sven... Nie mogę uwierzyć! Potrząsnęła głową.

– Daj spokój, Jacks. Weź się w garść, kobieto – wymruczała z ciężkim westchnieniem.

Wstała i zgarnęła stos ubrań oraz śmierdzącą reklamówkę. Gdy zbiegała ostrożnie po schodach, uważając, żeby nie zdrzeć skarpetek o przymocowane do stopni pręty do przytrzymywania chodnika, który nigdy się na nich nie pojawił, tłumaczyła sobie, że nie ma prawa mieć żalu do Pete’a o to, jak wygląda ich życie. Nie wyszła przecież za Davida Beckhama

czy innego Pierce'a Brosnana, który nagle okazał się zwykłym przeciętniakiem. Widziały gały, co brały. Mniej więcej.

Jacks wyszła przed dom wyrzucić reklamówkę do pojemnika na śmieci. Zatrzasnęła pokrywę i zawróciła do środka, gdy usłyszała wołanie Marthy na końcu ulicy.

– Mamo! Mamo! – Zupełnie nie w swoim stylu, dziewczyna pędziła w deszczu z rozwianymi włosami i szkolną torbą w ręce, niepomna na swój wygląd i mało eleganckie ruchy.

– Co tak lecis, stój! Co się stało? Czemu jesteś w domu o tej porze? – Jacks patrzyła, jak Martha opiera się o ścianę i dyszy, zgięta w pół.

– Jezu, mamo! – wysapała, z trudem łapiąc oddech.

– Co się dzieje, skarbie? Nabierz głęboko powietrza, uspokój się i mów. – Jacks zaczął ogarniać niepokój. – Z Jontym wszystko dobrze? Gdzie on jest? – Obejrzała się z bijącym sercem na ulicę.

– Nic mu nie jest. – Martha wskazała za siebie. – Powiedziałam mu, że odbierzesz go o stałej porze, tak jak się umówiliśmy.

– Dobrze. To o co chodzi?

– Dostałam rano wiadomość, że moje zgłoszenie w UCAS** zostało zaktualizowane!

– Okej. – Jacks wpatrywała się w córkę, nie wiedząc, co to znaczy, ale na pozór wyglądało to raczej na sprawę urzędową niż nagły wypadek. Odprężyła się.

– Dostawałam świra. Przez całe rano nie miałam kiedy dorwać się do komputera. Z nerwów ledwo mogłam usiedzieć. I teraz właśnie sprawdziłam i... – zatchnęła się i wypuściła głęboko powietrze.

– I co? Mów! – *Oby coś dobrego, błagam...*

Martha wyprostowała się i popatrzyła na matkę.

– Zostałam przyjęta do Warwick! Muszę tylko dostać trzy A*** na maturze!

– Co ty mówisz, Martha! Boże! To wspaniale! Kochanie, jestem z ciebie dumna! – Jacks nie mogła powstrzymać euforii. Udało się, naprawdę się udało!

– I wiesz co, mamó? Ja mogę zdobyć te A!

– Oczywiście, kochanie. Możesz zdobyć wszystko, co sobie postanowisz.
– Jacks zapiszczała i podskoczyła z radości. Złapała córkę i zakręciła nią w miejscu.

– Dostałam zaproszenie! Nie mogę w to uwierzyć! Niektórzy nie złożyli jeszcze formularza, a ja już mam ofertę!

– Bo jesteś fantastyczna i wszyscy chcą mieć cię u siebie. – Jacks uściskała córkę. – Wspaniale, tak się cieszę!

– Wszystko okej, Jacks? – Ivor otworzył furtkę w domu obok i przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu klucza. Przy tak parszywej pogodzie zdarzało się, że on i Pete wracali do domu wcześniej. Pete mówił na to „krykietowy dzień” – wstrzymana gra na czas deszczu.

– O, tak! Nie może być lepiej! Martha dostała ofertę z Uniwersytetu Warwick. Będzie studiować prawo! – Wymawiając te słowa, nie mogła powstrzymać łez.

– No, jeszcze najpierw muszę zdać maturę! – roześmiała się Martha.

– O, no proszę cię. – Jacks otarła oczy. – Taka jestem dumna!

– Nic dziwnego! Gratulacje, Martha – powiedział Ivor serdecznie.

Zawróciły do domu. Martha była nieco speszona tyloma pochwałami.

– Co byś chciała zjeść dzisiaj na kolację? Miałam zrobić kurczaka, ale to może poczekać. Dzisiaj ty decydujesz. Wybieraj!

– Pizza? – Dziewczyna nie musiała się długo zastanawiać.

– Będzie pizza. I może napijemy się też czegoś dla uczczenia? – Jacks zapuściła rękę do szafki pod schodami i wyciągnęła butelkę pomarańczowego szampana Buck's Fizz pozostałego ze świąt w zeszłym roku. – Wstawię go do lodówki na wieczór!

Martha pobiegła na górę, a Jacks przekładała rzeczy w lodówce, żeby zrobić miejsce. Była wniebowzięta. Bingo! Wielka podróż Marthy właśnie się rozpoczęła.

Pete zakasłał i postukał widelcem w stół. Ida podskoczyła i złapała się za sweter pod szyją. Jacks pogładziła ją łagodnie po ramieniu.

– Mamy dziś nie lada okazję. – Pete podniósł kieliszek szampana. – Znakomicie się spisałaś, Martha! Masz wielki powód do dumy, moja córko!

Jacks skinęła głową i upiła łyk. Alkohol zakręcił jej w nosie i wybuchnęła śmiechem. Jaki wspaniały dzień. Jonty wpakował sobie wielką porcję pizzy do ust i starał się ugryźć więcej, zanim jeszcze przełknął to, co miał w buzi. Pizza była u nich rzadkim rarytasem. Jacks roześmiała się znowu.

– Ale dziś z ciebie trzpiotka. – Pete przyjrzał się żonie z uśmiechem. – Wystarczy jeden kieliszek i poszłabyś z byle kim! – Mrugnął figlarnie.

– Czy jak Martha pojedzie do Warwick, to mogę zająć jej łóżko? – zapytał Jonty z pełnymi ustami.

– Ej! Jeszcze nigdzie nie wyjechałam! – zawołała Martha, udając oburzenie.

– Wiem, ale mogę? – powtórzył Jonty z wytrzeszczonymi oczami, kopiąc nogami w krzesło przy przełykaniu.

– Możesz robić, co ci się podoba. A ja w tym czasie będę siedzieć w akademiku w swoim własnym pokoju, krzyżeć i nastawiać muzykę na cały regulator, nie przejmując się, że cię obudzę!

– No, to by musiało być dopiero głośno, żeby go obudzić aż stamtąd! –

roześmiał się Pete.

– I będę mógł zapraszać na noc kolegów, kiedy jej nie będzie? – zawołał Jonty.

– Tak. – Uśmiechnęła się do niego Jacks, rozrzewniona tym, jak niewiele trzeba, żeby go uszczęśliwić. Przez ostatnie lata o odwiedzinach kolegów nie mogło być nawet mowy.

– Jupiii! – zawył radośnie.

– Zaraz, chwila. – Martha podniosła rękę. – Czy nikt tutaj nie będzie za mną tęsknił?

– Och, Martha! – krzyknęła Jacks, a Pete mruknął cicho:

– Kochanie, serce mi pęknie.

– Ale hałas! – wrzasnęła Ida.

Jacks znowu poklepała ją po ramieniu.

– Wszystko dobrze, mamó. Robimy sobie dziś małe przyjęcie. Martha dostała fantastyczną wiadomość. Zostanie prawnikiem!

– Będiesz nosić gwiazdę i pistolet? – dopytywał Jonty.

– To szeryf, a nie prawnik, matole – parsknęła Martha.

– Nie nazywaj brata matolem – zganiła córkę Jacks pośród ogólnej wesołości.

Ida odsunęła talerz od siebie i próbowała wstać.

– Co się dzieje, mamó? Chcesz wracać na górę?

Ida kiwnęła głową. Jacks odstawiła kieliszek i spojrzała po swojej rodzinie.

– Jedzcie, moi kochani, żeby wam nie wystygło. Za sekundę wracam.

Obeszła stół dookoła i podtrzymując Idę za łokieć, pomogła jej wstać, po czym odeskortaowała ją do wyciągu na schodach.

Z sercem śpiewającym z radości opatulila matkę szczelnie kołdrą.

– Tak się cieszę, mamó. Martha jedzie na studia do Warwick! Pierwsza osoba w obu naszych rodzinach, która zdobędzie dyplom! Czy to nie wspaniałe?

Ida puściła pytanie córki mimo uszu. Jej usta poruszały się, jakby z kimś rozmawiała, a oczy uśmiechały się do wyimaginowanego słuchacza. Jacks obserwowała zmiany na jej twarzy, próbując odgadnąć, z kim tak dyskutuje. Serce jej się ścisnęło. Nie były sobie zbyt bliskie, ale mimo to żałowała, że jej mama odeszła, a na jej miejscu została ta wydmuszka kobiety żyjącej w innym, niedostępnym świecie. Mogłaby przecież w tym czasie chodzić do fryzjera, jeździć na grupowe wycieczki, czytać książki i spotykać się z innymi seniorami. Chociaż trzeba przyznać, że Ida nigdy nie robiła takich rzeczy, nawet jeszcze zanim zapadła na demencję. Jacks nie dostrzegała w sobie śladu podobieństwa do matki i nie miała obaw, że kiedyś mogłaby się nią stać. Jakkolwiek wiedziała, że zdarza się jej wprawiać dzieci w przykre zakłopotanie i przerażająco często wypowiada słowa, których przysięgła sobie nigdy nie wygłaszać.

– Co o tym myślisz, mamó? Pewnie boisz się, że historia może się powtórzyć? Oby nie. Moja córka, w przeciwieństwie do twojej, do czegoś w życiu dojdzie.

– Mój... mój... – wybełkotała Ida i poklepała kołdrę, rozpaczliwie szukając słowa, które jej uciekło.

– List? – podsunęła Jacks. – Jeszcze nie przyszedł. Ale nie martw się, wszyscy pamiętamy.

Zanim wróciła na dół, kolacja dobiegła końca. Dzieci zaległy w salonie, a Pete siedział przy stole i czytał „Bristol Post”. Jacks zaczęła zbierać puste talerze i kieliszki, w tym także swój, który ktoś w międzyczasie opróżnił.

– Mówiłam właśnie mamie, jaką mamy genialną córkę!

Pete złożył gazetę.

– Prawda? Jest niesamowita. Wyobrażasz sobie? Nasza Martha prawnikiem!

– Owszem, wyobrażam. – Rozpromieniła się Jacks, wyrzucając resztki pizzy do kosza. – Będzie szanowana i nieustępliwa. Zawsze wiedziałam, że czeka ją wielka przyszłość.

Pete roześmiał się.

– Tak, tak.

– Skąd weźmiemy pieniądze, Pete? – Znieruchomiała, niechętnie poruszając niewygodny temat.

– No, część pokryje kredyt na czesne, a potem trzeba będzie się pożegnać z naszymi marzeniami o motorze!

– Chcesz powiedzieć, z naszymi marzeniami o oranżerii.

– Ha! – roześmiał się Pete. – Niech ci będzie! Nie rezygnujemy z marzeń o motorze, za to oranżerię wkładamy między bajki.

Jacks wstawiła brudne naczynia do wypełnionego mydlinami zlewu.

– Mogę też rozejrzeć się za dodatkową robotą – stwierdził Pete z nagłą powagą.

– Albo ja mogę iść do pracy. – Jacks gryzła świadomość, że nie dokłada się do domowego budżetu, odkąd odeszła z banku, żeby zająć się matką.

– To nie ma sensu, Jacks. Musielibyśmy płacić komuś za opiekę nad Idą, co kosztowałoby więcej, niż mogłabyś zarobić. Poza tym pamiętasz, co się działo, kiedy wzięliśmy kogoś do pomocy.

Gdy nieznamąca opiekunka próbowała raz ubrać Idę, ta zaczęła wrzeszczeć i młócić na oślep rękami. Nie mogąc na to patrzeć, Jacks obiecała sobie nie narażać jej już więcej na stres.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedział Pete. – Zobaczysz. Mamy

zaskórniaki. To nam da trochę luzu.

Jacks skinęła głową z nadzieją, że ma słuszność.

– Co ty na to, że pójde po asti, które mam w składziku, i chlapniemy sobie po kieliszku? A potem powtórzmy imprezę w Mr B. Jak szaleć, to szaleć. Możesz nawet zapalić te swoje śmierdzące świece – uśmiechnął się Pete.

– Zapachowe! – sprostowała Jacks, rozbawiona.

– A, to już kwestia gustu!

Jacks pochyliła się i pocałowała męża. Ta rzadka chwila bliskości obojgu sprawiła przyjemność. Głośny sygnał dzwonka zakłócił błogi nastrój.

– Babcia dzwoni! – krzyknęły dzieci z salonu.

Jacks wytarła ręce w papierowy ręcznik i spojrzała na męża.

– Do zobaczenia za chwilę – powiedziała i ruszyła na górę.

Kiedy wreszcie ułożyła Idę do snu, przebrała się w piżamę i wsunęła pod kołdrę obok pochrapującego już Pete'a. Zgasiła lampkę nocną, którą mąż dla niej zostawił, i pomyślała o Svenie. Zapadając powoli w sen, zastanawiała się, jak mógł teraz wyglądać. Wyobraziła sobie, że pojawia się w wielkiej londyńskiej hali wystawowej na pokazie łodzi, a on rusza ku niej przez tłum, jakby nie dostrzegał nikogo innego. „Niemożliwe! Nic się nie zmieniłaś! Chodź!”, mówi. „Myślałem o tobie codziennie, odkąd wyjechałem!”. A ona pozwala mu się wziąć za rękę i powieść na pokład drewnianego statku, którym odpływają daleko, do Jeziora Snów, gdzie zasypiają razem, zapatrzeni w gwiazdy.

Zamrugła gwałtownie i westchnęła. W ostatnim przebłyku świadomości zdążyła jeszcze pomyśleć, że pewnie nigdy z Pete'em nie wymienią tego abażuru, i ogarnął ją mocny sen.

* Brytyjski piosenkarz muzyki pop, wokalista zespołu Take That.

** Instytucja obsługująca proces rekrutacji na studia w Wielkiej Brytanii.

*** Najwyższy stopień w brytyjskim systemie szkolnym.

Dziesięć

Dziewiętnaście lat wcześniej

Jacks zapięła pas i szarpnęła taśmę, żeby nie cisnął jej w ramię.

– Pasy pozapinane? – zapytał tata jak zawsze, gdy jechali gdzieś śliwkowym fordem escortem, jego wielką radością i dumą, i poprawił lusterko wsteczne.

Jacks kiwnęła głową z naburmuszoną miną. Nie miała ochoty spędzać długo wyczekiwanej niedzieli w towarzystwie rodziców, a już na pewno nie na odwiedzinach u cioci Joan z Bristolu, która mówiła tylko o tym, co zjadła albo co dopiero zamierzała zjeść i ile ją to całe jedzenie kosztowało.

– Chcesz cukierka? – Mama otworzyła pudełko landrynek unurzanych w lukrze i wsunęła między przednie siedzenia.

Jacks potrząsnęła głową. Popatrzyła na swoich rodziców i nie po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że są okropnie skostniali. Wyobraziła sobie, jak by to było mieć młodych, nowoczesnych rodziców, którzy nie używali rękawiczek do samochodu i nie nosili landrynek w torebce à la Margaret Thatcher. Takich, którzy nie powtarzaliby w kółko: „Jak ty możesz słuchać tego wrzasku?“, znaliby nazwisko głównego wokalisty Take That i nie myliliby go z Kenem Barlowem z *Coronation Street**.

Ojciec swoim zwyczajem prowadził o wiele za wolno, wybierając boczne drogi zamiast autostrady.

– Widziałam się z panią Davies w tym tygodniu. – Ida obróciła głowę na prawo, żeby Jacks też mogła słyszeć, a ona nie musiała wykręcać całego ciała do tyłu. – Bardzo miła kobieta. Nie jest jej lekko bez męża.

Jacks nie odpowiedziała i ponownie przebiegła oczami fragment

w podręczniku objaśniający różnicę między spółką z ograniczoną odpowiedzialnością a przedsiębiorstwem jednoosobowym. Nuda.

– Na szczęście ma Petera. Złoty z niego chłopak.

Jacks podniosła głowę. Nie minęło jeszcze pięć minut od czasu, gdy wsiedli do samochodu, a rozmowa już zeszła na Petera Daviesa.

– Tata Svena załatwił nam zwiedzanie Wills Tower w Bristolu razem z przewodnikiem. Jedziemy w przyszłą sobotę. Z góry musi być niesamowity widok.

– Może w takim razie powinniśmy zaprosić Svena i jego mamę na kolację któregoś dnia? – Ida zerknęła na męża.

Jacks zakłuło w dołku. Sven powiedział, że jej rodzice są „prowincjonalni”. Musiała sprawdzić w słowniku, co to znaczy, i od tej pory nie mogła pozbyć się nieustających skojarzeń: „małomiasteczkowy, niedouczony, prymitywny, zacofany”. Miał słuszość, tacy właśnie byli.

– Nie! Mamo, nie rób tego. To już lepiej zaprosimy Pete’a.

– Myślałem, że go nie lubisz – pogubił się tata.

– Nie lubię go, jako jego. Robi mi wstyd w szkole. Wiecznie gada o tej durnej piłce i zachowuje się, jakby miał jakieś prawa. – Opadła w głąb fotela i odrzuciła głowę na oparcie.

– Mogłaś trafić gorzej! Piłkarze mają najczęściej piękne domy i ciągle wyjeżdżają za granicę.

Jacks westchnęła i zamknęła oczy.

– Sven też był wiele razy za granicą, a w życiu nie kopnął piłki. – Uśmiechnęła się na wspomnienie o nim.

– No, ja wiem, że nasz salonowiec bije na głowę wszystko, czegokolwiek nie powiem! Coś mi się w nim nie podoba, Jackie... Pamiętam, jak kiedyś zajrzał po ciebie i zaprosiłam go, żeby wszedł do domu, a on na to: „Dziękuję, poczekam na dworze”, i stanął sobie dokładnie na trawniku taty!

To było niegrzeczne. Peter na jego miejscu by wszedł i napił się herbaty.

– O rany! Może już wystarczy tego piania nad Pete’em Daviesem? Podstawowa różnica między nim a Svenem jest taka, że ja lubię Svena. Wystarczy?

– Ostatnio bezustannie mówisz o tym chłopcu – zauważyła mama.

– Ma na imię Sven – poprawiła Jacks. Był kimś znacznie więcej niż tylko „tym chłopcem”.

– Dlaczego zawsze musisz wszystko robić na opak? – cmoknęła Ida. – Nie możesz raz jeden zrobić tak jak wszyscy, znaleźć sympatycznego, miejscowego chłopca i nie komplikować sama sobie życia?

– Miejscowego? A więc czepiasz się, bo Sven jest cudzoziemcem, tak? I jak niby to ma skomplikować mi życie?

– Mamie nie o to chodzi – wtrącił tata.

– Nie, właściwie o to. – Ida przekręciła się teraz przodem do córki. – Zawsze musisz wybrać najtrudniejszą drogę, najbardziej ryzykowną i nietypową...

– Tak, bo chodzę z nietypowym obcokrajowcem! – prychnęła Jacks, myśląc jednocześnie o jego zamiłowaniu do astronomii i obojętnym stosunku do szkolnych prześmiewców.

– Dlaczego nie chcesz wyjść z założenia, że może my wiemy, co jest dla ciebie dobre? I może chcemy dla ciebie jak najlepiej? – docisnęła Ida.

Jacks się roześmiała. Co mogli o niej wiedzieć, a tym bardziej o tym, co dla niej najlepsze?

– To nie jest śmieszne, Jackie! Mówię poważnie. Nic, co powiemy albo zrobimy, nigdy się nie liczy. Peter Davies to złoty chłopak, naprawdę, ale ponieważ nam on się podoba, to z miejsca musisz go skreślić. Jakbyś robiła mi na złość, byleby mi dokuczyć. Potrafisz być bardzo samolubna, Jackie, a samolubnych ludzi trudno jest kochać. – Ida posłała mężowi świdrujące

spojrzenie.

Jacks zamarła, poruszona matczynymi słowami, wpatrując się w krzaki migające prędko za szybą, gdy tata lekko przyspieszył. Z trudem przełknęła kulę łez pęczniejącą jej w gardle. Nie wiedziała, że mamie trudno było ją kochać.

* Brytyjski serial telewizyjny.

Jedenaste

Jacks wrzuciła kierunkowskaz i wprowadziła swoją małą skodę do zatoczki przed szkołą.

– Miłego dnia, kochanie. – Uśmiechnęła się do córki zakutanej w gruby, obfity szalik, bo rano chwycił mróz. Radość z sukcesów Marthy jeszcze nie przygasła.

Dziewczyna położyła rękę na klamce, ale zawahała się i znów spojrzała na matkę.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście. – Jacks obróciła się ku niej.

– Nie martwisz się, że ty też skończysz tak jak babcia?

– Masz na myśli demencję?

Martha przytaknęła, a Jacks westchnęła głęboko.

– Cóż, fakt, że pamięć mam krótką. Przynajmniej raz dziennie zdarza mi się włączyć po schodach na górę, a ledwo się tam doczłapię, sama nie wiem, po co w ogóle wchodziłam. Muszę dopiero przystanąć, oprzeć się o ścianę i rozważyć wszystkie możliwości. Może miałam iść do łazienki albo zebrać pranie, a może zajrzeć do babci? Najczęściej po minucie poddaję się i wracam, i przysięgam ci, że dokładnie w chwili, kiedy stawiam stopy na dole, spływa na mnie olśnienie. „Wyczyścić toaletę!” albo „Zmienić Jonty’emu pościel!”, wykrzykuję, jakbym wygrała na loterii, i cieszę się jak głupia, że sobie przypomniałam.

– Słyszałam! – Martha pokręciła głową.

Jacks się roześmiała.

– Rozmawiałam o tym z kilkoma znajomymi i okazuje się, że one mają to

samo, więc nie ma się chyba co martwić. Jestem w innej sytuacji niż babcia. Mam mnóstwo zajęć i dużą rodzinę. Rozmyślałam o tym nie dalej jak wczoraj. Jeszcze przed chorobą babcia w gruncie rzeczy niczym się nie zajmowała poza siedzeniem w fotelu i gapieniem się w telewizor. To pewnie nie pomaga. I nie myślę zdręczać się czymś, co być może nigdy nie nastąpi, a gdyby nawet, to i tak nie będę tego świadoma.

– Nie chciałam stać się taka. Jest jak duże dziecko. Jakby ktoś wymazał całe jej życie. Moim zdaniem to po prostu okrutne. – Marcie zaszkliły się oczy.

Jacks westchnęła.

– Masz rację. Jest jak dziecko i to jest naprawdę okrutne. Ale spójrz na to z drugiej strony. Jej nie dotyczą sprawy, które tobie czy mnie nie dają spać po nocach. Potrzebuje tylko podstawowych rzeczy, wystarczy, jeżeli nie marznie, ma co jeść i od czasu do czasu ktoś do niej zagada.

– Może i tak. – Martha wysiadła z auta. – To wspaniałe, ile dla niej robisz. Ma szczęście, że jesteś przy niej.

Jacks przewijała w myślach słowa córki jak najpiękniejszą mantrę. Martha nie miała zwyczaju mówić takich rzeczy. *A ja mam szczęście, że ty jesteś przy mnie, moja genialna córeczko.*

Jacks otworzyła drzwi nogą i zawołała od progu:

– Wróciłam, mamó! Nastawię tylko owsiankę i już do ciebie przychodzę!

Za jej plecami zabrzmiał dzwonek u drzwi tak niespodziewanie, że aż podskoczyła. W progu przytupywała Gina z oszałamiającą fryzurą krótko wystrzyżoną nad karkiem i długimi pasmami włosów wokół twarzy, w kolorze soczystej pomarańczy przetykanym różowym refleksem.

– Rany boskie, coś ty zrobiła z włosami? – ryknęła śmiechem Jacks.

– Tak jak powiedziałam Robowi, to ostatni krzyk mody. Jak się komuś

nie podoba, to znaczy, że nie jest na czasie. – Gina wparowała do środka tanecznym krokiem.

– A niech mnie, Gi, jeżeli to jest na czasie, to wolę być opóźniona! – zachichotała Jacks.

– Dobra, nieważne, nie przyszłam tu rozmawiać o włosach. Zobacz, co ci przyniosłam! – Wystawiła przed siebie kolorowy, błyszczący magazyn.

Jacks spuściła wzrok na okładkę, z której spoglądał na nią nie kto inny jak Sven. Starszy, odmieniony, ale na pewno on. Nogi się pod nią ugięły i zatoczyła się do tyłu na ścianę.

– Dobrze się czujesz? – Gina podskoczyła i chwyciła przyjaciółkę za ramię.

Jacks kiwnęła głową.

– Chodź – rzekła Gina miękko – zrobimy herbaty. – Poprowadziła Jacks do kuchni i podsunęła jej krzesło. – Siadaj. Przez chwilę wyglądałaś, jakbyś miała zemdleć!

– W głowie mi się zakręciło. Zawsze tak jest, jak nie zdążę rano czegoś przegryźć i napić się herbaty. Zaraz mi przejdzie.

Jacks usiadła przy stole i zapatrzyła się na fotografię chłopca, którego kochała, a który w międzyczasie przeobraził się w dojrzałego mężczyznę. Tak długo nosiła w sercu obraz jego twarzy, że było nie lada szokiem zobaczyć ją naprawdę, odmienioną przez upływ czasu.

Gina pochwyciła jej wzrok, nalewając wodę do czajnika.

– Myślałam, że się uśmiejesz, jak zobaczysz, co wyrosło z naszego mózgowca.

Jacks pocierała skronie.

– To prawda. Wydaje się, jakby to było w jakimś innym życiu.

– Nigdy nie rozumiałam, co ty w nim widziałaś. Nikt go specjalnie nie

lubił. – Gina parsknęła śmiechem. – Straszny był z niego dziwoląg.

– Tak, straszny dziwoląg. – Jacks nie przyznała się Ginie, że od wielu lat wraca do niego myślami i bez końca snuje rozważania w rodzaju „co by było, gdyby...”.

– To tłumaczy, dlaczego wpadł ci w oko. Dziwactwa się przyciągają – dowcipkowała Gina.

– I kto to mówi! Popatrz lepiej na tę pstrokaciznę, którą masz na głowie. Wyglądasz jak galaretka z rabarbaru.

– Nie chce mi się wierzyć, że mój mąż i moja najlepsza przyjaciółka wykazują taki brak gustu. Zabijacie moją artystyczną naturę! – wykrzyknęła Gina.

– Święta racja, jak nic musisz przenieść się do Paryża lub do Mediolanu, gdzie twój twórczy duch rozwinąłby wreszcie skrzydła pośród innych cudaków.

– Albo mogłabym zostać tutaj i lansować światowe trendy w Weston-super-Mare!

Jacks się uśmiechnęła.

– Zgoda, tak byłoby prościej. Ale pomyśl tylko o tych wszystkich Włochach, którzy cię ominą...

– O, za nic nie zamieniłabym mojego Roba. Tylko mu tego nie mów. Lepszy bity niż głaskany, jak to mówią.

– Bity? Jesteście ze sobą od zawsze, a ciągle jak para gołąbków! – pohukiwała Jacks.

Gina z uśmiechem postawiła przed nią kubek herbaty.

– Wiem. Poszcześciło nam się. Traktuje mnie jak księżniczkę, mówię ci. Poza tym wie doskonale, że gdyby tylko spojrzeł na inną kobietę, odciąłabym mu fajfusa i rzuciła mewom na pożarcie. Zakładam, że ta świadomość działa na niego mobilizująco.

Zachichotały obydwie.

– Zastanawiasz się czasem, jak by wyglądało twoje życie, gdyby nie ułożyło się wam z Robem? Gdyby któreś z was wybrało wtedy inaczej?

– Co masz na myśli?

– No wiesz, gdyby wyszło ci z tym jedynym, przy którym krew buzowała ci w żyłach, ale coś wam stanęło na drodze i wszystko się rozpadło. Z tym, który zniknął.

– Jacks, znasz mnie od zawsze, o czym ty pleciesz, na Boga? Kto zniknął? A może myślisz, że kiedy powiedziałam, że jadę w weekend na ślub kuzyna do Crawley, tak naprawdę łąjdaczyłam się z Jasonem Donovanem?

– Nie. Ale wiesz, o co mi chodzi.

– Prawdę mówiąc, nie. – Gina wpatrywała się w przyjaciółkę.

Jacks zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech.

– Może to tylko ja mam coś takiego. Naprawdę nie zdarza ci się wyobrazić sobie, choćby tylko przez chwilę, jak by to było, gdybyś ułożyła sobie życie z kimś innym?

Gina w skupieniu ogryzała paznokcie. Jej odpowiedź była stanowcza i dobrze przemyślana:

– Szczerze? Nie. Mam Roba.

– Serio? I nigdy nie myślisz o nikim innym? Tylko o Robie? – Jacks miała świadomość, że w jej głosie pobrzmiwa nuta irytacji. Szukała potwierdzenia, że nie ją jedną prześladowuje żal za utraconą przeszłość. – Chcesz powiedzieć, że nie chodzi za tobą wspomnienie o żadnym dawnym facecie i nie zastanawiasz się wieczorami, jak by to było, gdyby to on leżał obok ciebie?

Gina spojrzała w okno, jak gdyby pierwszy raz taka myśl przyszła jej do głowy.

– Nie, Jacks. Przykro mi, ale nie. Nie mam czegoś takiego. Może to zabrzmi ckliwie, ale ja naprawdę myślę tylko o Robie. On mi najzupełniej wystarcza. Kocham go. Jest dla mnie wszystkim. – Wzruszyła ramionami. – A dlaczego pytasz? O kim to śnisz po nocach, ładacznico? Nie powiesz mi, że o gościu z rybnego? Tym z dredami, o którym powiedziałaś, że wzięłabyś go do domu.

– Gwoli przypomnienia! Powiedziałam, że wzięłabym go do domu, żeby zrobił za mnie kolację. Chciałam się nauczyć, jak przyrządzać dorsza. Bez podtekstu. – Skrzywiła się Jacks.

– Aha, tak się tłumacz. – Gina mrugnęła wesoło.

Jacks rozważała w myślach słowa przyjaciółki, gdy na górze odezwał się dzwonek.

– Cholera, nie zrobiłam jej jeszcze śniadania. – Zerwała się i spojrzała na zegar. – Już idę, mamó! – krzyknęła.

– To ja będę uciekać. Widzimy się niedługo? – Gina podniosła się z krzesła.

– Tak, oczywiście, jasne. – Jacks złapała pierwszą z brzegu miseczkę ze stosu brudnych naczyń i płukała ją szybkimi ruchami pod kranem. Czuła lekki niesmak po rozmowie z Giną i chciała się jej jak najprędzej pozbyć.

Gdy za przyjaciółką zamknęły się drzwi, Jacks sięgnęła drżącymi rękami po katalog i podniosła go na wysokość oczu. Przycisnęła broszurę do piersi, chcąc poczuć Svena przez papier, nagle zawstydzona, że nie ułożyła włosów i nie umalowała ust.

Na okładce Gina przykleiła karteczkę samoprzylepną z napisem: „Miłej lektury!”, pewnie w razie gdyby nie zastała Jacks w domu. Jacks zgmiotła liścik i wsadziła sobie do kieszeni, po czym rozpostarła magazyn na stole. Postarzał się, to jasne, lecz bez trudu dało się go rozpoznać. Te same niebieskie, świetliste oczy, ten sam czarujący uśmiech, od którego robiły się

z nich dwa śmieszne przecinki, i burza gęstych włosów, teraz w trochę bardziej piaskowym odcieniu.

Jacks powiodła palcem po jego postaci. Miał na sobie džinsy i lnianą, granatową koszulę ładnie podkreślającą złotą opaleniznę. Na przegubie połyskiwał mu srebrny, masywny zegarek. Stał boso w rozkroku na pokładzie ogromnego, bajecznego jachtu o lśniącym, białym kadłubie i wykończeniach z chromu, szkła i polerowanego drewna.

Jacks zakręciło się w głowie. Wzięła głęboki oddech. Przewracała kartki, aż natknęła się na szukany artykuł. Przy nim zamieszczono jeszcze jedno zdjęcie, na którym Sven siedział, rozluźniony, na skórzanej kanapie w kajucie swojego statku. Tutaj było widać zarys jego torsu i lekki cień zarostu na twarzy. Wnętrze prezentowało się olśniewająco, a w końcu to tylko łódź! Wyglądało na okazalsze od wszystkich domów, w których się kiedykolwiek znalazła. Potoczyła wzrokiem po swojej własnej kuchni z beżowymi, laminowanymi szafkami, których drzwiczki zwisały krzywo na obłuzowanych zawiasach, blatem zawalonym opakowaniami płatków niemieszczącymi się w szafkach oraz pudełkami, w których znajdowało się dosłownie wszystko, od klamerek do bielizny po długopisy. Z goryczą popatrzyła na wyszczerbione na krawędziach płytki podłogowe, na których wyraźnie odcinały się dwie smugi białego kitu w miejscu, gdzie Pete uszczelnił luki w betonowej wylewce.

Nie zwracając uwagi na górę naczyń w zlewie, stos brudnych ubrań do posortowania i grubą warstwę kurzu zalegającą w salonie, usiadła, przygarbiona, nad stołem i pozwoliła sobie na luksus przeczytania artykułu trzy razy. Wychwytywała każdy drobny strzępek informacji. Był „aktualnie wolny”. Co to, u diabła, znaczy? Rozwiedziony? Zaręczony? Wdowiec? Szkoda, że nie wyjaśnili. Mieszkał w San Francisco i był kwalifikowanym pilotem oraz zamiłowanym żeglarzem. Jak to możliwe, że jeden człowiek jest

w stanie tyle zrobić i tyle w życiu osiągnąć?

Z góry znów dobiegł donośny dźwięk dzwonka i Jacks podskoczyła jak złapana na gorącym uczynku. Szybko zamknęła gazetę i wsadziła miseczkę owsianki do mikrofalówki. Czekając, aż się podgrzeje, rzucała tęskne spojrzenia na okładkę, po czym pośpieszyła wreszcie na górę.

– Już, mamó. Przepraszam za spóźnienie. Byłam trochę zajęta. Gina przyniosła gazetę ze zdjęciem mojego dawnego kolegi Svena. Pamiętasz? Mówiłam ci o nim. Wydaje się, jakby od tamtej pory minęły całe wieki.

Postawiła talerz owsianki na obleczonej ceratą tacy na kolanach matki i otworzyła okno. Pokój wymagał porządnego wietrzenia.

– Ciekawe, że są ludzie, których można znać całe lata i praktycznie ich nie dostrzegać, a są tacy, którzy pojawiają się na moment w naszym życiu i zostawiają ślad nie do wymazania, nieważne, jak bardzo się starać. Może to właśnie oni byli nam pisani, ci, którzy zniknęli. Tak się zastanawiam...

Rozległ się głośny brzęk, a następnie łomot. Miska potoczyła się na podłogę, roznosząc ślad lepkiej owsianki po kołdrze, prześcieradle oraz po dywanie.

– Nie – zawyrokowała Ida. – Niedobrze.

– Nie, nie – westchnęła Jacks. – Wszystko dobrze, mamó. Nie przejmuj się, to przeze mnie. Nie ustawiłam jej równo. – Podniosła miseczkę i łyżką zeskrobała z dywanu, co się dało. – Pójdę po płyn i gąbkę.

Odwinęła kołdrę i zdjęły ją nagłe mdłości. Mamie udało się wydostać z pieluchy, która teraz pętała jej stopy, a której zawartość rozniosła się po całych jej nogach.

– Nastawię prysznic – powiedziała ciężko.

To był długi, męczący dzień.

Jacks po raz drugi szorowała wybielaczem brodzik, pucowała słuchawkę

i czyściła ściany, pozwalając myślom ulecieć do innego świata. Wyobrażała sobie, że zamiast popękanej plastikowej kabiny ma cudowną saunę z hydromasażem wielkości całej łazienki w swoim olbrzymim domu z przeszklonym tarasem na dachu, skąd roztacza się piękny widok na całą Zatokę San Francisco. Przystanęła na podeście schodów z ręką na poręczy. Zapomniała o stercie pudeł piętrzącej się w holu na dole. Pod zamkniętymi powiekami ujrzała samą siebie, jak unosi się na rozkołysanym pokładzie droższej niż niejeden dom łodzi dryfującej po oceanie. Tak by to wyglądało, gdyby kiedyś wybrała inne życie, niezależne i pełne możliwości. „Z lodem poproszę!”. Opuściła ciemne okulary, zwracając się do kelnera, który podał jej wysoką szklankę migoczącego w słońcu szprycera z białego wina.

– To ja! – krzyknął Pete, zamykając drzwi. – O co prosisz? – zapytał, zdejmując kurtkę.

– O nic. – Jacks poczuła, że płoną jej policzki. Rzuciła szybkie spojrzenie na zegar nad schodami. Dochodziła szósta. – Straciłam poczucie czasu. – Uśmiechnęła się blado i zeszła wolno na dół.

Nastawiła czajnik na herbatę, żeby Pete mógł się rozgrzać po całym dniu na mrozie. Otworzyła piekarnik, w którym dochodziły pięknie zrumienione ziemniaczki.

– Co to jest? – Pete podniósł katalog do góry.

Jacks przestała oddychać. *Dobry Boże!* Tak bardzo chciała mieć go przy sobie jak najdłużej, że w końcu zapomniała go schować. Pete przekartkował pismo i roześmiał się, na co Jacks odetchnęła z ulgą.

– Ja chcę kupić motocykl, a nie łódź! Chociaż jak jeszcze trochę popada, to łódź może być nie od rzeczy.

– Gina to zostawiła. Pamiętasz, jak rok temu pojechali z Robem na wystawę łodzi?

– Pamiętam. Rob w kółko o tym nadaje. Twierdzi, że nie wpuścili go na

najbardziej wypasione łajby, bo nie był na liście gości. Zdaje się, że próbował coś kombinować. Ale powiedziałem mu, że do niego bardziej pasuje rower wodny niż jacht!

Pete obojętnie odłożył pismo na stół. Jacks z najwyższym trudem stłumiła pokusę, żeby po nie sięgnąć, wygładzić równo strony i ukryć gdzieś głęboko. Podała Pete'owi herbatę i z zaschniętymi ustami patrzyła, jak stawia gorący kubek Svenowi na twarzy, a serce omal nie wyskoczyło jej z piersi.

Sięgnęła po rolkę papierowych ręczników, oderwała jeden i włożyła pod spód.

– Uważaj, żeby nie zamoczyć. Rob może chcieć go z powrotem! – To niewinne kłamstwo przyszło jej z łatwością. Rękawem wytarła Svenowi ślady herbaty z twarzy. Już samo to, że patrzyła na jego fotografię w obecności Pete'a, wystarczyło, żeby oblała się rumieńcem. Co za ulga, że go nie rozpoznał.

U drzwi rozległ się dzwonek.

– Ja otworzę! – Martha zbiegła z łomotem na dół, aż szyby w oknach zadrżały. Na razie, mamo!

– Za chwilę kolacja! – Jacks wyszła na korytarz i spojrzała na wykrzywioną twarz córki.

– Zjem, jak wrócę. – Martha kiwnęła głową w stronę otwartych drzwi, w których stał Gideon z rękami w kieszeniach dżinsów, podrzucając raz po raz głowę, żeby odgarnąć opadającą mu na oczy grzywkę, podczas gdy reszta jego włosów spoczywała grzecznie pod wełnianą czapką.

– O, dzień dobry!

Gideon uniósł rękę i uśmiechnął się.

– Martha, jeżeli masz jeść, to możemy wyjść później. – Znow się uśmiechnął do Jacks.

– Nie! – niemal krzyknęła Martha. – Idziemy. – Złapała wiszącą na

poręczy schodów kurtkę z futrzanym kapturem. – Nie wrócę późno! – I już jej nie było.

– Gdzie ona poleciała? – zapytał Pete.

– Umówiła się ze znajomymi. – Jacks nie chciała wdawać się w szczegóły, dopóki nie rozezna się porządnie w sytuacji.

– Mała przerwa dobrze jej zrobi. Nie można tylko uczyć się bez końca.

– Mhm – wymruczała Jacks, niekoniecznie tego samego zdania.

Kiedy po kolacji odprowadzała matkę z powrotem do łóżka, rozmyślała o rozpalonych oczach swojej córki. Doskonale wiedziała, co to znaczy. Dziewiętnaście lat później ciągle pamiętała tamtą noc na stadionie, jakby to było wczoraj. Jej dłoń w jego dłoni i łopoczące serce.

W sypialni zadzwonił telefon. Jacks przefrunęła przez podest.

– Cześć, Gina!

– No i? – zapytała Gina z ciekawością.

– No i co? – odparła zniżonym głosem, niezadowolona, że musi uciekać się do ukradkowego szeptu.

– Co myślisz o Svenie? Przeczytałaś artykuł? Dziwnie tak zobaczyć go po latach na pierwszych stronach gazet, co?

– Chyba tak.

– Co znaczy „chyba tak”? Wcześniej wydawałaś się raczej poruszona. Szczerze powiem, poczułam się trochę jak intruz, a to przecież tylko jego zdjęcie!

– Nie wygłupiaj się – cmoknęła Jacks, a na twarz wypłynęła jej łuna. Czuła się niezręcznie, prowadząc tę rozmowę na łóżku, które dzieliła wraz z mężem, siedzącym teraz na dole.

Gina się roześmiała.

– Tylko cię podpuszczam. Ale nie mów, że choć przez chwilę nie

przyszło ci do głowy, żeby wskoczyć w pociąg i wypuścić się na te targi w styczniu. Nie uwierzę po tym, jak się dziś przyznałaś, że ciągle do niego wzdychasz.

– Wyobraź sobie, że nie! – zaprzeczyła Jacks, zresztą zgodnie z prawdą. Mogła z ręką na sercu powiedzieć, że nie pomyślała o tym, żeby jechać na pokaz łodzi aż do chwili, gdy Gina o tym napomknęła.

– Po prostu marne są szanse, że jeszcze pojawi się w Anglii wkrótce potem. No i przynajmniej wiadomo, gdzie go szukać. Chyba że miałaś w planach wypad do San Francisco w niedalekiej przyszłości?

Ziarno zostało zasiane. Jedna mała sugestia zacznie teraz kiełkować i wypuszczać pędy.

– Po co w ogóle miałabym się z nim spotkać? Niby na jakiej zasadzie? – zapytała Jacks.

– Na tej samej, co spotyka się starych przyjaciół. Ni mniej, ni więcej.

Z pokoju Idy doleciało dzwonienie.

– Muszę kończyć. Mama dzwoni. Pogadamy niedługo. – Jacks odłożyła słuchawkę i przebiegła przez podest z niespodziewaną energią i podnieceniem w brzuchu.

Gdy otuliwszy dokładnie nogi matki kołdrą, chciała zasłonić okno, coś na zewnątrz przykuło jej uwagę. Dwoje ludzi całowało się w deszczu pod latarnią spowijającą ich ciepłym, żółtym światłem. Obejmowali się, ściskali za ubranie, głaskali się po policzkach, garnąc się do siebie, jakby od tego zależało ich życie. Zmrużyła oczy, żeby przeniknąć mrok. Ostre ukłucie w dołku jak zwykle jej nie zawiodło. Martha i Gideon.

– A niech to wszyscy diabli! – westchnęła i zeszła na dół.

W holu minęła Pete'a.

– Położę się wcześniej, Jacks. Widzimy się na górze?

Przytaknęła, a on pocałował ją delikatnie w czoło. Nie znosiła tego

pseudoczułego gestu. Gdzie się podziała namiętność? Wcześniej nie byli tacy. Robili to wszędzie, gdzie się tylko dało. To było takie miłe i porywające! Potem, z biegiem lat, coraz bardziej skłaniali się w stronę spokojnego, klasycznego seksu, zawsze w tej samej pozycji i tylko w sypialni, uprawianego pod kołdrą, w ciszy i przy zgaszonych światłach. A po urodzeniu Jonty'ego nawet to się skończyło. We wszystkich filmach i książkach ciągle była mowa o seksie, którego szczegóły tylko jeszcze bardziej dawały jej do zrozumienia, ile ją omijało. Do perfekcji opanowała sztukę odwracania uwagi, gdy na ekranie pojawiała się choćby lekko dwuznaczna sytuacja. A to wstawiała zrobić sobie herbaty, a to brała do rąk robótkę i gubiła oczka, to znów dostawała fałszywego ataku kaszlu i musiała biec po wodę do kuchni. Wszystko, byle nie patrzeć na to, co sama utraciła – oboje utracili. Naprawdę za tym tęskniła, to była niesłychanie ważna sfera w ich długoletnim związku.

Teraz się zaś okazało, że Martha zaczyna wkraczać w świat zmysłów i erotyzmu i w tym właśnie momencie wprawia się zapalczywie pod uliczną latarnią.

Jacks usiadła na schodach i czekała.

Minęło pół godziny, które wlokło się w nieskończoność, zanim Martha przekręciła klucz w zamku i stanęła oko w oko z matką.

– Co robisz? Dlaczego siedzisz na schodach? – Wyglądała na roztargnioną.

Jacks z niesmakiem dostrzegła jej nabrzmiałe usta.

– Czekam na ciebie.

– Aha... – Martha sprawdziła telefon zgrabiałymi z zimna palcami. – Nie ma nawet dziesiątej. – Zdjęła kurtkę i wstrząsnęła włosy.

– Chodź do kuchni. – Jacks wstała i poszła za córką przez słabo oświetlony korytarz. – Usiądź. – Wskazała jej krzesło. Zajęły miejsca przy

stole.

– Lubisz go, prawda? – Patrzyła, jak Martha z pałającymi oczami żarliwie kiwa głową, próbując powstrzymać uśmiech. – Wydaje się całkiem miły.

– Jest, mamó. Jest cudowny. – Znow się uśmiechnęła z przechyloną marzycielsko głową.

– Martha, bardzo chcę, żebyś była szczęśliwa. Wierz mi, że tak jest. I chcę, żebyś korzystała z życia. Ale trochę się martwię.

– No to możesz przestać, bo jestem szczęśliwa i korzystam z życia, czyli wszystko okej.

Jacks zebrała włosy w koński ogon i związała gumką, którą nosiła na nadgarstku w razie potrzeby.

– W porządku. Ale boję się, że przez to zapomnisz o nauce. Ta oferta z Warwick na nic się nie zda, jeżeli nie dostaniesz odpowiednich stopni. A na trzy A trzeba zapracować.

– Wiem i nie zapominam o nauce. Nie rozumiem, dlaczego mam wybierać. Będę mieć dobre stopnie, ale potrzebuję też Gideona. – Martha wydawała się bliska płaczu.

– *Potrzebujesz?* – Jacks była zszokowana. Najwyraźniej sprawy zasły dalej, niż myślała.

– Tak. Dobrze się przy nim czuję. To najbardziej interesujący człowiek, jakiego spotkałam w życiu. Naprawdę lubię z nim być.

Jacks stłumiła chęć, żeby zacząć krzyczeć.

– Rozumiem to, ale twoje życie dopiero się zaczyna, a wy dwoje macie przed sobą całkiem różne drogi.

– Chodzi ci o to, że on nie idzie na studia i nie marzy o tym, żeby wyjechać z Weston?

– Mniej więcej – przyznała Jacks. – Kto wie, kogo poznasz w Warwick?

Martha przewróciła oczami i schowała dłonie w grubych rękawach swetra.

– A może ja nie chcę nikogo z Warwick. Może podoba mi się to, co mam tutaj – właśnie miejscowy chłopak.

– Nie!

– Co znaczy „nie”? – Martha podniosła głos.

– To znaczy, że jesteś za młoda, żeby wiedzieć, czego chcesz, a ja widzę, że ten chłopak...

– Gideon! – poprawiła ją Martha.

– Gideon, czy jak mu tam, może stanąć na przeszkodzie do twojej prawniczej kariery, o której zawsze marzyłaś!

Martha westchnęła i zanurzyła palce we włosach, drapiąc się po głowie.

– Nie znasz go, ale już podjęłaś decyzję, że go nie polubisz. Widzę przecież, że nie podoba ci się, kim jest i co robi!

– To nieprawda, nie mam nic przeciwko niemu osobiście. Ale czemu nie chcesz wyjść z założenia, że może ja wiem, co jest dla ciebie dobre? I może chcę dla ciebie jak najlepiej?

– Bo to *ja* wiem, jak jest dla mnie najlepiej! A gwoli wyjaśnienia, moja prawnicza kariera jest *twoim* marzeniem, mamó. Niekoniecznie moim!

Jacks zaniemówiła, jak gdyby rażona piorunem. Nie mogłaby usłyszeć nic okropniejszego.

Martha nie skończyła.

– Problem w tym, że ty intropatycznie wchodzisz w moje życie. A to jest do dupy. To jest nieuczciwe.

– Uważaj na język, proszę. – To było wszystko, co Jacks mogła powiedzieć, bo nie wiedziała, co znaczy „intropatycznie”. – Masz taki potencjał, Martha. Nie chcę, żebyś marnowała sobie życie, nawet jeden

dzień! – Jacks sięgnęła po ręcznik leżący na wierzchu stosu czystego prania i zaczęła go składać na piersiach, przytrzymując brodą.

Martha zaszurała krzesłem po kafelkach.

– Nie marnuję ani jednego dnia. Kiedy się nie uczę, jestem z Gideonem, a to nie jest marnowanie czasu. – Popatrzyła na matkę, czekając na odpowiedź, która jednak nie nastąpiła. – Idę spać do pokoju, w którym muszę się gnieść z moim młodszym bratem! – warknęła i wyszła z kuchni.

Jacks osunęła się na podłogę z plecami opartymi o szafkę i miętosząc ręcznik na kolanach, wylała z siebie długo tłumione łzy. Siedziała tak kilka minut, zanim udało jej się uspokoić. Wstała i na chwiejnych nogach podeszła do kredensu, żeby przekopać się przez szufladę pełną sznurków, starych tubek zaschniętego kleju i przyborów do szycia, aż wydobyła słownik kieszonkowy.

Przesunęła dłonią po okładce trochę lepkiej w rogu. Odkąd pamiętała, ten słownik zawsze towarzyszył tacie przy rozwiązywaniu krzyżówek. Otworzyła go i przekartkowała kilka cienkich, szeleszczących stron. Z uśmiechem zauważyła przy niektórych słowach czerwone punkciki. Za każdym razem, gdy wyszukiwał słowo, oznaczał je czerwoną kropczką. Jeżeli zdarzyło się, że musiał sprawdzić je ponownie, przepisywał je na boku trzy razy, żeby zapamiętać. Przy żadnym nie było trzech kropek.

Jacks podniosła książkę do oczu na odległość ramienia i odnalazła termin między „intronizacją” i „introspekcją”. In-tro-pa-tia. Wymówiła najpierw obcy wyraz na głos, po czym przeczytała definicję: „Doświadczenie w wyobraźni uczuć i poczynań drugiej osoby”.

Zamknęła słownik i wepchnęła go do szuflady. Marta miała rację. Robiła to. Ale która matka postępuje inaczej? Przypomniała sobie lekcje baletu, na które Martha chodziła w szkole podstawowej, i rządki zażywnych mam siedzących z tyłu pod ścianą, każda z nich z wizją swojej pociechy przed

oczami – w rozłożystym tutu, przyjmującej owacje i naręcza kwiatów na scenie Opery Królewskiej. Tam miały ją niby zawieść piskliwe komendy pani Greenwood: „Skłon i uśmiech, skłon i uśmiech!”. W wyobrażeniach tych matek mała, nieporadna dziewczynka przemieniała się w smukłego łąbiedzia, a one same widziały już siebie na widowni, jak z pobłażliwą godnością odbierają uśmiechy i wyrazy uznania dla talentu córki.

Jacks była taka sama. Tyle że jej ambicje nie dotyczyły tutu i drobienia na palcach. Ona widziała Marthę podróżującą biznesklasą w kostiumie od Jaegera i z kartą kredytową w torebce. Pał sześć Operę Królewską. Jej córka miała wyjechać do wielkiego miasta i żaden przystojniak o śnieżnobiałych zębach jej w tym nie przeszkodzi.

Znów poczuła łyzy pod powiekami, a wtedy jak na komendę zaterkotał dzwonek.

– Niech to szlag – wyszeptała, pokonując schody.

Dwanaście

Dziewiętnaście lat wcześniej

Dzień zaczął się zwyczajnie. Jacks poszła do szkoły i przetrwała dwugodzinny blok angielskiego, a następnie zajęcia plastyczne, w czasie których musiała mocno się namęczyć, żeby odtworzyć paterę owoców stojącą na stole i nie bujać przy tym myślami w obłokach.

Teraz stała w kolejce po obiad z lekko wyniosłą miną, do której miała prawo jako maturzystka. Za każdym razem, gdy otwierały się drzwi, zerkiała za siebie w oczekiwaniu na Ginę, z którą często spędzała przerwy. Na wypadek gdyby jednak musiała jeść sama, przezornie wzięła ze sobą numer „Marie Claire” zwinięty na wierzchu w torbie.

Kolejka postępowała powoli. Młodsze dzieci okropnie się guzdrały, najpierw długo się namyślając, czy wziąć fasolkę czy groszek, a potem mozoląc się niezdarnie ze sztućcami, napojem, tacą i szkolną torbą. Westchnęła i oparłszy pomarańczową tacę na biodrze, wahała się między zupą dnia a kanapką z szynką. Czekające przed nią dwie młodsze dziewczyny nachylały się jedna drugiej do ucha, jakby knuły coś w tajemnicy. Na dźwięk imienia „Sven” Jacks zastrzygła uszami.

– Tak, Sven, ten Norweg w cudacznych swetrach.

Jacks nie mogła powstrzymać uśmiechu. *Norweg?* Głupie plotkary. Ale śmiech szybko zamarł jej na ustach.

– Przeprowadza się do Ameryki! Ale czad, no nie? Mimo że to dziwoląg. Moja ciocia była w Ameryce, podobno jest fantastycznie. Pewnie pojedzie sobie do Hollywood i wszędzie...

Jacks dygotały nogi. Wycofała się tyłem powoli, jak gdyby

najzwyczajniej rezygnowała z czekania, a nie panicznie próbowała powstrzymać podchodzące jej do gardła nudności. Właśnie odkładała nieużytą tacę na miejsce, kiedy dopadła ją Gina.

– Siema! Co dzisiaj jemy? Znajdź stolik, a ja zaraz przyjdę! – Gina zakołysała swoją obfitą postacią i zanuciła z uczuciem *Baby, come back*, nie zważając na bladość przyjaciółki.

– Ja... Zaraz wracam – zdołała wykrztusić Jacks i wyszła z jadalni. Puściła się korytarzem, mijając świetlicę, w której szybkim rzutem oka upewniła się, że tam go nie ma, i ruszyła na górę, do pracowni fizyki, gdzie czasami pozwalano mu zostać w czasie przerw jako prymusowi. Tam też nie zastała nikogo.

Zbiegła na dół. Serce jej łomotało, łyży szczypały w oczy, a w żyłach tętnił strach. Drżącymi palcami poprawiła sobie torbę na ramieniu i chwyciła poręcz, żeby się nie przewrócić. Kiedy go wreszcie znalazła, przycupniętego pod dębem na skraju boiska do gry, w skroniach jej huczało i z trudem łąpała oddech.

Nie musiał niczego potwierdzać. Jedno spojrzenie, gdy podźwignął się, nie patrząc jej w oczy, powiedziało jej wszystko. A więc to była prawda. Przeprowadzał się do Ameryki i nie uznał nawet za stosowne, żeby ją o tym uprzedzić.

Osunęła się obok niego na kolana. Adrenalina i złość powoli ją opuszczały, a w ich miejsce pojawiło się przemożne zmęczenie.

– Muszę... ci coś powiedzieć – powiedział Sven z powagą.

– Nie wysilaj się. Już słyszałam. – Skubała zawzięcie klamerkę swojej torby. – Wielkie dzięki. Myślisz, że miło było się dowiedzieć od jakichś dwóch siuśmajtek w kolejce na stołówce? – Usta jej zadrżały mimo największych wysiłków, żeby zachować spokój, i z oczu trysnęły jej łzy. Zawstydzona i pełna goryczy, utkwiała wzrok w ziemi.

– Sam dopiero się dowiedziałem. Ja... Chciałem ci powiedzieć osobiście, ale pan Quidgley zapytał, czy mógłbym w przyszłym semestrze poprowadzić zespół na olimpiadę z fizyki, więc powiedziałem, że mnie tu nie będzie, a on zapytał dlaczego... I tak się wszystko rozeszło. – Złamał w palcach gałązkę i pokręcił głową, jakby brakowało mu słów.

– Jeszcze raz dzięki, Sven. – Jej wzburzenie miało wiele powodów. To, że dowiedziała się z drugiej ręki, było zaledwie jednym z nich.

Nachylił się, aż jego twarz zbliżyła się do niej na kilka centymetrów.

– Nie mogłem w nocy spać. Rodzice postanowili, że tata przyjmie ofertę wykładów na Harvardzie. Przenosimy się do Bostonu i koniec. Nic się nie da zrobić. Ale ja nie chcę cię zostawiać. Pojedź ze mną! – Oczy mu rozbłysły, jakby to było to cudowne rozwiązanie, którego nie mogli znaleźć.

– Co ty opowiadasz? Jak mam z tobą pojechać? Zwyczajnie spakować torbę i czmychnąć do Bostonu? To jest realny świat, Sven, nie któryś z twoich romantycznych wierszy z bajkowym zakończeniem.

– Jesteś ponad tę dziurę, Jacks. I ponad wszystkich tutaj. Nie daj się tu uziemić. Jedź ze mną do Stanów! Za kilka miesięcy będziesz już dorosła i możesz robić, co zechcesz! Będziemy podróżować, znajdziesz jakąś pracę i zbudujemy sobie razem przyszłość!

Był tak rozentuzjasmowany, że w końcu też się uśmiechnęła. Nagle wszystko zdało się możliwe. Jak gdyby naprawdę mogła tak po prostu wyjechać i żyć z chłopcem, którego kochała, w wymarzonej kraj.

– Nie wiem, jak... – Urwała.

– Znajdziemy jakiś sposób!

– Ale moi rodzice...

– Co z nimi? Chcesz się dać uwiązać na resztę życia? Zostać tu jak małe dziecko i włączyć się po molu do późnej starości? Czy wolisz jechać ze mną i zobaczyć świat?

Przyjrzała mu się, nie wiedząc, jak ma mu uzmysławić, że to, czego chce, a to, co jest realne, to jednak dwie różne rzeczy. W jego ustach wszystko było proste. Wszystko się dało zrobić.

Sven wziął ją za rękę i spojrzał na Jacks z powagą. W jednej chwili stało się dla niej jasne, że znajdzie jakiś sposób i pojedzie do Ameryki!

Trzynastcie

Jacks przytarczyła do kuchni plastikowy kosz z brudną pościelą. Pierwsze pranie dnia, ale z pewnością nie ostatnie. Postawiła go obok pralki.

– Zrobię girlandy z papieru – oznajmiła.

– Na śniadanie? – zaśmiał się Pete. – Nie możemy zjeść grzanek jak wszyscy?

Jacks nie zwróciła na niego uwagi.

– Na święta. Pomyślałam, że moglibyśmy zrobić coś z tą odrapaną kuchnią, żeby było przytulniej. Widziałam to w jednym piśmie.

– A jak się robi girlandy? – zapytał.

– Nie wiem, ale coś wymyślę. To nie może być takie trudne. – Usiadła przy stole.

– Wyglądasz na zmęczoną. – Pete przyglądał się, jak w pośpiechu popija swoją pierwszą herbatę, która zdążyła wystygnać, gdy Jacks zajmowała się Idą.

– Wyglądam tak, bo jestem zmęczona. Więc chyba wszystko się zgadza.

– Potrząsnęła miarką z proszkiem i wsypała zawartość do odpowiedniej komory.

– Mogę ci jakoś pomóc? – zapytał. – Może dziś to ja zrobię kolację?

Jacks się uśmiechnęła.

– Nie, dziękuję, kochanie. Cały dzień zasuwasz na dworze, więc jedno, co mogę zrobić, to przygotować jedzenie. Poza tym jak sama gotuję, to od razu wszystko posprzątam.

– Chcesz powiedzieć, że ja robię bałagan? – zapytał Pete żartobliwie.

– Robisz potworny bałagan, Pete. Po twoim gotowaniu kuchnia wygląda,

jakby przeszło przez nią tornado – roześmiała się mimo woli. – Czy Martha powiedziała ci, że ma chłopaka?

Włożyła prześcieradła do pralki, zatrzasnęła nogą zacinające się drzwi i znów podniosła kubek, otulając go obiema dłońmi.

– No, wiedziałem, że kręci się tu jeden, ale to naprawdę jej *chłopak*? Jest chyba na to za młoda. – Wpakował sobie łyżkę płatków do ust.

– Ma siedemnaście lat, w styczniu skończy osiemnaście, i tak, to jest jej chłopak, możesz mi wierzyć na słowo. – Westchnęła. – Widziałam, jak się całowali wczoraj na ulicy.

– Nie! – parsknął Pete.

– Tak. I wcale nie uważam tego za zabawne.

– Znamy go?

– Ma na imię Gideon.

– Gideon? – roześmiał się Pete. – A cóż to znowu za imię?

– Pete, nie chodzi o imię. – Westchnęła znowu, tym razem nieco głośniej.

– Pracuje w warsztacie samochodowym.

– Nie chodzi do szkoły? – Pete podniósł głowę.

– Nie, jest kilka lat starszy.

– Cóż, o ile będzie się nią opiekował, a ona jest szczęśliwa...

Jacks potrząsnęła głową.

– Zwariowałaś, Pete? Nie zgadzamy się teraz na chłopaka!

– Nie zgadzamy się? – Wydawał się zbity z tropu.

– Nie! Ma się uczyć i zdobyć te przekłete A. Boże, czy tylko ja jedna to widzę? – Jacks hałaśliwie odstawiła kubek na stół.

– Nie jest głupia, Jacks. Sama wie, co dla niej najlepsze. A najgorsze, co mogłabyś zrobić, to się temu sprzeciwić. Stanie się tylko dla niej bardziej atrakcyjny.

– Kto? – zapytała Martha, wchodząc do kuchni.

– Twój chłopak – odparł Pete bez ogródek.

Dziewczyna uśmiechnęła się do ojca. Nigdy jej nie okłamywał.

– Może zaprosisz go kiedyś na kolację? – spytał Pete, ignorując piorunujące spojrzenie, jakie Jacks posłała mu znad zlewu.

– Myślisz? – zapytała Martha nerwowo.

– Oczywiście! – rzekł Pete. – Chcielibyśmy poznać go na spokojnie, prawda, skarbie? – zwrócił się do Jacks.

– Mhm. – Pokiwała głową na tyle ochoczo, na ile było ją stać.

– Dobra, zapytam go. Mamo, mam jakąś bluzkę?

– W bieliźniarce.

– Ma-mo, nie mogę dziś iść do szkoły! – zawołał Jonty z sypialni.

– Dlaczego? – odkrzyknęła Jacks z dołu schodów.

– Mam w brzuchu bóle menstruacyjne!

Jacks zwinęła się w pól, przytrzymując poręcz, Martha ze śmiechu złapała się ściany, a Pete zarżał tubalnie.

– Czemu się wszyscy śmiejecie? – zaskowyczał Jonty. – Mówię poważnie. Martha kiedyś mogła zostać w domu, jak to miała, a dzisiaj ja też mam!

To rozbawiło całą trójkę jeszcze bardziej.

Ida zaczęła dzwonić.

– Pomocy! Popłynęłam!

Pete nadal rechotał, kiedy Jacks wróciła do kuchni i odkręciła wodę.

– To najbardziej zbzikowana rodzina na całej ulicy! Bóg jeden wie, co nasz biedny Giduś, czy jak mu tam, sobie o nas pomyśli! – Uśmiechnął się, jakby z dumą. – Ucieknie gdzie pieprz rośnie!

Nawet Martha zanosila się śmiechem.

Miejmy nadzieję, pomyślała Jacks, biegnąc na górę z wiadrem pełnym mydlin, gumowymi rękawicami i gąbką.

Kilka dni później łańcuchów przybywało. Jacks ujęła w palce kolorowe trójkąty, które wycięła ze skrawków kupionych w sklepie charytatywnym, i przyszyła do czerwonej taśmy. *Do świąt jeszcze trzy tygodnie*, pomyślała, sprzątając ze stołu urastający zwój. Odkurzyła cały dom, uporządkowała hol na tyle, na ile się dało, zapaliła zapachową świeczkę na kominku i nakryła do stołu.

Martha krążyła wokół, na przemian popatrując to w lustro, to na telefon.

– Czuję się paskudnie, że babcia będzie jadła sama na górze, kiedy my wszyscy usiądziemy do stołu – powiedziała, patrząc, jak Jacks przygotowuje tacę z kolacją dla Idy.

– Ona lubi tam jeść, kochanie. I to tylko dzisiaj. Boję się, że obecność kogoś obcego mogłaby ją zdenerwować. Poza tym nawet przy pięciu krzesłach wokół stołu już się robi ciasno. Gdzie miałyby usiąść? Na lodówce?

Martha się uśmiechnęła.

– A może posadzilibyśmy tam Jonty’ego? Byłby zachwycony! – zachichotała Jacks.

Gdy rozległ się dzwonek, Martha wypadła z kuchni, ślizgając się w skarpetkach na zakrętach w holu, i dopadła do drzwi, zanim zdążył wybrzmieć jego ostatni ton.

Jacks zauważyła jej rozgorączkowanie i wzięła głęboki oddech. Popatrzyła na własne odbicie w szybie i ujrzała twarz taty.

– Och, tato, naprawdę się staram. – Odwróciła się z uśmiechem, gotowa na powitanie chłopaka swojej córki.

– Dobry wieczór. Dziękuję za zaproszenie. To dla pani. – Wręczył jej

bukiet drobniutkich żółtych różyczek.

Już od bardzo dawna nikt nie podarował jej kwiatów.

– Och, Gideon, nie trzeba było! Dziękuję! – Naprawdę się wzruszyła i natychmiast włożyła je do flakonu ze szkła stojącego w szafce pod zlewem.

– Chciałem przynieść wino, ale ja w zasadzie nie piję, więc nie miałem pojęcia, co wybrać. Wszystkie wyglądają tak samo, umiem tylko odróżnić czerwone od białego.

Martha wybuchnęła śmiechem, jakby w życiu nie słyszała nic bardziej zabawnego. Wszedł Pete i uściśnął Gideonowi dłoń – dłoń z czarnymi obwódkami smaru za paznokciami, dłoń człowieka pracy, taką samą jak jego.

– A niech mnie, przyniosłeś jej kwiaty? – Wskazał Jacks kciukiem. – Chcesz mi napytać biedy czy co?

Gideon się roześmiał.

– Siadaj, proszę. – Jacks podsunęła mu krzesło. – Jonty, kolacja! – krzyknęła w stronę schodów.

Jonty zbiegł na dół z tupotem i usiadł naprzeciw gościa.

– Jak tam twój brzuch, Jonty? – zainteresował się Pete.

– Jesteś chory? – zapytał Gideon.

– Nie – naburmuszył się Jonty, unikając tematu swoich dolegliwości sprzed kilku dni po tym, jak mama uświadomiła go w drodze do szkoły.

– Gdzie mieszkasz, Gideon? – zapytała Jacks, wykrawając porcję zapiekanki mięsnej i kładąc mu ją na talerzu.

– Dziękuję, wygląda wspaniale – odpowiedział. – Niedaleko, przy Alfred Street.

– Jesteś z Weston? – chciał wiedzieć Pete, ochoczo zabierając się do ulubionej skorupki ciasta.

Gideon pokręcił głową.

– Nie, przenieśliśmy się tu po rozwodzie rodziców. Miałem dziesięć lat. Wcześniej mieszkaliśmy w Bristolu, w Bedminster, ale potem mama dostała pracę w Szpitalu Głównym w Weston. Jest pielęgniarką.

– Moja mama też była – powiedział Pete. – Zmarła kilka lat temu.

Gideon lekko się speszył, widać nie był pewien, czy wypada składać kondolencje po tak długim czasie. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy przerywanej wreszcie przez Pete'a:

– Lubisz piłkę? – zapytał.

– Uwielbiam. – Uśmiechnął się do Marthy porozumiewawczo, jakby wiedział, że to właśnie należało powiedzieć.

– Komu kibicujesz?

Przez moment wszyscy czekali, aż Gideon poda nazwę ulubionej drużyny Pete'a.

– Roversom. – Gideon spojrzał Pete'owi prosto w oczy, po czym wybuchnął śmiechem. – Żartuję. Bristol City.

– Swój chłop! – rozpogodził się Pete.

Martha parsknęła śmiechem. Widocznie wcześniej dobrze go przygotowała.

– Chociaż w tym sezonie nie idzie im najlepiej – ciągnął Pete.

Gideon pochylił się naprzód.

– Grają każdy na siebie, to jest główny problem. Zachciało im się gwiazdorzyć, zamiast grać razem jak zespół.

Pete pokiwał głową.

– Prawda, ale klimat gry zespołowej musi przyjść od góry, a nie ma go komu zbudować. Powinni sprowadzić z powrotem Russella Osmana. Wielki Russ wiedział, co robi. – Posłał córce pełne aprobaty mrugnięcie.

Jacks skręcało w środku. Nałożyła jedzenie dla Idy na powlekaną tacę

i pośpieszyła na górę. Uśmiech znikł z jej twarzy, gdy tylko wyszła z kuchni. Sympatyczny chłopak, dobrze wychowany. I jak miło, że pomyślał o kwiatach. Ale ona w skrytości ducha liczyła, że się podłoży. Teraz, kiedy Pete najwyraźniej zapałał do niego sympatią, będzie jeszcze trudniej trzymać go z dala od Marthy.

Otworzyła drzwi sypialni Idy nogą.

– Proszę bardzo, mamó. Zapiekanka z mięsem, groszkiem i ziemniakami. Wcale nie gorąca. Zjedz, ile możesz. Pokroiłam ci na małe kawałeczki. Daj, pomogę ci.

Włożyła matce łyżkę do ręki i patrzyła, jak Ida podnosi jedzenie do ust, rozmazuje je sobie na dziąsłach i upuszcza większość na tacę.

– Martha zaprosiła dziś kolegę na kolację. Chłopaka! Możesz uwierzyć? Kto by pomyślał, mamó. Wydaje się, jakby dopiero co szła pierwszy raz do szkoły, a tu już koniec za pasem. Czuję się strasznie staro.

Ida wypuściła z ust strużkę lepkiej, zielonej mazi, która ściekła jej po podbródku. Zawsze robiła wokół siebie chlew przy jedzeniu. Właściwie przy wszystkim robiła wokół chlew i nigdy nie kwapiła się sprzątać. Pod koniec swojego życia Don wpadł na tym punkcie w obsesję. Zaczął traktować każdą najmniejszą czynność z chorobliwą wręcz dokładnością. Do perfekcji doprowadził sztukę trzymania bochenka chleba w miejscu, żeby odkrawać jak najrówniejsze kromki. Taką samą manią stał się dla niego kawałek trawy za domem, nie więcej niż metr na metr, nigdy niezaśmiecony ani jednym chwastem czy opadłym liściem, na który mówiło się litościwie „trawnik”. Jacks zrozumiała potem, dlaczego przykładał taką wagę do tych drobiazgów – bo mógł. Nie potrafił sprawić, żeby żona odnosiła się do niego z większą serdecznością albo żeby nie rozsiewała brudnych biustonoszy na widoku, więc cieszył się tym, że jego grzanki są idealnie symetryczne, a trawnik nienagannie zadbany. Teraz Jacks to wiedziała.

- Wyjeżdżam – obwieściła Ida z pełnymi ustami.
- O, wspaniale. Tylko dokończ najpierw kolację przed odjazdem.
- Muszę odnaleźć mój list.
- Nie zapomnij przysłać mi pocztówki i przywieźć fajnego lizaka. – Jacks się uśmiechnęła i wyszła z pokoju, zostawiając otwarte drzwi.

Zbiegła truchtem po schodach i przystanąła w holu, słuchając, jak gość bryluje przy stole.

– Zrobiłem rozpoznanie. Nikt nie oferuje tego, co ja chciałbym robić, po przystępnych cenach. Akcesoria do karoserii i dodatkowe bajery najczęściej są przewidziane dla luksusowych modeli. A ja sądzę, że wielu ludzi z samochodem niższej kategorii chętnie skusiłoby się na przeróbki, gdyby ich było stać. Podświetlana deska, głośniki niskotonowe, pluszowe obicie dachu, wszystko!

- Widzę, że masz to dobrze przemyślane. – Pete był pod wrażeniem.
- Tak. Nie chcę, żeby moje zarobki zależały od czyjegoś widzimisie. Chcę sam być swoim szefem i pracować na siebie, a potem się zobaczy.

Usłyszała westchnienie Pete'a.

- Ba! Być swoim szefem... Kto by nie chciał.

Jacks zajęła miejsce przy stole i spojrzała na Marthę zapatrzoną w Gideona jak w obraz, chłonącą każdy jego najdrobniejszy gest. Serce jej stanęło. Ta dziewczyna go kocha. Rozpoznała ten tęskny, przepojony uwielbieniem wzrok. A młodzieńcze zadurzenie i miłość to dwie różne rzeczy.

Odprowadzili Gideona do drzwi, po czym Martha pomknęła z rozmarzonym uśmiechem do siebie, a Pete sięgnął po ściereczkę i wycierał naczynia zmywane przez Jacks.

- Całkiem miły chłopak. Grzeczny, pracowity i bardzo pomysłowy.

Z tego, co się rozeznał, wychodzi, że takie ponadstandardowe usługi naprawdę mogą mieć przyszłość. Wyraźnie wie, o czym mówi.

– On mówi o tym, żeby zostać w Weston-super-Mare na resztę życia, patrzeć, jak kolejne sklepy zamykają się jeden po drugim, mieszkać w rozwalającym się domu, na który i tak ledwo go będzie stać, aż obudzi się pewnego ranka i stwierdzi, że jest stary i siwy! I jeżeli mu na to pozwolimy, to wciągnie w to bagno i Marthę! – zapieniła się Jacks.

Pete stanął jak wryty.

– Jak ja wciągnąłem ciebie, chcesz powiedzieć? – Twarz mu poczerwieniała, a w oczach odbiła się przykrość. Jacks ogarnął wstyd.

– Nie! – Urwała, niepewna, ile powinna ujawnić. – To nie tak. Wiesz, że kocham ciebie i dzieciaki. W naszym przypadku sprawa była inna. Ale... Ja po prostu chcę dla niej jak najlepiej i czasami... Czasami mam wrażenie, że jestem jedyna. Jakbyście wszyscy mieli głowy zakopane w piasku, a tylko ja jedna widziała, co się wokół dzieje. – Z powrotem zanurzyła ręce w pianie, szorując resztki zapiekanki, które przywarły do blachy.

– Bardzo miło to słyszeć. Wielkie dzięki, Jacks. Ty to wiesz, jak z przytupem zakończyć miły wieczór. – Pete cisnął ściereczkę na suszarkę i poszedł na górę.

– Kłóćcie się z tatą o mnie? – zapytała Martha od progu.

– Tak jakby. – Jacks osuszyła dłonie.

– Wiedziałam, że on ci się nie spodoba. Mówiłam przecież, prawda? – stwierdziła Martha płaczliwie.

– Nieprawda. Spodobał mi się. Bardzo mi się spodobał. Sympatyczny chłopak...

– Bardzo sympatyczny – pospieszyła z zapewnieniem Martha.

Jacks kiwnęła głową.

– Ja tylko...

– Co? – Marta założyła ręce na piersi, gotowa do odparcia ataku.

– Nic, kochanie. Nic. Co ja w ogóle wiem?

Przeszła obok córki i udała się do łazienki, jedyne pomieszczenia w domu, gdzie mogła zamknąć drzwi i побыć trochę sama.

Usiadła na podłodze, pozwalając, aby chłód kafelków przeniknął jej przez dżinsy do kości. Popatrzyła na umywalkę, na której Martha ustawiła szampon i odżywkę do góry nogami, żeby wydusić z nich jedno mycie więcej. Ten żałośnie gospodarny gest przeppełnił czarę goryczy. Dałaby wszystko, żeby jej dzieciom lepiej się powiodło. Żeby mogły się wylegiwać w wannie z bąbelkami, nie zważając, ile zużywają ciepłej wody, i myć włosy bez potrzeby wyskrobywania resztek promocyjnego szamponu.

Jacks ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się. Dlaczego tak musi być? Miała do siebie żal, że uraziła Pete'a, który zrobił, co mógł, żeby Gideon poczuł się u nich dobrze. Siedziała tak długą chwilę, próbując się uspokoić. Wzięła dwa głębokie oddechy i wytarła oczy.

Nie minęło pięć minut, gdy do drzwi załomotał Jonty.

– Ma-mo?

– Tak, kochanie? – odparła dziarskim głosem, odzyskując panowanie nad sobą.

– Muszę kupę!

– Jakżeby inaczej. – Jacks wstała, uśmiechnęła się i otworzyła drzwi, osuszając sobie twarz ręcznikiem.

Jonty wpadł do środka, zderzył się z nią w progu i ściskając w rękach już rozpięte spodnie, przestępował z nogi na nogę. I to by było na tyle, jak chodzi o jej czas dla siebie. Pora dokończyć zmywanie. Wyszła z łazienki i poszła zajrzeć do Idy. Drzwi były zamknięte. Jacks zapukała lekko, co jej się czasem zdarzało, i wsunęła głowę do środka. Pościel na łóżku leżała rozrzucona, ale z zaskoczeniem stwierdziła, że nie ma w niej starszej pani.

– Mamo? – Zajrzała za drzwi i obeszyła łóżko, żeby sprawdzić, czy matka nie stoczyła się czasem na ziemię, czego Jacks zawsze się obawiała. Wychyliła się przez barierkę nad schodami.

– Pete? Czy mama jest na dole?

– Nie. Chyba nie.

– To dziwne. – Zapukała do pokoju dzieci.

– Nie ma u was babci? – zapytała Marthę, która leżała na łóżku z kolanami podciągniętymi do góry i książką na udach.

– Nie. – Martha wzniosła oczy na sufit z irytacją.

Jacks zbiegła na dół.

– Pete? – zawołała. Wcześniejsze nieporozumienie zeszło na dalszy plan, jak zawsze w obliczu większego zagrożenia. Wyszedł do niej z salonu. – Nigdzie jej nie ma! – powiedziała z nutą paniki w głosie.

– Może jest w łazience?

– Byłam przed chwilą. Jonty tam teraz siedzi.

– Patrzyłaś u dzieci w pokoju?

– Nie ma. – Potrząsnęła głową.

– A u nas w sypialni?

– O Boże! – roześmiała się z ulgą. Dopóki było jeszcze miejsce, którego nie sprawdziła, ciągle istniała szansa, że to fałszywy alarm. – Nie patrzyłam.

Pomknęła z powrotem na górę, rozbijając palec o schodową listwę.

– Cholera! – wymruczała, kuśtykając do drzwi sypialni, i zapaliła światło.

– Mamo? – Zatrzymała się przed pustym łóżkiem, po czym otworzyła drzwi do szafy, w której obok stosu kartonów, walizek i starych ubrań nie zmieściłoby się nawet pudełko na buty, a co dopiero mówić o człowieku. *Co się, u diabła, dzieje?*

Jacks zeszła na dół w chwili, gdy Pete wrócił z ogrodu, z zatroskaniem

potrzęsając głową.

– Sprawdź na ulicy – powiedział i sięgnął po kurtkę wiszącą na poręczy. Przez okno Jacks widziała, jak rozgląda się w obie strony na chodniku, po czym stuka do drzwi sąsiadów.

– Gdzie jesteś, mamó? – wyszeptała, starając się zdusić rosnące przerażenie. Jeszcze raz obeszła cały dom, zaglądając pod łóżka, do szaf, sprawdzając kąty za drzwiami i za zasłonami, jakby to była zabawa w chowanego. Ida przepadła bez śladu, a na pewno nie było jej w domu.

Jacks snuła się po kuchni, aż usłyszała Pete’a w korytarzu. Jego mina mówiła sama za siebie.

Zasepiony, pokręcił głową.

– Ivor wyszedł ze mną. Sprawdziliśmy całą ulicę i popytaliśmy u sąsiadów. Nic. Dzieci wzięły latarkę i poszły na obchód po okolicy. Nie martw się, powiedziałem im, żeby trzymali się razem.

– Gdzie ona jest, Pete? – zapytała Jacks, jakby znał odpowiedź.

– Nie wiem, kotku. Niemożliwe, żeby była daleko, ale myślę, że powinniśmy zadzwonić na policję.

– Naprawdę? – Oddech Jacks stał się krótki i urywany.

– Znajdą ją łatwiej niż my.

– Ale Pete, przecież ona ledwo może chodzić. Zupełnie nie rozumiem. Jakby się rozplynęła w powietrzu. – Usiadła na dolnym stopniu i rozpłakała się.

Pete ścisnął ją za ramię, sięgnął po telefon i wystukał numer.

Czternaście

Dziewiętnaście lat wcześniej

Jacks siedziała w piżamie na schodach, przytrzymując słuchawkę brodą i owijając sobie kabel telefonu wokół ręki, i słuchała opowieści Svena o tym, jak się urządzą w Bostonie. Z nogami wyciągniętymi na stosie czystego prania, które jej matka kilka dni wcześniej zebrała ze sznurka, ale nie zdążyła wynieść na górę, potakiwała i uśmiechała się w odpowiednich miejscach.

– Są tam świetne teatry i muzea, no i Franklin Park Zoo oczywiście. Będziemy chodzić na długie spacery i jeść zupę z małży w najlepszych restauracjach.

Jacks zmarszczyła nos na wspomnienie o małżach, ciekawa, czy w Bostonie wyglądają tak samo jak te sprzedawane na stoisku rybnym przy Marine Parade.

– Brzmi nieźle – rzekła z uśmiechem.

– Nieźle? Mało powiedziane, będzie genialnie! – Sven kipiał entuzjazmem.

– Tak – zgodziła się. – Będzie genialnie!

– Powiedziałaś im? – zapytał.

Jacks potrząsnęła głową.

– Nie – odparła szeptem. Nie miała pojęcia, jak oznajmić rodzicom, że wyjeżdża, i poprosić o pieniądze na bilet. – Spróbuję dziś wieczorem... – Przygryzła usta.

– Tak! Dobrze! Zrób to! Lepiej zapytać ich teraz, to nam da więcej czasu na przygotowania. – Wydawał się tak spokojny i pewny siebie, że sama

nabrała nadziei na powodzenie ich planu.

Skończyła połączenie i wyobraziła sobie, że idzie do salonu porozmawiać z mamą. Spodziewała się, że początek będzie najtrudniejszy. Gdy Don wrócił z pracy, Jacks nadal tkwiła na schodach, obmyślając, co ma powiedzieć.

Tata wszedł do domu i machnął ręką w jej stronę. Poruszał się ostrożnie, jakby wymykał się gdzieś bladym świtem. Miał cienie pod oczami i zwichrzone, zakurzone włosy. Jakiś czas temu powiedział jej, że pracuje teraz w dwóch miejscach.

Oparł się ciężko o framugę drzwi, ubrany w kurtkę roboczą ze skórzanymi wstawkami na ramionach i wzdłuż rękawów. Kiedy była mała, zapytała go: „Dlaczego to się nazywa ośła kurtka?”, na co Don wyprężył się, pogładził skórzane listwy i odparł: „Bo zrobiona jest z najwyższej klasy ośła”. Dopiero kiedy jej usta wygięły się w drżącą podkówkę, wybuchnął głośnym śmiechem i powiedział: „Nie mam pojęcia, skarbie. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to dlatego, że ci, którzy muszą ją nosić, harują jak dziki osioł, i nie mam tu na myśli dreptania po molu z tłustymi dziećmi na grzbiecie!”.

Jacks odmachnęła mu, patrząc, jak uwalnia stopy z ciężkich butów roboczych i zdejmuje skarpetki. Uszczypnął ją w policzek między słupkami poręczy i uśmiechnął się. Był to długi, powolny uśmiech, jakby jej widok dopiero uświadamiał mu, po co się tak męczy. Zdusiła w sobie skruchę na myśl o tym, że ma go zostawić dla bostońskich muzeów oraz zupy z małży.

– Kolację masz na stole – rzuciła Ida z fotela przed telewizorem, a zza głosu spikera przebiła przygrywka serialu *Kavanagh QC*.

Jacks otrząsnęła się z roztaczanych przez Svena wizji i skupiła się na tym, co mówił teraz tata.

– O, jak fajnie, dziękuję. Konam z głodu.

Słyszała, jak swoim zwyczajem szoruje ręce w zlewie, używając płynu do

mycia naczyń, żeby rozpuścić brud zebrany za paznokciami i doczyścić pokryte bujnymi włoskami dłonie. Jacks nie mogła znieść, kiedy wracał taki wygłodzony. Nie lubiła dopuszczać do siebie myśli, że tata był brudny i głodny. Zdjął kurtkę i powiesił ją na kołku po wewnętrznej stronie drzwi schowka pod schodami, który zawsze zalatywał starym dywanem i pleśnią.

Przez wejście do salonu widziała, jak przystanął na chwilę, bo coś na ekranie przykuło jego uwagę, po czym podwinął rękawy ocieplanej bluzy i wziął do rąk nóż i widelec naszykowane przez Idę. Na talerzu piętrzyła się góra pasterskiej zapiekanki i pokrojonej w kostkę marchewki. Wbił widelec w placek ziemniaczany i podniósł do ust.

– Fuj! – błyskawicznie wypluł wszystko w garść i podszedł do drzwi kuchennych, gdzie na klamce wisiała reklamówka służąca im chwilowo za śmietnik. Opróżnił dłoń nad torbą i popatrzył na żonę nieodrywając wzroku od telewizora.

– Ida, to jest kompletnie zimne! – rzekł podniesionym głosem.

Jacks przycisnęła do ucha słuchawkę, udając pogrążoną w rozmowie i nieświadomą zgrzytu między rodzicami. Była już prawie kobietą, ale wciąż tęskniła za poczuciem domowego ciepła tak samo, jak kiedy miała sześć lat. Pragnęła, żeby w domu wszyscy byli szczęśliwi.

Patrzyła, jak mama zsuwa na podłogę podwinięte pod siebie stopy i nachyla się powoli nad stołem.

– Zaraz coś się poradzi – wymruczała z uśmiechem.

Zrobi, co trzeba, pomyślała Jacks, zdjęta ogromną ulgą. Odgrzeje tacie kolację jak zawsze, na aluminiowej tacce ustawionej na garnku z gotującą się wodą.

Z przerażeniem patrzyła, jak matka gwałtownie zgarnęła talerze ze stołu, gubiąc kawałki marchewki, podeszła do reklamówki na drzwiach i wyrzuciła do niej całą zawartość.

– Jak chcesz jeść ciepłą kolację, to wracaj w porze kolacji. Proste. – Hałaśliwie odstawiła talerz do zlewu. Następnie wróciła na fotel i znów wbiła wzrok w ekran.

Jacks siedziała wstrząśnięta, z falującą piersią. Miała ochotę pójść tam i krzyknąć na mamę, że to nie jego wina. Cały dzień spędzał na dworze i urabiał sobie ręce po łokcie tylko dla nich. Ale nie chciała mieszać się w ich sprawy. Co więcej, zaciśnięte usta mamy i milczenie taty nie wróżyły niczego dobrego.

Don podniósł głowę i pochwycił smutne spojrzenie córki. Posłał jej wymuszony uśmiech, jakby chciał powiedzieć: „Nie ma się czym przejmować, rozmarzona laleczko. Wszystko jest w porządku”.

– W takim razie pójde się wykąpać i kładę się do łóżka. – Ruszył ku schodom.

– Powodzenia. Nie ma ciepłej wody – stwierdziła mama niemal z satysfakcją. Włożyła do ust papierosa i potarła zapałkę.

Don obrócił się w drzwiach, zasłaniając Jacks widok, ale mimo że zniżył głos, słyszała, jak powiedział:

– I ty potem się zastanawiasz, dlaczego...

– Nie, ja się nie zastanawiam dlaczego! Ja *wiem* dlaczego! Mam mnóstwo czasu, żeby siedzieć tu i rozmyślać dlaczego!

Jacks odwiesiła słuchawkę, bo nagle zapragnęła być gdziekolwiek, byle dalej stąd. Cicho wycofała się do swojego pokoju. To nie był dobry moment, żeby o coś ich prosić.

Piętnaście

Gina zamachała radośnie, gdy Jacks wprowadziła fotel na kółkach Idy do kawiarni przy promenadzie i przemknęła między stolikami, żeby usiąść z nimi.

– Jezu, ale ziąb. – Jacks poluzowała matce szalik i rozpięła płaszcz, po czym zamówiła dwa gorące napoje. W środku panował gwar, a zapach grzanek i świeżo parzonej kawy sprawiał miły i przytulny nastrój. Goście zbili się wokół stolików na obwieszonych paltami i szalami krzesłach. Nikomu się nie spieszyło wychodzić z powrotem na dwór.

W powietrzu unosił się zapach cynamonu, od którego Jacks zawsze mdliło. Pod sufitem wisiały łańcuchy z czerwonej i zielonej bibułki, a w oknach migotały srebrne śniegowe płatki przyklejone do szyb. Na zewnątrz tłumy przechodniów kłębiły się w gorączce przedświątecznych zakupów.

– Słyszałam o pani przygodach wczoraj w nocy. – Gina uśmiechnęła się do mamy Jacks. – Poszła pani potańczyć? Następnym razem proszę mnie wziąć ze sobą.

– Jezu, Gi, teraz już mogę się śmiać, ale wierz mi, to była najdłuższa godzina w moim życiu. Odchodziłam od zmysłów. Wiedziałam, że nie mogła odejść za daleko, ale wiesz, jak to jest, kiedy nie rozumujesz przytomnie, a wyobraźnia podsuwa ci same najgorsze wizje.

– Wiem, wiem, mam to na co dzień. – Gina skrzywiła się pociesznie. – No, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Jacks zaśmiała się, chociaż krew ścinała się jej w żyłach na wspomnienie minionego wieczoru. Młody policjant usiadł przy stole w kuchni, odłożył czapkę na bok i wyciągnął notes.

– A więc chodzi o panią Idę Morgan, lat osiemdziesiąt jeden?

– Tak – potwierdziła Jacks. – Ma demencję, jest słaba i zagubiona. A teraz robi się późno, jest ciemno i zimno. W domu został jej płaszcz. – Zaczęła drzeć na kawałki miętoszoną w palcach chusteczkę.

– Czy ma przy sobie telefon?

– Nie. – Mama nie była w stanie otworzyć pudełka biszkoptów, a co dopiero obsługiwać komórki. – Nie ma.

– W jakiej jest kondycji? – Policyjna ręka z długopisem zawisała nieruchomo w powietrzu.

– Może chodzić, ale z dużym trudem i nie jest w stanie pokonać dużych odległości. Daje radę przejść z pokoju do łazienki albo z kuchni do wyciągu na schodach, ale przy większych dystansach, na przykład na zakupach, przemieszcza się na wózku.

– Ma jakieś hobby? Może uprawia sport albo należy do jakiegoś kółka?

Jacks spojrzała na Pete'a, po czym przeniosła wzrok znowu na policjanta. *Żartujesz sobie, czy co? Jaki sport miałyby uprawiać, do cholery?* Wetknęła paznokiec w usta.

– Nie. Jak już mówiłam, z trudem się porusza. Czy nie powinniśmy jeszcze raz się rozejrzeć? – Odsunęła krzesło, zniecierpliwiona, żeby tylko coś zacząć robić.

– Już prawie skończyłem. Ma jakichś znajomych?

To pytanie ją zabolalo. Pokręciła głową i krzyknęła:

– Nie! Nie ma żadnych znajomych. Ma tylko ludzi, którzy się nią zajmują, ale nie ma żadnych znajomych.

Pete wziął ją za rękę i uściskał krzepiąco.

– Ile czasu minęło, odkąd widziała ją pani ostatni raz, do chwili, kiedy okazało się, że zniknęła?

– Może z godzina. – Jacks potrząsnęła głową. *Dlaczego nie zajrzałam do niej wcześniej? To wszystko przeze mnie. Miałam się nią opiekować. Obiecałam.*

– Nie zachowywała się jakoś inaczej? Może była zdenerwowana?

– Nie. Przyniosłam jej kolację, a wtedy powiedziała, że musi wyjechać.

– Ach tak? Czyli powiedziała pani, że się gdzieś wybiera? – Policjant zdawał się lekko skołowany.

– Tak, ale przecież nie mówiła poważnie! Przez większość czasu sama nie wie, co mówi! – Jacks miała już dosyć jego durnych pytań i chciała, żeby coś zrobił. – Mieliśmy gościa na kolacji, może trzeba z nim porozmawiać! – Popatrzyła na Pete’a.

– A co on ma do tego? – zdziwił się Pete.

– Nie wiem! – wybuchnęła Jacks. – Nic lepszego mi nie przychodzi do głowy. Gdzie ona może być?

U drzwi rozległ się dzwonek. Jacks wypadła do holu i szarpnęła za klamkę, stając oko w oko z mamą wspartą na ramieniu Angeli.

Na samo wspomnienie Jacks przebiegł nagły dreszcz. Przeniosła wzrok na Ginę.

– Dowiedziałam się, że Angela wyskoczyła na chwilę ze śmieciami i kiedy wróciła, znalazła mamę, jak grzebie u Ivora w biurku, rozsiewając papiery po całym pokoju. Podobno powiedziała, że szuka czegoś, co tam zostawiła. Nie mam pojęcia, o co jej chodziło. Policjant był bardzo miły, ale i tak czułam się strasznie głupio.

Gina zmarszczyła brwi.

– Dziwne, że poszła szperać u ludzi po domach. To do niej niepodobne. Jak nic szuka tego swojego przeklętego listu!

– Rany, Gi, o tym nie pomyślałam! Wiesz, że możesz mieć rację? Ale i tak czuję się okropnie. Powiedziała mi, że planuje wyjechać, a ja zbyłam ją

żartem, nie wzięłam jej słów na poważnie.

– Nie zadręczaj się. – Gina łyknęła kawy. – Może trzeba by ją zaczipować?

– Gina, to nie jest pies!

– Wiem przecież! Chodzi mi tylko o coś w stylu wykrywacza lokalizacji, rozumiesz?

– Gołębiem też nie jest! – Jacks roześmiała się z nieudolnych porad przyjaciółki.

– Co tam masz? – zmieniła temat Gina, zaglądając do obszernej reklamówki wiszącej na poręczy wózka, z której wyglądało okazałe pudło.

– Nie śmieć się, ale kupiłam Marcie toster pod choinkę. Nie wiem, jakie są warunki w Warwick w akademiku, ale pomyślałam, że może jej się przydać, gdyby wróciła głodna po wykładach. Może sobie na szybko zrobić w pokoju grzanki i mieć coś na przekąskę dla znajomych.

– Bardzo dobry pomysł. – Gina wrzuciła sobie kwadratowe ciasteczko do ust i obróciła się w kierunku Idy. – Dobrze pani wygląda mimo wczorajszych przygód. Cieszy się pani na święta?

– Mam skarb! – oświadczyła Ida. – Dostałam go od taty i trzymam od dawna w ukryciu!

– Naprawdę? Uwielbiam skarby. – Gina poklepała ją po ręce.

– Nie wolno ci czytać mojego listu! Słyszysz? Zabraniam ci! – wykrzyknęła Ida.

– Nie bój się, mamo. Nikt poza tobą nie weźmie go do ręki, obiecuję ci. Starsza pani wyglądała na uspokojoną.

– Don ma tutaj przyjść? – zapytała z niecierpliwością.

– Nie. Nie przyjdzie tu – odparła Jacks łagodnie.

– Może ten list, na który czeka twoja mama, idzie drogą morską –

podsunęła Gina.

Jacks zachichotała. Gina zawsze potrafiła rozbawić ją jak nikt.

– Może masz rację.

– Nie żartowałam, że twoja mama bardzo dobrze wygląda. Ty natomiast... – Gina cmoknęła z przyganą.

– Co? – Jacks wyprężyła się na krześle.

– Wyglądasz jak z krzyża zdjęta!

– Oj, Gi, przestań mi tu kadzić i mów prosto z mostu – roześmiała się Jacks.

– Za długo cię znam, żeby ci jeszcze kadzić. Wyglądasz na wykończoną.

– Tak, już to słyszałam. Naprawdę nie wiem, dlaczego wszystkim się wydaje, że muszą mi o tym powiedzieć. Jakbym sama nie wiedziała, jak bardzo jestem zmęczona. Wierz mi, wiem doskonale. Ledwie żyję! A od tych komentarzy czuję się jeszcze gorzej.

– Powtórzę tylko to, co powiedziałam już z milion razy wcześniej: musisz znaleźć pomoc do opieki nad mamą. Nawet dorywczo, chociażby na tydzień. Mówię ci, że to wszystko zmieni. Ona nie zauważy, a ty potrzebujesz wypocząć.

Jacks potrząsnęła głową.

– Pamiętasz, co się działo, jak raz sprowadziliśmy kogoś do pomocy. Dostała histerii i nie pozwoliła nic przy sobie zrobić. To nieuczciwe ani w stosunku do niej, ani do opiekunki.

– To poszukaj kogoś innego.

– Nie. Obiecałam tacie i dotrzymam słowa.

– Jacks, znałam twojego ojca niemal od urodzenia. – Gina zakręciła kawą w filizance. – Był uroczym człowiekiem i założę się, że nie chciałby, żebyś się tak mordowała. Tego jestem pewna.

– To nie takie proste. Ona się denerwuje w nowych sytuacjach i przy nieznanym. Poza tym to kosztuje, i to całkiem sporo. – Jacks popiła latte.

– To weź trochę ze spadku! Po to jest, żeby ułatwić życie!

– Może.

– „Może” znaczy „nie” – prawie krzyknęła Gina.

Jacks roześmiała się, bo Gina znów miała rację.

– Powiedziałam ci już, że chętnie ją wezmę do siebie na noc albo na weekend.

– Dzięki, Gi, ale nie mogę ci jej zwalić na głowę. Poza tym lepiej się czuje w domu, gdzie wszystko dobrze zna.

– W każdym razie propozycja jest nadal aktualna. Nieważne, zmienimy temat. Myślałaś o tym, żeby pojechać spotkać się ze Svenem?

Jacks rozejrzała się, jakby w obawie, że ktoś mógłby usłyszeć, choć naturalnie nikt nie zwracał na nie uwagi.

– Nie!

– A powinnaś – przycisnęła Gina.

– Czy ty naprawdę chcesz mi narobić kłopotów? – wyszeptała Jacks.

– Nie, po prostu myślę, że musisz podomykać pewne sprawy. Widziałam twoją reakcję na widok jego zdjęcia. Najwyraźniej to dla ciebie ważne i masz niepowtarzalną okazję, żeby skończyć to raz na zawsze. I pozamiatane!

Zachichotały obie jak para nastolatek.

– Nie mogę tak po prostu pojechać sobie na dzień do Londynu! Co mam powiedzieć dzieciom i Pete’owi? Nigdy ich nie okłamywałam i nie mam zamiaru zaczynać.

Gina popadła w zadumę.

– A co, gdybyś nie musiała kłamać? Powiedzmy, że wyciągnęłabym cię na jednodniowe zakupy w wielkowiejskiej dżungli akurat w czasie pewnej

wystawy, na której przypadkiem znalazłby się pewien szwedzki mądrala w staromodnym sweterku?

Na myśl o tym, że mogłaby znowu go zobaczyć, Jacks ścisnęło w żołądku.

– No nie wiem...

– To zastanów się i daj mi znać, przygotuję grunt. Nikt się o niczym nie dowie, tylko ty i ja! Zobaczysz, będzie fajnie!

– A kto zostanie z mamą przez cały dzień?

– Już mówiłam, wynajmij pielęgniarkę albo opiekunkę. Są agencje, gdzie można zamówić pomoc na godziny. Chyba nic się nie stanie, jak zostawisz ją na jeden dzień? Na pewno jest ktoś, kogo zaakceptuje. Nawet dobrze by jej zrobiło nowe towarzystwo. Nieustanne patrzenie na twoją steraną twarz musi ją mocno dołować!

– Pomyślę o tym.

– Już lepiej. „Pomyślę o tym” zwykle znaczy „tak”!

Jacks znów wybuchnęła śmiechem, bo kolejny raz Gina trafiła w dziesiątkę.

– Aha – podjęła Gina – Pete powiedział Robowi, że Martha przygruchała sobie jakiegoś młodzieniaszka!

– Tak. Chociaż nie taki z niego znowu młodzieniaszek, ma dwadzieścia lat i pracuje w warsztacie w centrum miasta. Ma na imię Gideon.

– Nawet nie muszę pytać, co o tym wszystkim myślisz! – roześmiała się Gina. – Wyglądasz, jakbyś przełykała dżdżownicę. I ten głos! Plujesz żywym jadem. Biedny chłopak. Jeszcze go nie poznałam, a już mi go żal!

Jacks potarła oczy.

– Jejku, nie chodzi o to, że mam coś do niego. Nie chcę nikogo stąd. Chcę, żeby wyjechała i zrobiła coś ze swoim życiem, a nie gniła tutaj.

Gina przyjrzała się jej.

– Ponoć na bulwarze nie odrywają się od siebie nawet na sekundę i zapewniam cię, że nie tańczą walca. Musisz pozwolić sytuacji samej się rozwinąć.

– Pete kazał ci to powiedzieć?

– Nie, ale gdyby to zrobił, zgodziłabym się, bo taka jest prawda. Zadręczasz się bez powodu. Wspomnisz moje słowa, za miesiąc po Gideonie nie zostanie śladu, a Martha będzie leżeć na łóżku, wylewając nad sobą łzy, i odkurzać plakat z Justinem Bieberem.

– Obyś miała rację. – Jacks dopiła resztkę swojej kawy.

– Zwykle mam – uśmiechnęła się Gina. – Zapytaj mojego męża.

Ida odwróciła się i poruszyła ustami, jakby coś chciała powiedzieć, a jej palce otwierały się i zaciskały gorączkowo. Jacks pomogła jej podnieść do ust filiżankę. Starsza pani pociągnęła łyk, po czym przemówiła z taką przytomnością, że obie przyjaciółki aż zaniemówiły:

– Zmarnowałyśmy całe życie, siedząc tak i czekając na niego dzień po dniu. Dobrze jej z tym było? Nie wydaje mi się. Bardzo wątpię, że była szczęśliwa.

Gina i Jacks spojrzwały po sobie, nie wiedząc, o kim mówi.

– Nie będziesz chyba w tym chodził! – zgorszyła się Jacks, podnosząc głowę znad sterty obieranych ziemniaków.

– Dlaczego? – Pete zaszedł ją z boku i zapalił sobie nos i rogi renifera na brzuchu. – Kiedy miałbym nosić mój świąteczny sweterek, jeżeli nie w Boże Narodzenie?

Jacks roześmiała się.

– Wyglądasz jak ostatni oszołom.

– Myślałam, że w tym domu nie wolno się przezywać. – Martha weszła

do kuchni i usiadła przy stole.

– W Boże Narodzenie zawieszamy zasady! Mogę mówić na tatę „oszołom”, a ty możesz mi nalać duży kieliszek wina, które będę popijać, przyrządzając obiad.

– Alkohol w ciągu dnia? – Martha cmoknęła z potępieniem.

– Tak. I może nawet zjem dwie porcje puddingu, kto to wie.

– Ja też mogę dostać dwie porcje puddingu? – zaświergotał Jonty z korytarza, gdzie wypróbował swój zdalnie sterowany samochód.

– Oczywiście – potwierdziła Jacks.

– Skoro on może zjeść podwójny pudding, to czy ja mogę napić się wina?
– zapytała Martha, napełniając kieliszek dla matki.

– Możesz. – Jacks znów kiwnęła głową.

– A czy ja mogę dostać motocykl? – spróbował szczęścia Pete.

– Nie! – Jacks zamachnęła się na niego obieraczką.

– To niesprawiedliwe! – wykrzyknął piskliwym głosem, uderzając w stół.

– Muszę mieszkać w jednym pokoju z Jaaaackie, a ona nie pozwala mi wychodzić na piwo z kolegami! – Pete opadł na krzesło naprzeciwko córki i cały się naburmuszył. – Nikt mnie nie rozuumieeee, a mój chłopak ma kretyńskie iiiiimieęę! – zawył.

– Bardzo śmieszne. – Martha ściągnęła usta, ale z trudem zachowywała powagę.

Jacks zanosila się śmiechem, opierając się przy tym o zlew.

Martha napiła się białego wina, które sama sobie nalała.

– Może i ma kretyńskie imię, ale za to zobacz, co mi kupił! – Odgarnęła włosy, demonstrując srebrny łańcuszek z drobnym, delikatnym wisiorkiem w kształcie serca. Z dumą potoczyła wzrokiem dookoła.

– Och, kochanie, śliczny. – Naszyjnik naprawdę był piękny. Widząc

uszcześliwiony uśmiech na twarzy córki, Jacks niemal zapomniała, skąd prezent pochodził.

– Ja też mogę napić się wina? – Jonty stanął w progu.

– Nie. Zjesz dokładkę deseru – przypomniała mu Jacks.

Martha popatrzyła na brata i podniosła kieliszek do ust.

– Mmm, jakie pyszne wino, lepsze niż dwa puddingi!

– W ogóle nie masz cycków! – wrzasnął na siostrę Jonty.

Jacks parsknęła winem na ziemniaki, a Pete odchylił się i zarżał tubalnym śmiechem.

– Jonty! – pisnęła Jacks. – Jak ty się odzywasz do siostry!

– Słyszałem, jak mówiła do Steph, że chce mieć większe cycki, więc powiedziałem, że u niej to każde będą większe, byle w ogóle były!

Martha natarła na niego i powaliła braciszka na podłogę, całując go i łaskocząc wśród pisków i okrzyków o pomoc. W salonie rozległ się dzwonek Idy i Pete poderwał się z miejsca.

– Ja pójdę. – Przystanął w drzwiach i objął czułym spojrzeniem całą swoją rodzinę. Jacks pochwyciła jego wzrok i uśmiechnęła się. To był dobry, bardzo dobry dzień.

Przez całe popołudnie u Daviesów rozbrzmiewały śmiechy. Indyk i dodatki udały się znakomicie, a pudding wjechał na stół z pięknym, niebieskim płomieniem. Zgodnie z wcześniejszą umową Jonty zjadł dwie porcje. Pete ani na chwilę nie zdjął podświetlanego swetra, którego żaróweczki pomrukiwały chwilowo, kiedy zdrzemnął się na kanapie z brzuchem pełnym ciasta. Przystrojona w starą biżuterię Ida rozcapierzała dłonie, przyglądając się wysadzanej kamieniami obrączce, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Jacks z uśmiechem patrzyła na uszcześliwioną buzię Jonty’ego, który nie mógł się nasycić przyniesionym przez mikołaja zdalnym samochodem, zachwycając się jazgotem silnika przy ruszaniu

i wycofywaniu. Pomyślała, że niedługo trzeba będzie ruszyć zaskórniaki. I że ciężko go będzie oderwać, kiedy przyjdzie pora iść spać.

Siedziała na podłodze, podjadając leniwie czekoladki, na które nie miała ochoty, ale leżały pod ręką, i obojętnie zerkała na świąteczny film. Co jakiś czas popatrywała na dziwnie milczącą Marthę. Na poduszce przy niej co chwilę ćwierkał telefon, za który łapała natychmiast i gorączkowo wystukiwała odpowiedź. Jacks nie musiała pytać, kto tak do niej pisze.

Wieczorem, szorując garnki, Jacks zaczęła rozmyślać o nadchodzącym roku, kolejnym roku bez taty. Pete podszedł, stanął przy niej i sięgnął po ściereczkę.

– Pomyśl tylko. Za rok o tej porze nasza córka przyjedzie z wizytą na święta i kiedy wszyscy już zasną, ja będę tu siedzieć z kieliszkiem wina w ręce i słuchać jej opowieści o studenckim życiu.

– Będziesz tęsknić, co? – szepnął Pete.

– Tak. Ale nie będę jej zatrzymywać. Musi jechać i żyć pełnią życia!

– Ale nam dziś dogodziłaś. Kolacja była na medal, wszystko wypadło świetnie. – Pete przyciągnął żonę i pocałował w usta.

– Uważaj, Pete, whisky zaszumiała ci w głowie. – Jacks przyłgnęła do męża.

– W głowie, a także w nogach! Mam ochotę potaćczyć! – Położył jej rękę na biodrze, a tę, w której trzymał jej dłoń, wystawił w bok i zakręcił nimi w kółko, po czym niespodziewanie podniósł żonę przy akompaniamencie jej radosnych pisków.

– Może położymy się wcześniej? – Spojrzał na nią z wesołymi iskierkami w oczach.

– Pod warunkiem, że zdejmiesz to paskudztwo – przekomarzała się.

– Zgoda.

Pete nachylił się znowu po drugi pocałunek, kiedy z góry dobiegł głos

Jonty'ego.

– Ma-mo! Martha się pochorowała!

Jacks położyła mężowi dłoń na piersi.

– Ile ona wypła tego wina?

– Najwyraźniej za dużo! – zaśmiał się. – Chodźmy to załatwić i spotykamy się pod kołdrą za dziesięć minut.

Jacks kiwnęła głową. Po raz pierwszy od dawna czuła się wesoła i rozluźniona, i było jej z tym dobrze. Wyrzucała sobie swoje nocne mrzonki. Nie potrzebowała przygód, przeszklonych tarasów i szampana z beczki. Wszystko, co kochała, było tutaj, pod tym małym dachem. Pociągnęła łyk Baileys, pijąc już czwartą szklaneczkę, ale kto by to dzisiaj liczył? Przecież są w końcu święta.

Szesnaście

Dziewiętnaście lat wcześniej

Jacks zawahała się chwilę przed masywnymi drzwiami. Miała niemiłe uczucie, że nie jest godna zaproszenia do tak wspaniałego domu. No i co, jeżeli po tych wszystkich latach wyobrażania sobie, jak to jest tam, w środku, teraz się rozczaruje?

Martwiła się niepotrzebnie.

– Wejdz i zamknij drzwi! – Sven wprowadził ją do dużego holu.

Spojrzała w dół na misterną mozaikę ułożoną z zielonych, brązowych i niebieskich kafli.

– Piękna podłoga.

– Podobno oryginalna epoka edwardiańska.

Podniosła wzrok na strzelisty sufit i błękitny, kryształowy żyrandol, a potem zapatrzyła się na rozłożyste schody z małymi podestami, z których gęsto rozsiane drzwi prowadziły do niezliczonych pokoi, zbyt wielu jak dla jednej rodziny.

– Piękny dom!

Wystrój prezentował się bardzo oszczędnie. Żadnych bibelotów i frędzli. Wszystko było proste i estetyczne.

– W sumie to nie jest nasz. Tylko go wynajmujemy, ale urządziliśmy go po swojemu. – Sven wzruszył ramionami i otworzył drzwi wiodące do kuchni. – Rozbierz się i połóż gdzieś torbę. Chyba że masz zamiar zabrać się do lekcji?

Z uśmiechem zsunęła płaszcz.

– Międzynarodowy Fundusz Walutowy? Nie, dziękuję.

Sven rozpromienił się, widząc, że się odpręży i odzyskuje swobodę.

Hol był nieskazitelnie czysty: gładko pomalowany, o wymiecionych kątach, lśniącej posadzce i krystalicznych oknach. Na ścianach pyszniły się olbrzymie dzieła sztuki współczesnej, z których jej rodzice zwykli się naigrawać. Jacks była urzeczona.

Kuchnia na tyłach domu była nie mniej wspaniała. Jacks z zachwytem rozejrzała się po ogromnej przestrzeni wypełnionej białymi szafkami, połyskliwymi blatami i olbrzymią, amerykańską lodówką o podwójnych drzwiach. Przed oczami stanęła jej zagracona, ciasna kuchnia u niej w domu, z pełgającym światłem i poczerniałymi garnkami na ścianach, pełna stłoczonych na zakurzonych półkach słoików wypełnionych fasolą, makaronem i innymi ziarnami, całej chmary papierów, łącznie z książką telefoniczną, i starych desek do krojenia chleba walających się na każdym kroku. Zmieściłaby się tutaj chyba ze trzy razy.

Na ścianie wisiała tablica z przypiętymi notatkami po szwedzku. Przyjrzała się literom, próbując przeczytać niezrozumiałe słowa pełne dziwnych „o” i „a” z kropeczkami, których nie umiała wymówić. Przesunęła ręką po błyszczącym zlewie z dwiema komorami i wyobraziła sobie, że stoi przy lśniącej kuchence i gotuje obiad dla rodziny zebranej wokół długiego, prostokątnego stołu w otoczeniu wysokich krzeseł ze skórzanym obiciem w kolorze bladego błękitu, każde oplecione cieniątką wstążką w biało-granatową kratę. Pośrodku stał wiklinowy kosz pełen cytryn. Pomieszczenie wyglądało jak żywcem przeniesione z rubryki o stylizacji wnętrz w „Marie Claire”.

– To tutaj twoja mama robi ci klopsiki i korniszony?

– I odgrzewa pizzę! – dodał Sven z uśmiechem.

– Nie wyobrażam sobie, jak to jest mieszkać w takim dużym domu. –

Rozpostarła ręce i odchyliła głowę do tyłu. – To musi być wspaniałe mieć tyle miejsca i o nic się nie obijać! Marzę o czymś takim.

– To jedźmy do Montany. Kupimy sobie ranczo wielkości kilku tysięcy hektarów, gdzie będziesz mogła wałęsać się do woli. Będziemy mieć przestrzeni aż po horyzont, w którą stronę nie spojrzeć. A wieczorami będziemy siadać na werandzie i słuchać odgłosów zwierząt i brzęczenia owadów, patrzeć na świetliki i kołysać się w przód i w tył na bujanej ławce. I, rzecz jasna, będziemy mieć psy.

– Brzmi fajnie. – Podniosła głowę, gdy Sven zbliżył się do niej.

– Będzie fajnie. Zestarzemy się razem i będziemy wspólnie rozwiązywać krzyżówki, chodzić na spacer, uprawiać warzywa i hodować konie!

– A będziemy mieć dzieci? – Ledwo śmiała zapytać, ale przy takiej przestrzeni i ogromnym domu...

– Nie – odparł kategorycznie. – Tylko by przeszkadzały. A poza tym wcale nie są fajne. Wierz mi, kiedyś sam jednym byłem – parsknął śmiechem.

Jacks przełknęła gorycz rozczarowania, ale on musiał wiedzieć lepiej. W końcu tyle już widział i tylu rzeczy spróbował. Jego rodziców z pewnością trudno uznać za prowincjonalnych. A ona? Co ona może wiedzieć?

Podszedł do jasnoniebieskiej leżanki z pikowanym oparciem z guzikami, która stała przodem do okna z widokiem na ogród. U wezgłowia leżały dwie pękate poduszki w bladeżółte i niebieskie orientalne wzory. Sven ściągnął piętami tenisówki i położył się na kanapce. Wyciągnął rękę, sięgnął po jej dłoń i przyciągnął ją w dół ku sobie.

Zadrzała mimo panującego w pomieszczeniu ciepła i uklękła przy nim.

– Może nas ktoś zobaczyć? – Zerknęła w popłochu na okno, przez które wlewało się ostre światło słońca.

– Nie. Dalej jest tylko ogród, a na końcu mur. – Urwał. – Muszę ci coś powiedzieć. – Jego głos zabrzmiał dziwnie uroczyście.

Jacks zamarła na klęczkach i wstrzymała oddech, a on gładził ją kciukiem po ręce.

– Kocham cię. Kochałem już, kiedy się poznaliśmy, a wiedziałem, że cię pokocham, jeszcze na długo wcześniej, gdy zobaczyłem cię w szkole. – Wzruszył ramionami. – Tyle. Po prostu cię kocham!

Jacks poczuła, że na twarz wypływa jej szeroki uśmiech, a jednocześnie coś szczypie ją pod powiekami.

– Ja też cię kocham, Sven. Już na zawsze.

Ułożył się na środku kanapy.

– Jesteśmy bezpieczni? – zapytał ochryłym głosem.

– Tak – zapewniła. – Z tobą zawsze czuję się bezpiecznie. Nikt inny o nas nie wie, to jest tylko nasz sekret!

Pocałowała go, a on ujął ją od dołu za nogę i posadził na sobie okrakiem. Nachyliła się, całując go zachłannie w gwałtownym przypływie pasji. Sven odwzajemniał pieśczęty, unosząc się do góry z tą samą żarliwością. Wsunął jej ręce pod bluzkę i sprawnie rozpiął biustonosz. Nie uzgadniali tego i nie planowali, nie padło żadne pytanie ani pozwolenie. To, co się stało później, przyszło im zupełnie naturalnie. Jak najdoskonalsze, konsekwentne spełnienie ich wzajemnej miłości.

Gdy po wszystkim przytulali się, zaspokojeni, Sven przesunął jej palcami po włosach.

– Możemy sobie sprawić taką kanapę w Montanie? Ustawimy ją na tarasie i będziemy obserwować świetliki na leżąco. – Jacks uśmiechnęła się z twarzą na jego ramieniu. – Myślę, że to bardzo dobry pomysł.

– Obiecuj, że nigdy mnie nie zostawisz – wyszeptała.

Pocałował ją w czoło i osunął się błogo na poduszkę. Jacks położyła mu

głowę na piersi. Czuła się absolutnie bezpieczna i najchętniej zostałaby tak już na zawsze.

Siedemnaście

– Nie wierzę, że to robimy! – zapiszczała Jacks, gdy wsiadły do pociągu i ulokowały się na swoich miejscach, chichocząc jak nastolatki przy najdrobniejszej okazji.

Poprzednią noc i dzisiejszy poranek spędziła na krzątaniu, przyszykując dom na czas swojej całodziennej nieobecności, chociaż Pete zaoferował, że sam wszystkim się zajmie. Tyle że im większą okazywał jej życzliwość, tym bardziej gryzło ją nieczyste sumienie w związku z wypadem do Londynu. Jak kiedy wręczył jej pieniądze i przykazał kupić sobie „coś ładnego”. Próbowwała więc uciszyć poczucie winy, zostawiając wszystko jak należy. Na kuchennym stole wyłożyła dzieciom płatki i miseczki z łyżkami, a ich wyprasowane szkolne mundurki wisały na drzwiach do salonu. W lodówce zaś czekało kilka zestawów kanapek przeznaczonych dla mamy, zawiniętych w folię i opatrzonych karteczką z instrukcjami.

– Na litość boską, Jacks! – mitygował ją Pete. – To nie są małe dzieci, chyba mogą same zrobić sobie śniadanie. A opiekunka powiedziała, że zrobi Idzie jedzenie. Przestań sama dokładać sobie zajęć, bo się w ten sposób zamęczysz. Odpuść trochę, kochanie, pozwól innym coś zrobić. Zobaczysz, będzie ci łatwiej.

– Wolę trzymać rękę na pulsie. Lubię, jak wszystko jest zrobione porządnie – odparła, wycierając suszarkę stojącą obok zlewu.

– Zauważyłem. – Usiadł przy stole i polał mlekiem płatki kukurydziane. – Ale spróbuj o nas zapomnieć na ten jeden dzień. Masz się zrelaksować i wspaniale bawić!

Zastygła w pół ruchu i popatrzyła na męża. Powód wyjazdu dławił ją

w gardle jak golfowa piłka, twarda bryła zdrady, której nie mogła przełknąć.

– Dzięki, Pete. Wrócę wieczorem. Kocham cię.

– Wiem – rozjaśnił się.

– Jak się czujesz? – zapytała Gina. Strząsnęła z ramion płaszcz, zwinęła w ciasną kulkę i wrzuciła na półkę nad głową. Poprawiła ramiączko stanika i rozsiadła się wygodnie, gotowa do podróży.

Jacks nadeła policzki i głośno wypuściła powietrze.

– Jak kiedy miałyśmy czternaście lat i urywałyśmy się z zajęć na pływalni do parku rozrywki! Podekscytowana, spięta, przerażona, że ktoś nas nakryje, ale jednocześnie mam poczucie, że żyję. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

– Absolutnie. Możesz siedzieć plecami do kierunku jazdy? Zbiera mi się od tego na wymioty. – Skrzywiła się Gina.

– Nie ma sprawy. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz jechałam pociągiem. Ale się zrobiły nowoczesne.

– No, ten już nawet nie jeździ na parę! – zakpiła Gina.

– O rany, wiesz, o co mi chodzi! Prawdziwy luksus. – Jacks przesunęła dłonią po nowym obiciu fotela. Położyła bagaż na kolanach i grzebała przez chwilę, po czym wydobłała torebkę, a następnie bilet.

– Po co go wyciągasz?

– Żeby nie zgubić. Zawsze panikuję, kiedy przychodzi konduktor, a wtedy okazuje się, że nie wiem, gdzie go włożyłam. Boję się, że mnie wysadzą.

Gina parsknęła śmiechem.

Pociąg zajęto tylko do połowy. Wśród pasażerów widać było głównie mężczyzn w garniturach, nieliczne kobiety z laptopami, a tu i ówdzie siedział skupiony na telefonie student. Jacks uśmiechnęła się na skojarzenie z Marthą.

Decyzję o wyjeździe podjęła spontanicznie. Magiczny nastrój Gwiazdki rozwiął się w powietrzu, a ją dopadła znajoma poświęteczna chandra. Gdy minął czas wzmożonego podekscytowania, pozostała tylko perspektywa rachunków do zapłacenia i paskudnej pogody za oknem. Dała się więc przekonać Ginie, że mała przygoda jednak dobrze jej zrobi. Odkąd zobaczyła Svena w katalogu, nie mogła wymazać z pamięci jego nowego obrazu i wracała do niego myślami uporczywie, tak jak porusza się chorym zębem, pomimo bólu.

– Myślisz, że mama zniesie to bez problemu? – Jacks zaczęła wachlować się biletem.

– Mówiłaś, że jak wychodziłaś, wszystko było okej?

– Tak – potwierdziła Jacks. – Przyjęła to bardzo spokojnie. Nawet nie drgnęła, kiedy przyprowadziłam do niej pielęgniarkę i powiedziałam, że na trochę wyjeżdżam.

– I mówiłaś, że pielęgniarka sprawiała dobre wrażenie?

– Tak, bardzo miła, trochę starsza pani. Mówi, że wszystko już w życiu widziała i robiła. Podobało mi się, jak się odnosi do mamy – grzecznie i z szacunkiem. I powiedziała, że mogę do niej dzwonić w razie jakiegokolwiek potrzeby, kiedy będę chciała.

– No i świetnie. – Gina spojrzała na zegarek. – Tyle tylko, że wyjechałyśmy raptem czterdzieści minut temu, a ty już po raz szósty zastanawiasz się, jak Ida to zniesie.

– O, przepraszam.

– Nie przepraszaj, rozumiem. Ale Jacks, musisz się wyluzować. To jest nasz dzień laby, postaraj się nim cieszyć.

– Pete powiedział to samo. Miło z jego strony, no nie?

– Nie rób sobie wyrzutów. Jedziemy się trochę zabawić, potrzebujesz tego jak nigdy. Sven to tylko pretekst, oderwanie od codziennej harówki.

Jacks wzruszyła ramionami. Nie była do końca przekonana.

– Kiedy ostatni raz miałaś cały dzień tylko dla siebie? Taki, żeby połączyć po sklepach, zafundować sobie jakąś przyjemność?

Jacks zapatrzyła się w okno i usilnie szukała takiej sytuacji w pamięci. Chyba kiedy Jonty był malutki i jej rodzice zaproponowali, że wezmą do siebie dzieci, żeby ona i Pete mieli dzień wolnego. Pojechali wtedy do Bristolu, poszli na spacer w porcie i zjedli obiad w rowerowej knajpce Mud Dock z widokiem na morze.

– Chyba sześć lat temu.

– No więc właśnie. Należy ci się fajrant – rzekła Gina z uśmiechem. – Zobacz, jak jest fajnie. Powiedz, stresujesz się?

– Jak nie wiem. A na dodatek to poczucie winy, wszystko się we mnie kotłuje. Pete uściskał mnie na pożegnanie, a dzieci powiedziały, że mam się dobrze bawić! Mało brakowało, a bym zrezygnowała.

– Bardzo dobrze, że tego nie zrobiłaś. Przecież nie uciekasz od nich na zawsze do innego faceta. – Gina poprawiła sobie sznury wielobarwnych koralików na obfitym biuście i umościła się wygodnie na siedzeniu. – Chyba że masz taki zamiar?

– Nie wygłupiaj się! – krzyknęła Jacks, zanadto zawstydzona, żeby przyznać się do fantazjowania o tym, jak Sven chwyta ją w objęcia z utęsknieniem, a wkrótce potem ona sama urządza osobne pokoje dla Jonty’ego i Marthy w San Francisco. Pokręciła głową. To były tylko rojenia, ale Pete na to nie zasługiwał. Wyrzuty opadły ją znowu. – Jak wyglądam?

Gina uśmiechnęła się ciepło w odpowiedzi.

– Fantastycznie, jak zawsze. Chyba tylko ty o tym nie wiesz. Masz zabójczą figurę.

Jacks potarła się dłońmi po udach. Miała na sobie wąskie dzinsowe dzwony i starannie dobraną białą, jedwabną bluzkę z kaskadowym dekoltem.

Wyglądała sztywnie i atrakcyjnie, ale bez przesady. Stroju dopełniała turkusowa chusta z kaszmiru i pierścionek z turkusowym kamieniem, który kupiła kiedyś w sklepie charytatywnym. Wprawdzie od wewnątrz obrączka barwiła jej palec na zielono, ale nie spodziewała się, żeby ktoś miał przyglądać się jej dłoniom z tak bliska. Zrobiła też makijaż – na policzki nałożyła brzoskwiniowy róż, a pełne usta uwydatniła koloryzującym błyszczkiem.

– Mówię poważnie, Jacks. Kawał laski z ciebie.

Jacks machnęła ręką, jakby odganiając komplement.

– To pewnie efekt ciągłego latania po schodach w górę i w dół!

– Nie wiem, czego to efekt, ale wyglądasz ślicznie i wydajesz się naprawdę szczęśliwa. Nieczęsto ci się to zdarza, ale dzisiaj tak.

Jacks zwiesiła głowę.

– Odkąd tata odszedł, mam w sobie jakiś nieustanny smutek.

– To kiedyś minie, Jacks.

Popatrzyła na migające za oknem drzewa i żywopłoty.

– Cudowny był, prawda? Był dla mnie więcej niż tatą, był moim przyjacielem, pierwszą osobą, do której dzwoniłam, kiedy wylała mi pralka albo nawalił samochód. Do dzisiaj jeszcze zdarza mi się łapać za telefon, żeby go o coś zapytać – znał się dosłownie na wszystkim. Albo tylko żeby opowiedzieć mu, co nowego dzieci wymyśliły. I za każdym razem to jest dla mnie szok, kiedy przypominam sobie, że nie odbierze... Ciągle nie mogę uwierzyć.

– Wiem, że byliście blisko. Na pewno ci go brakuje. Tylko że... – Gina zawahała się.

– Co?

– To bardzo szlachetne z twojej strony, że zaopiekowałaś się mamą. – Gina westchnęła. – Ale znam cię od podstawówki i wiem, że nie byliście

przesadnie zżyte. Nie była typem ciepłej, troskliwej mamusi, do której się lata ze wszystkim, mylę się?

Jacks pokręciła głową.

– Raczej nie.

Gina się nie myliła. Nie zdarzyło się, żeby Ida zaprosiła przyjaciół Jacks na kolację albo pomogła jej urządzić pokój czy po prostu wzięła ją w ramiona po nieudanym dniu i zapewniła, że wszystko będzie dobrze.

– Chcesz być dla niej jak najlepszą córką, rozumiem to, ale wymagasz od siebie zbyt wiele. Urabiasz się przy niej dzień w dzień i w efekcie byłoby chyba lepiej dla was obu, gdybyś oddała ją do ośrodka z całodobową opieką. Ty odzyskałabyś życie, a Martha odzyskałaby pokój. To nie jest bez znaczenia.

– Wiem o tym, Gi! Co, myślisz, że nie? – Pociągnęła nosem, żeby powstrzymać łzy. Nie mogła się rozplakać, nie w pociągu przy tych wszystkich ludziach i nie z tak starannie zrobionym makijażem. Ostatnia rzecz, jakiej jej było potrzeba, to pojawić się na wystawie z twarzą zmokłej pandy.

– Pewnie, że wiesz. Ale jesteś moją najbliższą przyjaciółką, Jacks, i nie mogę patrzeć, jak się wpędzasz do grobu. Zachowujesz się, jakbyś odsiadywała wyrok. A nie musi tak być. Ida nie ma pojęcia, czy jest pora iść spać czy Boże Narodzenie. Żyje w swoim świecie. Dla niej nie ma różnicy, kto jej daje jeść albo trzyma ją pod prysznicem, a dla ciebie i dzieci to by była kolosalna odmiana.

– Nieprawda, Gi, nie jest jej wszystko jedno. Jak tylko mnie nie ma, natychmiast dostaje szału – zaprzeczyła niechętnie Jacks.

– Ale dzisiaj rano nic się takiego nie stało, prawda? Może tak było tylko na początku, kiedy wszystko wokół wyglądało na nowe i obce, ale teraz już się tak nie zachowuje. Sporo się mogło zmienić, przez ostatnie półtora roku

bardzo opadła z sił.

– Wiem. Ale obiecałam. Obiecałam tacie.

– Jacks, mówiłam ci, co by powiedział twój tata. Pomijając już fakt, że przed śmiercią był nafaszerowany prochami.

Jacks potrząsnęła głową, starając się nie myśleć o tym koszmarnym dniu. Przypomniała sobie, z jakim trudem łąpał każdy oddech, a przerwy między nimi robiły się coraz dłuższe, i swój własny ból, gdy modliła się jednocześnie, żeby następne tchnienie było i nie było ostatnim.

Gina mówiła dalej:

– Nie był w pełni świadomy tego, co mówił. Może chciał powiedzieć, żebyś zaopiekowała się nią dzisiaj albo na pogrzebie. Nie wiesz, co miał na myśli. Niedokładnie. Ale przyjął jego słowa za wyrocznię i od tej pory zatruwasz sobie życie!

– Nie chodzi tylko o to, co powiedział, ale jak to powiedział. Poza tym może to jest szansa, żeby...

– Żeby co? Poukładać stosunki z mamą?

Jacks skinęła głową i zapatrzyła się w okno, a w uszach zadźwięczały jej słowa matki. *Potrafisz być bardzo samolubna, a samolubnych ludzi trudno jest kochać...*

– Możemy zmienić temat? – poprosiła.

– Jasna sprawa. Opowiedz mi o Gideonie Parksie.

– O Jezu, muszę? – Jacks uniosła brwi.

– Pete powiedział Robowi, że to klawy facet.

– Tak? – Jacks rozbawiła ta ocena męża. – Szczerze mówiąc, Gi, to Pete ma zupełną słuszność. Ty myślisz, że ja go nie lubię, ale to nie tak. Jest przesympatyczny, ale ja chcę dla Marthy czegoś więcej.

Gina prychnęła.

– Żebyś się nie przejechała! A czy Martha ma w ogóle coś do

powiedzenia?

– A co ona może wiedzieć? Przecież to jeszcze dziecko. Jedną niedojrzałą decyzją może przekreślić całe swoje życie, a potem będzie za późno, żeby się wydostać.

– Czy my wciąż mówimy o Marcie? – Gina przyjrzała się przyjaciółce z uwagą.

– Kontrola biletów!

– Och! Mam! – spanikowała Jacks i podniosła bilet do góry.

Gina zaniósła się śmiechem.

Przedzierały się razem przez zatłoczony peron dworca Paddington, zachwycając się metalową konstrukcją.

– Wspaniały, prawda, Gi? – Jacks zadarła głowę do góry.

– No raczej. Zaprojektował go stary Isambard Kingdom Brunel, ten sam, który jest odpowiedzialny za nasz wiszący most w Clifton. Zachód górą! – Wykrzyknęła Gina.

– A przypadkiem nie zrobił też Krzywej Wieży w Pizie?

– Nie wydaje mi się. Dlaczego pytasz?

– Tak sobie. – Jacks uśmiechnęła się, bo pomyślała o Jontym. – Wiesz co, Gina, byłoby wskazane zajrzeć do toalety.

Przebrnęły przez ciżbę podróżnych, uchylając się od ataków gołębi, które chmarami zlatywały do każdego, u kogo wyczuły jedzenie, i skierowały się do łazienki na końcu peronu 12. Przed obrotową bramką Gina stanęła jak wryta.

– Trzydzieści pensów za siusiu? Chyba upadli na głowę! – zawołała na tyle głośno, że kilkoro przechodniów się za nią obejrzało. – To już raczej poczekam, aż wrócimy do Weston, i ulżę sobie za darmo!

Kobieta w biznesowym kostiumie okrążyła je i wrzuciła w szczelinę kilka

monet.

– Jezu! – nie przestawała dziwować się Gina. – To kradzież w biały dzień! Nie stać mnie na sikanie w tym mieście! Chodź, Jacks, będziesz musiała pościskać trochę nogi. – Chwyciła Jacks pod ramię i pociągnęła za sobą.

– Uwielbiam Londyn! – wykrzyknęła Gina, gdy zjeżdżały windą pod ziemię.

– Nie chcę wsiadać do metra – wyznała Jacks w kolejce po bilety dobowe.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Jacks nerwowo skubała rąbek szala. – Mam stracha, że zaraz zleję się w majtki, a poza tym przerażają mnie te tłumy ludzi. Cały czas boję się, że się zgubię albo mnie ktoś zepchnie na tory!

Gina zaśmiała się gromko, po czym odwinęła Jacks chustę z szyi i związała im obydwu nadgarstki.

– Proszę bardzo. Teraz już się nie zgubisz. Jesteśmy nierozzerwalne, więc jeżeli spadniesz, to ja też. Tak dobrze?

Jacks wybuchnęła śmiechem.

– Lepiej – przyznała, podnosząc ich szczepione dłonie do oczu. – Czuję się jak przedszkolak!

– Pamiętaj, nie rozmawiaj z obcymi! – przykazała jej Gina ku uciesze całej kolejki.

Przejechały najpierw przez miasto zieloną linią District Line, a następnie przesiadły się na pociąg Docklands

Light Railway. Oszołomione przez tłok panujący w wagonach, szybko ustaliły, co zrobić, gdyby je rozdzielono.

W miarę jak zbliżały się do hali wystawowej, Jacks robiło się coraz bardziej niedobrze na żołądku. Położyła sobie rękę na brzuchu i odetchnęła

głęboko.

– Chyba zwymiotuję.

– Ani mi się waź! Nie ma mowy, żebym pozwoliła ci tam wejść śmierdzącą rzygowinami. Masz być pewna siebie i wyluzowana. Podejdiesz do niego jak gdyby nigdy nic i powiesz ze swobodą: „Kogo widzę, mózgowiec! Popatrz, co za spotkanie!”, lub ewentualnie coś z większym polotem, ale tak, żeby wyglądało, że wpadłaś na niego przypadkiem. Jasne?

Jacks zachichotała.

– Tak, akurat! Bo lubię w wolnym czasie tak się porozglądać za jachtami!

– Ale on tego nie wie, prawda? – pisnęła Gina.

– Nie chcę się z nim spotykać, nie teraz. Może pójdziemy gdzie indziej?

– Nie! Wchodzimy. To jedna z tych sytuacji, kiedy czujesz się jak ostatnie cielę, zanim to zrobisz, ale potem cieszysz się jak wariatka, że się odważyłaś. Musisz tylko zebrać się w sobie i zaryzykować, jak przed skokiem z wysokiej trampoliny.

– Nigdy nie skakałam z wysokiej trampoliny. Nie mogłam się przełamać.

– Jacks spojrzała wprost na przyjaciółkę.

– Żałuj, to było świetne. I teraz też będzie świetnie. No już, wszystko okej.

Jacks skinęła głową, chociaż daleko jej było do równowagi ducha.

– Czuję się jak na szkolnej zabawie, kiedy z głośników puszcza Dr. Hook, a ja podpierałam ściany, czekając, aż ktoś poprosi mnie do tańca, podczas gdy ty uderzałaś w ślinę z Richardem Frostem.

Gina spojrzała na nią zdumiona.

– Kompletnie ci odbiło! Co ty wygadujesz? Blee! Ja i Richard Frost? Coś ci się pomyliło!

– Nieprawda! Sama widziałam!

– Widziałaś go ostatnio? Prowadzi park rozrywki przy molu. – Gina wzdrygnęła się. – Nie powiem, niczego sobie facet, w takim, powiedzmy, elvisowym stylu, ale za nic nie mogłabym się z nim całować! To prawie jak całować ośmiornicę, gdyby miała wargi! W sensie, tak się domyślam, bo nigdy nie sprawdzałam. – Odchrząknęła.

– Pomyśl tylko, Gi, gdybyś z nim została, mogłabyś jeździć na karuzeli, ile wlezie, bez płacenia za bilet. Zaoszczędziłabyś na tym majątek! – zachichotała Jacks, zapominając o stresie.

Przystanąły na końcu wijącej się kolejki.

– Boże, Gi, mówię całkiem serio, nie chcę tam iść! – Jacks złapała przyjaciółkę za ramię.

– Cóż, obawiam się, że nie masz nic do gadania. Sama zdecyduj: wolisz tam wejść z klasą czy mam cię wnieść na plecach dupskiem do przodu i rzucić na pokład jego olśniewającej łajby jak worek węgorzy? Twój wybór.

Jacks znowu zaniósła się śmiechem.

– Oj, błagam cię, przestań, Gi! Wiesz, że muszę siusiu!

– W każdym razie gdybyś się stresowała, pomyśl szybko o tych dzierganych sweterkach, które nosił w szkole. Wyglądał jak ostatni pajac!

– Tak, pajac, który potem wyjechał do Ameryki, a dzisiaj jest światowej sławy projektantem jachtów! Ale dam głowę, że nocami pluje sobie w brodę, że nie kupował swetrów z dzianiny jak wszyscy i nie prowadzi teraz parku rozrywki na molu, tak jak Richard Frost, z którym się całowałaś!

– Zamknij się! Nieprawda! – wrzasnęła Gina odrobinę za głośno.

Oparły się o siebie, zgięte w pół ze śmiechu, po raz drugi tego dnia przyciągając rozbawione spojrzenia innych oczekujących.

Hala wystawowa była znacznie większa, niż spodziewała się Jacks. Dudniące gwarem rozmów ogromne pomieszczenie wypełniały rzędy stanowisk, przy

których uwijali się zapaleńcy żeglarstwa, każdy z pięknie opalonymi ramionami i twarzą oraz pastelowym swetrem narzuconym na plecy. Zachowywali się głośno i swobodnie, pokrzykując do siebie ponad głowami tłumów, jakby się dobrze znali.

Poczuła się tak bardzo nie na miejscu, jak tylko to było możliwe.

– Dobra. Tu się rozdzielamy. Idź poszukać swojego lowelasa.

– Nie mów tak o nim, Gina, proszę cię! – Jacks obejrzała się przez ramię, chociaż sama musiała przyznać, że szanse na to, że natknie się na jakiegoś kolegę z budowy Pete’a, były raczej nikłe.

Gina się roześmiała.

– Tylko się z tobą drocę. Rozejrzyj się za mózgowcem, a ja usiądę sobie w barze w środku hali. Nie musisz się śpieszyć, zaczekam. Przyjdź, jak będziesz gotowa, okej?

Jacks kiwnęła głową. Była chora z nerwów i ze strachu. Obciągnęła sobie przód bluzki, wygładzając jakieś niewidoczne fałdy, poprawiła szal, po czym wytarła ręce o uda i przejechała palcami wokół ust.

– Wyglądasz rewelacyjnie, moja droga. Naprawdę. Pokaż mu, jaka jesteś piękna i seksowna, i powal go na kolana!

– A co ja jestem jakąś Angeliną Jolie? Jestem Jacqueline Davies z Weston-super-Mare. Nie jestem seksowna i nie powalam ludzi na kolana, tylko zmywam naczynia i rozwieszam pranie!

– No już! – Gina klepnęła ją w tyłek, praktycznie wpychając przyjaciółkę w tłum.

Jacks przestudiowała mapkę ekspozycji.

– L34 – mrucała do siebie, pokonując kolejne, podobne do siebie alejki, wzdłuż których ciągnęły się stoiska z najnowocześniejszym sprzętem do nawigacji i całym ekwipunkiem, od żeglarskich butów po koła ratunkowe. Jacks snuła się bezładnie, próbując wziąć się w garść, gdy w oko wpadło jej

coś, obok czego już przechodziła, i zdała sobie sprawę, że kręci się w kółko.

– Cholera – wymruczała pod nosem.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytał z pewnym siebie uśmiechem młody chłopak w jasnoniebieskim polo z logo wystawy trzymający w dłoniach podkładkę pod dokumenty.

– Tak, dziękuję bardzo. Szukam stanowiska L34, ale jakoś nie mogę się w tym rozeznać!

– Ha, ha! Wyczuwam wilka morskiego. Genialne, słowo daję.

– Proszę?

– Pani głos! Ma pani akcent piracki!

Jacks zagapiła się na niego w osłupieniu. On z kolei mówił, jakby połknął nie tylko własny język, ale wręcz cały przętyk. Natychmiast pomyślała, co Pete by na to powiedział: „A ty masz akcent buracki”. Jacks uśmiechnęła się i powędrowała dalej. W żyłach jej zawrzało. Piracki akcent, też coś!

Zadzierając głowę do góry, przyglądała się białym tabliczkom na mijanych po drodze stoiskach, aż wyszła na niewielki placzyk, na którym, za rozpiętą na chromowych słupkach liną w odcieniu królewskiego błękitu, pysznił się imponujący jacht, jakie się często widuje w największych produkcjach filmowych w telewizji. Łódź skrzyła się w snopach światła rzucanych przez ruchome reflektory.

– L34 – wyszeptała. Zwinęła mapę, schowała ją do torebki i wzięła głęboki oddech. Dopiero teraz zauważyła wianuszek ślicznych dziewcząt stojących dookoła w identycznych różowych bluzeczkach i białych spodenkach, każda długowłosa i długonoga. Trzymały w rękach małe, srebrne tacki z kieliszkami musującego wina i z ukłonem oraz pełnym wdzięku uśmiechem podsuwały je mężczyznom zgromadzonym tłumnie wokół ekspozycji. Wszyscy mieli na sobie takie same granatowe marynarki i beżowe, bawełniane spodnie. Inne dziewczęta trzymały w ramionach grube

pliki połyskliwych broszur, które wyciągały zachęcająco ku przechodzącym gościom, już obładowanym naręczami bezpłatnych gadżetów.

Żeglarstwo nigdy specjalnie Jacks nie pociągało, mimo że całe życie spędziła na wybrzeżu. Jej doświadczenia z wodą ograniczały się do krótkich spływów kajakiem po jeziorze Marine z kolegami Pete'a od czasu do czasu, w których brała udział tylko po to, żeby sprawić mężowi przyjemność. Znacznie bardziej wolała czuć stały grunt pod stopami. Jednak ten statek tutaj to było coś innego. Jego strzelista sylwetka zapierała dech w piersiach. Doliczyła się wzdłuż burty piętnastu okrągłych bulajów w lśniącej, chromowej oprawie i z chęcią zajrzała by sprawdzić, co się za nimi kryje. Podniosła wzrok do góry na grupę ludzi o połyskliwych włosach i śnieżnobiałych uśmiechach, którzy rozprawiali wesoło na pokładzie z kieliszkami w dłoniach. I wtedy ją poraziło. Krew zastygła jej w żyłach. Wypuściła powietrze z nagłą suchością w ustach i splotła drżące dłonie.

To był tylko błysk, szybkie mgnienie znajomej sylwetki w tłumie, ale ta jedna chwila wystarczyła, żeby straciła oddech. Przez tyle lat dzień w dzień odtwarzała w pamięci jego obraz, przywoływała rysy i każdy najmniejszy gest, tak że nawet po tak długim czasie nie potrzebowała więcej niż tylko przelotny rzut oka na tył jego nachylonej głowy i linię wzniesionej ręki, żeby go rozpoznać. Poczowała zawroty głowy i z trudem chwytła powietrze.

Nieważne, że od czasu, kiedy ostatni raz tak się zachłysnęła, a jej serce wyrывało do przodu jak szalone, upłynęły niemal dwie dekady. Wydawało się, że tych lat nie było. Doznania, które niemal się zatarły, ogarnęły ją z tak samo nieprzebraną siłą. Owionął ją nagły zapach tanich, piżmowych perfum, które tak oboje uwielbiali, i na powrót znalazła się w świecie magnetofonowych kaset, beztroskiej niewinności, szkolnych mundurków, spóźnionych powrotów na kolację, słodczy ukradkowych pocałunków, pasji na błękitnej kanapie w strugach słońca i bezsennych nocy z głową pełną

wirujących myśli i wariackich marzeń o obiecanej przyszłości na ranczu w Montanie wśród roztańczonych świetlików... Ta przyszłość lśniła przed nią jak gwiazda, zawsze o krok za daleko, zawsze tuż poza zasięgiem. Przynajmniej w jej wypadku. Z tego, co ukazywało się teraz jej oczom – całego tego przepychu i blasku bogactwa i luksusu – widać było, że Sven dosięgnął swojej, tak jak zapowiadał.

Jacks zamarła w miejscu jak ścigane zwierzę próbujące wyczuć, czy je namierzono. Miała nadzieję, że jeżeli będzie tak stać, skamieniała, odpowiednio długo, to nikt, łącznie z nim, nie zwróci na nią uwagi. Bała się choćby drgnąć, przeczesując oczami tłum, żeby go jeszcze wypatrzyć.

– Dzień dobry.

Przeniosła wzrok na mężczyznę stojącego nie więcej niż metr od niej. Nie widziała, kiedy zszedł z pokładu, ale teraz stał przed nią, dokładnie taki, jak wyobrażała sobie wśród długich, ciemnych nocy. Głos mu się nieco zmienił, stał się nieco głębszy, a szwedzki akcent zastąpiło lekkie kalifornijskie zaciąganie.

Podniosła w górę dłoń, niezdolna odpowiedzieć, bo język przylgnął jej do podniebienia. Nie mogła wykrztusić słowa, a co dopiero powalić go na kolana. Tyle właśnie z Angeliny Jolie było w Jacqueline z Weston.

Uśmiechnął się przyjaźnie, a oczy zmrużyły mu się w dwa wesołe przecinki. Miał na sobie kosztownie wyglądające ubranie i nosił się ze swobodną elegancją – koszula rozpięta pod szyją i ręce w kieszeniach dzinsów. Trzymał się prosto, co uwydatniało jego szerokie ramiona i smukłą, zgrabną sylwetkę. Na bosych nogach miał zamszowe mokasyny Gucciego, które, choć nienowe, wydawały się zadbane i świetnej jakości. Po ręcznie dzierganych swetrach nie zostało śladu. Ciemna opalenizna wyglądała, jakby wrócił niedawno z egzotycznych wakacji. Roztaczał wokół siebie wrażenie dobrobytu i samozadowolenia.

Jacks uświadomiła sobie z przenikliwą wyrazistością swoje kurze łapki, amatorskie, domowe pasemka i tanią obrączkę, która nagle zaczęła ciążyć jej na palcu i pulsować, jakby wstąpiło w nią życie. Instynktownie zakryła ją dłonią.

Rozpaczliwie usiłowała przypomnieć sobie przygotowywane w myślach powitanie. Co ona miała powiedzieć? Jak to było? *Kopę lat... Nareszcie cię odnalazłam...! Popatrz, jak się to życie układa...* Już nabierała powietrza, żeby odpowiedzieć, gdy ciszę przeciął jego głos:

– Witam na pokładzie naszego nowego królestwa! – Wyciągnął obie ręce w stronę jachtu przed sobą. – Nazywam się Sven Lundgren, jestem dyrektorem spółki Somniorum Yachts. Była pani umówiona na zwiedzanie? – zapytał uprzejmie z życzliwie rozszerzonymi oczami i pełnym sympatii uśmiechem.

– U-umówiona? – powtórzyła, wpatrując się w niego w lekkim zamroczeniu. – Nie, niestety nie. Nie wiedziałam, że trzeba. – Potrząsnęła głową, wbijając wzrok w podłogę.

Obejrzał się na łódź.

– Cóż, wygląda na to, że ma pani szczęście. Chyba uda nam się zrobić niewielki wyjątek. Proszę za mną – zakomenderował.

Zapomniała już o tym jego stanowczym sposobie bycia, który zapewniał mu posłuch i uwagę innych. W młodości lubiła czuć się przy nim słaba i bezbronna.

– Przyjechała pani z daleka? – zagadnął przez ramię, kłaniając się kilku osobom, gdy lawirowali przez tłum.

O, tak... Jechałam przez długich dziewiętnaście lat, żeby się tu znaleźć...

– Nie bardzo. Z zachodniego wybrzeża. Przyjechałam pociągiem tylko na jeden dzień.

Policzki jej pały. Wymiana zdawkowych uprzejmości, jakby byli sobie

całkiem obcy, zdawała się nie do zniesienia. Nie mogła zrozumieć, o co może mu chodzić. Zabiera ją gdzieś na ubocze, żeby porozmawiać? I nagle spłynęło na nią objawienie. Nie prowadzi jej w żadne ustronne miejsce – on jej po prostu nie poznał! W ustach jej zaschło, krew odpłynęła z twarzy, a po plecach przebiegł lodowaty dreszcz. Zapagnęła zapaść się pod ziemię. W kłębowisku chaotycznych myśli desperacko szukała czegoś, czym mogłaby przełamać krępujące milczenie.

– Tak mi się zdawało, po akcencie – odparł. – Kiedyś tam mieszkałem, dawno, dawno temu.

– Pewnie od tej pory niewiele się tam zmieniło. – Jacks starała się zapanować nad nerwowym paplaniem. *Na litość boską, zamknij się, Jacks, jesteś naprawdę żałosna. Oczywiście, że się nie zmieniło. Nic się tam nie dzieje, tak jak w twoim życiu też się nic nie zmienia.*

– Zamierza pani coś kupić? – zapytał ze swobodą i odwrócił się ku niej z zainteresowaniem w szeroko rozwartych oczach.

Potarła obrączkę kciukiem. *Kupić? Ja, która przekopuję markety, żeby wyszukać przeceny, i podliczam w myślach każdy grosz, zanim w ogóle włożę coś do koszyka u mamy na kolanach?*

– Nie. Tak się tylko rozglądam...

– To też niezła zabawa! – Kiwnął głową i postukał się w brodę starannie wypielęgnowanym paznokciem. – Wszystko sprawdzić, porównać, zanim się coś wybierze. Trochę jak przy zakupie biżuterii. Podejrzewam, że wyszukiwanie sprawia kobietom najwięcej przyjemności. Nie jest tak? – rozjaśnił się w uśmiechu.

Jacks wpatrywała się w niego zupełnie rozbita. Wydawało jej się, że tego nie przeżyje. Była zdruzgotana, zawiedziona, upokorzona ponad wszelką miarę i miała do siebie żal, że tu przyjechała.

– Dokładnie tak.

– A więc mieszka pani na zachodzie? – zapytał raczej z grzeczności niż

z zaciekawieniem.

– Tak. – *Kilka ulic od miejsca, gdzie się wychowałam, gdzie chodziliśmy razem do szkoły, gdzie mnie całowałeś i obudziłeś do życia i gdzie powiedziałaś mi, że czeka mnie niesamowita podróż.* Skupiła się na uważnym stawianiu stóp jedna za drugą, podążając w ślad za nim po wąskim pomoście, podczas gdy najchętniej rzuciłaby się na oślep w przeciwnym kierunku.

– Oprowadzę panią. – W jego głosie pojawił się oficjalny ton.

Podążyła za nim do kuchni urządzonej tak nowocześnie, jak tylko można to sobie wyobrazić.

– Spora jak na łódź – zauważyła niezręcznie, nie wiedząc, co powiedzieć. *Ale nie tak wielka jak ta, w której leżeliśmy razem i w której rzuciłeś na mnie zaklęcie na całe życie.*

– Tak. To największy kambuz wśród prywatnych jachtów na rynku. Ale przy dużym obłożeniu potrzeba przestrzeni, a ten jacht przeznaczony jest dla szesnastu osób plus członkowie załogi.

– Szesnastu? No proszę. – Przyszedł jej do głowy ich dom przy Sunnyside Road, w którym z trudem mogli się pomieścić w piątkę. – Ile może kosztować taki jacht? – wysiliła się na formalność, chcąc jak najszybciej zakończyć rozmowę i zniknąć.

Sven wzruszył ramionami.

– Ponad czterdzieści milionów. W zależności od pakietu technologicznego. Najdroższe mogą osiągać nawet dwa razy tyle.

Jacks pokręciła głową. Nie do wiary, z jaką łatwością rzucał kwotami, które dla niej pozostawały niewyobrażalne. Żyli w dwóch różnych światach. Zawsze tak było. Pomyślała o swoich skromnych oszczędnościach, które z racji świat skurczyły się do siedmiu tysięcy. Nie starczyłoby pewnie nawet na jedno jego eleganckie, chromowe okienko.

– Nie znam się na technologii, jakiegokolwiek. Przerasta mnie to.

Sven sięgnął po broszurę, przez chwilę przerzucał gładkie, lśniące strony, po czym pokazał jej wykres. Stojąc tak blisko niego, na wyciągnięcie ręki, przeżywała istne męczarnie.

– Nasze systemy są zaprojektowane pod kątem prostej i intuicyjnej obsługi. Wszystkie panele kontrolne są takie same, więc wystarczy nauczyć się nimi operować tylko jeden raz. Każdym elementem statku można sterować albo z węzła centralnego w głównej kabinie, albo siedząc sobie wygodnie w fotelu. Na przykład może pani zmienić oświetlenie pokładu zależnie od nastroju – jest cała paleta kolorów do wyboru – albo napuścić wodę na gorącą kąpiel, podkreślić ogrzewanie, a nawet zaprogramować system nagłośnieniowy w łazience. Wystarczy wcisnąć guzik.

– Wątpię, czy poradziłabym sobie nawet przy takich uproszczeniach. – Przypatrywała się z bliska jego twarzy z włosami przerzedzonymi na skroniach, zauważając zrogowacenia na skórze, pewnie od przebywania na słońcu.

– O, bez obawy. – Uśmiechnął się uprzejmie.

Jacks potrząsnęła głową.

– Nie wydaje mi się. Wieki upłynęły, zanim doszłam do tego, jak zwolnić końcówki w mikserze, a do tego służy tylko jeden przycisk. Nie potrafię używać kuchenki po przerwie w dostawie prądu, bo nie wiem, jak zaprogramować zegar, a bez tego nie działa. Nie umiem obsługiwać telefonów moich dzieci i nie wiem, dlaczego mamy dwa piloty do telewizora. Czasami przy prasowaniu nachodzi mnie ochota, żeby coś obejrzeć, ale po pięciu minutach wciskania wszystkich możliwych guzików poddaję się i nastawiam radio. – Miała świadomość, że zaczyna pleść bzdury, ale nie mogła przestać z obawy przed tym, co będzie, gdy zamilknie.

– Ma pani dzieci? – Zamrugał szybko. Widać to ten element wyłowił z jej beładnego bełkotu.

– Tak. Dwoje. Martha w przyszłym roku kończy szkołę i chce iść na prawo. A syn ma osiem lat. Jest prześmieszny. – Uśmiechnęła się i spłonęła rumieńcem, jakby ujawnienie faktu, że spała jeszcze z kimś innym, było powodem do wstydu. Kompletny idiotyzm. Jakie to ma znaczenie? Była trzydziestosześcioletnią mężatką – chyba jasne, że spała z kimś innym. A poza tym co go to w ogóle obchodzi, pieprzonego milionera od jachtów, który zapomniał o niej całe wieki temu!

– A pan? Ma pan dzieci? – zapytała z przykrym ukłuciem zazdrości wobec kobiety, która mogłaby być matką jego dziecka.

– Nie! – odparł twardo i jakby z pewną ulgą. – Jakoś nie było czasu – roześmiał się dziwnie. – To znaczy, rozumie pani, nie chodzi mi o sam moment powołania do życia, to ponoć trwa tylko chwilę!

Dwanaście minut. Tyle wystarczy, żeby odmienić kobiecie całe życie.

– Jakoś nigdy nie widziałem siebie w tej roli. Tyle rzeczy mam do zrobienia, miejsc do zobaczenia. Nie lubię tkwić w bezruchu. Chyba że przy użyciu naszego opatentowanego układu zakotwiczenia w standardzie tego modelu. – Znowu się roześmiał.

– Prawda, że to bardzo ogranicza. Wychowywanie dzieci to praca na cały etat, a teraz, kiedy mam jeszcze pod opieką mamę... Nie mam ani chwili dla siebie. – Niespodziewanie do oczu nabiegły jej łzy. – Przepraszam, zabieram panu czas – wymamrotała. – Kuchnia jest... – Potoczyła wzrokiem po łagodnie wyprofilowanych liniach, białych obiciach ze skóry i wkomponowanych sprzętach. – Jest wspaniała.

Wyszli z powrotem na pokład.

– Dziękuję i wszystkiego dobrego.

– Nawzajem. – Uniósł dłoń beznamiętnym gestem. Odwrócił się natychmiast i najwyraźniej odprężył. Dopiero wtedy pozwoliła łzom wymknąć się spod powiek.

Przypomniało jej się, jak w ciemności wypowiadał jej imię, każdą sylabę przesyconą czułością, gdy trzymali się za ręce, spoglądając w gwiazdy. Marzyła, żeby rozpląnąć się w powietrzu. A jeszcze lepiej, żeby móc cofnąć czas i nigdy nie postawić nogi na tej cholernej łajbie. Gdy podniosła głowę, jego już nie było. Zniknął w tłumie czekających na niego żeglarzy amatorów.

Zbiegła po trapie, nie zwracając uwagi na spojrzenia hostess, nie mając pojęcia, że wszystkie wyłażą ze skóry z ciekawości, dlaczego dyrektor zaprosił pod pokład tę właśnie kobietę i dlaczego wyszła stamtąd cała zapłakana. Jacks pośpieszyła do baru w centrum hali, gdzie czekała Gina, popijając wino.

Gina ogarnęła spojrzeniem czerwoną twarz przyjaciółki, ze smugami tuszu na policzkach.

– Co się stało? Dobrze się czujesz?

– Wracajmy do domu, Gi – zdołała wykrztusić Jacks.

– Nie chcesz sobie chlapnąć?

– Nie! – odparła ostrzej, niż zamierzała. – Chcę stąd wyjść.

– Zrobił ci jakąś przykrość? – zapytała Gina opiekuńczo.

– Przykrość? – Jacks żałośnie pociągnęła nosem. – Nie. On mnie nawet nie poznał! – Ruszyła w kierunku najbliższego wyjścia.

Gina wychyliła resztkę wina, odstawiła kieliszek na bar, zgarnęła swoją torbę i pobiegła za przyjaciółką.

Kiedy tylko wsiadły do opla corsy Giny na stacji Weston-super-Mare i zapięły pasy, Jacks wybuchnęła płaczem. Przez całą drogę powrotną nie odezwała się słowem i znalazłszy się wreszcie w odosobnieniu, musiała odreagować.

– Już dobrze. – Gina głaskała ją po ramieniu, a Jacks oparła się o półkę przed sobą.

– Nie, nie jest dobrze. Czuję się jak ostatnia idiotka!

– Niesłusznie. Jego strata. Nie ma się czym przejmować. Ten dzisiejszy wyjazd miał być tylko po to, żebyś się rozerwała. Chciałam wyciągnąć cię z domu. Co z tego, że cię nie poznał? Dam głowę, że każdego dnia mijasz na ulicy masę ludzi, którzy myślą sobie: „O, to jest ta Jackie Morgan, która rozsiewała nieprawdziwe plotki o tym, że jej przyjaciółka całowała się z Richardem Frostem”, a ty nawet nie masz pojęcia, kto to może być!

– To nie to samo. – Jacks podniosła głowę, próbując się uspokoić.

– A właśnie że tak!

– Nie, Gi. Ty nie rozumiesz! – W przypiływie rozpaczy Jacks podniosła głos.

– No to mi wytłumacz.

Od czego mam zacząć?

– To zabrzmiało strasznie głupio, jeżeli powiem to na głos.

– Zazwyczaj ci to nie przeszkadza – zauważyła Gina z uśmiechem.

Jacks odetchnęła głęboko i pociągnęła nosem.

– Wiem, że byliśmy bardzo młodzi i to było tylko jedno lato, ale dla mnie to naprawdę miało ogromne znaczenie. – Urwała, niepewna, jak wiele chce ujawnić. – Powiedziałam ci, że często o nim myślę, i to prawda. Bardzo często. Czasami czuję się tak koszmarńczo stara, bo dociera do mnie, że nic nie osiągnęłam, i widzę, że zmierzam donikąd. Wiem dokładnie, jak będzie wyglądało moje życie już do samej śmierci. Nigdy nie będę mieszkać w domu przy bulwarze ani podróżować i nigdy nie będę miała cholernej oranżerii!

– Jest ci żal, bo nie będziesz miała oranżerii? – próbowała nadążyć Gina.

– Nie! – zaprzeczyła Jacks. – Jest mi żal, bo Sven był dla mnie uosobieniem innego, lepszego życia. Bez stosów brudnych naczyń, gratów w korytarzu, schodów bez chodnika i zafajdanych pieluch. On był jak piękne marzenie, przywołanie czasów, kiedy byłam szczęśliwa i nie miałam żadnych

ograniczeń. I myślałam... – *Co ja właściwie myślałam?* – Myślałam, że ja też byłam dla niego czymś takim. Czułam między nami nadzwyczajną więź i to pomagało mi przetrwać. A dziś przekonałam się, że niczego takiego nie było. Jestem tylko durnym cielęciem, które przez całe lata wmawiało sobie niestworzone rzeczy. Jest mi głupio i smutno, bo straciłam ostatnią drogę ucieczki. Zgasło jedyne światełko nadziei, którym się pocieszałam, kiedy mi było źle. Nie zostało już nic i teraz już naprawdę nie mam na co liczyć, i czuję się z tym przeraźliwie sama.

– Jacks, nie mów tak. Wielu ludziom bardzo na tobie zależy i to nieprawda, że nic nie osiągnęłaś. Popatrz na swoje dzieci... – Sama nie będąc matką, Gina uważała macierzyństwo za wielkie dokonanie.

– Wiem, Gi. Wiem. I kocham je, wiesz przecież.

Gina skinęła głową.

– Ale czasami to nie wystarcza.

– Czasami chyba każdy czuje się w ten sposób.

– Zawsze myślałam o nim jak o kimś, komu udało się uciec.

– Uciec? Od czego? – Gina odwróciła się ku niej.

– Ode mnie! – krzyknęła Jacks, dławiąc się od łez i upokorzenia.

– O rany, Jacks, proszę cię, nie płacz.

– Przepraszam – chlipnęła, zasmarkana.

– Nie miałam pojęcia, że czujesz się w ten sposób, Jacks. Gdybym choć przypuszczała, że tak cię to zdołuje, nigdy bym nie wspomniała o tym katalogu i nie namawiała cię, żeby się spotkać ze Svenem. Myślałam, że się tylko trochę pośmiejemy. Przepraszam.

– Nie musisz przepraszać, nie jestem zdołowana.

– Co za ulga, bo prawie dałam się nabrać!

– Naprawdę, Gi, dobrze, że to zrobiłaś. Wszystko okej. Chyba mam po

prostu za dużo na głowie.

– To zupełnie nie w twoim stylu – westchnęła Gina. – Nigdy cię jeszcze takiej nie widziałam.

Jacks wydmuchała nos i otarła oczy.

– Wiem, to bezdennie głupie, tyle tylko, że...

– Że co?

Jacks zawahała się, nie chcąc ze wszystkim się zdradzać.

– Już mówiłam. Myśl o nim pomagała mi znosić najtrudniejsze chwile.

– Masz ci los! Serio?

Jacks uśmiechnęła się, odzyskując nieco równowagę.

– Tak, serio! I wiem, że to głupie, naiwne i żenujące. Ale zdarzają się takie znajomości, które całkiem człowieka odmieniają i kształtują jego światopogląd, nie? To było coś takiego, chociaż byliśmy tacy młodzi. To było coś niebywale intensywnego, jakbym przejrzała na oczy. – Spojrzała na przyjaciółkę.

– O rety, wiedziałam, że się spotykaliście, ale nie sądziłam, że to coś więcej niż szkolne zauroczenie. Związałaś się z Pete'em tak szybko po jego wyjeździe, że prawdę mówiąc, nawet zapomniałam, że w ogóle byliście razem.

Jacks westchnęła.

– Patrzyłam dzisiaj na te kobiety w eleganckich ciuchach, z akryłowymi paznokciami i te dziewczyny, które wskakują na statek i jeżdżą po całym świecie, i zastanawiałam się, dlaczego mnie nigdy nie spotkało w życiu nic niezwykłego. Jak ludzie to robią, że mają fantastyczne domy i nie muszą podliczać w myślach cen w czasie zakupów? Jak się zostaje kimś takim?

– Kasa – odgadła Gina.

– Tak, jasne, chodzi też o kasę, ale to coś więcej. Jakaś wiara, że twoje

życie może tak wyglądać, i sama je pod to układasz. Tak się cieszę, że Martha ma teraz taką szansę. Chciałabym, żeby wszystkiego mogła spróbować. – Jacks rozpogodziła się. Na samą myśl o córce zrobiło jej się lepiej.

Gina odpaliła samochód.

– Dobra, odwiozę cię do domu.

Domu, pomyślała Jacks, tam, gdzie czeka dzwonek.

Osiemnaście

Dziewiętnaście lat wcześniej

– I co myślisz? – Gina podrygiwała w miejscu wyraźnie podniecona, przytupując niebieskimi trzewikami Buffalo.

– O czym? – uśmiechnęła się Jacks.

– Och, na litość boską! Gadam o tym samym, odkąd jesteśmy na molu, a ty mnie wcale nie słuchasz! – oburzyła się Gina.

– Słucham! – Jacks wybuchnęła śmiechem.

– To co powiedziałam?

– Że chcesz przenieść się do Bristolu, pracować w klubie muzycznym Thekla, projektować koszulki i stworzyć własną markę.

– Wiedziałam, że nie słuchasz, ale byłaś blisko. Gdzie ty masz dzisiaj głowę? Jesteś zupełnie gdzie indziej.

Tak. Na tarasie domu na ranczu w Montanie... Przechadzam się po Franklin Park Zoo w Bostonie i siedzę nad jeziorem z moim ukochanym...

Wzruszyła ramionami.

– Mam trochę spraw na głowie, to wszystko.

– Odpieprz się! – wrzasnęła Gina, obiema rękami odganiając mewę dybiącą na jej frytki. – Co za wredne ptaszyska! – Zwróciła się znowu do Jacks. – Mówiłam o Pecie Daviesie.

– Tym, który ma grać w Bristol City? Coś mi się obilo o uszy! – rzekła ze śmiechem.

– Właśnie o to chodzi. Rozwalił sobie kolano i z naboru nici. Nigdzie nie wyjeżdża. Nabawił się kontuzji na treningu i teraz nie będzie nawet kapitanem szkolnej drużyny, nie mówiąc już o zawodowej karierze. Trochę

szkoda, no nie? To jedyne, co umiał robić. Nie nadaje się do niczego innego.

Jacks przytaknęła głową. Gina miała rację, do niczego się nie nadawał i naprawdę szkoda, lecz na szczęście to nie był jej problem.

– Chcesz? – Gina podsunęła przyjaciółce torbę frytek.

Jacks zamachała rękami, jakby sam pomysł zakrawał na zniewagę. Nie miała apetytu. Już poprzedniego dnia musiała wymigiwać się od zjedzenia kanapki przygotowanej przez Svena, bo do gardła podchodziły jej mdłości, a w ustach czuła metaliczny posmak, który za nic nie chciał ustąpić.

Przechadzały się pod rękę wzdłuż mola, aż dotarły na szczyt i usiadły obok siebie na ławce, zapatrzone w morze. Potężny tankowiec sunął po widnokręgu w kierunku portu w Avonmouth.

– To o czym tak rozmyślasz? – zapytała Gina, pakując sobie do ust kilka gorących frytek oprószonych solą.

Jacks otuliła się ciasniej płaszczem i odparła z uśmiechem:

– Można by powiedzieć, że o swojej przyszłości.

– Myślałam, że plan na przyszłość mamy ustalony. Przeniesiemy się do Bristolu, wynajmiemy razem mieszkanie, wyjdziemy każda za jednego z chłopaków z Take That – przy okazji, zamawiam Jasona Orange’a! – a ja będę projektować koszulki i pracować w jakiejś znanej firmie odzieżowej.

Jacks uśmiechnęła się wymijająco.

– A, kumam, zmiana planów. Czyżbyś to ty miała zamiar złapać pracę w Thekli i wyjść za Jasona Orange’a? Lepiej to jeszcze przemyśl, bo po pierwsze, musiałabym spuścić ci niezły łomot za rwanie mojego faceta, a po drugie, tęskno by mi było za tobą.

– Spokojna głowa. Nie jest w moim typie. – *Wolę raczej szwedzkich intelektualistów lubiących siedzieć wieczorami na werandzie i kołysać się na bujanej kanapie...* – Zastanawiam się, jak to się dzieje, że człowiek może pałętać się tak bez celu, aż tu nagle BAM! Zdarza się coś takiego, że naraz

wiadomo, jak się to wszystko skończy.

– Co za koszmar! Wyobrażasz sobie wiedzieć z góry, co cię w życiu czeka? Fajne jest właśnie to, że za każdym zakrętem czai się przygoda i nie wiesz, gdzie los cię poniesie ani kogo spotkasz. To jest właśnie najlepsze. – Gina zmiażdżyła w rękach zatłuszczoną torbę i wyrzuciła ją do kosza, po czym sięgnęła do kieszeni dżinsowej kurtki po paczkę papierosów i zapalniczkę.

– Też tak wcześniej myślałam, ale teraz już nie wiem. – Jacks spojrzała na przyjaciółkę z ukłuciem żalu w sercu na myśl o tym, że będą mieszkać po dwóch przeciwnych stronach Atlantyku. – Przyjemnie jest jednak mieć jasną wizję przyszłości. To mi daje poczucie szczęścia i spokoju!

– A niech mnie, stara, nie mów, że zaczęłaś mieć wizje. Co ty jesteś, wróżka Kasandra? Gdzie masz szklaną kulę?

– Nie, nie o to chodzi. Sama nie wiem... – Jacks kopała butem w drewnianą nogę ławki, nie chcąc się zdradzać ze wszystkim – ale nigdy nie czułaś strachu przed tym, co może się kryć za zakrętem?

Gina zaciągnęła się papierosem, spoglądając na nią ze zdumieniem.

– Nie, raczej nie, chociaż chętnie rzucę okiem w twoją kulę!

Jacks objęła się za ramiona, chroniąc się przed podmuchami wiatru. *Nie mam szklanej kuli, ale za to mam tajemnicę...*

Dziewiętnaście

Dwa tygodnie po wyprawie do Londynu Jacks nadal chodziła jak struta. Trudno było jej przywołać uśmiech na twarz i udawać, że wszystko jest w porządku. Pete stawał na głowie, żeby jej dogodzić, ale nie mógł naprawić rzeczy, o których nie miał pojęcia, i tylko doprowadzał ją do większej irytacji. Martha, korzystając z nieuwagi matki, spędzała z Gideonem tyle czasu, ile tylko mogła, a Jonty nic nie zauważył, pogrążony w swoim szczęśliwym świecie żołnierzyków i gier komputerowych, ciesząc się z częstych nieobecności siostry i tego, że miał cały pokój dla siebie, żeby bezkarnie jeździć po nim zdalnym samochodem.

Dwa tygodnie później Jacks siedziała przy stole i słuchała, jak nasypywane przez Pete'a płatki z łoskotem uderzają o dno fajansowej miseczki. Dźwięk był nieprzyjemny, twardy, suchy niczym żwir i działał jej na nerwy. Po nim następowały chrzęszczące odgłosy żucia i połykania, a później łyżka ponownie szorowała o dno miski i kolejna porcja płatków zostawała poddana miażdżącej obróbce, chociaż zawartość pierwszej ciągle jeszcze wypełniała mu policzki. Zrobiło jej się niedobrze. Zawsze mierzył ją sposób, w jaki jadł, ale dzisiaj bardziej niż zwykle. Odruchowo uchyliła się, kiedy chciał pocałować ją na pożegnanie. Dostrzegła iskrę bólu w jego oczach, ale to było od niej silniejsze.

– Mamo, gdzie moja bluzka? – Jękliwy głos rozbrzmiał na podeście i sfrunął z echem po schodach.

– W bieliźniarce!

– Ma-mo, uprałaś mi strój na WF? – zawołał Jonty.

Cholera! Zapomniała. Po prawdzie rzeczony strój wciąż spoczywał

zwinięty w reklamówce na tylnym siedzeniu skody.

– Zaraz przyniosę, Jont! – Pomyślała, że strzepnie go i spryska dezodorantem, może syn nie zauważy.

Z pokoju Idy dobiegł głośny dźwięk.

– Babcia dzwoni! – krzyknęły dzieci chórem.

Jacks ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się.

Po południu wtoczyła wózek z Idą do przedpokoju i pomogła jej wstać. Była piękna pogoda, więc wyszły się przewietrzyć. Ziemię pokrywała wprawdzie biała warstwa szronu, ale niebo było czyste i błękitne, przywołując dalekie wspomnienie lata na pociechę w czas dotkliwych mrozów. Przebrała mamę i ułożyła ją do poobiedniej drzemki, po czym zeszła na dół, złożyła fotel i umieściła go w schowku pod schodami.

– Mam skarb! – zawołała Ida.

Przynajmniej zapomniała o liście, pomyślała Jacks.

– Nic się nie bój, mamó. Kiedy znajdziemy twój skarb, zaraz ci go przyniosę.

Z westchnieniem zgarnęła reklamówkę zawiązaną na podwójny supeł i wyniosła ją do pojemnika. Gdy weszła do kuchni, ze zdumieniem odnalazła tam Marthę z głową złożoną na łokciach.

– Cześć, kochanie. Ale mnie wystraszyłaś, nie wiedziałam, że jesteś w domu. Dlaczego już wróciłaś?

Martha podniosła wzrok i wzruszyła ramionami. Widać było, że wcześniej płakała.

– Źle się czujesz? Zrobić ci gorącej wody na żołądek? – Jacks zajęła się zwykłymi obowiązkami.

– Nie. Nie jestem... chora, mamó – odparła zduszonym głosem.

Rzucił ją. Jacks poczuła gwałtowny przypływ euforii. Wszystko

wychodzi na prostą. Gina miała rację. Sytuacja dojrzała w swoim tempie i Gideon poszedł własną drogą.

– Co się stało, skarbie? Powiedz mi. Wiesz, że zrobię, co tylko w mojej mocy, żeby ci jakoś pomóc. Zawsze. – Jacks usiadła przy córce i położyła rękę na smukłej dłoni dziewczyny.

Oczy Marthy znów napełniły się łzami. Opuściła głowę na oparte na stole ramiona, a jej plecami wstrząsnął konwulsyjny szloch.

Jacks głaskała córkę kojąco po włosach.

– Już dobrze, kochanie. Wszystko się ułoży. Jesteś taka młodziutka, poczekaj tylko trochę i zobaczysz, że na nim świat się nie kończy. To bardzo miły chłopak, ale na studiach spotkasz jeszcze niejednego Gideona. A nawet kogoś lepszego niż on, kogoś z perspektywami na przyszłość, kogoś z ambicjami i będziesz się cieszyć, że to się teraz zakończyło.

Martha usiadła prosto i oddychała ciężko. Otarła oczy rękawem, zostawiając na nim smugę zbyt obfitego tuszu.

– My nie... – zająknęła się – nie zerwaliśmy ze sobą, mamo.

– O. Pomyślałam po prostu... A w szkole wszystko w porządku?

Martha skinęła głową.

– Dostałam jeszcze jedno powiadomienie z UCAS.

– Nie powiesz mi, że Warwick wycofali swoją ofertę? Mogliby to zrobić?
– zatchnęła się.

– Nie. – Martha pociągnęła nosem. – To tak nie działa.

– Chwała Bogu! – Jacks wypuściła powietrze.

– Napisali, że dostałam drugą ofertę. Z Bristolu. – Znowu zanosła się płaczem.

– Tak! – Jacks klasnęła w dłonie. – Wiedziałam! Brawo! Czemu płaczesz, głuptasie, to wspaniała wiadomość! Bristol brzmi całkiem nieźle, mogłabym

cię odwiedzać, zabrać cię na obiad albo zrobić ci pranie. Wiem, że obiecałam tacie, że damy ci swobodę i niezależność, ale mogłabym zdążyć zabrać twoje rzeczy, uprać, wysuszyć i odwieźć ci z powrotem w jedno popołudnie. Miałybyś problem z głowy i mogłabyś skupić się wyłącznie na nauce. I bylibyśmy blisko. Gdyby się coś działo – odpukać! – miałybyś nas pod ręką. Może dostałabyś miejsce w jednym z tych przepięknych akademików na wzgórzach!

– Nie, mam. Nie będzie takiej potrzeby.

– A. No dobrze, sama rób sobie pranie! – Jacks roześmiała się sztucznie.

– Nie chodzi o żadne pranie! – wybuchnęła Martha.

Jacks zaczęła podejrzewać córkę o jakąś burzę hormonów. Jej dziewczynka musiała się czuć przytłoczona przemianami, jakie szykowały się w jej życiu. Trudno się temu dziwić. Wyjazd z domu, aby zamieszkać gdzieś daleko wśród obcych, to przecież poważny krok. Nie żeby sama coś o tym wiedziała. W jej przypadku doszło tylko do zmiany adresu o kilka ulic dalej i zamiast spotykać rodziców przy śniadaniu w kuchni, budziła się koło Pete'a.

Odczekała chwilę, aż emocje trochę opadną, i spróbowała znowu:

– To dlaczego płaczesz, kochanie? Mam poszukać drugiej butelki wina?

Marta wyprostowała się i zakaszła. Odgarnęła włosy za uszy i uspokoiła się.

– Nie jadę do Bristolu.

– Dobrze, jedź do Warwick. To był twój pierwszy wybór, prawda? Mówiłam ci, że byłam na ich stronie? Mają w samym kampusie kawiarnię, supermarket, a nawet zakład fryzjerski. Coś niesamowitego! Proszę cię, nie bądź smutna! Nie ma żadnego problemu, malutka, nie będziemy się z tatą wtrącać do twojej decyzji, o ile ci to posłuży i będziesz bezpieczna. Tylko to się liczy. – Jacks uścisnęła jej rękę.

– Do Warwick też nie jadę.

Zapadła chwila ciszy, w trakcie której Jacks przetrawiała słowa córki, usiłując zrozumieć, co się właściwie dzieje.

– Nie wygłupiaj się, oczywiście, że tak. Dostaniesz potrzebne stopnie, jestem tego pewna! Masz po prostu tremę, ale przecież tak świetnie sobie radzisz i wszystko ci się udaje. Zawsze!

– Nie idę na studia. Koniec i kropka. – Martha wyszarpnęła dłoń z palców matki i splotła obie ręce na kolanach.

– Co ty opowiadasz? Oczywiście, że tak! Kupiłam ci już nawet toster do kanapek! – Jacks poczuła w piersi szybkie kołatanie, a w skroniach jej zaszumiało.

Martha nabrała powietrza, popatrzyła na matkę i ponownie otarła oczy.

– Nie! Nie rozumiesz? Nigdzie nie jadę!

– Opowiadasz bzdury.

– Jestem w ciąży. – Jej słowa przecięły powietrze i ugodziły Jacks prosto w serce, jak ostrze sztyletu.

– Proszę? – To musiał być jakiś żart, tyle że wcale nieśmieszny.

– Słyszałaś. Jestem w ciąży.

– Ale... To niemożliwe... Ja... Powiedz, że to nieprawda – bełkotała w szoku.

Martha wstała z miejsca.

– Nie mogę tego powiedzieć, bo tak jest.

Przez kilka następnych sekund słowa Marthy odbijały się echem od ścian kuchni, zanim osiadły w świadomości Jacks. Położyła rozdygotane dłonie na blacie stołu, a z holu doleciało skrzypienie schodów pod stopami Marthy. W uszach zadźwięczały jej słowa szkolnego wychowawcy, głośno i wyraźnie: *Dla takiej dziewczyny jak Martha nie ma ograniczeń. Jeżeli się postara i dobrze przyłoży, to sama może zadecydować o swojej przyszłości!*

Nie. Nie. Nie! To się nie dzieje naprawdę. Nie pozwoliłaby na to!

Chwyliła poręcz i wspięła się na górę na ołowianych nogach. Na podeście gwałtowny dźwięk dzwonka osadził ją w miejscu. Otworzyła drzwi do pokoju Idy, wsadziła głowę do środka i unosząc palec do góry, powiedziała trochę za ostro:

– Zaraz przyjdę, mamó, poczekaj. Muszę tylko porozmawiać z Marthą i już do ciebie wracam.

Zamknęła szczelnie drzwi, po czym stanęła w progu pokoju dzieci, opierając się o framugę.

– Zamierzasz je zatrzymać? – wyszeptała.

Martha skinęła głową z wyrazem determinacji na twarzy.

– Tak.

Jacks stanęła w nogach łóżka córki, a przed oczami zawirowały jej czerwone plamy. Miała coraz płytszy oddech, aż w końcu łyzy wściekłości i rozpacz spłynęły jej po twarzy. Drżała na całym ciele.

– Czy ciebie już do końca popierdoliło?

Martha patrzyła na nią szeroko rozwartymi oczami, lecz nie odpowiadała.

Jacks nachyliła się nad córką.

– Chyba tak. Najwyraźniej zupełnie ci odjechało!

– Mamó! – Martha objęła się za ramiona i wcisnęła głębiej w poduszkę. – Ty przeklinasz.

– Bo to jest właśnie moment na przeklinanie. Wymyślono je na takie pieprzone okazje! Słyszysz mnie? – wycodziła przez zaciśnięte zęby.

Martha zamknęła oczy, żeby się odgrodzić.

– Czy ty rozumiesz, coś narobiła? Co ty ze sobą wyprawiasz? – Jacks odwróciła się i trzasnęła drzwiami. Martha podskoczyła i odruchowo położyła sobie dłoń na brzuchu.

Ida zadzwoniła. Jacks wetknęła głowę do jej pokoju i krzyknęła:

– Na litość boską, daj mi chwilę spokoju! – Wycofała się. Jak burza ruszyła znów do pokoju Marthy i z hałasem otworzyła drzwi.

– Wszyscy mi mówili, żeby się nie mieszać, że dramatyzuję! Ale ja wiedziałam, od chwili, kiedy zobaczyłam, jak z nim rozmawiasz, wiedziałam, że spierdolisz sobie całe życie! Modliłam się, żeby to była nieprawda, nie masz pojęcia, jak strasznie się modliłam, ale nikt mnie nie słuchał.

W przerwach między jej wybuchami słychać było cichy płacz Marthy.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłaś? Co? Sama zawiązałaś sobie pętlę na szyi! Nie... – Jacks zanurzyła palce we włosach i zaczęła krążyć po pokoju. – To by było za szybko. Raczej wstrzyknęłaś sobie dawkę powolnej trucizny. W końcu cię zabije, ale wcześniej będzie zżerać cię przez dwadzieścia lat. Dwadzieścia pieprzonych lat gnicia, przez które będziesz się męczyć, aż w końcu utoniesz w tej byle jakiej miernocie! – Na twarz wystąpił jej szkarłatny rumieniec, a oczy pałały dziko.

Martha płakała bezgłośnie.

Jacks jeszcze nie skończyła.

– Z każdym rokiem będziesz dusić się coraz bardziej i będzie ci coraz ciężiej, aż któregoś dnia już nie podniesiesz się z łóżka. Spójrz na mnie! Popatrz na moje życie! – Uderzyła się pięścią w piersi. – Mam w szafie jeden stanik, wiedziałaś o tym? Jeden poszarzały biustonosz, który piorę, suszę, zakładam, piorę, suszę, zakładam. Jeden! Mam owłosione nogi, żeby nie wydawać na żyłki i wosk. „Dlaczego nigdy nic sobie nie kupujesz, mamo? Nie dbasz o siebie, mamo!” – przedrzeźniała głosy swoich dzieci. Martha zaszlochała. – Dlaczego? Bo nie ma pieniędzy na jebane ciuchy, nie dla mnie! I rozmyślałam sobie o jakichś oranżeriach, kiedy nie stać mnie nawet na bieliznę! Śmieszne, co? A moje dzieci, między którymi jest dziesięć lat różnicy, muszą gnieść się w jednym pokoju. Wszystko jest do dupy! –

Zacisnęła dłonie. – Moje życie jest do dupy i dlatego chciałam dla ciebie czegoś więcej. Żebyś stąd wyjechała, zobaczyła świat, żebyś została kimś! I mogłaś to wszystko zrobić. Nadal możesz! Masz szansę, masz możliwości!

Nogi się pod nią ugięły i osunęła się na przetarty dywan, przywierając plecami do łóżka.

– Będę kimś, mamó. Ja...

– Nie. Nie będziesz. Nawet tego nie mów! Będziesz jedną z tych dziewczyn, które wystają na przystankach autobusowych z uśpionym dzieckiem w wózku i klepią w tanie telefony na kartę. A mogłabyś mieć wszystko!

Martha wstała.

– Mam wszystko! Mam Gideona i będę mieć nasze dziecko.

– Ty *nie znosisz* dzieci! Pamiętasz, co mówiłaś o Jaydenie? „Paskudny, czerwony wyjec”, tak o nim mówiłaś. I że nie rozumiesz, co w nim takiego słodkiego.

– A ty powiedziałaś, że wszystko jest inaczej, kiedy ma się swoje.

Trafiony, zatopiony.

Jacks płonęły oczy.

– Tylko siebie posłuchaj. Gadasz jak ciemna masa! Nigdy bym nie pomyślała, że możesz mierzyć tak nisko. Możesz sama wybrać, co ze sobą zrobić, i decydujesz się na *to*? – Jacks zaśmiała się piskliwym, nienaturalnym głosem. – I wiem, że wydaje ci się, że Gideon to jest ten jedyny – roześmiała się znowu. – Pewnie wyobrażasz sobie, że zestarzejecie się razem pośród róż w ogrodzie. Tak nie będzie, Martha. To jest tylko zmyłka. To się zmienia, ale przed tym nikt cię nie ostrzeże. Myślisz, że znalazłaś swoją wielką miłość? Chryste, minie kilka lat, a on nawet cię nie będzie pamiętał! A ty będziesz marzyć w nieskończoność i tęsknić za nim po nocach! Na zawsze złamie ci serce, a ty będziesz dla niego bladym wspomnieniem z przeszłości.

– Nie wiesz, co jest między nami. Nie wiesz, co czujemy! – Martha podniosła głos.

– Nie? – Jacks podniosła się z ziemi i zacisnęła pięści. – A co ty myślisz, że ja taka się urodziłam? – Szarpnęła się za sweter. – Że od małego wyglądałam jak wrak? Wyobraź sobie, że nie. Gdy poznałam... – Pohamowała się. – Byłam... Byłam taka jak ty, niesiona na skrzydłach pierwszej, romantycznej miłości. Chciałam go dotykać nieustannie i żeby on mnie dotykał. Patrzyłam, jak śpi, spijałam jego słowa. Był dla mnie jak narkotyk i zrobiłabym wszystko, o co by poprosił, wyjechałabym z nim na koniec świata, bo liczyło się tylko to, żeby być razem z nim. Jak uzależnienie...

Martha spuściła wzrok. To brzmiało znajomo.

– I wiesz, co się stało? Wiesz? Nagle okazuje się, że chodzę po domu i zbieram brudne skarpety Pete’ a, ciulam każdy grosz i gramolę się nad jego gołą dupą w środku nocy, żeby zmienić matce pieluchę. Ot tak, w mgnieniu oka. – Pstryknęła palcami. – Po prostu z dnia na dzień!

– Z nami będzie inaczej. Ja go nap...

– ...rawdę kocham! – dokończyła Jacks. – Tak, Martha, wiem. I nikt nigdy nie kochał nikogo tak bardzo, jak ty kochasz jego, a on ciebie, i na całym świecie nie ma nikogo, kto byłby to w stanie zrozumieć, bo to, co między wami istnieje, jest wyjątkowe. Tak, tak. No więc przyjmij do wiadomości, że powtarzasz te same banialuki co każda kobieta, kiedy spotyka jakiegoś Gideona czy inną nieudaną kopię George’a Clooneya, który bajeruje ją wyszukaną gadką i kilkoma banknotami w kieszeni. Nie jesteś wyjątkowa i bardzo się mylisz! Znalazłaś się po prostu na tym naiwnym etapie.

– To nie jest żaden etap. To się dzieje naprawdę! – krzyknęła Martha rozdzierającym głosem.

– Nie, nie dzieje się. I w tym właśnie tkwi haczyk, że wydaje się, jakby się działo! A zanim się spostrzeżesz, będzie już za późno.

– Myślę, mamó, że umiem rozpoznać różnicę. Musisz mi trochę zaufać.

– Co ty nie powiesz! – prychnęła ostro Jacks. – Nie po to cię urodziłam, Martha. Nie dla takiego życia.

– Nie *po to*? – Martha spojrzała na matkę, zszokowana. – To brzmi, jakbyś urodziła mnie w jakimś konkretnym celu! – Potarła się po ramionach.

– Bo może tak było. Może urodziłam cię, żebyś coś osiągnęła, przeżyła coś wspaniałego.

– A może urodziłaś mnie, żebym spełniała twoje własne marzenia? Wszystko to, czego nie potrafiłaś albo nie mogłaś zrobić. Nie o to raczej chodzi?

– Tak, trochę tak. Ale w dobrym sensie!

– Jakim dobrym sensie? Co dobrego może wyjść ze zrzucania na mnie odpowiedzialności za twoje niewypały? Nie przyszło ci do głowy, że ja mogę mieć inne marzenia niż ty?

– No, tyle to już widać! – warknęła Jacks.

– To dlatego, że nie lubisz Gideona? Chodzi ci o niego?

Jacks westchnęła i potarła o siebie dłonie.

– Ciągłe chodzi o niego! I zawsze będzie chodziło, dopóki nie przejrzysz na oczy!

– Czyli zrobię to, czego ty chcesz.

– To jedno i to samo.

– Nie. Wcale nie.

Jacks popatrzyła na córkę.

– Nie jesteś jeszcze do końca uformowana. Jesteś jak ciasto nieupieczone w środku. Z wierzchu wygląda może na gotowe, ale trzeba zostawić je

jeszcze w piekarniku na dwadzieścia minut, żeby całkiem doszło. Nie jesteś jeszcze gotowa! – wrzasnęła Jacks i walnęła w ścianę rozpostartą dłonią.

– Na co? – zgubiła się Martha.

– Na cokolwiek! – Jacks nabrała powietrza, żeby się uspokoić. – Masz dopiero osiemnaście lat. Wydaje ci się, że jesteś dorosła, ale to nieprawda. Jesteś ciągle dzieckiem. Uwierz mi, wiem, co mówię. Fizjologia może być zwodnicza, a nawet okrutna, bo masz już biust i potrzeby, i swój własny rozum. Ale ogólnie rzecz biorąc, jesteś jeszcze tylko młodziutką dziewczyną i musisz mi zaufać, kiedy mówię ci, że później, gdy skończysz trzydzieści, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat, a zapewniam cię, że to już niedługo, zrozumiesz, że miałam rację.

– Nie rozumiem, co wiek ma do rzeczy! Mam prawo do własnych decyzji, a zawsze mówiłaś, żeby słuchać swojego wewnętrznego głosu. I to właśnie robię. To ty nie masz do mnie zaufania.

Jacks szukała odpowiednich słów.

– Ja też mam swój własny głos, który w tej chwili wrzeszczy, że popełniasz gigantyczny błąd!

– No to powiedz mu, że mama dobrze mnie wychowała i potrafię sama dokonywać za siebie wyborów!

Jacks otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło jej na myśl.

– Kocham cię, mamo – powiedziała Martha niemal szeptem – ale musisz pozwolić mi żyć po swojemu. To jest moje życie. Nie twoje.

Jacks spojrzała na zaciętą twarz córki u progu kobiecości.

– Martha, proszę cię – powiedziała, ścisząc błagalnie głos. – Rozumiem, że jesteś rozsądna i wiesz znacznie więcej ode mnie. Ale ja znam życie, już to przerabiałam i mogę mówić z własnego doświadczenia.

Martha ściągnęła kucyk z tyłu głowy i wyskoczyła z łóżka. Otarła sobie

ły i podniosła torbę.

– Błagam cię. Błagam, słyszysz? Nie decyduj się teraz na dziecko. To będzie koniec wszystkiego, koniec twojej przyszłości.

– Poznaliście się z tatą, kiedy byłaś niewiele starsza ode mnie – odpaliła Martha. – Chcesz powiedzieć, że dla ciebie to był koniec wszystkiego?

No i właśnie. Szach i mat. Bo co miała powiedzieć? Nie mogła wyrzucić tego, co miała na końcu języka, pełnych gorzkości słów życiowego rozczarowania. Przez tyle lat robili z Pete'em wszystko, żeby uchronić ją przed prawdą. Nie zniszczy tego teraz. Chciała jej wytłumaczyć, chciała krzyknąć: „Tak! To był koniec wszystkiego, bo straciłam marzenia i miłość mojego życia!”, ale nie mogła tego zrobić. Wszystko by poszło na marne.

Spojrzała w pełne łez oczy Marthy i wzięła ją za rękę.

– Nie. Nie, kochanie. Oczywiście, że to nie był koniec. Dostaliśmy ciebie, a to był najwspanialszy dar na świecie! Ale było nam ciężko, chwilami bardzo ciężko, i musieliśmy wiele poświęcić. Cały czas musimy.

Martha ruszyła do drzwi.

– Jeżeli nie chcesz budzić się koło dupy taty i tak strasznie się męczysz, to zrób coś z tym. Ale mnie do tego nie mieszaj. Będziemy mieli dziecko i koniec.

Godzinę później Jacks usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych. W tym samym momencie rozległ się dźwięk dzwonka. Powlokła się do matki.

– Zdaje się, że popłynęłam – zaświergotała Ida.

– Racja. Chociaż wiesz co? Wcale nie to chcesz powiedzieć. Chcesz powiedzieć, że obsrałaś się od góry do dołu lub też, przy odrobinie szczęścia, tylko się zlałaś. – Popchnęła matkę na poduszki i podciągnęła jej koszulę do góry. – To jest jak los na loterii, nigdy nie wiadomo, co się tym razem trafi.

– Czekam na list.

– Nie, nie czekasz. – Jej głos był ostry i nieprzyjemny. – Nie czekasz na żaden list, bo nikt do ciebie nie pisze. Rozumiesz? – krzyknęła Jacks, podchodząc gwałtownie do okna, żeby je otworzyć.

– Toto? – Ida zwróciła się w stronę drzwi.

– Ja chyba oszaleję. Dosłownie oszaleję! – Jacks oddychała ciężko, oparta o parapet, patrząc ponad dachami domów przy Sunnyside Road.

Przejrzyste niebo zniknęło, a zamiast tego nad miastem ciążyła posępna zawiesina chmur. Nie przedzierał się żaden promyk.

Jonty dostał wcześniejszą kolację i gdy Pete wrócił z pracy, oglądał telewizję w salonie.

– Cześć, ferajno! – zawołał mężczyzna z korytarza.

Jacks zjeżyła się z miejsca na ten radosny ton. Wszedł dziarskim krokiem do kuchni w bluzie pokrytej błotem, grudkami zaschniętego cementu i białymi bryzgami pestycydów. Wystarczyło, że spojrzał na żonę, a natychmiast położył jej szeroką dłoń na ramieniu i spytał:

– Co się stało?

Rozejrzał się po kuchni pogrążonej w mroku rozpraszanym jedynie lampką nad kuchenką. Piekarnik był zimny, zgaszony, najwyraźniej nie było kolacji.

– Z Idą wszystko w porządku?

Jacks kiwnęła głową, rozdrażniona, że jedyne, co mogłoby tłumaczyć jej dziwne zachowanie, to myśl, że Ida wyciągnęła kopyta.

– Rozmawiałaś z Martha? – zapytała czujnie, chcąc wybadać, czy nie porozumieli się za jej plecami, a ona sama dowiadywała się ostatnia.

– Nie. Dlaczego? Coś z nią nie w porządku? – Przysunął sobie krzesło i usiadł obok żony z niepokojem wypisanym na twarzy. – Jacks, o co chodzi? Zaczynasz mnie przerażać.

– Sama siebie zaczynam przerażać – roześmiała się nieprzyjemnie. – Martha jest w ciąży – walnęła bez ogródek. Nie była w stanie silić się na wstępy i wyjaśnienia.

– Co? – Pete zmarszczył brwi i odchylił się do tyłu na krześle.

– Słyszałeś. W CIAŻY – powtórzyła.

– Matko boska! – Pete potarł się po twarzy suchymi, spękanyymi dłońmi.

– Nie mówisz poważnie.

– A wyglądam, jakbym żartowała? – fuknęła opryskliwie.

– Gdzie ona jest? – zapytał łagodnie.

Jacks wzruszyła ramionami.

– Dobrze się czuje?

Jacks podniosła wzrok, zdając sobie sprawę, że nawet nie zapytała.

– Nie wiem. Nie mogę w to uwierzyć, Pete.

– Który miesiąc?

O to też zapomniała spytać.

– Nie wiem. Poniosło mnie. Zaczęłam na nią krzyczeć, myślałam, że wyjdę z siebie. Jestem tak wściekła! Wszystko się we mnie gotuje, nie mogę zebrać myśli. Jak można tak wszystko spieprzyć?

Pete podniósł się i sięgnął po kluczyki na szafce.

– Myślisz, że jest u Steph?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie miała pojęcia, gdzie mogła być jej córka. Usłyszała tylko trzaśnięcie drzwiami, gdy zajmowała się Idą, nic więcej nie wiedziała. Reakcja Pete'a wzbudziła w niej falę wstydu.

– Pójdę jej poszukać.

– Dobrze. – Jacks chciała mieć córkę przy sobie. Nie było jeszcze za późno, żeby spróbować przemówić jej do rozsądku.

– Wyobrażam sobie, jaka jesteś przybita i rozczarowana. Ale będzie

dobrze, Jacks. – Uśmiechnął się ciepło, jak zwykle starając się wszystko załagodzić.

Popatrzyła na niego.

– Tak sądzisz?

Rozjaśnił się.

– No pewnie. To nie jest jeszcze najgorsze, co mogło się wydarzyć, prawda?

– Nie?

– Nie. Nie, kochanie. Kto jak kto, ale ty wiesz to najlepiej. – Popatrzyli na siebie przez chwilę. – Musimy porozmawiać. Później, jak Jonty zaśnie. A tymczasem pójdę jej poszukać, wrócę niedługo.

Jacks tkwiła przy stole w kuchni, choć gdyby tylko mogła, najchętniej poleciałaby sama szukać Marthy. Bała się, że się bez niej namówią. Chciała mieć w tej sprawie coś do powiedzenia, bo jak nie, to Pete gotów jeszcze stwierdzić po swojemu, że w końcu zawsze wszystko jakoś się układa, i pozwolą zaprzepaścić jeszcze jedno życie.

Wyobraziła sobie spotkanie z Gideonem i możliwy przebieg ich rozmowy. Zaślepiona złością i rozgoryczeniem, próbowała znaleźć odpowiednie słowa. „Skąd ci się uroiło, że jesteś dla niej dość dobry?” było tym, co najczęściej przewijało się przez jej wzburzone myśli. I jeszcze: „Miała wszystko przed sobą, zanim cię spotkała i zanim jej przeszkodziłeś. Jesteś dla niej ciężarem i pewnego dnia cię za to znienawidzi!”. A może lepiej uderzyć w jego czułą strunę, wziąć go na serdeczność, którą okazał wcześniej, przynosząc jej kwiaty i pogadując z Jontym. „Jeszcze nie jest za późno, Gideon, to się da naprawić. Wszystkim zdarzają się błędy”. *Nie wyłączając mnie*, dodała do siebie w duchu. „Jesteście jeszcze młodzi, możecie wszystko odkręcić i mieć takie życie, o jakim marzyliście...”.

O jakim ja marzyłam. Na tę myśl z oczu znów popłynęły jej łzy.

Godzinę później szczęknęły drzwi wejściowe i do kuchni wszedł Pete.

– Zguba się znalazła, cała i zdrowa. – Uśmiechnął się i pogłaskał córkę po długich włosach.

Jacks przyjrzała się śladom łez na policzkach Marthy, spuchniętym powiekom i zaczerwienionym oczom i serce się jej ścisnęło na widok jej małej dziewczynki takiej nieszczęśliwej. Nie wiedziała, czy ma wziąć córkę w ramiona, czy naskoczyć na nią od nowa i dalej tłumaczyć.

– Masz ochotę coś zjeść? – zapytała, starając się zachować pojednawczy ton, i uciekła oczami.

Martha pokręciła głową.

– Nie, dziękuję – odparła zachrypniętym szeptem. – Jadłam u Steph.

– Steph już wie? – Jacks podskoczyła jak oparzona.

Martha przytaknęła.

Czyli zaraz dowie się całe Weston... Zachowała tę uwagę dla siebie, ale to był dla niej jeszcze jeden cios. Kiedy się ludzie dowiedzą, trudniej będzie załatwić całą sprawę i udawać, że nic się nie stało.

– W którym jesteś tygodniu? – zapytała, siląc się na spokój ze wzrokiem utkwionym w paznokcie.

– Około dziesiątego – wyszeptała Martha i znów zalała się łzami.

Jacks szybko dokonała w myślach obliczeń. *Boże Narodzenie, Nowy Rok, musiałas po kryjomu wymykać się do niego do domu lub do warsztatu. To ciągłe esemesowanie przy stole, to nieustające brzęczenie, które doprowadzało mnie do szału, bo wiedziałam przecież, że to on. Jak mogłam być taka głupia?*

– Idź się połóż, skarbie. Przyniosę ci herbatę na górę – powiedział Pete z uśmiechem.

Martha przystanąła w progu, zanim wyszła, i popatrzyła na mamę.

– Przepraszam, mamó. Wiem, że cię zawiodłam, ale ja tego nie planowałam. To się po prostu stało.

Jacks otworzyła usta, chcąc odwarknąć, że takie rzeczy nie dzieją się tak po prostu, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Pete odsunął się, przepuszczając córkę, i oparł się o zlew, czekając, aż wejdzie na górę.

– Jacks, musisz się opanować. Ze względu na nas wszystkich, a w szczególności na Marthę. Powinniśmy być teraz przy niej i dać jej opiekę, a do tego musi się tu czuć bezpiecznie.

– Och, najmocniej przepraszam, wybacź, że to ja robię problem! Czemu odnoszę wrażenie, że to do mnie wszyscy mają pretensje? A czy to niby ja spuściłam jej świetlaną przyszłość do kibla? Ale koniec końców wszystko musi skrupić się na mnie!

– Tego nie powiedziałem. Mówię tylko, że już i tak jest nam ciężko, a my dwoje wiemy, że będzie jeszcze trudniej, więc nie ma potrzeby dodatkowo wszystkiego pogarszać. W końcu zawsze wszystko jakoś się układa.

– Na litość boską, Pete! Tylko siebie posłuchaj! Naprawdę tak myślisz? Serio? To kiedy w końcu coś się w naszym życiu ułoży? Kiedy wreszcie nam się poszczęści? Bo słyszę, jak powtarzasz to od dziewiętnastu lat, i wciąż się nie doczekałam.

Pete odwrócił się do niej tyłem, spoglądając przez okno na wąski pas ogrodu.

– W tym właśnie rzecz, Jacks. Mnie się poszczęściło. Poszczęściło mi się w dniu, kiedy dostałem ciebie, a potem Marthę, Jonty’ego, nasz mały domek, wszystko. Uważam, że jestem najbogatszym człowiekiem pod słońcem. Może nie mam jachtu i zegarka za ciężkie miliony, ale nie jestem głupi, Jacks. – Odwrócił się i popatrzył na nią. – W każdym razie jestem dość rozgarnięty, żeby wiedzieć, kiedy jestem szczęśliwy. Pewnie, że nie wszystko

jest tak, jak bym chciał. Myślisz, że nie przeszkadza mi, że matka woła cię do siebie co pięć minut, że nie mamy miejsca chociażby na kota, że nie stać mnie na tyle fajnych rzeczy, które chciałbym wam kupić, ani na wycieczkę Marthy do Paryża? Ale ogólnie rzecz biorąc, mogłoby być znacznie, znacznie gorzej. Więc mnie się ułożyło. I mogę tylko żałować, że ty tak nie uważasz.

– Pete – Jacks nabrała powietrza, uważnie dobierając słowa. – Nie to miałam na myśli. Ja nie...

– Nieważne, co miałas na myśli. Ważne, jak jest. – Pete pstryknął czajnik i zaczął przygotowywać herbatę dla swojej córki, która rozpaczliwie łkała na górze, wciskając twarz w poduszkę, żeby nie obudzić braciszka w drugim końcu pokoju.

Dwadzieścia

Dziewiętnaście lat wcześniej

Jacks siedziała w salonie segmentu rodziców. Mama wypłakiwała oczy w chusteczkę, a tata siedział obok i kiwał miarowo głową. Miała wrażenie, że ściany zaciskają się wokół, a z pokoju uchodzi powietrze. Zdawało jej się, że zaraz się udusi.

– A gdzie on teraz jest? – zapytał tata miękko. Opuścił krzyżówkę na kolana i odłożył ołówek na malutki słownik leżący na oparciu kanapy.

– Nie wiem. Chyba w Ameryce. Nie wiem, czy dokładnie w Bostonie, ale raczej w Stanach. Nie jestem pewna...

– To nam niewiele daje. Ponoć to duży kraj. Większy nawet niż Weston.
– Tata starał się rozładować atmosferę.

– Wiem, że większy niż Weston! Wszystko jest większe niż Weston! – Rzadko się zdarzało, żeby Jacks napadała na ojca, który teraz skulił się pod wpływem jej wybuchu.

– Jeżeli ci się wydaje, że jeszcze go kiedyś zobaczysz, to jesteś skończoną idiotką. Wiedziałam! Mówiłam to od początku, może nie? – Ida potrząsnęła głową i zaciągnęła się nerwowo papierosem.

– On o niczym nie wie, mamó, to nie tak. To nie jego wina. Nie zdążyłam mu powiedzieć, kiedy oni tak nagle wyjechali. Gdyby wiedział, to na pewno byłby tu teraz ze mną. – *I kiedy się odezwie, to mu o wszystkim powiem i wtedy po mnie wróci...*

Ida cmoknęła ze złością.

– Ale go nie ma, prawda?

Na te słowa gorące łzy znów stoczyły się Jacks po policzkach.

Ida zwróciła się w stronę męża.

– Mówiłam jej przecież, prawda? Znajdź sobie miłego chłopaka z okolicy, kogoś, kto się troszczy o matkę, o rodzinę. Ale mnie nikt nigdy nie słucha. Po co? A ja tylko chciałam dla niej tego, co najlepsze. Żeby miała dobre, szczęśliwe życie.

– Ida, oboje chcemy dla niej tego, co najlepsze.

Wyrozumiałość taty i wzruszające słowa wypowiedziane przez mamę, mimo jej głębokiego zawodu, jeszcze bardziej przygnębiły Jacks. Teraz na dokładkę miała poczucie winy. Znowu pociekły jej łzy. Wydawało się, jakby nigdy nie miały przestać, dławiły ją w gardle, rozsadzały usta i nos, jak cała rzeka smutku, której nie mogła powstrzymać.

Tata poklepał ją po ręce krzepiąco. Kochany tata, który zawsze umiał ją pocieszyć. Po raz pierwszy czuła się naprawdę nieszczęśliwa. Wszystkie dotychczasowe dołki wydawały się przy tym nic nieznaczącą chandrą. Jacks zamknęła oczy. Wiedziała, że nigdy nie zapomni tej chwili i tego zapachu – mama upiekła ciasto i w powietrzu unosił się aromat cynamonu i jakichś innych przypraw. Wystarczyło, żeby znów opadły ją mdłości.

– I co masz zamiar zrobić? – zapytała Ida łagodniejszym tonem, zwinięta w fotelu, z papierosem w wystawionej ręce.

Jacks wzruszyła ramionami. Nie miała żadnego konkretnego planu, ale jednego była absolutnie pewna.

– Chcę urodzić to dziecko.

Później tego wieczoru Jacks leżała na swoim wąskim łóżku zapatrzona w sufit i rozmyślała. Dlaczego wyjechał bez słowa pożegnania? Przypomniła sobie, jak spoczywała obok niego w trawie z ręką w jego dłoni i uczuciem, że cały świat stoi przed nią otworem, że może jechać, dokąd tylko zechce, i zostać, kimkolwiek zapragnie. To było wspaniałe uczucie. *Spotkamy się nad Jeziorem Snów...* Popatrzyła na księżyc, który teraz zdawał

się szydzić z niej przez okno. Odwróciła głowę i zanurzyła twarz w poduszkę. *Miałeś mnie zabrać ze sobą. Nas zabrać ze sobą! Sven, ja cię tak kocham. Tak bardzo cię kocham. Dałabym wszystko, żeby móc z tobą chwilę porozmawiać...*

Tydzień później przysłał list. Szokująca prawda poraziła ją niczym cios w żołądek i kazała biec do toalety, gdzie gwałtowne torsje zostawiły ją drżącą na całym ciele i skrajnie osłabioną. Odkręciła kran przy wannie. Nieważne, że woda nie zdążyła się jeszcze nagrzać, musiała czymś zagłuszyć swoje żałosne łkanie.

– Wszystko w porządku, skarbie? Masz poranne mdłości? – Przechodząca przez korytarz mama zapukała dwukrotnie do drzwi ręką bez papierosa.

Zostaw mnie. Błagam cię, odejź.

– Tak. Ale już wszystko dobrze – odpowiedziała najbardziej różnym tonem, na jaki mogła się zdobyć. Odczekała, słuchając lekkich kroków Idy zmierzających do ulubionego fotela.

Wyjechał z rodziną do Ameryki, do Bostonu, gdzie wynajęli sobie piękny, duży dom. I nie będzie szukał z nią kontaktu ani po nią wracał. Jeszcze raz przebiegła oczami treść listu w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby wskazać, że to tylko jedno wielkie nieporozumienie, że on już do niej jedzie, weźmie ją za rękę i zapewni, że wszystko będzie dobrze. Przyglądała się pająkowatym literom, roztrząsała wzniosłe, piękne słowa pozbawione treści, odarte z wszelkich uczuć, które mogłyby w sobie zawierać. Nie było w nich tej magii, której ulegała, leżąc z nim pod gwiazdami. Zniknął dreszcz ekscytacji ze snucia wspólnych planów, tak plastycznych i rzeczywistych, że wręcz czuła zapach kurzu w zapadającym nad Montaną zmierzchu pod nisko wiszącym księżycem. Nie było śladu nadziei, żadnej nutki tęsknoty. To było pożegnanie.

W głębi duszy wiedziała jednak, że tak się to musi skończyć. Że on

pojedzie dalej, a ona zostanie z rodzicami przy Addicott Road z nadzieją, że uda jej się zaczepić na jakiegokolwiek studia. Ale teraz nawet to stało się nieosiągalne. Położyła rękę na brzuchu i przeczytała list jeszcze raz.

„Chyba mieliśmy rację, wychodząc z założenia, że początki bywają najlepsze. Mieliśmy tylko początek i było cudownie, prawda? Rzeczywistość potrafi być okrutna. Dzieli nas tysiące kilometrów, ale my musimy dalej tańczyć pod gwiazdami, aż któregoś dnia odległość między nami się skurczy i kto wie, może dany nam będzie jeszcze jeden całkiem nowy początek...”

– Sranie w banię, sam sobie tańcz pod gwiazdami! – Jacks oparła się rękami o lustro, próbując zebrać siły, a jej łzy kapały do zielonej umywalki. – Pieprzysz dyrdymały, Sven. Nigdzie nie będę tańczyć, tak samo jak nigdzie stąd nie wyjadę. Ugrzęzłam tu, bez ciebie i w ciąży! – Zakwiliła cicho i żałośnie. – Jestem w ciąży, Sven, i nie mam pojęcia, co robić...

Podarła list na strzępy i wrzuciła do muszli. Pożałowała tego natychmiast, jak tylko szumiący wir wody porwał kawałki papieru i poniósł ze sobą w głąb.

Dwadzieścia jeden

Piękna, słoneczna pogoda rażąco odstawała od nastroju w domu Daviesów. Od sensacyjnego oświadczenia Marthy minął tydzień, w trakcie którego każdy z członków rodziny próbował po swojemu oswoić się z sytuacją w atmosferze gęstego napięcia. W drodze do szkoły w samochodzie panowała niecodzienna cisza. Jonty nie szczebiotał z tylnego siedzenia, a Martha robiła makijaż i nuciła pod nosem radiowe kawałki, nieskora do rozmowy.

– Wszystko w porządku tam z tyłu, proszę pana? – zapytała Jacks możliwie najłżejszym tonem. – Zapiąłś pas?

Jonty kiwnął głową z niewyraźną miną.

Postanowiła spróbować jeszcze raz.

– Co tak nic nie mówisz? Będziecie robić w szkole coś fajnego?

Jonty potrząsnął głową, po czym niespodziewanie wylał się z niego cały potok słów:

– Martha płakała w nocy. Obudziłem się, a ona rozmawiała pod kołdrą z Gideonem. Coś tam poszeptali, a potem znowu płakała.

Jacks popatrzyła na niego przez lusterko wsteczne, jak skubał paluszkami sprzączkę od suwaka kurtki. Kiedy się wreszcie zdobędzie, żeby mu powiedzieć? Kiedy w końcu zrozumie, że jej rodzina jest taka sama jak wszystkie i że nie będzie ceremonii wręczenia dyplomów jej genialnej dziewczynce, oficjalnego zdjęcia w todze i birecie, żadnego chlubnego tytułu przed nazwiskiem i jeżdżenia na ważne konferencje po egzotycznych stolicach z czarną walizką na kółkach?

– Przepraszam, że cię obudziłam, Jont. – Martha obróciła się do tyłu ze

skruszonym uśmiechem.

– A teraz już jest w porządku? – upewnił się.

– Będzie – odparła i wysiadła z samochodu, zarzucając sobie na ramię torbę pełną nic niewartych książek.

Jacks spędziła drogę powrotną na głośnym debatowaniu z tatą.

– Boże, tato, mam wrażenie, że wszystko wymyka mi się z rąk. Jeszcze nigdy nie było mi tak ciężko. Mam ochotę uciec. Naprawdę, chciałabym tak po prostu zniknąć. Staram się, uwierz mi, tak bardzo się staram, ale to ponad moje siły. Wybacz mi. Zrobiłam wszystko, żeby cię nie zawieść, ale już nie mogę oddychać.

Samochód za nią zatrąbił. Nie zauważyła, kiedy zapaliło się zielone światło.

Przypomniała sobie, jak kiedyś nie mogła się wręcz doczekać, żeby czas płynął szybciej, byle tylko prędzej wejść w dorosłość i posmakować tych niezwykłych rzeczy, które obiecywała przyszłość. Nie było co się tak spieszyć. Zaślepiona złudzeniami, rwała się do czegoś, co nigdy się nie zdarzyło. A potem przez całe lata karmiła się wspomnieniami, wyobrażając sobie, jak mogło potoczyć się jej życie, gdyby bardziej zawalczyła o Svena. Gdyby go odnalazła i dała mu wybór. A na koniec okazało się, że on nawet jej nie pamięta. Nie znaczyła dla niego nic.

Roztrząsała to wszystko w czasie jazdy, wzdychając głęboko, gdy nagle zadzwonił telefon leżący na siedzeniu.

– Tak, jestem mamą Marthy. – Serce podeszło jej do gardła, jak zawsze, gdy wyświetlał się nieznany numer. Kto to dzwonił? Ze szkoły? Ze szpitala? Co się dzieje z jej córką?

– Dzień dobry. Mówi Allison, mama Gideona. Przepraszam, że przeszkadzam, ale pomyślałam, że już czas, żebyśmy się spotkały. – Kobieta mówiła z bristolskim akcentem i wydawało się, że była mniej więcej w jej

wieku. W głosie ze słuchawki pobrzmiwało napięcie.

– Tak – rzekła Jacks z rezygnacją. Prędzej czy później musiało do tego dojść.

Dwie godziny potem, kiedy już uporała się z obowiązkami w domu i usadowiła Idę w samochodzie, ruszyła pod górę Grange Road.

– Jedziemy, mamó, na małą przejażdżkę. Umówiłam się z kimś na kawę. Może skusisz się na kawałek ciasta? Co powiesz? – Zaparkowała samochód przed budynkiem Szpitala Głównego.

Ida podniosła wzrok na nowoczesny budynek z rdzawej cegły.

– Harptree – powiedziała zwięźle i dobitnie.

Jacks popatrzyła na nią.

– Masz rację. – Wysiadła i obeszała samochód, żeby wyjąć wózek z bagażnika. „Harptree” to była nazwa oddziału, na którym przed śmiercią leżał tata.

Skierowały się do kawiarni Costa Coffee zaraz przy głównym wejściu. Jacks podprowadziła fotel do jednego z niewielkich stolików, zamówiła trzy kawy i, jak obiecała, kawałek marchewkowego ciasta dla Idy. Uśmiechnęła się nieznacznie do kilku pielęgniarek, które z torebkami w garści zajrzały w pośpiechu po kawę. Zaraz potem pojawiła się Allison. Jacks intuicyjnie wyczuła, że to ona. Przystanęła w drzwiach z niepewnym wyrazem twarzy, rozglądając się wokół, jakby w poszukiwaniu kogoś znajomego. Od razu widać było, po kim Gideon odziedziczył piękne zęby i szeroki uśmiech. Świetna cera i zgrabna, krótka fryzura sprawiały, że wyglądała na mniej niż swoje czterdzieści lat. Ubrana była w błękitny fartuch z krótkim rękawem obszyty białą lamówką, granatowe spodnie i drewniaki. Z przedniej kieszonki wystawała jej para nożyczek, a na łańcuszku zwisał mały zegarek odwrócony do góry nogami.

– Jackie?

– Tak, Jacks. Dzień dobry. Wzięłam dla pani kawę, nie byłam pewna, ile ma pani czasu. Mam nadzieję, że latte będzie w porządku.

– Każda kawa jest dobra, dziękuję. – Allison podniosła papierowy kubek i upiła łyk. – I dziękuję też, że pani przyszła. Przy moich godzinach trudno mi się spotkać poza pracą, ale teraz mam przerwę, więc...

– To moja mama, Ida – napomknęła Jacks, przerywając długą chwilę ciszy, w trakcie której obie zastanawiały się, jak dalej poprowadzić rozmowę.

– Ach, tak. Dzień dobry. Martha wiele o pani opowiada – uśmiechnęła się Allison.

Jacks zakłuło niemile. Nie wiedziała, że Martha poznała matkę Gideona i były już w takiej zażyłości. Wyobraziła sobie, jak siedzą wszyscy troje w kuchni Allison i rozprawiają wesoło o wspólnych planach na przyszłość. Poczuli się wykluczona i zrobiło jej się nieprzyjemnie, choć wiedziała, że to jej wina. Skutecznie wykluczyła sama siebie.

– Cieszę się, że możemy się spotkać. Nie mam zbyt wiele czasu, więc może przejdziemy do rzeczy. Powinnyśmy chyba ustalić pewne sprawy – podjęła Allison.

– Tak – westchnęła Jacks. Była przygotowana. Nie zamierzała niczego ukrywać, ale teraz nasza ją ochota, żeby przy okazji trochę ukrócić tę kobietę, która wydawała się lepiej poinformowana i w bliższych stosunkach z młodymi niż ona. – Nie powiem, żeby mnie cieszyła obecna sytuacja.

– Mnie też nie. – Allison szeroko otworzyła oczy i zacisnęła usta.

No proszę, to już coś. Chociaż tyle, że nie dekoruje domu na przyjęcie z okazji narodzin i nie dzierga śpioszków. Jacks zastanawiała się, jak to najlepiej rozegrać. Na usta cisnęła jej się cała masa rzeczy. Przede wszystkim musiała zaznaczyć, że rezygnując ze studiów, Martha przekreśla swoją wielką przyszłość. Wzięła głęboki oddech, ale Allison przejęła pałeczkę.

– Bardzo lubię Marthę, naprawdę. To wspaniała dziewczyna. Ale jest jeszcze bardzo, bardzo młoda i nie sądzę, żeby człowiek w tym wieku w pełni zdawał sobie ze wszystkiego sprawę. I dlatego się niepokoję. Gideon włożył bardzo wiele wysiłku w to, żeby się wykwalifikować. Ma wspaniałe ambicje, planuje swój własny warsztat i nie chciałabym, żeby... po pierwsze, żeby cierpiał przez kogoś, kto jest za młody, aby wiedzieć, czego sam chce, ale także żeby... Nie wiem, jak to ująć. – Przygryzła policzki i przesunęła wzrokiem po ziemi. – Boję się, żeby nie dał się wmanewrować w dziecko, na które będzie musiał łożyć przez następnych osiemnaście lat. – Wzruszyła ramionami.

Jacks wpatrywała się w nią ponad stołem, z całych sił tłumiąc pragnienie, żeby zacząć krzyczeć. Musiała się opanować, tak jak powiedział Pete, dla dobra ich wszystkich.

– Czyli, gwoli ścisłości, pani zdaniem Martha specjalnie zaszła w ciążę, żeby go usidlić. To chce mi pani powiedzieć?

Allison uniosła dłoń, jakby ucinając jej dalsze domysły.

– Niezupełnie. Nie sądzę, żeby zrobiła to celowo. Wie pani, jakie są dzieci, wydaje im się, że seks i miłość to jedno. – Pokręciła głową z niesmakiem. – Ale wiem, że wielu dziewczynom marzy się takie życie – nie pracować, siedzieć w domu i wychowywać dzieci. Gideon nie jest przyzwyczajony do czegoś takiego. Ja zawsze pracowałam całymimi dniami i nigdy nie byłam od nikogo zależna finansowo. Lubię być samodzielna. – Allison napiła się kawy.

Jacks zbierało się na płacz. Miała chęć uświadomić Allison, że pracowała w banku przez trzy dni w tygodniu, zanim została pełnoetatową opiekunką matki. Chciała wykrzyczeć jej w twarz, że chodzenie do pracy to nic w porównaniu z byciem do czyjejś dyspozycji na każde zawołanie siedem dni w tygodniu, życiem według rytmu cholernego dzwonka. Poczwała się

zaatakowana i odezwał się w niej instynkt obronny. Ale tu nie chodziło ani o nią, ani o Allison, tylko o ich dzieci. Poza tym Jacks zdawała sobie sprawę z tego, jak wyglądała praca pielęgniarki – w ciągu długich zmian nocnych Allison miała pewnie pod opieką trzydzieści takich Id. Zrobiła więc to, co podpowiadał rozsądek, i idąc za radą Pete'a, zapanowała nad sobą i odpowiedziała uczciwie:

– Martha była na najlepszej drodze do tego, żeby się dostać na studia. Otrzymała już kilka ofert i bez problemu spełniłaby wymagania, a teraz chce to wszystko odrzucić. To nie to, że ta sytuacja po prostu mnie nie cieszy. Jestem rozgoryczona i wściekła. – Okazało się, że trudniej było się do tego przyznać, niż się spodziewała. W gardle napęczniała jej ogromna kula. – Ona nie jest dziewczyną, która marzy o tym, żeby siedzieć w domu i nie pracować.

– To samo powiedziała mnie. – Allison kolejny raz potwierdzała, jak bliskie relacje ma z Martha.

– Nie jest też kłamczuchą, więc skoro tak twierdzi... – Jacks zawiesiła głos.

– Powiedziała też, że pani nie lubi Gideona – odezwała się Allison cicho. W jej głosie nie było agresji, tylko zwykła przykrość.

Chryste, Martha! Czy jest coś, czego nie powtarzasz tej kobiecie?

– Może tak się jej wydaje, ale to nieprawda. Nie miałam okazji bliżej go poznać, ale wydaje się, że to miły chłopak, a Martha jest nim całkowicie zauroczona. Bardziej chyba mam do niego żal, że postawił ją w takiej sytuacji. Ale czułabym to samo w stosunku do każdego.

– On *jest* miłym chłopakiem, szczerym i pracowitym. Nie miał w życiu lekko. Bardzo to przeżył, gdy rozstaliśmy się z jego ojcem. W gruncie rzeczy wychowała go babcia, bo ja wiecznie musiałam być w pracy. I to prawda, że bardzo by chciał mieć własną rodzinę, bardziej niż przypuszczałam.

Przyszedł wczoraj z Marthą na kontrolę i widać było, jak się z tego cieszy. Zawsze lubił dzieci. Pewnie dlatego, że w dzieciństwie przez większość czasu był sam – nie jesteśmy dużą rodziną. Miał tylko kuzyna Taita, ale on urodził się i mieszka w Sydney. Moja siostra wyjechała z kraju wiele lat temu. Ale rozumiem, co ma pani na myśli, mówiąc o rozgoryczeniu. Ja czuję to samo.

Jacks wpatrywała się w nią, porażona. *Kontrolę? Jaką kontrolę?*

Allison złowiła palcem dyndający u fartucha zegarek i sprawdziła godzinę.

– Przepraszam, muszę wracać na oddział. Dobrze, że się poznałyśmy i miałyśmy okazję porozmawiać. Cokolwiek się stanie, mam przeczucie, że będziemy im bardzo potrzebne, obydwie. – Uśmiechnęła się i nachyliła nad wózkiem, kładąc Idzie rękę na ramieniu. – Do widzenia pani, miło było poznać.

Jacks patrzyła za nią, jak wychodzi z kawiarni i kieruje się w stronę windy. Spotkanie nie przebiegło dokładnie tak, jak by sobie tego życzyła.

Po powrocie do domu wyciągnęła wózek z bagażnika.

– Chodź, mamó, zrobimy zakupy.

Miała ochotę się przejść, uporządkować myśli i rozważyć rozmowę z Allison. Popychając wózek przed sobą w drodze do sklepu, przeżywała wiadomość o tym, że Martha poszła do lekarza, nawet jej o tym nie mówiąc. Za to Allison, zasadniczo osoba jej całkiem obca, doskonale o wszystkim wiedziała. Kim była ta kobieta i jej syn, którzy nagle wtargnęli w jej życie? *Boże, ona ode mnie odchodzi! Stracę ją i zastąpi mnie ta wiecznie zajęta kobieta z zegarkiem na łańcuszku. A ja zostanę odsunięta na bok... Jezu, niech mi ktoś pomoże! Nie chcę stracić mojej małej dziewczynki.*

Jacks wzięła zakręt fotelem i ruszyła w stronę domu opieki Beach Lawns.

– Kupimy coś na kolację, dobrze?

W miejscu, gdzie ulica wyginała się szerokim łukiem, dostrzegła Gideona po przeciwnej stronie. Opuściła głowę, udając, że go nie widzi, ale on ruszył prosto ku niej. *A niech to!*

– Proszę pani! Pani Davies! – zawołał.

Jacks zwolniła kroku i pozwoliła mu się dogonić.

– Słucham, Gideon. Czego ode mnie chcesz?

– Nie wiem. – Popatrzył na ziemię.

– Lecisz za mną, żeby powiedzieć, mi, że nie wiesz, czego chcesz? – prychnęła.

– Tak. To znaczy, nie całkiem. – Oblizął wyschnięte ze zdenerwowania usta. – Po prostu myślę, że powinniśmy porozmawiać. Ja chciałbym z panią porozmawiać.

Tak jak Martha rozmawia z twoją mamą?

– Bardzo cię proszę. Mów. – Wbiła w niego wzrok.

Gideon się zawahał.

– Przygotowałem sobie, co chcę pani powiedzieć, ale...

Jacks sapnęła z ironią.

– Ale teraz, kiedy panią spotkałem, wszystko wyleciało mi z głowy.

Jacks przyglądała się, jak kopie czarnym converse'em o chodnik. Podniósł wzrok na niebo, jakby stamtąd miało spłynąć na niego natchnienie, i odgarnął sobie grzywkę z oczu.

– Wiem, że mnie pani nie lubi.

Rany, jeszcze jeden!

– Nie o to chodzi, że cię nie lubię. Jak już mówiłam wcześniej twojej mamie, nie podoba mi się, że zamydliłeś Marcie oczy i przewróciłeś jej życie do góry nogami.

– Niech będzie – zgodził się Gideon spokojnie. – W sumie na jedno wychodzi. Ale chciałem powiedzieć, że ja kocham Marthę. Naprawdę. A ona

kocha mnie. I nie będę do końca życia pracował za grosze w jakimś podrzędnym warsztacie. Rozwinę swój własny biznes. Wszystko zaplanowałem.

– Ty myślisz, że chodzi o pieniądze?

– A nie? – Wydawał się zbity z tropu.

– Nie! Chodzi o to, że Martha mogła spełnić swoje marzenia, pozdawać egzaminy, pójść na studia i mieć u swoich stóp cały świat. A ty jej w tym przeszkadzasz. Ty. – Zacisnęła zęby. – Moja córka mogła sama zdecydować o swojej przyszłości, tak powiedział jej wychowawca. Dokładnie tymi słowami. Jest tak zdolna, że mogła wybierać, co chce w życiu robić!

Gideon skinął głową.

– Wiem. I właśnie chodzi o to, że wybrała mnie. To chce w życiu robić. – Znowu spojrzał na chodnik. – To się naprawdę dzieje. Będziemy mieli dziecko i bardzo bym chciał, żeby pani się z tego cieszyła.

– Co ty nie powiesz, Gideon! Chciałbyś, żebym się cieszyła? Co za zbieg okoliczności, bo ja też chciałabym się cieszyć – odparła, po czym popchnęła wózek i odeszła, nie oglądając się za siebie ani razu.

Po południu Jacks usłyszała szcęk zamykanych drzwi i podniosła wzrok, kiedy do kuchni wszedł Pete.

– Już jesteś – zauważyła.

– Skończyliśmy wcześniej, więc pojechałem po dzieci. – Uśmiechnął się, jakby oczekiwał pochwały.

Jacks skinęła głową. Nie będzie mu dziękować za odebranie ze szkoły jego własnych dzieci, sama robiła to praktycznie codziennie. Martha, unikając konfrontacji z matką, poszła prosto na górę, co Jacks przyjęła z ulgą. Mogła jeszcze poczekać z opowieścią o spotkaniu w szpitalnej kawiarni. Jonty wpadł do kuchni, taszcząc w rękach torbę z brudnym strojem na WF.

– To dla mnie? – zapytała Jacks, jakby przyniósł jej prezent.

– Tak. – Położył pakunek na stole i nie zatrzymując się, spytał: – Czy to prawda, że Martha będzie miała dziecko? – Oczy miał okrągłe. – Tak mówi Elliot, ale powiedziałem mu, że chyba nie, bo przecież nie ma nawet męża, który mógłby być tatą. – Zmarszczył noseć, czekając na ostateczne rozstrzygnięcie sporu.

– Prawda, grzybku, będzie miała dziecko – przytaknął Pete z uśmiechem.
– Fajnie, co? Będiesz wujkiem Jontym!

– Nie jestem za mały na wujka? – zapytał Jonty pociesznie.

– Jezus Maria – wymruczała Jacks i zakryła oczy rękami.

Jonty sięgnął do puszki z herbatnikami po przedkolacyjną przegryzkę, przetrawiając w skupieniu wiadomość. Nagle zamarł bez ruchu z ręką w pojemniku i obrócił się w stronę rodziców.

– Co tam, chłopie? – Pete spodziewał się dąsów i miał w zanadrzu gotowe wyjaśnienia.

– No bo... – Jonty przełknął ślinę. – Tak sobie myślę...

– Co myślisz? – zachęcił go Pete.

– Nie chcę mieszkać w jednym pokoju z Marthą i jeszcze jej dzieckiem. Nie starczy dla wszystkich miejsca.

– Oj, o to nie musisz się martwić – roześmiał się Pete. – Takie rzeczy zawsze się jakoś same układają.

Jacks spojrzała na niego. Naprawdę to wszystko, na co było go stać? Ona sama też chciałaby wiedzieć, w jaki sposób mają się pomieścić w już zatłoczonym mieszkaniu. Chyba że... *O nie!* Krew zastygła jej w żyłach. Martha mogłaby chcieć przenieść się do Gideona! Wcześniej nie przyszło jej to do głowy. Jeżeli Martha się wyprowadzi, to koniec.

Jonty, uspokojony, wyłuskał herbatnika i zamknął pokrywkę, trzymając ciasteczko w zębach, po czym poszedł rozłożyć się na kanapie przed

telewizorem.

Jacks westchnęła i zaczęła opowiadać Pete'owi o okropnym spotkaniu z Allison, od którego poczuła się w swojej rodzinie jak ktoś obcy.

– Zrobiło mi się przykro – przyznała. – Poczułam się odrzucona.

– Co ty opowiadasz, jesteś przecież jej mamą!

Na górze zadzwonił dzwonek.

– W tej chwili nie czuję się jak jej mama. Mam wrażenie, że jestem raczej wrogiem numer jeden.

Wyszła pośpiesznie z kuchni i podążyła na górę. Smród był porażający. Oczy zaszyły jej łzami, gdy otwierała okno.

– Chodź, pójdziemy pod prysznic. – Podniosła mamę z pościeli gwałtowniej, niż zamierzała.

– Aj! Boli! – krzyknęła Ida.

Jacks puściła jej lament mimo uszu. Przytrzymując drzwi do łazienki nogą, odsunęła wejście do kabiny. Rozebrała mamę i kopniakiem odepchnęła stertę ubrań na bok.

– Gorąca! – wrzasnęła Ida. – Poparzysz mnie!

Jacks włożyła rękę pod strumień.

– Zobacz! Nie jest gorąca, jest chłodna! Na litość boską, ile razy mam ci to powtarzać? – warknęła.

Dłuższy czas mocowały się pod prysznicem, obie mokre i pokryte pianą. Jacks połykała łzy, naciągając matce czystą pieluchę i ubranie.

– Wszystko w porządku? – zapytał Pete od progu.

– Tak, w znakomitym! – odparła Jacks bezbarwnie, zbierając zabrudzone ubrania.

– Martwię się o ciebie.

– To masz chyba sporo na głowie, co? Tyle się przecież dzieje. Nasza

osiemnastoletnia córka zaszła w ciążę z jakimś kmiotkiem, a moja matka chodzi sobie wieczorami na przechadzki, aż trzeba wzywać policję! Lada chwila zadzwonią do nas z programu Jeremy'ego Kyle'a, żeby zaproponować nam udział w wydaniu specjalnym. W sumie to czemu nie? Może zapłacą tyle, że starczy na kołyskę, chociaż właściwie nie ma po co tam iść, skoro całe pieprzone miasto i tak już wie o wszystkim, co się u nas dzieje!

– Czemu się kłócicie? – Żadne z nich nie usłyszało kroków Marthy.

Jacks wyminęła córkę.

– A jak ci się wydaje? O co ja i tata możemy się kłócić? Jakby nam do tej pory wszystkiego było mało, to teraz będziemy mieć jeszcze twoje dziecko na głowie, a jak słusznie zauważył Jonty, chciałabym wiedzieć, gdzie ono będzie spać. Co proponujesz? Może postawimy łóżeczko w korytarzu? A może zamieszkas w salonie, a my będziemy przesiadywać wieczorami na łóżkach, jak w akademiku! Chociaż o tym sama nigdy się nie dowiesz, bo przecież nie idziesz na studia, prawda? Przepraszam, zapomniałam.

Martha zaczęła płakać.

– Wspaniale, tego nam właśnie trzeba, jeszcze więcej łez. Możesz mi wierzyć, Martha, że gdyby łzy miały tu w czymś pomóc, to już dawno załatwiłabym problem! Albo wiesz co, może opowiesz tacie o swojej wczorajszej wizycie u lekarza? Jestem pewna, że z ciekawością wysłucha szczegółów, tak jak Allison.

– Opanuj się, Jacks – wtrącił Pete ostrzegawczo.

– Ja mam się opanować? Ach, tak, zapomniałam, że to wszystko moja wina, jak zwykle. – Zaczęła się trząść. – Wiedziecie co? Mam tego powyżej uszu. Wychodzę. – Usadziła matkę na siodełku dźwigu i zapięła pas. – Widzimy się na dole, mammo! – zawołała.

– Gdzie ty się wybierasz o tej porze? – zapytał Pete z niepokojem,

nienawykły do takich wybuchów. – Jest już prawie ciemno.

– Gdziekolwiek, wszystko jedno. Gdzieś, gdzie mogę zastanowić się na spokojnie. Nie bój się, zabiorę mamę ze sobą. – Wskazała na Idę. – Żadne z was nie może się nią przecież zająć nawet przez pięć minut, gdzieżbym śmiała tego oczekiwać!

Pete wyglądał na dotkniętego.

– Oczywiście, że możesz ją zostawić.

– Mogę, Pete? Bo po tym, jak zrobiłam sobie jeden dzień wolnego, dała mi taką szkołę, że nawet nie było warto. – Przypomniała sobie, jak wróciła z Londynu, zmęczona i załamana, tylko po to, żeby dać się sterroryzować niemilknącemu dzwonkowi. Obrażona wyraźnie Ida wzywała ją w ciągu nocy trzy razy. – Już lepiej się pogodzić z tym, że jestem na nią skazana, czy mi się to podoba czy nie!

– Toto? – zawołała Ida.

– Musisz krzyczeć głośniej, jak chcesz, żeby cię usłyszał! – wrzasnęła Jacks. – Od dwudziestu lat wacha kwiatki od spodu!

Ida wbiła w nią wzrok.

– Chodź. – Podniosła Idę z siedzenia, założyła jej płaszcz i wyprowadziła z domu, zatrzaskując za sobą drzwi.

Zapadał zmrok, gdy przemknęły przez miasto i wypadły na autostradę. Jacks zwiększała prędkość, zaciskając dłonie na kierownicy, deptając pedał gazu bez opamiętania i zmieniając biegi jak szalona.

– A wiesz, mamó, co jest najgorsze? Że ty tak naprawdę nie znosiłaś taty. Nie zaprzeczysz. Zamieniłaś jego życie w piekło, a on jedyne, co robił, to harował jak wół, żebyś ty miała na fajki. Był wspaniałym człowiekiem i nie zasłużył sobie na takie traktowanie. Dokuczałaś mu na każdym kroku i to wpłynęło na sposób, w jaki ja cię kochałam, a ty kochałaś mnie. Nie mogłam czuć bliskości z kimś, kto tak nim pomiatał. – Oczy zaszyły jej łzami, gdy

pędziła najszybszym pasem. – Czy ty w ogóle umiesz kogokolwiek kochać? Po co mnie urodziłaś? Powiedz, po co ci to było? Nikt cię przecież nie zmuszał! Można by się spodziewać, że powinnaś się raczej cieszyć, kiedy zaszłaś w ciążę po tak długim czasie, ale ty postanowiłaś odciąć się od nas z tatą jak od trędowatych. Nie mogłaś chociaż raz pośmiać się razem z nami, zamiast siedzieć z boku z pretensjami do całego świata? Przez całe życie czułam się, jakbym była dla ciebie ciężarem, i popatrz, jak się teraz role odwróciły. Teraz ty jesteś moim ciężarem! – Jacks popatrzyła na matkę, która wyglądała przez okno z nieobecny wyrazem twarzy. – I jeszcze do tego Martha... Marnuje sobie życie. Ot tak, cała para w gwizdek! Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie mogę! I ta kobieta dzisiaj, co ona sobie w ogóle wyobraża? Jak śmie mówić mi, co powinnam robić albo czego potrzebuje moja córka! – Jacks pokręciła głową i walnęła ręką w kierownicę.

Ida nawet nie drgnęła. Przyglądała się ozdobnym latarniom rzucającym snop światła na szeroką jezdnię, gdy w Gordano Services zjechały z autostrady i mknęły w stronę Bristolu.

– Myślałam, że to był dobry pomysł, żeby dać ci ten dzwonek, w razie gdybyś upadła, przestraszyła się albo czegoś potrzebowała. Ale zamiast tego zrobiłaś sobie z niego automatycznego pilota! Dzwonisz, a ja lecę. Słyszę go cały czas. Dzwoni nad telewizorem, ponad głosami dzieci, dosłownie bez przerwy. Ten dzwonek dyryguje moim życiem i szczerze go nienawidzę!

Jacks prowadziła bez konkretnego pomysłu, aż znalazła się u nasady cliftońskiego mostu. Sięgnęła do skrytki obok skrzyni biegów i wyłuskała jednofuntówkę spośród monet na opłaty drogowe. Wrzuciła ją do bramki i wolno przejechała przez imponujący most.

– Pięknie! – stwierdziła Ida, spoglądając na zakręt rzeki przecięty szerokim pasem wąwozu Avon po lewej.

Pokonując porośnięte trawą wzgórze, Jacks z zazdrością przypatrywała

się majestatycznym, pięciopiętrowym gregoriańskim kamienicom wznoszącym się wzdłuż drogi, jakby trzymały straż. Wszystkie były pięknie oświetlone. Z podziwem zaglądała w ich wysokie okna, za którymi migały zgrabnie wygięte lampy i pluszowe zasłony. Wrzuciła kierunkowskaz i zwolniła, przejeżdżając obok sędziwych budynków Clifton College skupionych wokół starannie utrzymanego boiska do gry. Światła w oknach tworzyły nad kampusem złotą łunę.

– Wygląda jak jakiś Hogwart* – zauważyła, przyhamowując przed progami zwalniającymi.

Przystanęła pod starym, kamiennym łukiem, żeby przepuścić wysokiego, ciemnowłosego chłopaka w dopasowanym, niebieskim garniturze i bordowym szaliku, obładowanego książkami. W odpowiedzi uśmiechnął się grzecznie i podziękował gestem, po czym odszedł pośpiesznie. Taki chłopak pewnie pójdzie niedługo na studia i pozna pewną dziewczynę...

– Jest w ciąży. I nieważne, jak często to powtarzam, za każdym razem robi mi się tak samo zimno. Dlaczego tak się musiało stać?

Minęły zoo i zaczęły wspinać się pod górę Circular Road, skąd rozciągał się zachwycający widok na przełom Avon i estuarium Severn. Jacks zjechała na bok i zaparkowała na wydmach, całkowicie opustoszałych o tej porze. Odczekała chwilę, po czym zgasiła silnik i wysiadła. Wyjęła wózek z bagażnika i ignorując niezadowolone mruczenie Idy, przeniosła ją na fotel i zapięła pas.

Ruszyła pod górę do tarasu widokowego nad wąwozem. Trudno było operować wózkiem w ciemności i omijać zapadliny, gdzie kamienne płyty wytarły się już niemal do cna. Wózek chybotął się na wszystkie strony. Ida siedziała nieruchomo, podczas gdy Jacks parła nieustępliwie naprzód. Gdy dotarły na skraj klifu, ostry podmuch zimnego wiatru osmagał im twarze, osuszając jej łyzy na policzkach, zanim zdążyły spłynąć. W dali mienił się

podświetlony pas mostu. Widok zapierał dech w piersiach.

Jacks zamarła bez ruchu, zaciskając dłonie na uchwytych fotela, aż zbieleły jej kłykcie. Ciszę zakłócały wyłącznie klaksony i daleki szum samochodów w dole.

– Mam uczucie, że wszystko się sprzysięgło przeciwko mnie. Serce mi bije tak szybko i tłoczy mi krew z taką siłą, jakbym miała zaraz eksplodować. – Popatrzyła na czubek głowy matki. – Ty pewnie nie zrozumiesz, ale kiedy się kocha tak mocno, to człowiek robi się słaby i całkowicie zależny. Teraz widzę, że to prawda, co mówią – przeciwieństwem miłości nie jest nienawiść, tylko obojętność. Chłopak, którego kochałam, o którym ciągle śnię jeszcze dwadzieścia lat później... Okazuje się, że jestem mu całkiem obojętna i może zawsze byłam... Rozmyślanie o nim, wspomnianie tego, co mieliśmy, i fantazjowanie o tym, co mogliśmy mieć, pozwalało mi przetrwać przez lata, nawet w najgorszych chwilach. A teraz tego też nie ma. Wszystko, czego się dotąd trzymałam, rozsypało się w pył. – Wydała z siebie konwulsyjny szloch nabrzmiały w ściśniętym gardle. – Jestem zmęczona. Tak cholernie zmęczona. – Światła miasta mrugały daleko w dole. – Biedny Pete. Mieliśmy tyle nadziei. Myśleliśmy, że jesteśmy dla siebie bratnimi duszami. Ale jak widać nie! Może byliśmy tylko parą nieudaczników starających się możliwie najlepiej wybrnąć z sytuacji? Sama nie wiem. A teraz, jak na ironię, historia zatacza koło i Martha pakuje się dokładnie w taką samą kabałę. – Pokręciła głową. – Nie wiem, jak zdołam znieść to rozczarowanie, przełknąć tyle gorzkości.

– Trzeba znaleźć mój skarb. I mój list. Ciągle czekam. – Głos Idy uleciał na wietrze.

– Nieprawda! – wrzasnęła Jacks. – Na nic nie czekasz! Tak jak ja nie czekam na obcokrajowca z jasnymi włosami, żeby po mnie przyjechał i wyciągnął mnie z tego gówna. Nie czekasz na żaden list! Rozumiesz to czy

nie?

Ida przekręciła się w fotelu, żeby spojrzeć na córkę. Po twarzy spływały jej łzy.

– Toto?

– Nie wytrzymam dłużej. Już nie mogę. – Powiedziała Jacks w ciemność. – Jestem zmęczona. To wszystko jest bez sensu. – Załkała i przesunęła fotel kilka centymetrów do przodu. Luźne okruchy skał na obrzeżach ścieżki osunęły się i runęły z łoskotem w dół. – Nie mam nic, czego mogłabym się chwycić. Nic. Unoszę się bez punktu zaczepienia, pozbawiona korzeni i jakiegokolwiek ostoi. Mój rytm wyznacza ten cholerny dzwonek! Nie wytrzymam dłużej. Nie mogę. Przepraszam, tato. Staralam się, naprawdę się starałam.

Jacks zebrała się w sobie i zamknęła oczy, po czym z całych sił wyrzuciła ramiona do przodu. Cofnęła się, słuchając jak metal z brzękiem obija się o skały, aż wreszcie wszystko umilkło. Cisza.

Osunęła się na wilgotną ziemię i oddychała ciężko i równomiernie, a potem pojawiły się łzy. Opadła jeszcze niżej na chropowaty żwir i leżała w mroku na zimnej krawędzi klifu. Policzki kaleczyły jej ostre zręby skał.

– I co teraz? Co ja mam teraz zrobić? – zawyła w ciemności.

Blisko dwie godziny później otworzyła drzwi przy Sunnyside Road i stanęła twarzą w twarz z Pete'em czekającym w holu.

– Jesteś wreszcie! Zaczynałem się niepokoić. Gdzieś ty była, u licha? Jest późno. Próbowałem się do ciebie dodzwonić, ale zostawiłaś telefon w kuchni na stole.

Jacks wzruszyła ramionami i wpatrywała się w męża, zbyt słaba, żeby odpowiedzieć.

– Chodź, Ida – rzekł Pete. – Czas na kolację. Musisz być nieźle głodna.

Zrobiłem paluszki rybne. Kuchnia wygląda jak po wybuchu, ale jedzenie powinno być w porządku. – Ujął fotel teściowej za rączki i manewrował nim w korytarzu. – Zajmę się mamą, Jacks. A ty może pójdziesz się położyć?

Jacks wpatrywała się w niego bez wyrazu.

– Nie przejmuj się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Chcę ci tylko pomóc. Gramy w jednej drużynie, tak? Zaopiekuję się Idą. Jakby co, zawsze może zadzwonić. Odpocznij.

– Nie może zadzwonić.

– Dlaczego nie? Gdzie dzwonek?

– Na dnie Avon.

Jacks weszła ciężko po schodach i runęła na łóżko. Naciągnęła kołdrę na głowę, żeby uciec w ciemność, a wtedy przed oczami pojawił jej się obraz zalanej łzami Idy.

– Boże, przepraszam, mamo – wyszeptała, zdjeta dojmującym poczuciem winy na myśl o tym, jak bardzo Ida musiała się wystraszyć. Obiecała sobie, że następnego dnia wszystko jej wynagrodzi.

* Fikcyjna szkoła czarów z powieści o Harrym Potterze autorstwa J. K. Rowling.

Dwadzieścia dwa

Dziewiętnaście lat wcześniej

– Następny! – zawołała recepcjonistka w zatłoczonej poczekalni szpitala.

Jacks spojrzała na numer na tablicy. Była następna w kolejce. Założyła na głowę słuchawki i włączyła walkmana, chcąc oderwać się od rzeczywistości. Uśmiechnęła się, gdy dźwięki *Things can only get better* D-Ream rozbrzmiały jej głośno w uszach. *Święte słowa, mogło być tylko lepiej...*

Gdy powtarzała w myślach, co i jak ma powiedzieć, modląc się, żeby trafić na lekarkę, a nie na lekarza, otworzyły się drzwi wejściowe. Podniosła wzrok i z przerażeniem ujrzała, jak do poczekalni, kulejąc na jedną nogę, wchodzi Pete Davies i rozgląda się obojętnie za wolnym siedzeniem.

– Cholera – wymruczała pod nosem, zapadając się jak najgłębiej w pomarańczowe, plastikowe krzesło. Żałowała, że nie ma ze sobą książki, żeby się zasłonić. Pete przesunął wzrokiem po sali, a zauważywszy ją, wrócił do niej oczami, po czym uniósł niepewnie rękę powitalnym gestem. Jacks skamieniała. Ostatni raz znaleźli się sam na sam wtedy w Mr B, kiedy całowali się na parkiecie.

– Co słysząc, Jacks? – Pete osunął się na krzesło koło niej z prawą nogą wyprostowaną w powietrzu, jakby była w gipsie. Miał na sobie swój odwieczny dres.

Jacks wyłączyła muzykę i zsunęła słuchawki na szyję.

– Jak twoje kolano? Słyszałam, że coś sobie uszkodziłeś. – Poczwała falę ciepła na policzkach, nie wiedząc, czy powinna o tym wspominać.

– Rozwalone – westchnął i poklepał się w udo sztywnej nogi.

– Ale da się wyleczyć?

Pete roześmiał się i pokręcił głową, jakby wypowiedzenie tych słów wymagało od niego więcej udawanej bez troski, niż mógłby z siebie wykrzesać.

– Nie. Zerwałem więzadła, a to podobno bardzo wrażliwy punkt. Chodzę na fizjoterapię, ale tylko po to, żeby móc normalnie się poruszać.

– I co teraz zrobisz?

Po raz pierwszy popatrzył jej w oczy.

– Nie wiem. Wiem za to, czego nie zrobię, a mianowicie nie będę grał w piłkę, w każdym razie nie w Bristol City. Mógłbym zaczepić się w jakimś mniejszym klubie, ale o tym za wcześnie mówić. Nie wiadomo, jak się to wszystko pozrasta.

Jacks szukała odpowiednich słów.

– To w końcu tylko sport, nie?

– Następny! – rozległ się tubalny głos z recepcji.

– Och! To ja. Trzymaj się, Pete. – Uśmiechnęła się z roztargnieniem, robiąc krok nad jego wyciągniętą nogą, i pośpieszyła do gabinetu, starając się wyglądać, jakby wpadła tylko omówić drobną dolegliwość, a nie coś, od czego cały jej świat runął w gruzach.

Następnego dnia, gdy wracała okrężną drogą brzegiem morza, chcąc odetchnąć świeżym powietrzem i spokojnie się zastanowić, zauważyła go siedzącego na ławce.

– Co ty, śledzisz mnie? – zapytał, gdy usiadła obok.

Roześmiała się.

– Nie, chociaż to by nie było trudne, nie masz za bardzo jak uciec.

– To fakt. – Pete poklepał się po nodze z uśmiechem. – Lepiej się już czujesz?

– Proszę? – Podniosła głowę.

– Pytam, bo byłaś u lekarza. Chciałbym wiedzieć, czy już ci lepiej.

– A! – Jacks ukryła nagle uczucie ulgi. Nikt nie wiedział, nikt o niej nie mówił. – Tak, dzięki.

Zapatrzyli się oboje na wodę, dziwnie swobodni w spowijającym ich miękkim kokonie milczenia. Żadne z nich nie czuło potrzeby, żeby wypełnić ciszę nic nieznaczącą rozmową.

Pete odezwał się pierwszy.

– Myślałem o tym, co powiedziałaś.

– O czym?

– Powiedziałaś, że to tylko sport. Ale nie miałaś racji – wyszeptał.

– Nie? – Jacks próbowała nadażyć.

– Powiedziałaś to, jakby piłka nie miała żadnej wartości. – Przesunął palcami po rozpiętym suwaku bluzy.

Kiwnęła głową.

– No tak.

– Ale to coś więcej. Dla mnie to coś więcej. To jedno, w czym jestem rzeczywiście lepszy od innych. Jedyna rzecz, którą kocham. I szansa na tyle pieniędzy, żeby mieć naprawdę niesamowite życie. A teraz to przepadło. Wszystko.

Jacks zsunęła się na brzeg ławki, zwracając się przodem do niego.

– Przepraszam, Pete. Nie chciałam cię urazić. Po prostu nie wiedziałam, jak ci pomóc.

Ku jej przerażeniu Pete zaczął płakać. Przycisnął dłonie do oczu, żeby zatrzymać łzy, ale one spływały mu między palcami. Przysunęła się bliżej, położyła mu rękę na ramieniu i głaskała łagodnie, jakby pocieszała małe, bezbronne dziecko.

– Nie mów nikomu – wymamrotał głosem nabrzmiąłym z emocji.

Nie wiedziała, czy chodzi mu o kontuzję, czy o łzy.

– Nie powiem. Obiecuję.

Wziął głęboki oddech i odchylił głowę do tyłu, próbując się uspokoić. Pociągał nosem i ocierał oczy, zawstydzony, że się rozkleił.

– Ja też mam sekret – powiedziała szeptem.

– Jaki?

– Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć.

– Nie powiem – obiecał solennie.

– Wpakowałam się w straszny kanał.

– Jaki? – spytał miękko.

Jacks pokiwała głową.

– Będę miała dziecko.

– Ożeż! – wykrzyknął.

– No właśnie – westchnęła. – Jeszcze nikomu o tym nie mówiłam, nawet Ginie. Sama nie wiem, czemu ci powiedziałam, ale od tego czuję się trochę lepiej.

– Kto jest ojcem? – Wyprostował się Pete.

– Sven. – Jego imię tkwiło jej w gardle jak ość.

– Co ty mówisz! Nie wiedziałem, że wy... – Poprawił się na ławce.

– Zdarzyło się raz, może dwa, i tyle – przyznała, jakby fakt, że spodziewa się dziecka, nie był wystarczającym dowodem.

– A on nie wyjechał czasem do Ameryki?

Jacks potaknęła głową i tym razem to ona zaczęła płakać.

– Matko, tylko spójrz na nas. Siedzimy tu i płaczemy jak dwie ofiary losu!

– Para popaprańców! – zgodziła się Jacks, uśmiechając się poprzez łzy.

– Nie przejmuj się, Jacks – powiedział Pete łagodnie. – W końcu zawsze wszystko jakoś się układa.

Spojrzała na niego i wydmuchała nos. Tak bardzo chciała w to wierzyć.

Dwadzieścia trzy

Jacks umieściła koszyk na kolanach matki i otworzyła drzwi supermarketu przednimi kółkami wózka.

– Dobrze, mamó. Na co masz ochotę na kolację? Pomyślałam, że zrobię polędwicę z ananasem, co? Lubisz to, prawda? – Bardzo jej zależało, żeby sprawić matce przyjemność po tym, na co naraziła ją ubiegłej nocy. – Tata to uwielbiał, pamiętasz? Z frytkami i z keczupem. Może to dzisiaj zjemy.

Krążyła po alejkach, wypatrując czerwonych etykietek sygnalizujących przeceny albo promocje dwa za cenę jednego, żeby następnie wrzucić dany produkt do koszyka, a dopiero później zastanowić się, co z niego przyrządzić. W ciągu lat stworzyła w ten sposób wiele przedziwnych dań, jak słynny już makaron z parówkami albo beza polana kogłem-mogłem. Każdego innego dnia roześmiałyby się na wspomnienie tych eksperymentalnych przepisów, ale nie dzisiaj. Nie, kiedy serce niemal rozsadzało jej pierś, a ciało wydawało się ciężkie z przygnębienia. Nie mogła wyrzucić z pamięci myśli o Allison rozczulającej się nad tym, jak to Gideonowi marzy się rodzina.

– Jacks?

Obejrzała się i zobaczyła Lynne zmierzającą w jej stronę z balonową Caitlin-Marie przy boku. Dziewczyna miała na sobie czarne legginsy tak rozciągnięte na brzuchu i na udach, że widać było zarys majtek i wypukłość pępka. Wyglądała, jakby miała pęknąć.

– Co słyhać? – zapytała Lynne ze zwykłą sobie pogodą. Przeniosła wzrok na Idę. – Dzień dobry, pani Morgan!

Jacks uśmiechnęła się.

– Wszystko dobrze, dziękuję. Caitlin, pokaż no się. Wyglądasz

wspaniale. Kiedy masz termin?

– Lada dzień. – Caitlin-Marie z grobową miną potarła się po rozdętym brzuchu i westchnęła. – Chcę się już tego pozbyć.

Lynne zachichotała.

– Mówiłam jej, że jak się urodzi, to będzie marzyć o tym, żeby je wsadzić z powrotem! Nie zazna chwili spokoju! Ale tak się cieszę. Nie mogę się doczekać. – Przeszła z nogi na nogę.

Jacks spojrzała na brzuch Caitlin i wyobraziła sobie Marthę w takim samym stanie. Z trudem przełknęła kulę nabrzmiewającą jej w gardle.

– W zeszłym tygodniu zadzwoniła Ashley. Jest na Dominikanie czy gdzieś tam! Mieszkają z kolegami w kurorcie *all-inclusive*, bo mają postój na trasie. Powiedziałam jej, że to musi być strasznie ciężkie życie, kiedy się człowiek obija po luksusowych hotelach w trakcie przerwy w rejsie! Szczęściara! – zaśmiała się głośno Lynne.

Jacks patrzyła na Lynne i myślała o Ashley Gilgeddy, która nie dalej jak rok temu wdała się w bójkę na molu i została aresztowana, która w wieku szesnastu lat zrobiła sobie potajemnie tatuaż i która ledwo mogła wydukać jedną prostą linijkę w inscenizacji jasełek. Ta dziewczyna dzisiaj objeżdżała świat.

– Dobrze się czujesz, Jacks? Jakoś blado wyglądasz – zapytała Lynne z niepokojem w głosie. – Pewnie ciągle jesteś trochę w szoku. – Urwała, jakby czekając na reakcję Jacks. – Jak się miewa Martha? Daje sobie radę?

Jacks poczuła drżenie w kolanach, a przed oczami znów stanął jej obraz zadowolonej z siebie matki Gideona. Lynne wiedziała. Wszyscy wiedzieli.

– W porządku – odparła z płonącymi policzkami i zwiesiła ramiona.

Nagle z przeraźliwą jasnością zdała sobie sprawę, że zawsze uważała swoją rodzinę i swoją córkę za lepsze od innych. To przeświadczenie towarzyszyło jej jak cicha tajemnica, dzięki której chodziła z wysoko

podniesioną głową, wypiętą dumnie piersią i pewnym siebie uśmiechem. Jak to było... Pycha poprzedza upadek? No, to właśnie upadła. Upadła tak nisko, że nie wiedziała, jak kiedykolwiek zdoła stanąć ponownie na nogi. O ile w ogóle zdoła.

– Pozdrów ją od nas, dobrze? Wiesz co? – zapaliła się Lynne. – Kiedy dzieci się już urodzą, będziemy mogły umawiać się na spacer po molu, dwie babcie razem! – Wybuchnęła śmiechem. – Przystroimy się w plażowe kapelusze i będziemy godzinami przesiadywać w kawiarni nad jedną porcją ciasta. Co, Jacks?

Jacks chciała się roześmiać, ale nie była w stanie. Zamiast tego wykręciła fotel i odeszła szybko w przeciwnym kierunku do najbliższego wyjścia. Dopiero kiedy na ramię spadła jej silna, męska dłoń, zorientowała się, co zrobiła.

Głos mężczyzny zabrzmiał donośnie i ostro:

– Proszę wrócić do sklepu.

Podniosła wzrok na barczystego ochroniarza z twardym, wschodnioeuropejskim akcentem, który brodą wskazywał koszyk z zakupami na kolanach Idy.

– O, nie, ja nie uciekam. Potrzebuję tylko wyjść na świeże powietrze. Zaraz wrócę i za wszystko zapłacę.

– Czyli świadomie próbowała pani wyjść bez opłacenia zakupów? – zapytał bez uśmiechu, z oczami ginącymi w cieniu nasuniętej nisko czapki z daszkiem.

– Tak! Ale zaraz wracam. Muszę się tylko przewietrzyć. – Uśmiechnęła się, próbując oswobodzić ramię.

Ochroniarz, na którego piersi połyskiwała plakietka z napisem „Mateusz”, sięgnął po krótkofalówkę i nadał komunikat.

Jacks prychnęła ze śmiechem.

– Pan chyba żartuje. Na litość boską! Panu się wydaje, że co mam zamiar zrobić? Prysnać z matką na wózku, żeby ukraść ananasy i paczkę biszkoptów?

Mateusz zignorował jej usprawiedliwienia. Jacks bez słowa dała się ująć za ramię i odprowadzić z powrotem do sklepu. Kątem oka zauważyła Lynne i Caitlin-Marie przyglądające się całej scenie w osłupieniu spod stoiska z rybami.

Gina zatrzymała samochód przed domem Daviesów.

– Pomóc wam?

– Nie. – Jacks potrząsnęła głową. – Damy sobie radę. Dzięki za podwiezienie.

– Nie ma sprawy, kochana. Do usług. Przynajmniej nie musiałam wyciągać cię za kaucją.

– Jezu, przepraszam cię, Gi. Tak mi głupio – chlipnęła Jacks.

– Przecież kierownik sklepu od razu się połapał, że to było tylko nieporozumienie – odparła Gina. – Kiedyś wróciłam do domu i uświadomiłam sobie, że nie zapłaciłam za skrzynkę piwa w koszyku. Zwykle jak coś jest za ciężkie, proszę po prostu kasjera, żeby przytknął czytnik do zakupów w wózku, ale tym razem wyleciało mi z głowy.

– I co, wróciłaś się?

– Co ty, zwariowałaś? – roześmiała się Gina.

– Widziałaś, jak Lynne na mnie patrzyła? – Jacks wbiła wzrok w ziemię.

– Wszyscy się dowiedzą.

– No i co? Kogo to obchodzi?

– Mnie, Gi. Co ja powiem Pete’owi?

– Prawdę. Że zaszło nieporozumienie i gdyby nie nadgorliwość tego ochroniarza, jak mu tam było, który chyba liczył na podwyżkę w pracy,

wszyscy byliby w domu znacznie wcześniej. Nie przejmuj się tym.

– Kazali mi sobie poszukać innego sklepu – powiedziała Jacks w najwyższym upokorzeniu i usta jej zadrżały.

– Trudno, ich strata. Ja tam już na pewno nie pójde! – zapewniła Gina z oburzeniem. – Zobaczą, jak im poleci sprzedaż delicji i białego wina. Od tej pory będę kraść piwo gdzie indziej i sami są sobie winni!

Jacks próbowała zdobyć się na uśmiech.

– Pewnie już słyszałaś o Marcie?

– Tak – potwierdziła Gina. – Przypominam ci, że mieszkamy w małej nadmorskiej mieścinie, w której wiadomości szybko się rozchodzą z braku innych atrakcji. Jeżeli Stephanie Fletcher miała z tym coś wspólnego, to całe miasto huczało pewnie, jeszcze zanim tatuś zasunął sobie rozporek.

– Gina!

– Co? Przecież to prawda – powiedziała z westchnieniem. – Staram się tylko jakoś cię rozchmurzyć. Jak ona się miewa?

– Nie wiem. Chyba wszyscy jesteśmy jeszcze w szoku.

– To całkiem zrozumiałe. Wiesz, gdzie mnie znaleźć, jakbyś chciała pogadać.

– Dzięki, Gi. – Jacks wysiadła i otworzyła bagażnik, wyciągając fotel na kółkach.

– Ale za to – krzyknęła Gina przez ramię, odwracając się na siedzeniu kierowcy – jeżeli masz zamiar rozszerzyć swoją rabunkową działalność na przykład o napad na bank, daj znać, zacznę piec ci ciasteczka z tajnymi grypsami w środku!

Jacks roześmiała się mimo przygnębienia, ale śmiech szybko przerodził się we łzy, kiedy w drodze do drzwi złapał ją nagły deszcz.

– Przyszedł już mój list? – zapytała Ida, gdy Jacks przetrząsała kieszenie

w poszukiwaniu klucza.

Puściła pytanie mimo uszu, zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć.

Jacks smętnie popijała herbatę, kiedy do kuchni wszedł Pete. Zauważyła w jego ruchach nerwowość i przebieranie palcami u rąk. Najwyraźniej wiedział już o wszystkim.

– Jak ci minął dzień? – zapytała.

Kiwnął głową zdawkowo.

– Rob zadzwonił do mnie do pracy i powiedział, co się wydarzyło. Poszliśmy razem na piwo. Nagrałem ci się na pocztę kilka razy. – Oddychał szybko.

– Nie sprawdziłam. – Od powrotu do domu unikała kontaktu ze światem.

– Co się stało?

Jacks westchnęła.

– Nic. Wyszłam tylko na chwilę zaczerpnąć świeżego powietrza. Miałam w głowie zamęt.

Pete usiadł.

– Martwiłem się.

– Niepotrzebnie. Nic się takiego nie stało, ucierpiał tylko mój honor.

– Chociaż tyle, że masz przynajmniej jeszcze jedną sensację do programu Jeremy’ego Kyle’a! – powiedział, żeby ją rozweselić.

Jacks hałaśliwie odsunęła krzesło.

– Bardzo śmieszne.

Pete powiódł rękami po twarzy i uszczypnął się w nos.

– A, byłbym zapomniał. Gina prosi, żebyś przyszła na molo. To jakiś wielki sekret. Powiedziałem, że będziesz o ósmej, więc lepiej się zbieraj. – Uśmiechnął się pobieżnie.

Jacks nie miała pojęcia, czego Gina może od niej chcieć o tak późnej

porze. Szczególnie że widziały się przecież parę godzin temu. Ale nigdy się nie wykręcała od spotkań z przyjaciółką.

Postanowiła pójść pieszo, z nadzieją, że dziesięciominutowy spacer pomoże jej ukoić skołatane nerwy. Wyszła z domu z rękami w kieszeniach i wzdrygnęła się od przenikliwego wieczornego chłodu. To był długi dzień.

Z uśmiechem ruszyła Marine Parade wzdłuż zapalonych latarni połączonych sznurami żaróweczek. Uwielbiała to miejsce wieczorem. Chociaż przychodziła tutaj setki razy w ciągu długich lat, widok mola roziskrzonego w dali jak choinka i Młyńskiego Koła jarzącego się na tle ciemnego nieba zawsze wywierał na niej to samo wrażenie magii. Krople deszczu migotały w mroku, a świeży, przesycony solą zapach morza przynosił do Weston urok obietnicy niewyczuwalny za dnia, kiedy słońce bez litości obnażało ponury krajobraz podupadającego nadmorskiego kurortu, z jego wyblakłymi sztyldami i dawno przebrzmiałą świetnością, do którego turystów mogły przywabić już tylko tanie piwo i jeszcze tańsze szoty.

Jacks pomyślała o spacerach z tatą po bulwarze, kiedy była mała. Jeden dzień wyjątkowo utkwiał jej w pamięci. Miała na sobie różową, puchową kurtkę z kapturem i rękawiczki pod kolor dyndające na sznurku przy rękawach. Uparła się, żeby iść tyłem, wierząc, że tata uprzedzi ją, gdyby na coś wpadła. Śmiał się, gdy raz czy dwa straciła równowagę i rzuciła do tyłu spłoszone spojrzenie, bo lęk przed nieznanym odebrał jej pewność siebie. Przykucnął przy niej i powiedział miękko:

– Wiesz, Jacqueline, ludzie, którzy się odwracają przez ramię, nie widzą, którędy idą, i mogą łatwo się zgubić. Musisz patrzeć naprzód, przed siebie i widzieć, dokąd idziesz. Oglądanie się wstecz nie przyniesie ci nic dobrego.

Ciekawe, że tak dobrze to zapamiętała.

– Tęsknię za tobą, tato – powiedziała w przestrzeń na horyzoncie. – Każdego dnia. Przepraszam, że poniosło mnie wczoraj przy mamie. Wiem, że

to nie jej wina. I co ja mam zrobić z Marthą? Jak mam jej wytłumaczyć, w co się tak naprawdę ładuje? – Otarła sobie policzek, a na palcach pozostały jej ślady błota i smugi lepkiego tuszu.

Przy krawężniku stało czerwone, wymyślne sportowe auto. Nie zwróciła na nie uwagi, bo przywykła do widoku takich samochodów. Należały najczęściej do zamożnych bristolczyków, którzy lubili w trakcie przejażdżki autostradą przystanąć na plaży w Weston i ciesząc oczy widokiem, wcinąć rybę z frytkami w ich luksusowym wnętrzu. Drzwi po stronie pasażera otworzyły się. Jacks cmoknęła i uskoczyła w lewo, żeby je ominąć.

– Jacks! – dobiegło ze środka. Natychmiast rozpoznała ten głos. Zatrzymała się i słuchała, zapatrzona w morze, niepewna, czy nie przesłyszała się wśród podmuchów wiatru.

– Jacks! – rozległo się znowu i tym razem nie miała wątpliwości.

Ale jak to...?

– Sven?

Wysiadł z samochodu i oparł się o maskę.

– Wsiądź, proszę.

Jacks zastygła w osłupieniu, mrużąc oczy i próbując pojąć, jak to jest możliwe, że on stoi przed nią i ją rozpoznaje.

– Co znaczy „wsiądź”? Dlaczego mam wsiadać z tobą do samochodu? Nie widziałam cię całe życie, a gdy się w końcu spotkaliśmy, nawet mnie nie poznałeś. Czego teraz chcesz? – warknęła.

– Chcę z tobą porozmawiać.

– Chcesz ze mną porozmawiać? Po tych wszystkich latach chcesz ze mną porozmawiać?

– Tak. – Skinął głową.

– O czym? Może o twoim statku za ciężkie miliony dolców i o tym, ile

osób mieści się w jego kuchni? Powiem ci, że mało mnie to obchodzi, mam w tej chwili na głowie poważniejsze sprawy.

– Wsiądź do samochodu. Proszę! – Klepnął ręką w maskę i zadygotał z zimna.

– Jak mnie odnalazłeś? I co Gina ma z tym wspólnego? Miałam się z nią spotkać. – Obejrzała się, skonsternowana, na molo.

– Wyszukałem ją po rezerwacji biletu. Wyświetlił się numer telefonu, więc poprosiłem, żeby pomogła mi nawiązać z tobą kontakt. Wiem, że to nieuczciwe, przepraszam. Nie miałem lepszego pomysłu, żeby do ciebie dotrzeć.

– Przykro mi, że na próżno się fatygowałeś. Nie mam ci absolutnie nic do powiedzenia.

– Proszę cię, Jacks.

– O co mnie prosisz? – krzyknęła. – Nie rozumiem, czego ode mnie chcesz! Co tu w ogóle tu robisz? – Uderzyła się w piersi.

– Przepraszam za to, jak się z tobą obszedłem na wystawie łodzi – rzekł Sven z szeroko otwartymi oczami, zaciskając usta i rozkładając dłonie. Wydawał się mówić szczerze.

– Co znaczy „jak się ze mną obszedłeś”? – nie rozumiała Jacks. – To nie jest twoja wina. To ja byłam głupia, żeby wsiadać do tego pociągu i marnować sobie cały dzień. Nie wiem, dlaczego myślałam, że będziesz o mnie pamiętał. Nie żebyśmy utrzymywali jakikolwiek kontakt, a poza tym to tylko stara, szczeniacka historia, no nie? Dawno i nieprawda. Udawajmy więc, że nic się nie wydarzyło. – Odwróciła się, żeby odejść.

– To jest moja wina – rzekł matowym głosem. – I muszę ci coś powiedzieć.

– Co? Co takiego musisz mi powiedzieć? Tylko lepiej się pośpiesz, jestem umówiona. – Utkwiła w nim twarde spojrzenie.

– Nie zapomniałem o tobie. Nigdy. Nawet na chwilę.

– Po co mi to mówisz? Sven, naprawdę, nie kpij sobie ze mnie, już dość się wygłupiłam.

Jacks poczuła łyzy w gardle. Odwróciła się i ruszyła szybko wzdłuż wału, trzymając się skraju chodnika, jak najdalej od niego i jego szpanerskiej fury.

Sven pobiegł za nią. Usłyszała podwójne ćwierknięcie zamykanego auta i dźwięk miękkich butów na chodniku.

O Boże! Idź sobie! Nie wytrzymam tego. Nie odzywaj się do mnie, nie dotykaj mnie!

Dogonił ją i przytrzymał za ramię.

– Mówię poważnie, Jacks. Nie zapomniałem o tobie.

– Nie? – wyszeptała.

Sven potrząsnął głową.

– Nie potrafiłem. Nie mogłem.

Jacks stłumiła uśmiech. W sercu wezbrała jej przemożna fala ulgi, która jednak szybko obróciła się w złość na wspomnienie tego, co się wydarzyło.

– Czekał no, czyli ty tylko *udawałeś*, że mnie nie poznajesz?

– Tak. – Zawahał się. – Wiem, że źle to wyszło, ale wiem też, że przyjechałaś do Londynu po to, żeby się ze mną zobaczyć, i to mi dało nadzieję. Czy jest jakakolwiek szansa, że ty cały czas coś jeszcze do mnie czujesz? Może to brzmi głupio, ale muszę wiedzieć.

– Czy coś do ciebie czuję? Tak, w tej chwili czuję niepomiarłą złość! Jak mogłeś mi to zrobić? Poczulałam się jak śmieć! Jakbym była niczym! Jak śmiałeś zadrwić sobie ze mnie w ten sposób?

– Daj mi pół godziny. Pozwól mi wytłumaczyć i jeżeli potem wciąż nie będziesz chciała mieć ze mną do czynienia, to obiecuję, że dam ci na zawsze spokój. Porozmawiaj ze mną tylko pół godziny.

Jacks rozejrzała się po ulicy, upewniając się, że nikt jej nie widzi, po

czym zawróciła w stronę samochodu. Osunęła się na miękkie siedzenie w cichym, skórzanym wnętrzu, jakże innym od jej wysłużonej skody.

Sven uśmiechnął się i zapalił silnik, który zaskoczył niemal w jednej chwili.

– Nie zamierzasz mnie chyba uprowadzić, co? – zapytała z błyskiem ekscytacji w oczach.

– Nie. Gina wie, gdzie jesteśmy.

Jacks parsknęła śmiechem.

– Inna rzecz, że nie wydusiłbyś za mnie wielkiego okupu.

Sven roześmiał się.

– Ciągłe jesteś zabawna.

– Raczej pomyłona – poprawiła, myśląc o wypadkach dwóch ostatnich dni. – Nie wierzę, że tu jesteś. Nie wierzę, że siedzę z tobą w twoim samochodzie! Wczoraj o tej porze leżałam z twarzą w błocie na skarpie nad Avon i zastanawiałam się, dlaczego wszystko musi być tak cholernie trudne.

– Nie musi – odpowiedział.

– Może nie dla ciebie. Ale dla mnie... – Poczowała, że drżą jej usta. – O rany, mam wrażenie, że ostatnio nie robię nic, tylko płaczę. Sama nie wiem dlaczego. Przepraszam.

– W porządku. Chcesz chusteczkę? – Sven sięgnął po paczkę do kieszeni w drzwiach.

– Chociaż na dobrą sprawę wiem, dlaczego płaczę – westchnęła.

Podniósł brwi pytająco.

– Płaczę, bo zrozumiałam, że nawet gdybym nie założyła rodziny i miała tyle czasu dla siebie, ile dusza zapragnie, to byłabym tak samo rozdarta, bo nie wiem, czego chcę. Nie wiem.

– To smutne. – Wydawało się, że mówi szczerze.

– Tak. To jest smutne. To jest cholernie smutne. – Pokiwała gwałtownie głową. – Nie pamiętam, kiedy obudziłam się i zdałam sobie sprawę, że w moim życiu nic się już nigdy nie zmieni. To nie mógł być jeden dzień, ale raczej stopniowo postępujący proces, coś jak na przykład tycie czy łysienie. Z każdym dniem człowiek powoli się oswaja ze zmianami w swoim wyglądzie, aż jest po prostu łyśy albo gruby. Tak się to pewnie stało. Kiedy byłam mała, godzinami wyobrażałam sobie, kim zostanę w przyszłości. Jak pewnie każde dziecko. Ale człowiek rzadko zastanawia się nad tym, w jaki sposób do tego dojdzie, prawda? Od razu widzi siebie już na końcu drogi, gdy wygłasza podziękowanie za Oscara albo udziela wywiadu o swojej ostatniej podróży.

Sven się roześmiał.

– Ja nie tylko sobie wyobrażałem. Musiałem się o to postarać. Wiedziałem, czego chcę, obmyśliłem plan i zacząłem go realizować.

Jacks łypnęła na niego zmęczonym wzrokiem.

– Moje gratulacje! To się nazywa szczęście.

– Nie to miałem na myśli. Wyszło, jakbym się wywyższał, a ja nie jestem taki.

– Nie, w porządku. W gruncie rzeczy to prawda. Ja się nie postarałam i nic nie osiągnęłam. Mogę za to winić tylko siebie. – Zapadła się do tyłu w miłe, skórzane obicie, którego dotyk zdawał się koić każdy fragment jej ciała. Cudowne to było uczucie. – Mam zwykłe, proste życie, ale pod wieloma względami to jest dobre życie. Wiem, że jestem potrzebna. Tylko że brakuje trochę miejsca na to, czego ja potrzebuję. Nie ma dla mnie czasu.

– Chcesz powiedzieć, że złożyłaś się w ofierze dla dobra swoich dzieci?

Jacks pokręciła głową.

– Nie, to nie tak, naprawdę. To okropne, co mówisz, i to wcale nie tak.

– Nie? A tak to zabrzmiało. – W jego głosie zadźwięczała ironia.

Jacks podniosła wzrok i ku swemu przerażeniu uświadomiła sobie, że ponownie płacze.

– Mam rodzinę. I może nie są idealni, ale to wszystko, co mam. – Bez namysłu sięgnęła do torebki i wyjęła zdjęcie Marthy i Jonty’ego na nadmorskim wale w środku lata: Martha patrząca w obiektyw z luźnym warkoczem leżącym na ramieniu, a Jonty z wyciągniętym językiem. Podała je Svenowi.

– Moje dzieci. Moja największa miłość. Nigdy nie zrobiłabym nic, przez co mogłyby się ode mnie odwrócić. Rozumiesz mnie?

– Tak. – Sven obejrzał zdjęcie i oddał je Jacks. – Ale to już nie są niemowlaki i może najwyższy czas pomyśleć trochę o sobie?

Jacks potrząsnęła głową. I bez tego miała dość problemów.

– Jacqueline, nie płacz, proszę.

Jacks pokiwała głową w jego stronę.

– Nic na to nie poradzę. Mój tata nie żyje i ciągle nie mogę się pozbierać. Tyle rzeczy się na mnie zważyło. – Wytarła bulgoczący nos w przemoczoną chusteczkę. – I płaczę przez ciebie, Sven.

Podniósł na nią wzrok.

– Tak?

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Żałuję, że pojechałam do Londynu, bo po tym, jak cię zobaczyłam, wszystko się posypało. Zniknął mój promień nadziei, zgasło światełko w tunelu, prysnęła bańka mydlana. A to znaczy, że siedzę teraz po łokcie w obesranym praniu, tak zmęczona, że gdy wchodzę na górę, nie pamiętam, po co wchodziłam, i nie mogę już przywołać twojej twarzy, twojej ślicznej chłopięcej buzi, która dawała mi siłę. Teraz muszę myśleć o czymś innym, żeby ciągnąć dalej. To nie jesteś ty. Już nie.

Popatrzył na nią uważnie.

– Byłaś w ciąży, prawda?

Nastąpiło ciężkie milczenie pełne grozy. Oboje jakby wrosli w fotele.

– Co? – Głos jej się załamał.

– Kiedy wyjechałem z rodzicami do Bostonu, byłaś w ciąży. – Zajrzał jej w oczy, czekając na potwierdzenie.

Jacks gapiła się na niego z otwartymi ustami.

– Skąd...?

– Wiedziałem, Jacks. Pamiętam, że nie mogłaś niczego wziąć do ust, było ci niedobrze i skarżyłaś się na metaliczny smak w ustach. I wyglądałaś inaczej. Rozkwitłaś. Wiedziałem.

– Wiedziałeś? – wykrztusiła. Przypomniała sobie, jak siedzi, osiemnastoletnia, w salonie z rodzicami. *On o niczym nie wie, mamó, to nie tak. To nie jego wina. Nie zdążyłam mu powiedzieć, kiedy oni tak nagle wyjechali. Gdyby wiedział, to na pewno byłby tu teraz ze mną...* – Ożeż... – Zakryła twarz dłońmi i skuliła się. – Boże!

– A kiedy zadzwoniłem do ciebie kilka miesięcy później, twoja mama powiedziała mi, że wyszłaś za Petera Daviesa. – Ściągnął usta i postukał wskazującymi palcami w kierownicę.

– Rozmawiałaś z mamą? – Jacks podniosła głos o oktawę.

Sven przytaknął.

– Niedobrze mi. Zaraz zwymiotuję! – Zaczęła mocować się z drzwiami, szukając w półmroku klamki.

Sven nacisnął klawisz i opuścił szybę.

Przez chwilę wdychała głęboko silny podmuch powietrza, który wdarł się do środka, po czym odwróciła twarz wolno w jego stronę.

– Czyli... To znaczy, że mnie porzuciłeś! To znaczy, że wiedziałeś i mnie porzuciłeś! Ciągłe pieprzenie o tym, jak to wyjedziemy we dwoje... A ty się po prostu zwinąłeś! Cholerny sukinsynu! Jak mogłeś mi to zrobić?

– Byłem taki młody. Za młody...

– Tak? A co ja mam powiedzieć? Ja nie miałam opcji, żeby się ulotnić! – Zapatrzyła się w dal przed siebie, rozmyślając o Pecie, który był wtedy przy niej i trwał tam cały czas. Znowu pomacała drzwi, tym razem natrafiając na klamkę. – Muszę wracać do domu, do rodziny.

– Kochałem cię, Jacks. – Sven wyciągnął rękę, żeby ją złapać za ramię.

– Nie dotykaj mnie! Nie masz bladego pojęcia, co to znaczy kochać. To znaczy być przy kimś i go wspierać, a nie pryskać przy pierwszej okazji, jak coś pójdzie nie tak. To nie jest żadna miłość! Odpieprz się ode mnie. Wracaj do swojego szklanego zamku w San Francisco i jachtów za czterdzieści milionów. Nie masz tu czego szukać i nigdy nie miałeś.

Wyglądał na dotkniętego.

– Chciałem ci to dać. – Wyjął z kieszeni na piersi niewielki kawałek papieru i podał jej.

Jacks wzięła go ostrożnie i rozwinęła. Czek. Na ćwierć miliona funtów. Patrzyła na Svena, trzymając czek w drżących palcach, i myślała o motocyklu, który mógłby kupić sobie Pete, dodatkowej sypialni dla Jonty’ego i zniszczonym abażurze w sypialni, który czas było wymienić. A potem przypomniała sobie strzępki innej kartki, które spuściła w muszli u rodziców dawno, dawno temu. Złożyła papier i podarła go na drobne kawałki, które cisnęła mu w twarz jak confetti.

– Nie możesz mnie kupić jak jakiejś kolejnej cholernej zabaweczki. Nie wypłacisz się za to, jakim jesteś dupkiem. Nie chcę twoich pieniędzy ani ciebie! Nigdy nie chciałam. Trzymaj się od nas z daleka.

Przy Sunnyside Road Jacks odemknęła drzwi i weszła do pogrążonego w ciemnej ciszy domu. Tylko z kuchni sączyło się światło. Zajrzała i zobaczyła Pete’a siedzącego przy stole, bębniącego lekko palcami o blat.

– Wszystko w porządku? Z mamą wszystko dobrze?

I z dziećmi? – zapytała nerwowo, oblewając się rumieńcem w obawie, że mąż zdoła przejrzeć jej obłudę.

Pete skinął głową.

– Jak się miewa Gina? – wyszeptał chropowatym głosem, jakby nie odzywał się od dłuższego czasu.

Jacks podeszła do zlewu i odkręciła kran. Przez chwilę przyglądała się równemu strumieniowi, byle tylko nie kłamać mu prosto w oczy.

– Dobrze.

– Tak też mi się zdawało, kiedy podjechałem do niej trochę wcześniej sprawdzić, czy cię nie przywieźć. Martwiłem się o ciebie po tej aferze w sklepie i pomyślałem, że zrobię ci przyjemność. Więc wyglądała może na nieco zdenerwowaną i wyraźnie zaskoczoną na mój widok, ale poza tym – dość dobrze.

Jacks próbowała przeniknąć napięcie w jego głosie. Zakręciła wodę i powoli odwróciła się w kierunku męża. Oparła się o zlew i skrzyżowała ramiona. Co Gina mu powiedziała?

– Spójrz tylko na siebie. Płakałaś. Jesteś kompletnie rozbita. – Pete omiół ją wzrokiem. – Co się stało?

Jacks pomyślała o luksusowym samochodzie i jego kierowcy, którzy odjeżdżali właśnie do życia, które nigdy nie było dla niej. Przełknęła ślinę i spojrzała na swoje dłonie, jakby spodziewając się zobaczyć na nich ślady zbrodni.

– Chyba... Chyba się pogubiłam.

– Na to wygląda. – Wskazał krzesło naprzeciwko siebie. – Siadaj.

Usiadła.

– Pete, ja...

– Nie, posłuchaj mnie. Od jak dawna mnie znasz, Jacks? – zapytał.

– Co? Nie wygłupiaj się. Wiesz, od jak dawna się znamy.

– Nie wygłupiam się, zaręczam ci. Odpowiedz na pytanie. – W jego głosie pojawiła się nieznana dotąd nuta.

Pokręciła głową i zastanowiła się.

– Odkąd miałam jedenaście lat.

– Zgadza się. Dwadzieścia pięć lat. Sżmat czasu.

Potwierdziła głową. To prawda.

– Z czego osiemnaście lat małżeństwa – dorzucił.

Ponownie kiwnęła.

– I przez cały ten czas ty i dzieci byliście dla mnie zawsze na pierwszym miejscu, Jacks. Pracowałem jak mogłem, żeby mieć dla nas na życie.

– Wiem o tym – wyszeptała.

– Myślisz, że ja nie miałem swoich marzeń? – zapytał.

Wpatrywała się w niego, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Myślisz, że w młodości wyobrażałem sobie, że będę z bólem pleców taszczył tony zmokłego torfu po rozbabrannej budowie?

Jacks nadal patrzyła na niego z gwałtownie bijącym sercem.

– To powiem ci, że nie. Wiesz, że chciałem być piłkarzem, wszyscy o tym wiedzą, ale kiedy okazało się, że to niemożliwe, wiesz, co chciałem zrobić?

Jacks pokręciła głową.

– Chciałem pójść na studia. Podobał mi się pomysł, żeby nosić garnitur i pracować w biurze. Wiedziałaś o tym?

– Nie. – Znów spojrzała sobie na ręce.

– Nie – powtórzył. – Ale nie mogłem tego zrobić, nie mogłem się wykształcić ani nauczyć się obsługi komputera, bo miałem żonę i dziecko –

małą dziewczyneczkę, która była dla mnie ważniejsza niż cokolwiek na świecie – więc musiałem zarobić na spłatę kredytu, żebyście miały gdzie mieszkać i co jeść.

– Wiem, Pete. Jestem ci wdzięczna za to, jak ciężko pracujesz – powiedziała szczerze.

Pete podniósł palec, żeby ją uciszyć.

– Co rano wsiadam do samochodu, nastawiam radio i gorącą dmuchawę na nogi, żeby zmagazynować jak najwięcej ciepła na cały długi dzień. Nienawidzę zimna. Nienawidzę. I co rano mijam mężczyzn i chłopców w garniturach czytających gazety albo idących gdzieś z elegancko przystrzyżonymi włosami i w wybluszczonych butach i zastanawiam się, jak się zostaje kimś takim. Facetem, który budzi się rano, zakłada garnitur i siada za biurkiem, żeby się babrać w papierach, a nie górach błota, i odbierać telefon, zamiast wysłuchiwać wrzasków brygadzysty. I czasem sobie myślę, że to mógłbym być ja, gdyby sprawy potoczyły się kiedyś inaczej. To jest moje marzenie, Jacks, zostać menedżerem. Dzisiaj to brzmi zabawnie, ale kto wie, co by było, gdybym nie zakochał się ciut za wcześnie... – Jego głos był nabrzmiały z emocji. – A ta dziewczyna... Patrzę na nią dzisiaj i widzę, jak każdego dnia podskakuje i zaciska usta, kiedy jem za głośno albo nie odstawiłem butów na półkę, albo jeszcze milion innych rzeczy, które ją we mnie irytują, i muszę cały czas gryźć się w język, żeby nie przypominać jej na okrągło, że ja też jestem zmęczony i jestem tylko człowiekiem, i czasem popełniam błędy.

– Przepraszam.

Nie zwrócił na nią uwagi albo jej nie dosłyszał.

– I nie musisz powtarzać mi w kółko, jakie to rozczarowanie cię w życiu spotkało, bo ja o tym wiem. Widzę to codziennie po twoich oczach, gestach i tym ciągłym bujaniu w obłokach. I przez to czuję się jeszcze bardziej do

niczego.

– Nigdy nie chciałam, żebyś się tak czuł.

– Owszem, chciałaś. Chcesz. Nigdy ci niczego nie broniłem. Nawet nie mrugnąłem, kiedy sprowadziłaś do domu swoją matkę, chociaż wiadomo było, że dla mnie i dla dzieci to będzie trzęsienie ziemi. Nigdy się nie skarżyłem nawet na nasze nieistniejące życie seksualne. Mam trzydzieści sześć lat, Jacks, nie dziewięćdziesiąt sześć! Tobie odpowiada życie bez bliskości? Bo mnie nie.

– Wiem. – Skinęła głową.

– Ale to wszystko, co tak już sobie tyka od dłuższego czasu, jest teraz bez znaczenia, bo mamy większy problem. Problem, który ty sprowadziłaś.

Jacks wpatrywała się w męża z kolanami dygoczącymi pod stołem.

– Jest bardzo cienka granica pomiędzy byciem miłym i wyrozumiałym a byciem frajerem i popychadłem i zaraz się o tym przekonasz.

– Pete, ja...

– Nie skończyłem – rzekł głośno i dobitnie, ponownie podnosząc dłoń. – Boję się. Po raz pierwszy w życiu jestem autentycznie przerażony. – Zamrugał szybko.

– Czego się boisz? – zapytała miękko. Oparła się o krzesło z szeroko otwartymi oczami, niespokojna, co zaraz usłyszy.

– Boję się, że stracę moją małą dziewczynkę. Moją kruszynkę, która potrzebuje mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek, moją dziewczyneczkę, która jest w ciąży i czuje się zupełnie zagubiona.

– Jak miałbyś ją stracić?

– Powiedziałaś mu? – wypalił Pete.

O Boże! On wie! Wie, gdzie byłam i z kim!

– Nie. – Pokręciła głową z rękami płasko ułożonymi na stole i rozstawionymi palcami. – Przysięgam ci, że nic nie powiedziałam. Ale on

się domyślił. Daję słowo, że ja o tym nie wspomniałam! Nie musisz się martwić...

Pete niemal rozpląszczył się na stole, a po policzkach spływały mu łzy ulgi. Uszczypnął się w nos i wytarł oczy rękami. Jacks nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak płakał.

– Nie muszę się martwić? – wpadł jej w słowo. – Jestem jej ojcem, Jacks. Ja jestem jej ojcem! – Grzmotnął ręką w stół. – I kocham ją ponad wszystko! Siedziałem przy niej po nocach, gdy była malutka, karmiłem ją i tuliłem, kiedy chorowała. Każdą wolną chwilę poza pracą spędzałem na rysowaniu obrazków, robieniu wyklejanek z makaronu i udawaniu rekina w kąpiel. Nauczyłem ją pływać. Sadziłem z nią warzywa w ogródku. Wożę ja tam i z powrotem jak jakiś pieprzony taksówkarz, bo jestem jej ojcem! – krzyknął.

– Wiem! Oczywiście, że jesteś, zawsze nim byłeś. Jesteś jej ojcem! – Teraz Jacks też się rozpląkała.

– Ja nikomu nie zazdroszczę, Jacks. Nigdy nie zazdrościłem. Nie potrzebuję milionów. To, o czym zawsze marzyłem, to właśnie to życie, nasze życie, tutaj, w tym mieście, na tych ulicach, gdzie wszyscy się dobrze znamy i pomagamy sobie nawzajem. To mi wystarczy. Wystarcza mi, że wracam codziennie do domu, do ciebie, a moje dzieci są bezpieczne i szczęśliwe. Tyle. – Pete uniósł ramiona, a potem pozwolił im opaść. – To wszystko, czego mi trzeba. – Znów popłynęły mu łzy. – Ale może dla niej to za mało. Nie mogę konkurować z jachtami, luksusami, bajeranckimi autami, niby jak? Nie mogę jej nawet wysłać na głupią wycieczkę szkolną albo dać jej osobnego pokoju!

– Ona nie potrzebuje tych rzeczy. Potrzebuje ciebie. Tak jak ja potrzebowałam mojego taty. On też nigdy nie był bogaczem, liczyło się to, co robił, a nie to, co mógł albo czego nie mógł mi dać. Kiedy co wieczór robił mi zagłębienie w poduszce i mówił: „Proszę bardzo, laleczko, twoja jama do

snu”. Nikt tego nie zastąpi, to przecież niemożliwe. Miałam zawsze najpiękniejsze sny, gdy wiedziałam, że tata jest w drugim pokoju i czuwa. To samo tyczy się Marthy, ona nie potrzebuje przedmiotów! A ty nie musisz z niczym konkurować. To się nigdy nie stanie. Sprawa zakończona!

Pete podniósł się, potarł oparcie krzesła i wycelował w Jacks palec.

– Lepiej, żeby tak było. Bo wierz mi, nie zamierzam znosić tego syfu ani chwili dłużej. Rozumiesz, co mówię?

Jacks kiwnęła głową.

– Uważaj, Jacks. Lepiej dopilnuj, żeby wszystko porządnie załatwić, bo jak nie, to ktoś inny zrobi to za ciebie.

Dwadzieścia cztery

Dziewiętnaście lat wcześniej

Przechadzali się po bristolskim porcie. Był szary, pochmurny dzień, a w szczelinach między kostkami bruku połyskiwały bajorka wody po deszczu.

– Miałabyś ochotę wsiąść na któryś z tych wielkich statków i odpłynąć wszystko jedno dokąd? – zapytał Pete, balansując niebezpiecznie na krawędzi przystani.

– Nie! Nie przepadam za morzem. I nie mam też ochoty wyciągać cię teraz z wody, więc się lepiej odsuń! – przykazała Jacks.

– Tak jest, szefowo! Boisz się, że coś mi się stanie? – roześmiał się, stając znów na skraju.

– Tak! – Jacks odwróciła głowę.

– Bo ci na mnie zależy? – spytał Pete, rzucając jej spod rzęs baczne spojrzenie.

– Bo mi na tobie zależy. Jesteś moim przyjacielem. – Uśmiechnęła się do niego. Pete stał się jej bardzo bliski. Nie wydał jej tajemnicy i przynosił po kryjomu sucharki do szkoły, żeby pomóc Jacks przezwyciężyć poranne nudności.

– To świetnie, bo mnie zależy na tobie.

Jacks rozjaśniła się.

– Mamy prawdziwe szczęście, Pete. Niektórzy przez całe życie nie spotykają nikogo, komu zależałoby na nich albo kto by im pomógł. – Zamyśliła się. – Chciałabym, żeby moi rodzice byli dla siebie miłsi.

Pete zakaszłał z zakłopotaniem.

– A nie są?

– Nie zawsze – przyznała. – Czasami odnoszę wrażenie, że mama mnie nie lubi. Zwłaszcza kiedy przekomarzamy się z tatą. – Po raz pierwszy komuś o tym powiedziała, ale czuła, że Pete’owi może zdradzić wszystko.

– Może nie chciała mieć dzieci. Może właśnie zaczęło im się układać, a wtedy pojawiłaś się ty i znowu ledwo mogli związać koniec z końcem. A może jest trochę zazdrosna o ciebie i twojego tatę? Może czuje się odsunięta? W końcu tak długo byli tylko we dwoje, zanim się urodziłaś. Nie wiem.

Dużo tych „może”, ale może miał rację.

– Ja też nie – powiedziała.

– Mam nadzieję, że wezmą mnie do Weston – zmienił temat Pete. – To znaczy, pewnie, że to nie to samo, co City, ale gdybym mógł grać i jednocześnie pracować, to jak złapać dwie sroki za ogon. Zarabiałbym pieniądze i ciągle grał w nogę, a to nie jest tylko głupi sport...

– Wiem! To coś znacznie, znacznie więcej! – Jacks roześmiała się. – Twój fizjoterapeuta był raczej dobrej myśli, prawda?

– Tak. – Pete uśmiechnął się powściągliwie. Jeszcze nie do końca uporał się z rozczarowaniem, że nie zostanie gwiazdą.

– Nie mam pojęcia, co ja bym bez ciebie zrobiła przez te ostatnie tygodnie – wyznała Jacks otwarcie.

– Cóż, wolałbym, żebyś nigdy nie musiała nic beze mnie robić i żebym ja też nic nie robił bez ciebie.

– No to kłamka zapadła. Jesteśmy na siebie skazani. Pójdziemy się czegoś napić?

Pete podszedł do niej i chwycił ją za ramię.

– Kocham cię, Jacks.

To niepoprzedzone żadnym wstępem wyznanie kompletnie ją zaskoczyło.

– Naprawdę? – Położyła sobie rękę na brzuchu, nie mogąc uwierzyć, że ktoś mógłby ją taką chcieć. Nie miała zupełnie nic i spodziewała się dziecka kogoś innego.

Pete potwierdził głową.

– Jezu, Pete, nie wiem, co powiedzieć. Tyle się teraz dzieje... – plątała się nieporadnie.

– Wiem, ale myślę, że miłość może się pojawić w bardzo różnych momentach. Nie wszystko jest zapisane raz na zawsze. Moja mama zawsze powtarza, że najważniejsza jest przyjaźń.

– Święta racja – roześmiała się Jacks, próbując rozluźnić atmosferę.

– I kto wie, co się nam jeszcze przydarzy. Nieważne, jak się zaczyna, ważne, jak się kończy. A ja chcę skończyć razem z tobą, Jacks.

– Czy to oświadczyny?

– A chciałabyś, żeby były?

Znowu się roześmiała. Jej myśli uleciały do chłopca, który ją zostawił.
Może to wcale nie początki muszą być najlepsze...

– Boję się, Pete, i nie chciałabym ci obiecywać czegoś, czego potem nie mogłabym spełnić.

– Nigdy nic nie wiadomo, Jacks. – Poklepał się po nodze. – Ale jeżeli chciałabyś spróbować, to ja jestem za. – Uśmiechnął się.

Popatrzyła na niego, odwzajemniając uśmiech.

– Chyba tak.

Zrobił krok do przodu i otoczył ją ramionami.

– To co, pobieramy się? – wyszeptał.

– Na to wygląda. O ile uda mi się znaleźć suknię, w którą będę mogła wcisnąć ten balon! – Zachichotała, po czym odchyliła się i pocałowała go.

I ze zdumieniem odkryła, że kręci jej się w głowie i ma ochotę na więcej.

Dwadzieścia pięć

Po kłótni o Svena i całą resztę Jacks siedziała sama w ciemnej, zimnej kuchni i biła się z myślami. Ocknęła się dopiero, gdy pierwsze promienie słońca wychynęły zza drzew sąsiadów i oświetliły ich ogród, a w progu pojawił się Jonty, rozglądając się za śniadaniem. Włosy miał rozczochrane, a spodnie od pizamy zwisały w luźnych fałdach na jego drobnej postaci.

– Pani Palmer kazała nam przynieść zdjęcia rodziców z czasu, kiedy byli mali. Będziemy robić kolaż – oznajmił, w skupieniu przenosząc mleko na stół.

– Na kiedy je potrzebujesz, Jont? – zapytała. *Nie dzisiaj, proszę. Proszę, tylko nie dzisiaj...*

– Na dzisiaj – odparł i wychlupnął mleko na podłogę.

– Bomba. – Jacks uśmiechnęła się blado.

– Toto? – krzyknęła Ida.

– Babcia woła! – wrzasnął Jonty, chociaż siedział pół metra od niej.

– Tak, słyszałam, kotku. Jedz śniadanie.

Jacks wspięła się po schodach i zajrzała do Idy.

– Dzień dobry, mamó. – Z trudem wykrzesła z siebie rażny ton i uśmiechnęła się, rozsuwając zasłony i otwierając okno. Usiadła na brzegu łóżka i wzięła w dłonie szczupłą rękę matki.

– Mamó, chcę cię przeprosić. Wybacz, jeżeli wystraszyłaś się tamtego wieczoru. Nie miałam prawa targać cię do Clifton po nocy. Nie powinnam była na ciebie krzyczeć. Przepraszam.

Ida wyciągnęła rękę i odgarnęła córce włosy z czoła. Gest był tak przepełniony czułością, tak poruszający i nieoczekiwany, że Jacks zabrakło

tchu.

– Ładna. Zawsze taka ładna dziewczynka – wybełkotała mama.

Jacks nie mogła sobie przypomnieć, żeby matka kiedykolwiek tak ją doceniła. Nachyliła się i oparła czoło o jej wątle ramię.

– Kocham cię, mamo.

Te rzadko wypowiedane na głos słowa wypłynęły z niej naturalnie i po raz pierwszy szczerze.

– Mam pewien skarb – odpowiedziała mama.

– Tak, wiem.

– Muszę odnaleźć ten list... – wyszeptała Ida.

Jacks roześmiała się i kiwnęła głową. Wstała i odchyliła kołdrę, gotowa zacząć swój kolejny dzień.

Gdy pół godziny później sięgała po kluczyki w korytarzu, zmartwiała na widok córki schodzącej po schodach. Martha była blada, a pod oczami miała ciemne, głębokie sińce.

– Jak się czujesz? – zapytała Jacks, unikając jej wzroku, bo czuła się przy córce dziwnie onieśmielona.

Martha wzruszyła ramionami i oczy jej się zaszkliły. Jacks nie chciała się kłócić, nie miała na to siły. Zrobiła krok do przodu, a wtedy Martha się odezwała:

– Mama Gideona powiedziała, że jeżeli jest jakiś problem z tym, żebyś mieszkała tutaj, to możemy przenieść się do niej.

– Ach tak? – Jacks wyobraziła sobie, jak Allison urządza dla nich pokój, wymądrzając się na każdym kroku. – A jaki miałby być problem, żebyś mieszkała w domu, w którym wyrosłaś i w którym mieszka twoja rodzina? Daj spokój, Martha, naprawdę. – Czuła się dotknięta i zawstydzona tym, że Martha najwyraźniej wszystko opowiada tamtej obcej kobiecie. Gdy się

odezwała, jej głos zabrzmiał ostrzej, niżby tego chciała: – Za kogo ona się ma, żeby cię tak podburzać? Przypominam ci, że masz dopiero osiemnaście lat i musisz chodzić do szkoły, zdawać egzaminy i przestrzegać zasad!

Martha obróciła się i ruszyła z powrotem na górę.

– Zasady się przeżyły. Będę miała dziecko.

– O, dziękuję ci, byłabym zapomniała! – prychnęła Jacks. – Podejdiesz do tych egzaminów, Martha. Miej choć na tyle rozsądku, żeby je potraktować poważnie! – Przed oczami pojawił jej się obraz kawiarni uniwersyteckiej w kampusie w Warwick. – O Boże! – I znów niczym uderzenie gromu spadała na nią świadomość, jak wiele uległo zmianie i ile dróg zamknęło się bezpowrotnie.

Jacks krzyknęła do matki kilka słów i ponagliła dzieci. Wyszła do samochodu, zapaliła silnik i czekała. W międzyczasie Ivor wskoczył do furgonetki i odjechał z rykiem. Jacks pochwyciła pożegnalnego buziaka, którego Angela posłała mu z okna na piętrze, i spłonęła rumieńcem, jakby dopuściła się poważnego nietaktu.

Jonty wgramolił się na tylne siedzenie.

– To chyba nie o takie zdjęcia chodziło. – Przeglądał ściskane w rękach fotografie. – Ty i tata jesteście na nich już w szkole, a pani Palmer powiedziała, że to mają być zdjęcia niemowlaków. Do kitu – westchnął.

– Powiedz pani Palmer, że na teraz muszą wystarczyć, a w weekend poszukamy czegoś na strychu, okej?

– W weekend będzie za późno, muszę je mieć dzisiaj – wymruczał i natychmiast zatonął w swoim komiksie.

Martha guzdrała się przy wychodzeniu i gdy w końcu wychynęła z domu, dźwigała w rękach wyraźnie ciężką torbę.

– Pomóc ci? Co tam napakowałaś? – zapytała Jacks, gdy dziewczyna władowała bagaż na tylne siedzenie obok młodszego brata.

– Swoje rzeczy – powiedziała Martha do szyby, zapinając pas.

– Co to znaczy „swoje rzeczy”?

Martha odchyliła ramiona do tyłu, jakby ta zdecydowana postawa miała jej dodać odwagi.

– Powiedziałam ci pięć minut temu! Przeprowadzam się do Gideona i jego mamy.

Jacks wydała z siebie ostry, zaczepny śmiech.

– Nie żartuj sobie, Martha. Nigdzie się nie przeprowadzasz. Odnieś tę torbę z powrotem!

Martha pokręciła głową i ułożyła sobie pas na ramieniu.

– Nie żartuję. I jeżeli nie chcesz podwieźć mnie do szkoły, nie ma sprawy, rozumiem. Zadzwońię po Gideona, żeby mnie podrzucił.

Jacks przekręciła się, opierając plecy o drzwi kierowcy. Chciała patrzeć córce prosto w oczy.

– W co ty pogrywasz, Martha? Po co ten cały dramat? Przecież to jakiś absurd. Myślisz, że pozwolę ci żyć na kocią łapę z chłopakiem i jego matką Bóg wie gdzie, żebyś mogła robić Bóg wie co? Wybij to sobie z głowy! Jesteś dzieckiem i masz chodzić do szkoły! – Ostatnie słowa wypadły raczej jak pisk.

– Wyprowadzam się, mamo. Potrzebuję spokoju.

– Ty potrzebujesz spokoju? – Jacks zaniemówiła. Miała pustkę w głowie.

– Tak! Za każdym razem, kiedy na mnie patrzysz, czuję się jak ostatnie zero i robi mi się niedobrze. Nie mogę już. – Przesunęła ręką po brzuchu. – Wiem, że jesteś zła i masz do mnie żal, ale nie możesz karać mnie dzień w dzień. To niesprawiedliwe. Czuję się okropnie i jestem w ciągłym stresie. Nie wytrzymam dłużej.

– Nie, Martha, to nie tak! Kocham cię i chcę być przy tobie, przy tobie

i przy dziecku. Potrzebujesz być blisko mamy! – Sama słyszała desperację w swoim głosie.

– O Boże! – Martha przesunęła rękami po twarzy, rozdrażniona. – To ci dopiero nowość! Do tej pory mówiłaś co innego, więc nie próbuj mnie teraz nabierać tylko po to, żebyś mogła mieć mnie na oku i trzymać z daleka od Gideona. Który, na marginesie, nie jest niczym wrogiem, tylko moim chłopakiem, i do tego wspaniałym, o czym przekonałabyś się, gdybyś zadała sobie choć odrobinę trudu, żeby go lepiej poznać, ale na to nie było cię stać. Czyta książkę o fazach rozwoju płodu i co wieczór dzwoni do mnie przed zaśnięciem, żeby opowiedzieć mi, czego się dowiedział, co się właśnie dzieje z naszym dzieckiem i czego się spodziewać. A ja, zamiast być tam z nim, przygotowuję się i oglądam obrazki, kryję się po kątach i szepczę przez telefon, żeby przypadkiem nie obudzić brata, który wiesza sobie plakaty Spidermana na ścianie!

– Mogę je zdjąć, jak chcesz – dobiegł z tyłu nieśmiały głosik Jonty’ego.

Jacks niemal zapomniała, że siedzi za ich plecami.

Martha zaczęła płakać, ale posłała braciszkowi uśmiech przez wielkie, gniewne łzy.

– Nie musisz, Jont. Plakaty są w porządku. Mówię tylko, że jest nam trochę ciasno we dwoje.

– Chcesz, żebym się przeniósł do rodziców? – podsunął.

Jacks zadrżała usta ze wzruszenia na tę rozbrajającą propozycję. Wrzuciła kierunkowskaz i ruszyła, nie chcąc, żeby przez nie spóźnił się do szkoły.

Gdy stanęli pod bramą, Jonty puścił się biegiem, wymachując swoim komiksem. Martha zawahała się, powoli odpinając pas.

– Nie chcę bardziej wszystkiego komplikować. Ale słowo daję, mamo, to jest najtrudniejsza i najbardziej przerażająca rzecz w moim życiu. A ty się zachowujesz, jakby to do ciebie w ogóle nie docierało.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Zrobili mi pierwsze USG. To było niesamowite! Dostałam zdjęcie tej małej, ślicznej istotki. Ale Ciebie ze mną nie było. Możesz sobie wyobrazić, jak się wtedy czułam?

– Tak – odparła Jacks urywanym głosem. – Mogę. I bardzo Cię za to przepraszam. Pokażesz mi je?

Martha wysiadła i wydobyla torbę z tylnego siedzenia. Płakała już otwarcie. Rozsunęła zamek i cisnęła zwinięte w trąbkę, rozmazane czarno-białe zdjęcie na fotel obok kierowcy.

– Możesz je sobie wziąć. Gideon i tak ma drugie.

Słowa córki ugodziły Jacks jak ostrze noża.

– Kiedy wrócisz do domu? – Z wysiłkiem hamowała łzy, nie chcąc robić widowiska przed szkołą.

Martha wsadziła głowę przez tylne drzwi.

– Kiedy zrobi się tam jak w domu.

Jacks patrzyła, jak córka mocuje się z torbą, idąc przez dziedziniec. Nagle znikąd wyrosła u jej boku Stephanie Fletcher, wzięła ją pod ramię i dumnie uniosła głowę, jakby jej przyjaciółka była jakimś cennym trofeum.

Jacks rozwinęła pogniecione zdjęcie i przesunęła palcem po małej, białej plamce.

Z powrotem Jacks obrała inną drogę, roztrzaskując w głowie swoje rozmowy ze Svenem, Pete'em, a teraz także z Marthą. Strzępki informacji i poszczególne słowa wirowały jej w głowie jak nienastrojone radio, w którym każdy z trzech głosów raz po raz wybijał się nad pozostałe. Pomyślała, że już czas postawić sprawę jasno i pokazać pewnemu mechanikowi, gdzie jego miejsce.

Skręciła w ulicę, przy której pracował Gideon. Zgasła silnik, podeszła do

drzwi warsztatu i stanęła przy ścianie, wahając się, czy wejść i co powiedzieć, gdy nagle usłyszała jego donośny śmiech i czysty, pogodny głos:

– No, to ustalone. Tak się cieszę, tato. Zobaczysz, jest wspaniała, na pewno ci się spodoba.

– Bardzo chętnie ją poznam.

– Cholera! – mruknęła Jacks. Mężczyzna brzmiał dokładnie tak jak jego syn: grzecznie, spokojnie i zdecydowanie.

– To poważny krok, synu.

Poważny krok? Mało powiedziane! Jacks powstrzymała się, żeby nie wyskoczyć i nie nawymyślać im obu.

– Dziecko to nie jest taki sobie kaprys. To zobowiązanie na całe życie.

– Wiem. Wiem o tym, tato. – W głosie Gideona dźwięczała determinacja.

– Ale ja ją kocham. Jest niesamowita. I niewiarygodnie mądra. Nie chce mi się wierzyć, że pokochała kogoś takiego jak ja, ale tak się stało i już nigdy nie pozwolę jej odejść. Zrobię wszystko, żeby zapewnić jej jak najlepsze życie. Będę się nią opiekował, nią i naszym dzieckiem. Dla niej chciałbym się stać kimś lepszym, rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem, Gideon, i jestem z ciebie dumny. Bałem się, że przez to, jak wyszło między twoją mamą i mną, mógłbyś się zniechęcić do zakładania rodziny. Cieszę się, że tak się nie stało. I wiem, że nie miałeś lekko, ale naprawdę świetny z ciebie syn i wspaniały facet.

Gideon roześmiał się.

– W tym właśnie sęk, tato. Nie myśl, że mam do was żal, ale wiem, jak to jest znaleźć się pomiędzy dwiema osobami, którym się nie układa, i nigdy nie narażę na to naszego malucha. Będę się starał, jak mogę. I jeżeli uda mi się sprawić, że Martha będzie szczęśliwa, to wszystko inne też się powinno ułożyć, no nie? I wiem, że początek nie był może najlepszy, ale nie o to chodzi. Chodzi o zakończenie, ważne jest to, co na tym zbudujemy.

Mężczyzna roześmiał się.

– Wiesz co, synu? Odnoszę wrażenie, że masz to lepiej rozpracowane niż ja, a jestem blisko dwa razy starszy od ciebie!

– Mam to rozpracowane, tato. W przyszłym roku zamierzam otworzyć własny warsztat. Najpierw tylko jeden, ale zrobiłem prognozy i wychodzi na to, że powinno udać się w miarę szybko rozwinąć interes, a potem, za parę lat, kiedy zbuduję markę, przekształcić się we franczyzę.

– Ho, ho! Najwyraźniej dobrze sobie to wszystko przemyślałeś. – Ojciec Gideona wydawał się pełen podziwu. Tak samo zresztą jak Jacks.

– Tak. Nie mogę się już doczekać, żeby ruszyć z miejsca i wszystkim samemu pokierować. Mam już przygotowany cały wachlarz usług i planuję zorganizować program szkoleniowy dla ludzi, którzy mają do tego dryg, ale brak im kwalifikacji. Pomagałbym im zacząć, ale na zasadzie współpracy, żeby nie tracić wyszkolonych partnerów.

– Dasz radę zrobić to wszystko? – powątpiewał ojciec.

– To i jeszcze więcej. Mam mnóstwo kumpli, którzy szukają zajęcia. Moglibyśmy obsługiwać bardziej skomplikowane zlecenia – adaptacja furgonetek dla surferów, przeróbki na powierzchnie mieszkalne, co tylko chcesz!

– Ile ci potrzeba, żeby to rozkręcić tak porządnie?

– Znalazłem świetne miejsce, a w banku powiedzieli, że dadzą mi pożyczkę, ale potrzebny jest niemały wkład własny i o to się wszystko rozbija. Ja nie wiem, oni myślą, że śpię na materacu wypchanym pieniędzmi? Każdy wolny grosz odkładałem na dziecko – westchnął Gideon.

– Bardzo chciałbym ci pomóc...

– Co ty mówisz, tato, nie wygłupiaj się. Kto ma tyle forsy? Ale trochę szkoda. Miejsce jest idealne. Dawny garaż, bardzo dobra powierzchnia, z warsztatem na parterze i mieszkaniem na piętrze. Ładnym, wiesz, takim jak

amerykańskie lofty. Poszliśmy tam z Marthą i od razu jej się spodobało. Wpadła na świetny pomysł. Wymyśliła, żeby na ścianach powiesić dawne szyldy samochodowe, w kącie postawić taką wielką, starą lodówkę i stół do piłkarzyków...

– Niezłe – przyznał ojciec.

– Tak, ale co z tego, skoro nie mam kasy na zaliczkę ani żadnych widoków, skąd ją szybko wytrzasnąć. Mówię ci, jak mnie to wkurza. Przecież chcę tylko zapewnić jakąś podstawę dla Marthy i dla małego.

– Uda ci się, synu. Zobaczysz.

Jacks zapięła płaszcz i chyłkiem wycofała się do samochodu. Wracając do domu, nie czuła już potrzeby policzenia się z chłopakiem córki. Nie żeby uspokoiło ją to, co usłyszała. Wręcz przeciwnie, czuła się jeszcze bardziej rozdarta. Zdecydowanie nie wyglądał na cwaniaka, który chciałby skrzywdzić jej córkę, lecz to tylko dodatkowo ją irytowało. Przypomniały jej się słowa Marthy o tym, że Gideon dzwoni do niej co wieczór i relacjonuje to, czego się nauczył. Chłopak nie ułatwiał jej sprawy, nie było się do czego przyczepić. Westchnęła na myśl o czeku, który lekkomyślnie podarła, a który tak bardzo przydałby się młodemu.

– Ależ ty potrafisz być głupia, Jacks – wyszeptała do siebie. – Czemu nigdy najpierw się nie zastanowisz, a potem dopiero zrobisz?

Gdy wypowiadała te słowa, przed oczami stanął jej tata. Musiała wychylić się i zerknąć w lusterko wsteczne, żeby skręcić w prawo.

Dwadzieścia sześć

Dziewiętnaście lat wcześniej

Gina przepęzła na drugi koniec łóżka przyjaciółki, otworzyła okno i wyjęła paczkę papierosów.

– Nie pal tutaj, Gi! – Jacks wyciągnęła poduszkę spod kołdry i umieściła sobie za plecami, opierając się na niej wygodnie.

– Dlaczego nie? Twój rodzice palą, więc nic nie pocują. A jak by chcieli wejść, wywalę fajkę przez okno.

Potarła zapałkę i wciągnęła do ust kłęby dymu, które potem wypuściła nosem.

– Wolałabym, żebyś nie paliła – nalegała Jacks.

– Co z tobą jest, Jacks? Cały dzień chodzisz zła jak osa, a teraz nagle nie wolno mi zapalić u ciebie w pokoju, chociaż nigdy wcześniej nie było z tym problemu!

Jacks zakrztusiła się i przyłożyła sobie rękę do ust.

Gina spojrzała na nią.

– Będziesz wymiotować? – Rozejrzała się po pokoju, szukając jakiegoś naczynia, po czym zaciągnęła się jeszcze raz i wyrzuciła niedopałek przez okno, wydmuchując resztki dymu na zewnątrz.

– Dobrze się czujesz? – Gina skrzyżowała nogi po turecku i przyjrzała się spopielalej twarzy przyjaciółki.

Jacks kiwnęła głową.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co? – Gina kartkowała zeszyt, przeglądając zadania domowe.

– Jestem w ciąży.

Gina wybuchnęła gromkim, serdecznym śmiechem, aż musiała oprzeć się o ścianę.

– Nieprawda, ty głupi cielaku!

– Prawda. – Jacks patrzyła na przyjaciółkę z powagą.

Gina usiadła prosto i potrząsnęła głową, jakby nie mogąc się zdecydować, o co zapytać najpierw.

– Nabijasz się ze mnie czy co? Przecież to niemożliwe!

Jacks pokręciła głową.

– Nie żartuję, Gi.

– Kto jest ojcem?

– Pete.

– Co? – pisnęła Gina.

Jacks potwierdziła głową.

– Pete Davies.

– Ale... Pete Davies? Nie wierzę! Wiem, że mizialiście się wtedy w Mr B, ale ciągle powtarzasz, jaki z niego palant, a teraz mówisz mi, że się z nim bzykałaś? – Gina wpatrywała się w Jacks z otwartymi ustami.

Jacks znowu skinęła.

Przez długą chwilę obie siedziały w ciszy. Zakradł się między nie pewien dystans, którego nigdy wcześniej nie czuły.

– Myślałam, że mówimy sobie o wszystkim – odezwała się Gina z urazą.

– Bo tak jest – zapewniła Jacks.

– Najwyraźniej nie. – Gina zgarnęła książki i wrzuciła do zbyt obszernej torby.

– Gi, zostań, proszę!

Gina nie zwróciła na nią uwagi.

– Naprawdę nie wiem, co mam ci powiedzieć. Czuję się, jakbyś zdzieliła mnie w twarz. Ty i ja nie mamy przed sobą tajemnic. Nie mogę w to uwierzyć. – Pokręciła głową.

– To się po prostu stało. – Jacks spuściła oczy.

– Takie rzeczy nie dzieją się „po prostu”. Ktoś je musi zrobić. – Urwała.
– Twój rodzice wiedzą?

Jacks przytaknęła.

– Kochasz go?

Jacks wzruszyła lekko ramionami i znów kiwnęła głową.

– Ale jaja! – Gina podniosła torbę i zarzuciła na ramię. – A niech mnie! Masz zamiar skończyć szkołę?

Jacks kiwnęła głową po raz trzeci.

Gina zapatrzyła się w jakiś punkt na ścianie, nieobecna myślami.

– Czuję się, jakbyś mi odebrała marzenia. Myślałam, że wyjedziemy razem do Bristolu, tak jak się umówiliśmy, wynajmiemy mieszkanie, znajdziemy sobie pracę. Naprawdę w to wierzyłam. Wydawało mi się, że gdybyśmy zrobiły to razem, to mogłoby się udać, pomagałybyśmy sobie nawzajem. Marzyłam o tym. – Gina wyszła z pokoju, nie oglądając się.

– Ja też o tym marzyłam – wyszeptała Jacks. Skuliła się na łóżku, wciskając twarz w poduszkę.

Dwadzieścia siedem

Po nieudanej próbie ataku na Gideona Jacks pojechała prosto na Sunnyside Road. Gdy zgasła silnik przed domem, dostrzegła corseę Giny zaparkowaną parę metrów dalej. Spotkały się na chodniku.

– Rany, Jacks, wszystko okej? Przepraszam cię za wczoraj! – Gina przyglądała się przyjaciółce bez zwykłego uśmiechu, za to wyraźnie zaniepokojona. – Pete się pojawił tak nagle, że całkiem straciłam głowę! Nie mogłam go okłamać, nie wiedziałam, co mu powiedziałaś i czy już się widzieliście po twoim spotkaniu ze Svenem. Pomyślałam, że się pokłóciliście i przyjechał pogadać z Robem. Przepraszam, że cię w to wszystko wplątałam.

– To nie twoja wina. Znalazłaś się w okropnym położeniu. To ja przepraszam, że cię w to wciągnęłam. – Jacks otworzyła drzwi i krzyknęła w górę: – Jestem, mamó! Zaraz do ciebie przyjdę!

– A jednak trochę moja. To ja zaproponowałam, żebyśmy pojechały na targi do Londynu, i przyniosłam ci ten pieprzony katalog. To ja wszystko zaczęłam! – powiedziała Gina z westchnieniem.

– Nie, Gi, to nieprawda. To się zaczęło bardzo wiele lat temu, na długo przed tym, jak znalazłaś to zdjęcie. Nie przejmuj się, naprawdę – zapewniła Jacks z głębi serca. Poszła do kuchni i napełniła miseczkę owsianką błyskawiczną do podgrzania w mikrofalówce.

– Jak się czuje Pete? Wczoraj wyglądał na zdrowo wkurzonego.

– Jest wkurzony i ma prawo być. Wszedł dziś rano wcześniej, bez śniadania. Nie widziałam się z nim. Ale wyjaśniliśmy sobie kilka spraw, oczyściliśmy atmosferę i dobrze nam to zrobiło. To wisało już nad nami od dawna.

– Jest jeszcze coś. – Gina przygryzła wargę i umknęła wzrokiem w kierunku podłogi.

– Co?

Gina westchnęła ciężko.

– Wczoraj wieczorem wygooglowałam Svena i powęszyłam trochę.

– No proszę! I cóż tam wytropiłaś, panno Marple? Dokopałaś się do jakichś mrocznych sekretów? – Starła się zachować lekki ton i nie okazywać furii, do jakiej ją doprowadził, próbując sobie kupić jej przebaczenie.

– Wydrukowałam to. – Gina wyjęła z torby kartkę formatu A4 i rozłożyła na stole. – Tu. – Postukała palcem w któryś z akapitów. – Czytaj. – Usiadła na krześle.

– Sven Lundgren, bla, bla, bla... – Jacks szybko przeleciała tekst oczami. – Którego pierwszy jacht nazywał się...

Gina uśmiechnęła się.

– No, no?

Jacks jeszcze raz przeczytała fragment.

– Nazywał się Lady Jacqueline.

– No! I co ty na to? Nazwał swój pierwszy statek na twoją cześć!

Jacks skinęła głową trochę rozkojarzona, bo jednocześnie patrzyła na dalszy ciąg: „Lady Jacqueline zapoczątkowała flotę firmy Somniorum Yachts, której nazwa pochodzi z łaciny, od *Lacus Somniorum*, co znaczy »Jezioro Snów«”.

Jacks nie wiedziała, co myśleć. Z jednej strony serce podskoczyło jej w piersi z radości, ale z drugiej – fakt pozostawał faktem, że on ją niecznie porzucił. Wiedział, że była w ciąży, i uciekł, a ona musiała samotnie dzień po dniu sklejać kolejno odłamki zdruzgotanego życia.

– Ale to nie wszystko. Już ostatnia rzecz, słowo daję. – Gina podrygiwała

na krześle.

Jacks spojrzała na nią.

– Co jeszcze znalazłaś?

– Nic. Nic więcej nie znalazłam, ale z nim rozmawiałam.

– Z kim?

– Ze Svenem. Zadzwoił do mnie dziś rano. – Gina postukała w blat stołu.

Na dźwięk jego imienia Jacks za każdym razem wywracał się żołądek.

Gina mówiła dalej:

– Został na noc w Weston i planuje dzisiaj wracać do Londynu. Jutro ma samolot do San Francisco, ale chciałby się z tobą spotkać.

– Po co? Myślałam, że wczoraj wieczorem wyraziłam się wystarczająco jasno. – Jacks zamieszała w owsiance i napełniła czajnik na herbatę dla mamy, znowu przeżywając swój wczorajszy zawód.

– Ja tylko przekazuję wiadomość. – Gina uniosła dłonie w geście samoobrony. – Ale wydawał się przejęty. Będzie na ciebie czekał przy Marine Parade, tam gdzie wczoraj.

– Kiedy?

Gina przechyliła się, żeby spojrzeć na kuchenny zegar wiszący nad jej ramieniem.

– Teraz. Powiedział, że poczeka godzinę, a potem wyjedzie.

Jacks zadzwoniły w uszach słowa Pete'a. *Uważaj, Jacks. Lepiej dopilnuj, żeby wszystko porządnie załatwić.* Musiała zamknąć ten rozdział raz na zawsze.

– Zajrzę tylko do mamy. Mogłabyś zostać z nią przez pół godziny?

– Jasna sprawa. Nie musisz się śpieszyć. – Gina uściśnęła jej ramię.

Jacks pojechała na Marine Parade i zaparkowała swoją starą skodę tuż za

jego cackiem, które w świetle dnia okazało się być ferrari. Zerknęła szybko w lustro i nastroszyła grzywkę, po czym przemknęła do jego samochodu i usiadła na miejscu pasażera.

– Dziękuję, że przyjechałaś – wyszeptał, jakby z ulgą.

– Gina powiedziała, że wyjeżdżasz, a nie chcę zostawiać żadnych niedopowiedzeń między nami. – Kiwnęła głową, uznając, że uśmiech byłby nie na miejscu.

– Nie mogłem spać w nocy.

– Ja też nie. Spotkanie z tobą wytrąciło mnie z równowagi. I sprawiło przykrość Pete’owi.

– Przepraszam. – Nacisnął guzik na desce rozdzielczej, uruchamiając silnik.

– Dokąd jedziemy, Sven? Nie mam zbyt wiele czasu. Mów, co masz do powiedzenia, i rozejdziemy się, każde w swoją stronę.

– Przejedźmy się trochę, Jacks. Proszę. Przez wzgląd na dawne czasy.

Jacks westchnęła i pokręciła głową.

– Dobra, ale niedługo.

Wrzucił kierunkowskaz i ruszył w stronę porannego słońca, oddalając się od nabrzeża. Nisko zawieszony samochód niemal ślizgał się po ulicach, wśród których Sven najwyraźniej ciągle doskonale się orientował. Jacks wyobraziła sobie, jaką frajdę sprawiłaby Jonty’emu przejażdżka taką bryką. Na myśl o swoich bliskich znajdujących się ledwie kilka kilometrów dalej, a jakby w innym świecie, opadły ją wyrzuty sumienia. Przyglądała się mijanym ulicom, które przemierzała co dnia, lecz zupełnie innym zza przyciemnianych szyb ekskluzywnego auta.

Sven zatrzymał się przy ścieżce prowadzącej na stadion.

– O nie! – Jacks roześmiała się mimo woli. – Po co mnie tu przywiozłeś?

– Pokręciła głową.

– Daj spokój, zrób mi przyjemność. – Sven wyskoczył z samochodu i wyjął z bagażnika dwie miękkie, srebrne puchówki. – Załóż to – przykazał.

Jacks wzięła od niego lekki jak piórko skafander i zrobiła, o co poprosił. Nakrycie było zaskakująco ciepłe.

Wślizgnęli się przez otwartą bramę. Sven kroczył przodem, w miarę jak pokonywali boisko, tracąc równowagę na załamaniach terenu i potykając się o sterczące kępy trawy. Z nerwów zaczęli się śmiać z tych swoich niezgrabnych poczynań.

– To tu – obwieścił i usiadł na mokrej trawie. – No, dalej. – Poklepał miejsce na ziemi obok siebie.

– Nie, Sven. Za stara jestem na takie wygłupy.

– Oj, przestań wreszcie i siadaj!

Jacks ugięła nogi i usiadła, zakłopotana, obejmując kolana ramionami. Przez jakiś czas żadne z nich nic nie mówiło, nie chcąc zepsuć magii tej chwili, która przeniosła ich w przeszłość.

Wreszcie, gdy ich oddechy zrównały się ze sobą, Sven powiedział szeptem:

– Kiedy o tobie myślę, zawsze widzę cię tu, na tym boisku. Ciągle mnie to fascynuje, jacy jesteśmy mali w tym niezmiernym wszechświecie!

Uśmiechnęła się z żalem.

– To ty pokazałeś mi, jak znaleźć Gwiazdę Polarną. Wypatruję jej za każdym razem, a jej widok zawsze kojarzy mi się z tobą.

– Myślałem, że ty i ja zawojujemy świat – powiedział Sven cicho. – Razem.

– Wygląda na to, że koniec końców nie byłam ci potrzebna – odparła cierpko. – Zdaje się, że całkiem nieźle sam sobie poradziłeś. – Jej głos był twardy i pełen ironii. – Jednego tylko ciągle nie rozumiem: po jakie licha

udawałeś na targach, że mnie nie poznajesz? Zrobiło mi się tak przykro, Sven. Myślałam, że się spalę ze wstydu.

– Chciałem zrobić ci przykrość. Boże, co za dziecinada. Jestem skończonym idiotą i bardzo cię przepraszam. Ale chciałem się na tobie odegrać, że na mnie nie poczekałaś. Obiecałem sobie, że nigdy nie będę cię szukał. Chciałem, żebyś to ty do mnie przyszła, żebyś to ty mnie znalazła.

– Ale to przecież ty dałeś nogę, nie ja – powiedziała głucho.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Sven wzruszył ramionami i obrócił się ku niej.

– Zrozum, Jacks, byłem tylko dzieciakiem. Zestrachanym smarkaczem skazanym na podniosłą przyszłość, którą umyślili dla mnie rodzice. Nie wiedziałem wtedy, że mam jakiś wybór. Może i zgrywałem dorosłego, ale w rzeczywistości miałem tylko osiemnaście lat i byłem przerażony.

– A ja nie? – uniosła się Jacks. – Ja to musiałam udźwignąć całkiem sama. – Zacisnęła usta i spróbowała wyobrazić sobie Svena z tamtych lat i to, co działo się w jego młodej głowie. Gdy się odezwała, jej głos brzmiał nieco łagodniej: – Muszę cię o jedno zapytać: czy gdybyś miał wtedy wybór, wyjechałbyś mimo wszystko?

Wytrzymała jego spojrzenie.

Sven nabrał głęboko powietrza i skinął ze wzrokiem wbitym w ziemię.

– Prawdopodobnie tak. – Pokręcił głową i mówił dalej z wahaniem: – Kiedy zebrałem się na odwagę i zadzwoniłem do ciebie, nie mogłem uwierzyć, że tak szybko zdążyłaś wyjść za mąż za jednego z tych prymitywów. Nie mieściło mi się to w głowie! Od dwudziestu lat mnie to dręczy. Mam wszystko, o czym marzyłem, ale wczoraj wieczorem znowu to poczułem, ten gorzki smak zazdrości, bo wolałaś ode mnie domorosłego piłkarza... – roześmiał się z trudem.

– Ty miałeś wybór, Sven, a ja co miałam zrobić? Osiemnastoletnia,

porzucona, w ciąży? Jak myślisz, co mnie czekało? I nie waż się szydzić z Pete'a! To było wspaniałe, co zrobił. Uratował mnie, dał mi dom i rodzinę. Jest dobrym, szlachetnym człowiekiem. Zachował się cudownie i zrobił wszystko, żeby pomóc mi się pozbierać. Zrobił dla mnie więcej, niż na to zasłużyłam. – Podniosła oczy na Svena. – Otoczył miłością mnie i twoją córkę, był najlepszym tatą, jakiego może sobie wymarzyć każda mała dziewczynka. Miałyśmy wielkie szczęście, że nas do siebie przygarnął.

Sven skrzywił się i odwrócił głowę.

– Kochałaś go?

Jacks potrząsnęła głową.

– Nie. Wtedy nie. Nie od razu. Na początku tylko udawałam. Ale pokochałam go z czasem, po tym, jak urodziło się dziecko. I kocham go teraz. Bardzo. – Przed oczami stanął jej Pete manewrujący wózkiem Idy w korytarzu, żeby zawieźć ją na kolację, którą sam przygotował. Usłyszała, jak pyta, czy nie przynieść jej okularów. Dobry, oddany mężczyzna, z którym stworzyła dom i rodzinę.

– Rozumiem.

– Nie odbierz mnie źle. Po twoim wyjeździe byłam załamana. – Jacks zapatrzyła się w dal. – I przez lata sama się nakręcałam, robiąc z siebie jakiegoś rycerza w lśniącej zbroi. Wmawiałam sobie, że z tobą moje życie byłoby doskonałe.

– Życie nigdy nie jest doskonałe – stwierdził Sven.

– Już chyba do tego doszłam. Więcej, zrozumiałam, że wcale nie musi takie być. Trzeba tylko umieć być szczęśliwym – roześmiała się, bo zabrzmiało to jak wiekopomne odkrycie. W uszach zabręczały jej słowa matki: *...samolubnych ludzi trudno jest kochać*. Popatrzyła na Svena i uprzytomniła sobie, jak łatwy do kochania jest Pete. Najmniej samolubny człowiek, jakiego w życiu spotkała.

– To prawda, i ja też już odkryłem mój własny przepis na szczęście. – Przynął się bliżej niej.

– Tak? – spytała Jacks podejrzliwie.

– Mhm. Mnie jest dobrze, kiedy w żyłach buzuje mi adrenalina, wszystko leci do przodu, a gdy mam ochotę na przerwę, czekają na mnie w domu wielkie, wygodne łóżko i kieliszek zmrożonego szampana. Bez nacisków i bez zobowiązań. – Sven przesunął palcem po rękawie jej kurtki. – Wyjedź ze mną, Jacks. Tylko ty i ja, żadnej presji. W pogoni za przygodą!

Jacks przyglądała się temu obcemu człowiekowi, który patrzył na nią z żarem w oczach.

– Czy ty zrozumiałaś cokolwiek z tego, co powiedziałam? W moim życiu jest tyle przygód, ile mi potrzeba. Mój przepis na szczęście to kłaść się obok Pete'a, patrzeć na nasz koszmarny abażur i wiedzieć, że moje dzieci śpią bezpiecznie za ścianą. – Dopiero gdy wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że taka jest prawda. – Był przy mnie, kiedy go potrzebowałam, i nigdy mnie nie opuścił. Trwał u mojego boku cały czas. Zawsze.

– A ja nie.

– Nie, Sven, ty nie. Ty wyjechałeś do Ameryki. Ileż to było gadania o tym, jak to łatwo będzie mi spakować walizkę i zniknąć, ale ty z taką samą łatwością mogłeś ją rozpakować i zostać.

Sven rozejrzał się po boisku z rezygnacją.

– Kochałem cię, Jackie Morgan. Naprawdę cię kochałem. To się nam przydarzyło i zostanie tak już na zawsze. Dla mnie to było jak magia. I myślałem, że ty czułaś to samo.

– Czułam – wyszeptała.

– Ale teraz już nie? – podjął ostatnią próbę.

– Teraz już nie. – Pokręciła głową beznadziejnie. Pozostała jeszcze tylko jedna rzecz do wyjaśnienia. Wzięła głęboki oddech, zbierając się w sobie.

Wiedziała, że musi zapytać, bo była mu to winna, ale w duchu drętwiała z przerażenia.

– Chciałbyś zobaczyć Marthę? Dowiedzieć się czegoś o niej? – Zamarła, czekając, co powie, z mocno bijącym sercem. Nie wyobrażała sobie, że miałyby opowiedzieć o wszystkim swojej małej dziewczynce właśnie teraz, kiedy sama znajdowała się na podobnym życiowym zakręcie, a na myśl, jaką przykrość wyrządziłaby tym Pete'owi, z rozpaczy pękało jej serce.

Sven potrząsnął głową.

Jacks wolno wypuściła powietrze i poczuła bezgraniczną ulgę.

– To właśnie rozumiesz przez „bez nacisków i bez zobowiązań”?

– Mniej więcej. To zbyt skomplikowane – mruknął.

Jacks podniosła się, zdjęła kurtkę i podała Svenowi.

– Nigdy cię nie zapomnę, Sven. Ale najwyższy czas się obudzić. Nie jesteśmy już dziećmi. Mam rodzinę, swoje własne dzieci i męża, który wiele poświęcił, żebyśmy byli szczęśliwi. To on jest moim rycerzem w lśniącej zbroi.

Sven zacisnął usta, wyglądając na urażonego. Siedział wciąż na ziemi, kiedy Jacks ruszyła w stronę bramy.

– Chcesz, żeby cię podwieźć? – zawołał za nią.

Jacks pragnęła jak najprędzej wsiąść do starej skody taty przy Marine Parade. Roześmiała się głośno i dźwięcznie.

– Nie, dziękuję.

– Jacks? – krzyknął.

– Co?

Przekręcił się w jej kierunku.

– Moja pierwsza łódź nazywała się Lady Jacqueline. Była piękna, jedyna w swoim rodzaju, zupełnie inna od wszystkich. Była gotowa wypłynąć na

szerokie wody i podbić cały świat.

Tak było, Sven. Tak było.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że utknie na mieliźnie i na zawsze ugrzęźnie w porcie, z którego miała wyruszyć... – W jego słowach brzmiała uszczypliwość.

Jacks odwróciła się, otuliła się ciaśniej swoim tanim rozpinanym swetrem i spojrzała na żalospną postać pośrodku szkolnego boiska. Kiedy się odezwała, jej głos brzmiał donośnie i czysto:

– Nie, Sven, nie to się jej przydarzyło. Postanowiła po prostu zostać i poczekać, aż świat przyjdzie do niej. I przyszedł. I nie miałeś racji. Dom to nie jest stan świadomości. To miejsce. A moje miejsce jest tutaj. Jestem tu u siebie.

Parkując przed domem, Jacks zauważyła, że w miejscu corsy Giny stoi teraz furgonetka Pete'a. O tej porze dnia powinien być na budowie, bo nie był to dzień krykietowy. Zajrzała najpierw do opustoszałej kuchni, po czym weszła na górę i przez chwilę stała pod drzwiami do pokoju Idy, niezdecydowana.

Mama leżała pod kołdrą w swoim pstrokatym szlafroku, z głową wygodnie opartą o ulubioną poduszkę. Pete siedział na krześle przy łóżku w ciężkich roboczych butach, opierając łokcie na kolanach, a w rękach trzymał niewielki kawałek papieru. Ida nie spuszczała z niego oka, ściskając w sękatych palcach brzeg różowej, wyszywanej kapy. Jacks oparła się o framugę i słuchała. Pete czytał cicho i łagodnie.

– „I to by było na tyle, moja ukochana. Ciągle wspominam dzień, gdy się poznaliśmy. Wyglądałaś wtedy prześlicznie. Pamiętasz go, najdroższa?”. – Pete podniósł oczy na Idę, po której ustach błąkał się rozmarzony uśmiech. Zakasłał i ponownie pochylił się nad listem. – „To był najpiękniejszy dzień w moim życiu i pamiętam każdą jego chwilę. Uważaj na siebie, Ida. Tęsknię

za Tobą codziennie. Schowaj dobrze ten list i pamiętaj, że myślę o Tobie bez przerwy, nawet kiedy jestem daleko. Kocham Cię już na zawsze. Twój oddany mąż, Don”.

Patrząc, jak jej kochany, czuły mąż czyta na głos jej mamie, Jacks poczuła łyzy pod powiekami. Jej wspaniały mężczyzna, który pracował jak mógł dla dobra swojej rodziny i był przy niej zawsze, w zdrowiu i w chorobie, na dobre i na złe. Miała wielkie szczęście.

Pete zwinął kartkę i włożył do szuflady szafki obok łóżka.

– Jeżeli chcesz, żeby jeszcze raz ci przeczytać, to po prostu zawołaj.

– Kochany Toto. – Ida uśmiechnęła się i zamknęła oczy.

Pete podciągnął jej kołdrę pod brodę i pogładził ją po ramieniu.

– Tak, Ida, prześpij się trochę. – Wycofał się na palcach z pokoju, po czym odwrócił się i stanął na wprost zapłakanej żony w korytarzu.

– W drodze do pracy doznałem objawienia – wyjaśnił. – Przyszło mi nagle do głowy, że po co kazać jej czekać w nieskończoność, skoro wystarczy, żeby ten list wreszcie przyszedł? I udało się. Wygląda na uspokojoną.

– Dziękuję. Dziękuję ci, Pete.

Przyciągnął ją do siebie i wziął w potężne ramiona. Stali tak kilka minut, napawając się swoją wspólną siłą.

– Czemu płaczesz? Nie powiesz mi chyba, że czytałaś relację z sobotniego meczu. Ależ dostaliśmy wycisk! – Pocałował ją w głowę, a Jacks wtuliła się w niego jeszcze głębiej.

– Kocham cię, Pete. Naprawdę cię kocham.

– Wiem. – Uścisnął ją mocno.

Jacks odsunęła się i popatrzyła na męża.

– Przepraszam. Przepraszam cię.

Pete skinął głową, nie odwracając oczu.

– Dobrze już? Wszystko załatwione?

Jacks uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Tak.

– Cieszę się – westchnął Pete. – I na tym zakończmy sprawę. Napijesz się herbaty?

– Z chęcią. – Dotknęła jego ramienia. – Słyszałam, jak czytasz mamie. To było niesamowite.

– Tak jak powiedziałem, pomyślałem, że jak dostanie to, na co czeka, to przestanie się denerwować.

– Ty to masz jednak głowę.

– Tego nie wiem. Może gdybym miał tam trochę więcej oleju, umiałbym utrzymać Gidusia z dala od naszej Marthy.

Jacks wiedziała, że temat ich nie ominie.

– Przeniosła się do niego, do domu jego matki.

Pete skinął głową.

– Wiem. Przysłała mi esemesa.

– Powiedziała mi dzisiaj rano, jak się ostatnio czuła, i zaczęłam się zastanawiać...

– Porozmawiajmy na dole. – Wyciągnął do niej rękę i zeszli wolno po nagich, skrzypiących schodach.

W kuchni Jacks osunęła się ciężko na krzesło.

– Masz rację, Pete. To nie jest jeszcze najgorsze, co mogło się wydarzyć. Naprawdę.

Pete postawił przed nią kubek i powiedział:

– Nie, kochanie. Niejeden już by dał dyla, ale nie on. On ją mocno kocha, a ona kocha jego. A jak się kocha mocno, właśnie to trzeba zrobić – zostać

bez względu na to, jak może być ciężko.

Jacks wzięła go za rękę, myśląc o spotkaniu ze Svenem.

– Wiem. Tylko że ja chciałam dla niej czegoś lepszego. Jest taka piekielnie mądra!

– To fakt i dlatego powinniśmy jej zaufać, że wie, czego chce w życiu.

– Wiem, wiem – przytaknęła Jacks, wbijając wzrok w herbatę, jakby rozwiązanie problemu kryło się na dnie kubka.

– Myślałem o tym, jak zareagowali twoi rodzice – odezwał się Pete spokojnie. – Pamiętasz, z początku wpadli w szal, ale kiedy się już pogodzili, byli dla ciebie cudowni i bardzo pomocni, prawda? A potem zjawiłem się ja i też nic nie mówili. Wyobrażasz sobie, co by to było, gdybyśmy musieli znosić jeszcze ich wymówki? To by dopiero był koszmar. Ja widzę dwa rozwiązania: albo się postaramy jej pomóc, wspierać ją i kochać jak od dnia, kiedy się urodziła, albo ją stracimy. A tego bym chyba nie zniósł. Proste.

– Nie możemy jej stracić, Pete! Za nic na świecie – zawołała Jacks.

– No to sprawa jasna. – Pete potarł dłonie o siebie. – Kto jak kto, ale my wiemy, że wszystko można przetrwać, o ile trzyma się razem.

– To prawda.

– Na pewno wszystko już dobrze? – Spojrzał na nią wymownie.

Jacks podtrzymała ten wzrok.

– Widziałam się z nim raz jeszcze, żeby się pożegnać. – Pociągnęła nosem.

– Cały czas nosi swetry zrobione przez mamusię?

Jacks roześmiała się i potrząsnęła głową.

– Czuję się, jakbym zamknęła kilka trupów w szafie.

– I bardzo dobrze – stwierdził zdecydowanie. – Ja tylko robię wszystko, żebyście byli szczęśliwi. To jedyne, na czym mi zależy i zawsze zależało.

Jacks podniosła się i oplótła mu szyję ramionami.

– I świetnie ci to wychodzi, kochanie. – Pocałowała go z uczuciem w policzek. – Próbował dać mi pieniądze. Mówił, że chce pomóc, ale powiedziałam, że nic nam nie potrzeba.

Pete skinął głową.

– Nie marzymy już o niebieskich migdałach?

Jacks westchnęła i usiadła przy nim.

Nad ich głowami rozległo się gwałtowne łupanie.

– Co to jest, do diabła?

– A, tak. Dałem twojej mamie kijek. Powiedziałem, żeby zastukała w podłogę, jak by czegoś potrzebowała.

– To już chyba dzwonek był lepszy! – Jacks podniosła się z miejsca. – Idę, mamó! – zawołała, spiesząc po schodach na górę.

Wieczorem tego dnia Jacks siedziała w zgaszonym samochodzie przy Alfred Street i przyglądała się domowi Parksów. Nie żeby cokolwiek było widać. Wokół panował granatowy mrok, a zaciągnięte zasłony zakrywały rozświetlone okna. Wyobraziła sobie Marthę, jak siedzi razem z Allison i Gideonem przy kolacji, ogląda telewizję, snuje się w piżamie, mieszka sobie w tym domu, z którym nic ją nie łączy. Obraz córki w zwykłych, codziennych sytuacjach między tymi ludźmi palił ją do żywego. Siedziała tak pół godziny w absolutnej ciszy i aż podskoczyła, gdy komórka leżąca na kierownicy zawibrowała gwałtownie.

– Gdzie jesteś, kochanie? – zapytał miękko Pete.

– Na Alfred Street – wyznała. – Siedzę u nich pod domem.

– Po co?

Jacks wzruszyła ramionami.

– Chciałam ją zobaczyć.

– Chcesz, żebym przyjechał i posiedział z tobą? – zapytał.

– Nie. Ale dziękuję. Lepiej zostań w domu, w razie gdyby mama się obudziła. Albo Jonty.

– Wypatrzyłaś coś? – Pete nie mógł się pogodzić z wyprowadzką córki równie mocno co Jacks. Żona nakryła go wcześniej na uklepywaniu poduszki na jej łóżku i układaniu jej pluszaków w nogach, tak samo jak to robił, kiedy była mała.

– Nie.

– Masz zamiar zapukać?

– Nie.

– Jacks, naprawdę uważasz, że to jest metoda? Będziesz teraz wysiadywać na ulicy, żeby ją w przelocie zobaczyć? To nie rozwiąże sprawy, wiesz o tym, kochanie.

Poczuła na policzkach znajome ciepło łez.

– Brakuje mi jej, Pete. Tęsknię za moją córką i mam wrażenie, że wszystko wokół mnie całkiem się rozlatuje. Przypomina mi się domek do zabawy, który tata zbudował mi na trawniku za domem. Uwielbiałam go. Godzinami mogłam przesiadywać w środku i wyobrażać sobie, że szykuję kolację przed nadejściem gości. Ale został niezabezpieczony na dworze przez zimę i cały klej zamókł, a dykta zupełnie sparciała. Zawalił się i na trawniku zostało tylko żalosne rumowisko. To już nie był mój domek, tylko sterta śmieci niezdatnych do niczego. Takie jest moje życie. Wszystko się posypało, rozpadło na kawałki i nie wiem, jak to poskładać. Nie wiem, od czego zacząć.

– Może najpierw wróć do domu, skarbie. Siedzenie samej na ulicy na pewno ci nie pomoże.

– Powiedziała, że wróci, kiedy zrobi się u nas jak w domu. Ale nigdy nie będzie jak w domu, dopóki nie wróci i dalej będzie się przede mną ukrywać.

– Wróci, Jacks. Obiecuję ci.

Jacks uruchomiła samochód.

– Obyś tylko miał rację.

– Wracaj do domu, Jacks, połóżysz się wcześniej spać. Potrzebujesz odpocząć.

Jeszcze raz obejrzała się na okna domu, po czym odjechała powoli z ociąganiem.

Dwadzieścia osiem

Dziewiętnaście lat wcześniej

Nad Weston-super-Mare powoli zapadał zmierzch, gdy Ida oderwała wzrok od małego telewizorka zamontowanego w kącie pod sufitem szpitalnej poczekalni. Na ekranie migają lokalne wiadomości, ale ponieważ dźwięk był wyłączony, mogła tylko domyślać się treści po wyrazie twarzy prezentera. Obróciła głowę w kierunku wahadłowych drzwi, przez które wszedł Don, wzruszając ramionami i rozcierając ręce, cały zgrabiący z zimna.

– Gdzie byłeś? – napadła na niego podejrzliwie. Dwadzieścia minut to w jego przypadku aż nadto, żeby coś przeskrobać.

Odwrócił się i popatrzył na nią, po czym zdjął kurtkę i położył ją na pustym krześle.

– Poszedłem do telefonu – odparł ze spokojem. Podciągnął nogawki spodni i usiadł, opierając stopę bokiem na kolanie.

Ida pokręciła głową.

– O, znowu potrząsamy główką? Nawet dzisiaj, tutaj? – Don machnął ręką w powietrzu, jakby nie wiedziała, gdzie się znajdowali.

– Myślisz, że mnie jest z tym dobrze? – wyszeptała i przycisnęła do siebie torbę na kolanach.

Don założył ręce na piersiach.

– Obawiam się, że ty już inaczej nie potrafisz.

– A czyja to wina? – Popatrzyła na niego.

– Moja. – Zamknął oczy i opuścił głowę. – Wszystkiemu ja jestem winien. To ustaliliśmy już przecież dawno temu.

– Wiesz co, może masz rację – westchnęła. – Ja już chyba nie potrafię inaczej, i to jest w tym wszystkim najgorsze. – Jej dolna warga zadrżała. – Dużo bym dała, żeby taka nie być, nie musieć żyć w ten sposób!

Don strzepnął gazetę, rozpostarł ją i podniósł, zasłaniając sobie twarz i górną część ciała. Na chwilę zacięli się w sobie, zanim Ida przerwała wreszcie milczenie:

– Trudno uwierzyć, że minęło osiemnaście lat, odkąd to *ja* rodziłam. Pamiętam ten dzień w najdrobniejszych szczegółach, jakby to było wczoraj. Każdą kolejną sekundę. – Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

– A, tak. – Dobiegło zza czerwonego nagłówka. – Wtedy też miałaś do mnie pretensje, o ile dobrze pamiętam.

– A pamiętasz o co?

Roześmiał się głośno i opuścił jedno skrzydło gazety, żeby przesunąć ręką po zmęczonych oczach.

– Jakże bym mógł zapomnieć, chociaż na jeden moment.

– Jak sądzisz... – Zawahała się. – Gdyby nie to, jak się między nami ułożyło, gdybyśmy byli lepszymi rodzicami, dali lepszy przykład, myślisz, że siedzielibyśmy tutaj w tej chwili?

Don nie zdążył jej na to odpowiedzieć, bo zza drzwi wyłoniła się głowa pielęgniarki.

– Chciałam tylko powiedzieć, że państwa córka świetnie sobie radzi. To jeszcze nie koniec, ale już niedługo. – Uśmiechnęła się i wycofała pośpiesznie do swoich obowiązków.

– Dalej, przyj! – krzyknął Pete, chwytając Jacks za rękę.

Zacisnęła oczy i próbowała, mocno próbowała. Jej purpurową z wysiłku twarz wykrzywił grymas bólu, a broda wbijała się w mostek. Ciężko dysząc, opadła na poduszki, drżąca i wycieńczona.

– Nie mam siły. Nie mogę... Nie mogę już.

Mordowała się tak siódmą godzinę. Mięśnie ją bolały i odmawiały jej posłuszeństwa. Uszła z niej cała energia i rozpaczliwie potrzebowała snu. Gaz rozweselający chyba przestał działać, a było już za późno, żeby znieczulenie na coś się jeszcze zdało.

Pete nachylił się, podparł jej plecy dłonią i powiedział, patrząc jej w twarz:

– Możesz, Jacks! Możesz zrobić wszystko. Wszystko. To już prawie koniec. Już prawie, kochanie. Prawda, Cath? – Obejrzał się na położną siedzącą na końcu łóżka ze stopami jego żony unieruchomionymi w uchwytach po obu stronach głowy.

– Święta prawda. Trzeba jeszcze dobrze popchnąć raz czy dwa i będziemy mieć ślicznego dzidziusia!

Jacks odchyliła głowę i uśmiechnęła się mimo wyczerpania, myśląc o małej kruszynce, która się zaraz pojawi. Długa grzywka przyłgnęła jej do mokrego od potu czoła. Chciało jej się pić, ale wołała nie komplikować sprawy, gdyby potem musiała iść do łazienki.

– Pomyśl tylko, dawniej po prostu wyrzuciłabyś bobasa za krzakiem i wróciła do pracy w polu! – dowcipkował Pete.

– Nie wiem, czy to pomaga. – Cath uśmiechnęła się życzliwie do zestresowanego przyszłego tatusia, który do tej pory wykonał kawał dobrej roboty, wspierając młodziutką żonę.

– Mówię tylko, że to najbardziej naturalna rzecz na świecie, tak? – Poprawił na sobie fartuch, który obsuwał mu się z ramion.

– W tej chwili tak się nie wydaje – westchnęła jego żona. – Przypomina raczej ciężką, siermiężną pracę! Nie licz na to, że wrócę na pole! – sapnęła.

– O to nie musisz się martwić. Od tego właśnie masz mnie. – Rozpromienił się. – Zarobię na wszystko, co ci będzie potrzebne. Mam za

zadanie opiekować się tobą i zawsze będę to robił. Zawsze. – Uścisnął jej dłoń. – Jestem piłkarzem. – Pete uśmiechnął się do położonej triumfalnie. Radość z tego, że ma być głównym napastnikiem Weston-super-Mare AFC, jeszcze nie przygasła.

– O Boże, znowu. Czuję, że zaraz się zaczniesz! – Jacks osunęła się w dół materaca i zgięła mocno do przodu. Zaciśnęła zęby i zamknęła oczy, a jej twarz poczerwieniała z wysiłku. – Och! Och! Ożeż! – wydusiła bez tchu.

– Tak jest! Oddychaj, kochanie! Doskonale ci idzie! Oddychaj! – Pete nadał policzki i sapał przez zaciśnięte usta, niepomny na cały świat. Obejmując Jacks za ramiona, żeby jej dodać otuchy, nie myślał o swojej karierze. Teraz był jej mężem, a zaraz miał zostać ojcem. Nie byli już tylko parą świeżo upieczonych maturzystów. Byli dorosłymi, młodymi rodzicami.

– Nie zostawiaj mnie! – wrzasnęła Jacks.

– Nigdzie nie idę! Jestem obok ciebie. Gramy w jednej drużynie, ty i ja.

– No teraz to chyba nie – westchnęła. – Nie zostawiaj mnie! Nigdy!

Pete spojrzał jej w oczy.

– Obiecuję. Nigdy. Kocham cię.

Przez chwilę wpatrywała się w męża.

– Ja też cię kocham, Pete. Naprawdę. Bardzo cię kocham! Kocham cię! – załkała.

– Naprawdę? – zapytał z twarzą rozjaśnioną szczęściem.

Kiwnęła głową.

– Tak! O Boże! Ooo! – wydyszała. – To już, czuję to!

– Tak jest! – przytaknęła Cath. – Widać główkę. Jeszcze tylko chwila! Dalej, przyj, Jackie, z całej siły! Zaraz będzie po wszystkim!

Jacks wydała przeraźliwy, gardłowy krzyk, jakby z głębi trzewi, i po kilku sekundach na sali rozległo się żalosne kwilenie – zachłystujący się,

nieporadny płacz z niewyrobionych płuc. Cath podniosła dziewczynkę i ułożyła ją Jacks na piersi jeszcze z pępowiną, która była jej jedynym źródłem życia przez trzydzieści dziewięć tygodni.

Jacks opadła na poduszkę z małym niemowlęciem przy piersi i całowała wilgotną główkę, podczas gdy miniaturowe rączki wyciągnęły się niezgrabnie w górę, a drobne usteczka szukały skóry matki.

– Jaka... jaka piękna! – wykrztusił Pete przez łzy. – Cześć! Witaj, moja mała dziewczynko – wyszeptał, całując pokrytą miękkim meszkiem główkę.

– Czy ktoś może zawiadomić moich rodziców? – zapytała Jacks.

– Oczywiście – uśmiechnęła się Cath. Wyszła na korytarz i udała się do poczekalni. Ida i Don zerwali się z miejsc i stanęli ramię w ramię, pełni oczekiwania.

– Witam dumnych dziadków! Mają państwo śliczną, małą wnuczkę. Mama i córka czują się dobrze.

Don zwrócił się ku żonie i przyciągnął ją do siebie ramieniem. Ida wtuliła się w niego i objęła go w talii, rozkoszując się tą chwilą bliskości i zapachem ukochanego mężczyzny.

– I co powiesz? Nasza mała mądrała, co? – wyszeptał Don w jej włosy i pocałował żonę w czubek głowy.

W międzyczasie pępowina została przecięta, a córeczka poddana oględzinom. Była doskonała.

Ginekolog umył ręce w małej umywalce pod ścianą.

– Wybraliście już imię? – zapytał.

– Tak. – Jacks wodziła po dziecku nosem i ustami. – To jest Martha.

Lekarz obszedł łóżko, wycierając ręce, i uśmiechnął się do rodziny, która zbiła się w ciasne stadko, popatrując po sobie z zachwytem.

– Dzień dobry, panienko Martho. Witam na naszym zwariowanym

świecie!

Na te słowa Jacks znów poczuła na twarzy strumienie łez.

– Hej, Martha. Jestem twoją mamą. Tak, jestem twoją mamą i cieszę się, że cię widzę. Czekaliśmy na ciebie, twój tata i ja, i już teraz bardzo cię kochamy.

– Tak jest – potwierdził Pete. – Najbardziej na świecie. – Uśmiechnął się do żony. – Jesteś najcudowniejszą kobietą pod słońcem! – Pocałował ją w policzek z uczuciem. – To było niesamowite. Po prostu niesamowite. Nie wierzę, że nam się udało. Nie wierzę, co ty zrobiłaś! Byłaś fantastyczna. – Pocałował ją znowu. – Jestem tatusiem, Jacks! Możesz w to uwierzyć? Jestem tatą!

– Tak, Pete. Jesteś tatą małej panienki Marthy – odparła, rozpromieniona.

Don usiadł na fotelu, rozcierając ręce.

– Rozpalić w kominku? Może jest jej zimno? – Zajrzał do nosidełka i przyglądał się śpiącej wnuczce. – Tylko na nią popatrz. Ma zaledwie tydzień, a jaka już z niej spryciara!

Jacks uśmiechnęła się, nie wiedząc, czy ma się cieszyć z tego określenia.

– Nie, nie jest zimno. Wszystko dobrze, tato. – Czuła się wspaniale, wydawszy na świat takie piękne dziecko, a jej twarz jaśniała szczęściem wczesnego macierzyństwa. Jak na zawołanie Martha uniosła piąstki i wykrzywiła w płaczu małą, czerwoną buzię.

– Ktoś tu się zna na zegarku. Pora na kolację – zauważył Pete, siedząc przy stole, gdzie przeglądał końcowe strony gazety.

Jacks poczuła sztywność w brodawce i wąską strużkę mleka.

– Tak. Chodź no tu, zaraz cię nakarmimy. – Ostrożnie wyjęła maleństwo z nosidełka i zabrała na górę do swojego dawnego pokoju.

Mama wysforowała się naprzód i ułożyła na łóżku dwie dodatkowe

poduszki.

– Chcesz, żeby okryć was kocem? – zapytała z rękami złożonymi na piersi, chcąc się do czegoś przydać.

– Jak uważasz, mamó. Ale przyjdź trochę ze mną pogadać.

Ida kiwnęła głową i wróciła z różową, wyszywaną kapą, którą starannie opatulila córce nogi. Zawisała na ramie łóżka, odwracając wzrok, kiedy Jacks rozerwała zatrzaski koszulki do karmienia i odchyliła miseczkę stanika. Jacks widziała, że matka nie odwróciła głowy aż do chwili, gdy Martha ciasno przywarła do niej, a muslinowa główka niemal całkiem zasłoniła jej pierś. Bawiła ją ta pruderyjność rodziców, nawet kiedy chodziło o karmienie małej. Podejrzewała, że to z racji wieku. Ale nie przeszkadzało jej to. Nie zależało jej zbytnio, żeby oglądali jej ciało, tak jak sama nie miała ochoty patrzeć na ich nagość.

– Jest urocza, Jackie.

– Tak. – Kiedy mowa była o jej małej dziewczynce, nawet się nie siliła na fałszywą skromność. W jej oczach Martha była najdoskonalszym dzieckiem, jakie kiedykolwiek przyszło na świat.

– Pete zdaje się bardzo zaangażowany.

– Tak, jest fantastyczny. Odciągam wieczorem mleko, a on karmi ją w nocy i wszystkim się zajmuje. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

– Nie wygląda, żebyś kiedykolwiek musiała się o to martwić. On na pewno nie czmychnie nie wiadomo dokąd. – Ida pokręciła głową. Jej słowa i ton głosu ewidentnie nawiązywały do Svena.

– Martha jest szczęściarą – powiedziała Jacks. – Ma najlepszego tatusia na świecie.

Ida uniosła brew.

– Myślałam, że ty masz – rzekła zdławionym głosem.

– No, tak, ma się rozumieć, ale zakładam, że Pete nabierze z czasem

wprawy i będzie tak samo dobry jak mój tata. – Jacks pogłaskała główkę ssącej zapamiętałe córki.

– Cóż, miejmy nadzieję! – Ida zacięła usta.

– To wcale nie jest taka prosta sprawa być dobrym tatusiem. Moim zdaniem najważniejsze to zapewnić tej kruszynie oparcie – oświadczyła Jacks. – Zgodzisz się?

Ida się zamyśliła.

– Sądzę, że jeżeli mama jest szczęśliwa, to tata również i wtedy jest dobrym tatą. Takim, który postrzega rodzinę jako całość i nikogo z niej nie wyklucza.

– A może to mama sama się wyklucza? – Jacks pochwyciła jej wzrok.

Ida poprawiła zasłony, po czym ruszyła do drzwi.

– Gdyby tylko to było takie proste. – Uśmiechnęła się i wyszła z pokoju, zostawiając Jacks samą z jej maleństwem.

Z salonu dobiegły Idę okrzyki Dona i Pete’a, którzy oglądali razem mecz w telewizji. Wydzierali się wniebogłosy. Była już na ostatnim stopniu, kiedy w holu zadzwonił telefon.

– Halo?

W słuchawce zabrzmiało piknięcie, a następnie odbijający się lekkim echem głos, jakby z bardzo daleka.

– Pani Morgan?

– Tak?

– Mówi Sven... – Usłyszała, jak przelyka ślinę. – Jestem...

– Wiem, kim jesteś.

Nastąpiła cisza.

– Czy mogę rozmawiać z Jackie? To ważne. – Wydawało się, jakby gdzieś się spieszył.

– Nie, ale posłuchaj mnie, bo to jest dopiero ważne. Jacqueline nie chce z tobą rozmawiać. Jest w tej chwili z mężem...

– Z mężem?

– Tak. Nie wiedziałaś? Wyszła za Pete'a Daviesa, naprawdę złotego chłopaka.

Dwadzieścia dziewięć

Jacks obudziła się, gdy promienie słońca wdarły się do środka przez szparę nad zasłonami, całe dwadzieścia minut przed dzwonkiem budzika. Złapała gorączkowo za szlafrok, szamocząc się z nim w ciemności, zaalarmowana odgłosami wymiotów dobiegającymi z łazienki. Czyżby Jonty się pochorował?

Przebiegła przez podest i stanęła w otwartych drzwiach. Na podłodze siedziała Martha! Wróciła po dwóch miesiącach, które wlokły się Jacks w nieskończoność! Biedna dziewczyna krztusiła się i wymiotowała do muszli, lecz na jej widok Jacks zalała fala szczęścia. *Moja mała dziewczynka. Jest tutaj. Jest z nami w domu!*

– Martha! – wykrzyknęła. – Dobrze się czujesz, skarbie?

Martha potrząsnęła głową.

– Mamo... – zdołała wykrztusić, ale znów wstrząsnęły nią torsje.

Jacks usiadła na ziemi, oparta o wannę, i głaskała ją lekko po plecach, tak jak robiła to przez wiele lat, gdy córka chorowała. Pomyślała o malutkiej Marcie z kostkami kręgosłupa prześwitującymi pod bawełnianą piżamką z disnejowską księżniczką na brzuchu.

– Pamiętasz, jak chciałaś, żeby mówić na ciebie Kida, jak ta dziewczynka z *Atlantydy* Disneya? – zapytała.

Martha przytaknęła.

– I przez kilka tygodni nie reagowałaś, kiedy mówiliśmy na ciebie inaczej. Stawałam na dole przy schodach i wołałam: „Kida, kolacja gotowa!”. Sąsiedzi musieli pomyśleć, że mi zupełnie odbiło.

– Dziękuję, że nie zgodziliście się zmienić mi imienia – wydyszała

Martha między jednym spazmem a drugim.

– Nie ma sprawy.

Martha pochyliła się do przodu, zdjęta nową, gwałtowną falą mdłości. Jacks zebrała jej długie włosy w koński ogon i trzymała w górze, czekając, aż natura zrobi swoje. Wreszcie Martha osunęła się na ziemię, a Jacks wręczyła jej rolkę papieru do otarcia ust i narzuciła jej ręcznik na rozedrgane nogi. Brzuch Marthy rysował się już wyraźnie.

– Czuję się koszmarne. Bolać mnie piersi i cały czas jeszcze mam mdłości. – Przekręciła się i złożyła głowę matce na kolanach, jakby zapomniała, że toczyły wojnę.

Jacks odgarnęła jej włosy z twarzy i mruzczała cicho.

– Jest mi tak ciężko, mamo. Wiem, że muszę się uczyć, ale ciągle jest mi tak niedobrze.

– To zazwyczaj mija, kochanie. Niektórzy twierdzą nawet, że to oznaka trwałej, zdrowej ciąży. – Przypomniała sobie własne nudności, gdy starała się wymiotować jak najciszej, żeby nikt się nie przestraszył, że coś jest nie tak. I Pete'a przynoszącego jej sucharki do szkoły. Uśmiechał się do niej, gdy szeptali razem w korytarzu, bo wtedy jeszcze nikt inny poza nim nic o Marcie nie wiedział. Tak się umówili do czasu, aż zarezerwuje termin w urzędzie, żeby nie dopuścić do plotek.

– Tata powiedział, że powinnam wrócić. Że jesteś przez to strasznie zdołowana, a ja tego nie chcę.

– Nie słyszałam, kiedy wróciłaś. Nie kładłabym się spać, gdybym wiedziała, że przyjdiesz.

– Tata powiedział, że Gideon może spać u nas na kanapie kilka dni, a ja mogę chodzić do niego, kiedy będę chciała. Bo ja chcę z nim być cały czas – wymamrotała Martha. – Ale nie mogę, bo muszę chodzić do szkoły i nie chcę cię denerwować, a wiem, że ty nie lubisz, jak się z nim spotykam. Tylko że

on jest tatą tego dziecka i nie chcę, żeby cokolwiek przegapił. I go Kocham. Potrzebuję go, mam, naprawdę.

Jacks zamknęła oczy i wyszeptała do ucha swojej małej dziewczynce:

– Wiem. Wszystko będzie dobrze. – Uświadomiła sobie, o ile trudniej byłoby jej przez to wszystko przejść bez silnych ramion Pete’a i jego słów otuchy co wieczór przed zaśnięciem.

– W końcu zawsze wszystko jakoś się układa.

Rozległ się krótki śmiech i obejrzała się, żeby zobaczyć Pete’a stojącego w progu w swojej roboczej bluzie i spodniach od piżamy.

– Teraz już znasz mój sekret. Mówię to zawsze, gdy nie mogę wymyślić dobrego rozwiązania.

Uśmiechnęła się do niego czule.

– Zabij mnie, ale nie mogę.

– Wymyślimy coś razem. – Pogłaskał ją po głowie.

Jacks sięgnęła po szorstką rękę męża, żeby ją pocałować.

– Jak zawsze.

Za plecami Pete’a wyrósł nagle Jonty i zamknął za sobą drzwi.

– Czemu siedzimy w łazience?

Wszyscy się roześmieli, łącznie z Martha, krzywiącą się jednocześnie od podchodzących mdłości.

Jacks odwiozła dzieci do szkoły zadowolona, bo dowiedziała się, że w ciągu ostatnich tygodni Martha nie opuściła ani jednego dnia lekcji. W samochodzie panowała wesoła atmosfera – wszyscy najwyraźniej z ulgą powitali powrót do normalności. Patrzyła, jak na dziedzińcu Martha zasłania sobie brzuch szkolną torbą, i zrobiło jej się żal zawstydzienia córki.

– To tylko ja, mam! – krzyknęła zaraz po powrocie do domu. – Już do ciebie idę!

Szczęśliwie tego ranka Ida pospała dłużej, dzięki czemu Jacks mogła pogawędzić z dziećmi przy śniadaniu. Pete też stał się znów sobą, a nawet lepiej – wydawał się tak radosny, jak nie był już od dawna.

Ustawiła miseczkę owsianki na maminej tacy i poszła na górę.

– Dzień dobry, mamó! Piękny dzisiaj dzień! Martha wróciła, wiesz? Nareszcie! W końcu jest z nami w domu. – Postawiła tacę i odsłoniła okno. – Może pójdziemy sobie dziś na małą przechadzkę, hm? Co powiesz? Przyjemny, mały spacer i trochę świeżego powietrza dobrze nam obu zrobi.

Jacks wykąpała i przebrała mamę, owinęła miękki koc wokół jej nóg i wsunęła przebarwione stopy w buty zapinane na rzepy. Kiedy razem z Idą na wózku wyszła na ulicę, wyrzucając po drodze do kosza zawiązaną na podwójny supeł reklamówkę, z bramy sąsiedniego domu wyłoniła się naraz Angela.

– Dzień dobry, Ange.

– Dzień dobry. Jak się pani miewa, pani Morgan?

– Świetnie – odpowiedziała za matkę Jacks. – Jak tam Jayden?

– Rośnie w oczach! Wczoraj pierwszy raz usiadł. Nie słyszeliście czasem fanfar i strzelających korków od szampana? Ivorowi zupełnie odbiło! Patrząc na tatusia, można by przypuszczać, że mały zdobył przynajmniej olimpijskie złoto.

– Wyobrażam sobie – roześmiała się Jacks. – Może kiedyś zdobędzie, kto to może wiedzieć!

– Jezu, mówisz jak Ivor. Wygooglował już połączenia do wszystkich największych miast świata i próbował obliczyć, ile by nas kosztowała podróż w 2032 roku!

– Nie mów! A w czym Jayden ma zdobyć medal?

Angela wydała zniecierpliwione cmoknięcie.

– W biegu na sto metrów, oczywiście.

– Oczywiście! – zachichotała Jacks. – Podoba mi się ta jego niezachwiana wiara i perspektywiczne myślenie. I może Ivor ma rację? Kto wie, jak się małemu Jaydenowi życie ułoży.

Zapadła niezręczna cisza, bo obie pomyślały o tym, jak ułożyło się Marcie i jak się niedawno cieszyły na wieść o ofercie z Warwick.

– Jacks, mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale chciałam to podrzucić dla Marthy. – Angela podniosła do góry dziecięcą, wiklinową koszyk pełen białych, maciupenkich koszulek, śpioszków i kaftaników.

– Och, Ange! – Jacks wpatrywała się w ten niemowlęcy ekwipunek. Nagle wszystko stało się prawdziwe. Te rzeczy były dla dziecka. Dla dzieciątka Marthy. – Jak miło z twojej strony. Ma mnóstwo pracy w szkole, za tydzień egzaminy. – Przyjęła pakunki w szeroko rozwarte ramiona.

– O Boże, nie chciałabym być na jej miejscu. Życz jej powodzenia na wypadek, gdybym się z nią nie widziała. – Wskazała głową na koszyk. – Jayden ze wszystkiego już powyrastał, więc jeżeli czegoś nie będzie chciała, to nie ma problemu. Może oddać komuś innemu albo zanieść do sklepu charytatywnego, wszystko jedno. Pomyślałam tylko, że mogą jej się przydać.

– Dziękuję ci, Ange. Na pewno się ucieszy.

– Nie ma sprawy! Muszę wracać. Jego Książęca Mość siedzi na stołku w kuchni i pewnie już upiększył sokiem całe ściany i sufit!

Jacks wróciła do domu i postawiła koszyk z ubrankami na stosie pudeł w holu.

Popychając wózek w kierunku morza, dzieliła się z matką swoimi przemyśleniami:

– To miło ze strony Ange, że dała nam ciuszki dla dziecka, prawda? Aż trudno uwierzyć, że to maleństwo, chłopiec czy dziewczynka, naprawdę jest w drodze i już niedługo będzie z nich korzystać – powiedziała. – Sama nie

wiem, mam. Wydaje ci się, że już wiesz, dokąd zmierzasz, i nagle dzieje się coś, co usuwa ci grunt spod nóg. Wszystko się zmienia tak szybko. Ledwo mogę nadążyć. – Wykręciła wózek na rogu, omijając dziurę w chodniku. – Sądziłam, że przyszłość Marthy była już ustalona. Myślałam, że moja też. I wydaje mi się, jeżeli mam być szczerą, że jednym z powodów, dla których tak mnie to wszystko ubodło, jest fakt, że chyba chciałam dzięki niej urozmaicić swoje własne życie. Podobał mi się pomysł, żeby ją odwiedzać w kampusie, poznawać jej nowych przyjaciół. Tak się na to cieszyłam. Ale to prawda, co mówi. To jest jej życie, nie moje. A Gideon wydaje się odpowiedzialny i godny zaufania. Ty byś powiedziała, że to złoty chłopak!

Ida wyciągnęła lewą rękę przed siebie i wysunęła palec.

– O, dziś ty wyznaczasz trasę? Rozumiem! – roześmiała się Jacks. – Dobra, możemy wejść na molo. Już dawno nas tam nie było, co?

Jacks wprowadziła wózek na drewniane bale i pchała go wolno po osławionym deptaku. W oddali przed nimi mieniła się w słońcu wyspa Steep Holm, tworząc ze wzgórzem Worlebury Hill po prawej stronie zachwycający widok. Nad wodą przechadzali się pod rękę zakochani, a nieco dalej w stronę Uphill Beach poszcze kiwały psy ganiające za piłkami i patykami.

– Nie zimno ci, mam? – Jacks nachyliła się i szczerzej zatknęła Idzie koc na ramionach. Minęły park rozrywki, w którym przyuważyła Richarda Frosta, jak majstruje kluczem francuskim przy jednej z maszyn. Zachichotała pod nosem.

Ustawiła fotel koło wolnej ławki na szczycie mola i usiadła, chłonąc wzrokiem bezmiar oceanu. Wciągnęła głęboko powietrze i rozkoszowała się ciszą i spokojem, zakłócanymi tylko przez wrzaski łasych mew.

– Przychodziliście tu razem z tatą, prawda? Po nocach przetańczonych w hotelu Grand Atlantic. Lubiłam oglądać wasze zdjęcia sprzed wyjścia. Miałaś usta umalowane na czerwono i wyglądałaś jak gwiazda Hollywood!

A tata zakładał muszkę. – Jacks cmoknęła rzewnie. – To były czasy, co? Na pewno ci go brakuje. Wiem to. Ja tęsknię za nim codziennie.

Jacks popatrzyła na mamę i pomyślała, że mogłyby w sumie zrobić to, co proponowała Lynne Gilgeddy – usiąść gdzieś na herbatę i zamówić jedną porcję ciasta na pół.

Głowa Idy opadła na piersi.

– Dobrze się czujesz, mamó? Chyba nie jest ci tak zbyt wygodnie?

Jacks sięgnęła do policzka matki, bojąc się, że jeżeli zaśnie w tej pozycji, to obudzi się z rwącym bólem w szyi. Cofnęła rękę z okrzykiem. Skóra Idy była zimna w dotyku, a twarzy nie wykrzywił zwykły grymas strachu. Wręcz przeciwnie, wydawała się gładka, odmłodziła i rozluźniona. Jej mama wyglądała na pogrążoną w błogim, łagodnym spokoju, a nawet na szczęśliwą, jakby wreszcie się uwolniła.

– Mamó! O nie! – Jacks zsunęła się z ławki na ziemię i położyła głowę na kolanach mamy, zaciskając palce na miękkich fałdach koca. – Nie możesz ty też mnie zostawić. Tyle jeszcze mamy sobie do powiedzenia. Mamó, proszę, nie odchodź! Kocham cię. Naprawdę cię kocham.

Przez następnych pięć dni Jacks miała wrażenie, że porusza się w lepkiej zawieszynie gęstego syropu. Była wykończona. Żal udaremniał jej ruchy przy każdej czynności i wszystko leciało jej z rąk.

W domu zalegała przeraźliwa cisza. Weszła po schodach na górę i ułożyła uprane ubrania na łóżku każdego z dzieci, po czym przystanęła pod drzwiami do pokoju mamy i z wahaniem przekręciła gałkę.

W pokoju panował zaduch przesycony zapachem mamy i jej starczych dolegliwości.

Jacks otworzyła okno i przyjrzała się oprawionym zdjęciom stojącym na parapecie, okruciom minionego życia. Usiadła na pokrytym różową kapą

łóżku i przesunęła palcami po falistych wypukłościach wzoru, wyczuwając przetarte miejsca, gdzie jej dziecięce paluszki wyskubały haft. Ogarnęła ją kolejna fala skruchy i łzy popłynęły jej z oczu. Przypomniała sobie, jak napadła na matkę, bliska załamania, i przerażoną twarz Idy, kiedy pchała ją pod górę nad przepaść wąwozu Avon.

– Mamo, tak mi przykro. Byłam po prostu zmęczona. – Przesunęła dłonią po znużonych oczach, a gdy ją opuściła, jej wzrok padł na zapasy pieluch i nawilżanych chusteczek leżące na komodzie. Uświadomiła sobie, że już nigdy nie będzie musiała znosić brudów na dół ani szamotać się pod prysznicem skoro świt. Z ulgą opuściła ramiona i znów osaczyły ją gorzkie wyrzuty sumienia.

Pete zapukał i wszedł do pokoju.

– Mogę wejść?

– Już wszedłeś – wymamrotała Jacks, leżąc na łóżku matki z twarzą ukrytą w poduszce.

– Przed chwilą dzwoniли z Cooksley. Chcą wiedzieć, czy masz jakieś życzenia w kwestii muzyki.

– Cokolwiek, wszystko mi jedno.

– Jacks, nie może być *cokolwiek*. Zastanówmy się, co by sprawiło przyjemność twojej mamie. Na pewno miała piosenkę, która coś dla niej znaczyła. Co ona tak lubiła...? – Strzelił palcami. – Wiesz, o którą mi chodzi, zawsze się uśmiechała, kiedy słyszała ją w radiu. – Pete stukał we framugę, jakby ten irytujący rytm miał mu podsunąć melodię. – Nie pamiętam tytułu, ale gdy to puszczali, uśmiechała się i kiwała głową.

Jacks podniosła głowę i popatrzyła na męża.

– Masz na myśli *Happy* Pharrella Williamsa?

– Tak się to nazywa? – zanucił kilka nut.

Jacks usiadła prosto.

– Chcesz, żeby zagrali *Happy Pharrella Williamsa* na pogrzebie mamy?

– Cóż, sądząc po twojej minie, najwyraźniej nie, ale przynajmniej już o tym rozmawiamy – odpowiedział pogodnie.

Jacks uśmiechnęła się blado, raczej odruchowo niż z rzeczywistej potrzeby.

– Nie chcę stąd wychodzić i nie chcę nikogo widzieć. Chcę po prostu zostać tu, gdzie była mama.

– Nie ma problemu, skarbie. Nie musisz nigdzie iść. Dzieci mają się dobrze i nic nie trzeba robić. Możesz tu zostać tak długo, jak zechcesz.

– A Jonty? Na pewno dobrze to znosi?

– Tak. Trzeba go było poprzytulać trochę więcej niż zwykle, ale to w końcu nic dziwnego.

– Czuję się taka pusta – wyszeptała. – Jakbym była głodna. Ale nie tylko to, jakbym miała w środku wydrążoną dziurę.

– Jesteś pod wpływem szoku. Wierz mi, za jakiś czas będzie łatwiej.

Jacks popatrzyła na męża.

– Po tym, jak tata umarł, musiałam zająć się mamą. To mi wypełniało cały czas. Byłam tak zaganiana, że nawet nie miałam kiedy w pełni uświadomić sobie jego braku. Ale też dopóki tu była, to tak jakby on tutaj był. Ona była połową moich rodziców. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Pete skinął głową i usiadł na skraju łóżka.

– Tak.

– A teraz oboje odeszli i czuję się kompletnie zagubiona. Jestem sierotą, Pete, i chociaż jestem dorosła, to jest mi przez to tak smutno.

– Nie jesteś sama, Jacks. Masz nas, a my póki co nigdzie się nie wybieramy. I to prawda, że poświęciłaś mamie cały swój wolny czas, ale teraz możemy mieć go więcej dla siebie, tak jak dawniej. Poza tym nie

będziesz już tak przemęczona, więc możemy ten czas lepiej wykorzystać.

– Pewnie tak. – Pokiwała głową.

– Cieszyłem się, że Ida była z nami, wiesz o tym, a ty zrobiłaś wszystko, żeby żyło jej się jak najlepiej. Tyle że ona w sumie już nie miała życia. Wyobrażasz sobie, jakie to musi być trudne przez większość czasu nie wiedzieć, co się wokół dzieje?

– Wiem o tym. Ale co ze mną? Co z moim życiem? Potrzebuję jej! Chciałam mieć rodziców przy sobie jak najdłużej.

Pete roześmiał się krótko.

– Wiem, ale to tak nie działa, prawda?

– Nie. – Jacks opadła z powrotem na poduszkę.

Siedzieli razem w milczeniu przez kilka minut.

– A ta piosenka, przy której tańczyli z twoim tatą na naszym weselu? Twój tata ją skądś wytrzasnął, taki stary kawałek... Pamiętasz, co to było?

Jacks uśmiechnęła się na wspomnienie rodziców sunących przez parkiet w walcu z przytulonymi do siebie policzkami.

– Nat King Cole, *Unforgettable*. Tata to uwielbiał.

– Może niech to zagrają – zaproponował Pete. Dom pogrzebowy czekał na wskazówki.

Jacks skinęła głową i zwinęła się na materacu. Wtuliła głowę w poduszkę i zamknęła oczy.

Trzydzieści

Trzydzieści lat wcześniej

Jacks nastawiła radio i zaczęła podśpiewywać razem z Kylie *Can't get you out of my head*, po raz czwarty tego ranka wycierając stół, po czym napełniła i włączyła czajnik. Zgarnęła włosy w koński ogon, ale po chwili znowu je rozpuściła.

– O której ty wstałaś? – zapytał Pete z korytarza.

– O piątej. – Zmarszczyła pociesznie nos.

– Wariatka! Wszystko będzie dobrze. Tylko nie pokazuj, że się denerwujesz, bo zaczniesz się bać. Musimy zachować spokój.

– To wcale nie takie łatwe.

– Ja z nią pojedę. Powiedziałem chłopakom, że się dzisiaj spóźnię. Ty tylko zaczniesz beczeć i wystraszysz ją na całego. Wytłumaczę jej na spokojnie, jaka to wspaniała przygoda, okej?

– To pojedziemy razem, a ja zostanę w samochodzie. Zgoda? – Jacks nie chciała przegapić przełomowej chwili.

– Zgoda.

Pete obszedł stół i zagarnął żonę w objęcia. Przytulając ją mocno, pocałował Jacks w czoło, w nos, a na końcu w usta. Odwzajemniła pocałunek, a krew zaszumiała jej przyjemnie w żyłach. Odsunęła się i zachichotała:

– To nie jest czas ani miejsce, Pete. Mamy dziś masę roboty.

Jęknął, zawiedziony, i przytrzymał ją w talii.

– Pięć minetek... Może nawet cztery...

Trzepnęła go po ręce, cmokając żartobliwie.

– Bardziej byś się przydał, gdybyś naszykował jej torbę i buty.

– Żeby tylko dzisiaj nie padało. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby mnie odesłali do domu i musiałbym całe popołudnie zostać z tobą pod kołdrą.

– Co w ciebie dziś wstąpiło? – roześmiała się, wyciągając kubek w jego stronę. – Jedna łyżeczka diazepamu czy dwie, panie?

– Jezu, nie mów tak do mnie, bo tylko wszystko pogarszasz!

– Stary zbereźnik. – Rzuciła w niego ściereczką.

Na schodach rozległy się kroki i oboje zwrócili się ku małej postaci z długimi, rozczochranymi włosami stojącej w progu w pogniecionej piżamce z Małą Syrenką na brzuszku. Jacks poczuła, że usta zaczynają jej drżeć, i skupiła się na przyrządzaniu owsianki.

Godzinę później Pete zjechał furgonetką do zatoczki przed szkołą i wyłączył silnik. Martha siedziała w szoferce między rodzicami, majtając nogami w nowych, błyszczących bucikach, uczesana w dwa staranne kucyki. Szafirowy sweterek zwisał na niej luźno i po raz pierwszy miała na sobie krawat.

– Wyglądasz zupełnie jak dorosła panna, kochanie. Jestem z Ciebie dumna! – Jacks pocałowała ją w buzię. – Baw się dobrze i zapamiętaj wszystko, żeby mi potem dokładnie opowiedzieć! Zobaczymy się później!

Wzięła córkę pod pachy i wysadziła na chodnik, przekazując pałeczkę Pete'owi, który czekał już na krawężniku. Patrzyła, jak wchodzi razem przez bramę, po czym obniżyła się na siedzeniu, żeby nie było jej widać, i zaczęła po omacku szukać w torebce chusteczki.

Martha z całych sił ścisnęła ojca za rękę.

– Boję się, tato – zachrypiała.

Pete przykucnął przed nią, aż ich oczy znalazły się na jednej wysokości.

– Co? Chyba żartujesz! Moja dziewczynka, która skacze do basenu na głęboką wodę bez rękawków i kazała sobie odczepić od rowerku boczne kółka? Czego teraz miałabyś się bać? – Pocałował rozkoszny nosek.

– Boję się, że nie będę wiedzieć, gdzie mam iść. – Spuściła oczy na swoje lśniące buciki.

– To wtedy kogoś zapytasz. I nie będziesz sama. Mnóstwo innych dzieci zaczyna dziś szkołę. – Pete przełknął grubą kulę narastającą mu w gardle.

– W brzuchu mi się miesza – szepnęła.

– Mnie też – wyznał Pete.

– Będziesz za mną tęsknić? – Podniosła na niego żalose, bezbronne oczka.

Pete nabrał powietrza, a z oczu pociekły mu łzy. Głos uwiązł mu w gardle.

– Ekhm... Tęsknię za tobą zawsze, kiedy cię przy mnie nie ma, panienko Martho. W każdej sekundzie... K-każdego dnia. – Nagle poczuł krzepiący uścisk na ramieniu i zobaczył Jacks stojącą nad nimi z uśmiechem.

Martha zadarła główkę.

– Opiekuj się tatą, mamó. Będzie za mną tęsknić!

Wspięła się na paluszki i pocałowała ojca w policzek, a potem odwróciła się i pobiegła w podskokach przez podwórko, jakby robiła to już wcześniej milion razy.

Pete wyprostował się i próbował nad sobą zapanować, podczas gdy jego żona, gładząc go łagodnie po plecach, prowadziła go do samochodu.

– Już dobrze, dobrze – mamrotała kojąco. – Lekcje niedługo się skończą.

Trzydzieści jeden

Siąpił drobny deszcz, kiedy Gina wraz z kuzynką Jacks witały przybyłych gości przed zadaszonym wejściem krematorium. W tym samym czasie Jacks wyszła przed dom przy Sunnyside Road i spojrzała z uznaniem na czarny, lśniący karawan, który czekał, żeby zabrać mamę w jej ostatnią podróż. Ogarnęła wzrokiem imponujący stroik ozdabiający trumnę oraz liczne wieńce i bukiety ułożone wokół. Ida byłaby zachwycona tą feerią kolorów. Wielu sąsiadów zaciągnęło w oknach zasłony na znak szacunku i współczucia dla rodziny mieszkającej obok od dziewiętnastu lat.

Z domu wyszedł Pete i stanął na wprost żony.

– Jak się trzymasz?

Jacks wzruszyła ramionami. Zaciągnęła pod szyję zamek kurtki przeciwdeszczowej i poprawiła czarno-białą apaszkę zawiązaną z przodu na kokardę.

– Jestem trochę otumaniona. Mam w głowie taki zamęt, że nawet nie czuję smutku. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak.

– Nawet się jeszcze dobrze nie wypłakałam, Pete. To znaczy, uroniłam na boku kilka łez, ale nie tak porządnie. Jakby to do mnie w ogóle nie docierało.

– Wiem, kochanie.

– Wszystko było inaczej, kiedy umarł tata. Chorował tak długo, że poniekąd mogłam się na to nastawić. Prawie na to czekałam. Ale na śmierć mamy nie byłam przygotowana. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale nawet przez chwilę nie przyszło mi to do głowy. Spodziewałam się raczej, że może się rozchorować albo że będzie gasnąć stopniowo i powoli. Nie

przypuszczałam, że odejdzie tak nagle. – Pokręciła głową i znów spojrzała na trumnę.

– Musimy tylko przetrwać uroczystość i stypę – rzekł Pete. – A potem wrócimy i zamkniemy się w domu na cztery spusty. Wyłączymy telefon i nic nam nie będzie przeszkadzać. Odpoczniesz, prześpisz się trochę, okej?

Jacks kiwnęła głową.

– Okej.

– Tak mi przykro, Jackie. Naprawdę. – Do Jacks zbliżyła się pani Dodds, wieloletnia sąsiadka rodziców z Addicott Road.

– Dziękuję – skinęła Jacks. Potoczyła wzrokiem po niewielkim tłumku zebranych wokół baru hotelu Grand Atlantic w poszukiwaniu Pete’a. Dostrzegła go nachylonego nad Jontym, który wydawał się trochę zagubiony, ale jakoś się trzymał.

– Dożyła pięknego wieku – ciągnęła pani Dodds, pojadając chipsy wystawione na kontuarze pośród innych przekąsek.

– To prawda. – Jacks kiwnęła znowu jak lalka automatyczna. Nie była w stanie wynajdywać coraz to nowych słów podziękowania w odpowiedzi na te same kondolencje i wyrazy współczucia składane półgłosem przez dalekich krewnych, znajomych i sąsiadów, którzy przy okazji prychali jej w twarz okruszkami ciasta albo chuchali wyziewami sherry.

Drzwi na salę otworzyły się i do baru weszła Martha z Gideonem. Jacks zauważyła odwracające się w ich kierunku głowy żałobników, którzy zaraz potem popatrywali na nią, jakby próbując dociec, czy w rodzinie Daviesów nie szykuje się nowy dramat.

Jacks wyciągnęła rękę i przygarnęła córkę. Przez chwilę stały tak, trzymając się w objęciach, po czym Martha odsunęła się delikatnie.

– Zaprosiłam Gideona.

– Widzę. – Jacks zerknęła na chłopaka ponad ramieniem córki. Wyraźnie się postarał. Długie włosy związał z tyłu w kitkę, a do dżinsów włożył białą koszulę i gładki, czarny krawat.

– Przykro mi z powodu pani mamy.

– Dziękuję, Gideon. – Jej głos był oficjalny, a odpowiedź zabrzmiała jak wyuczony tekst.

– Pamiętam, jak dziwnie się czułem, kiedy moja babcia umarła. Jeszcze przez wiele lat później nie mogłem w to uwierzyć. Po tym, jak rodzice się rozstali, to ona mnie wychowała i byłem z nią bardzo związany. Widywaliśmy się niemal codziennie. To było naprawdę straszne. Nadal jest.

Jacks skinęła głową, myśląc o swoim tacie. Wiedziała, o czym on mówi.

Martha nabrała powietrza, chcąc zapanować nad płaczem. Gideon objął ją za ramiona i wyszeptał jej w skroń:

– Dotrwamy tylko do końca, a potem wrócimy do domu i będziesz mogła odpocząć, okej?

Martha wyprostowała się i uśmiechnęła do ukochanego, który zawsze umiał dodać jej otuchy. Jacks patrzyła za nimi, gdy odeszli poszukać miejsca do siedzenia.

Gina zbliżyła się do przyjaciółki.

– Jak sobie radzisz?

– Nie wiem. Chciałabym iść do domu. To znaczy, chciałabym i nie chciałabym jednocześnie.

– To już nie potrwa długo – uśmiechnęła się Gina. – Aha, w moim garażu cały czas są pudła z przeprowadzki Idy. Daj znać, kiedy ci pasuje, to ci je podrzucę. Oczywiście to nic pilnego.

– Dzięki.

Gdy ostatni gość się pożegnał, a Jonty, Martha i Gideon wrócili na

Sunnyside Road, Jacks wsiadła do furgonetki razem z Pete'em.

– U Giny w garażu zostały rzeczy mamy.

– Chcesz po nie teraz pojechać?

Jacks przytaknęła.

– Miejmy to już z głowy.

Nie śpieszyło jej się do domu z niepotrzebnym dźwigiem schodowym i podnośnikiem przy wannie, z którego nikt nie korzystał.

Pete pownosił ciężkie, kwadratowe pudła na górę i ustawił je na podłodze. Jacks wzięła pierwsze z brzegu i położyła na dawnym łóżku mamy. Powiodła palcami po ustawionych na parapecie zdjęciach i wzięła do rąk szlafrok spoczywający jak zwykle na poduszce.

– Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z jej rzeczami? – zapytała.

– Nic, dopóki nie będziesz gotowa. A kiedy się za to weźmiemy, część pewnie pójdzie do wydania, część zatrzymamy, a część wyrzucimy. Nie przejmuj się tym teraz, to może poczekać.

– Co to? – zapytał Jonty od progu, wskazując na karton na łóżku.

– Rzeczy babci, które zostawiliśmy u cioci Giny, kiedy babcia przeniosła się do nas. Trzeba je będzie przejrzeć.

– Trochę się jej bałem – wyszeptał Jonty.

– Kogo, słoneczko? Cioci Giny? – zapytała Jacks.

Jonty potrząsnął głową.

– Nie, babci.

Jacks usiadła na łóżku i gestem przywołała syna.

– Dlaczego, na miłość boską? To była przecież tylko słaba, starsza pani.

– Bo nigdy nic nie mówiła, a potem nagle zaczynała krzyczeć, wołała na mnie Don albo Toto i było mi straszno.

– Nie wiedziała, co się dzieje, kochanie. Sama nigdy nie chciałaby cię

przerazić. Bardzo cię kochała.

– A czasem od niej śmierdziało i to nie było przyjemne.

– Nic na to nie mogła poradzić, Jont. Miała dużo lat, ale w wielu sprawach była jak małe dziecko.

– To dlatego tak się zawsze paćkała przy jedzeniu? – Jonty zamrugał niepewnie.

– Tak. – Jacks spróbowała wyobrazić sobie Idę oczami małego synka. To fakt, że mogła wydawać się trochę przerażająca.

– Czy babcia jest teraz z dziadkiem?

– Tak myślę. – Przytuliła go mocno. – Pewnie tańczą gdzieś tam na molu i śmieją się tak jak dawniej.

– Czyli teraz ona wie, co się dzieje? – Jonty najwyraźniej długo się nad tym głowił.

– Tak – uśmiechnęła się Jacks. – Myślę, że tak. Gdziekolwiek teraz jest, sądzę, że już wszystko rozumie i jest bardzo szczęśliwa.

– To chyba dla niej lepiej.

– Tak, bracie – zgodził się Pete.

– Mogę pójść pooglądać telewizję z Marthą i z Gideonem?

Jacks skinęła głową, więc Jonty zbiegł lekko po schodach w skarpetkach, zręcznie omijając zaczepy.

– Myślisz, że nic mu nie będzie?

– Tak myślę, kochanie. Wszyscy musimy się jakoś przystosować, ale na to nie ma innej rady, prawda? Grunt, że ze sobą o tym rozmawiamy. Wszystko będzie dobrze.

Nie podjęła tematu.

– Zobaczmy, co my tu mamy. – Pete otworzył pudło i wyciągnął stos równo poskładanych poszewek na poduszki.

– Sklep charytatywny – oceniła Jacks.

– Na pewno chcesz posegregować to teraz? – zapytał, odkładając powłoczki na bok. Zapuścił rękę do wnętrza i wyjął nieużywany zestaw przyrządów geometrycznych.

– Może się przydać Jonty’emu – powiedziała Jacks.

– Nie sędzę. – Pete westchnął i wydobył puste pudełko po nike’ach. Wymienili między sobą uśmiechy na myśl o starej, schorowanej Idzie uprawiającej jogging w markowych tenisówkach. Ciekawe, kto jej to dał.

Pete wręczył pudełko Jacks, która zdjęła ostrożnie pokrywkę i znalazła plik kartek przewiązanych liliową wstążeczką. Rozsupłała kokardę i rozpostarła papiery na łóżku, grzebiąc w nich bezładnie. W ręce wpadła jej fotografia, na której widniała ona razem z tatą na tle pawilonu Ogrodu Zimowego. Pamiętała dobrze, kiedy ją zrobili. Miała dziewięć lat. Wchodzili właśnie do środka na przedstawienie dla dzieci, a wtedy mama nagle wyciągnęła aparat i pstryknęła zdjęcie. Jacks parsknęła śmiechem, zasłaniając usta wolną ręką.

– Matko, spójrz tylko, co ja mam na sobie!

Pete wziął fotografię i przyjrzał się jej uważnie.

– Ogrodniczki! Klasa!

– Uwielbiałam je. Chodziłam w nich bez przerwy. Zwróć uwagę na pasiaste skarpety, rozmyślnie dobrane.

– Twój tata wygląda tak młodo – zauważył Pete.

– Miał wtedy pięćdziesiąt cztery lata. Trochę sporo jak na ojca dziewięciolatki, przynajmniej w porównaniu do rodziców moich koleżanek. – Jacks pokiwała głową, gmerając w stercie papierów. – Spójrz na to! – Podniosła mały kartonik z dwoma mlecznymi zębami przytwierdzonymi za pomocą taśmy. – To pierwsze mleczaki, które mi wypadły. Mama musiała odkupić je od Wróżki Zębuszki!

– Na pewno! – roześmiał się Pete.

Nagle jej wzrok przykuł pożółkły skrawek papieru. Odgarnęła bilety autokarowe, zachowane na pamiątkę podróży rodziców do Francji, i lepką od różowego brokatu kartkę z życzeniami, którą mama dostała kiedyś od siostry na urodziny. Wzięła do rąk złożony na pół świstek i otworzyła, natychmiast rozpoznając starannie wykaligrafowane piórem pismo mamy.

– Już zapomniałam, jaki miała piękny charakter pisma. – Pokazała kartkę mężowi, po czym zaczęła czytać.

Pete przypatrywał się jej tężejącej twarzy i zaciskającym się ustom.

– Boże, Pete! – Jacks przyłożyła sobie rękę do piersi i podała mu papier.
– Jezu, nic nie rozumiem.

Pete przeczytał na głos list zaadresowany do swojego teścia.

– „Patrzyłam na Was z Jackie dziś wieczorem, Don, i serce mi się krajało. Nasza córka świata poza Tobą nie widzi, ale to nie przeszkadza Ci jej okłamywać i zwodzić, że jesteś w pracy, kiedy wiem, że idziesz do Joan. Pan Wievelmore twierdzi, że znowu Cię tam widział. Przez to, że tak gorliwie o wszystkim mi donosi, jest mi jeszcze trudniej, chociaż go rozumiem. To w końcu jego żona i on też nie wie, co innego robić. A tak przynajmniej jesteśmy w tym we dwoje. Od Twoich kłamstw i wykrętów robi mi się niedobrze, jestem wściekła i czuję się w swoim własnym domu jak w więzieniu. Kocham Cię. Zawsze Cię kochałam, a Jackie była naszym dopełnieniem. Myślałam, że to wystarczy, żebyśmy byli szczęśliwi. Ale kiedy dowiedziałam się, że romansowałeś z Joan za moimi plecami przez cały ten czas, nawet gdy byłam w ciąży, to było dla mnie za dużo. Złamałeś mi serce, ale muszę spróbować to przetrwać dla dobra naszej dziewczynki. Proszę Cię, przestań się z nią widywać. Napisz mi, co mam zrobić, żebyś z niej zrezygnował. Nie chcę się Tobą dzielić. Nie mogę. Ida”.

Pete podniósł oczy na zmartwiałą z przerażenia twarz żony.

Jacks bardzo powoli pokręciła głową.

– To niemożliwe.

Pete wrócił wzrokiem do listu.

– Wiesz, kto to jest Joan Wievelmore?

– Nie. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska. Myślisz, że to prawda?

Pete pokiwał głową.

– Myślę, że tak. Po co trzymałaby ten list tyle lat, gdyby było inaczej? I brzmi to raczej poważnie. – Znów przebiegł tekst oczami. – Píše „napisz mi”. Myślisz, że twój tata coś jej odpowiedział?

Jacks zgarnęła do rąk plik papierów i zaczęła przeglądać je jeden po drugim, odkładając na bok pocztówki i fotografie, aż w końcu natrafiła na nieopisaną i niezaklejoną kopertę. Wyłuskała dwie kartki i najpierw wygładziła je dłonią na udzie, po czym podniosła do światła i głośno przeczytała. Chciała, żeby Pete też to usłyszał.

– „Ida, długo nad tym myślałem i nie mogę już żyć w zakłamaniu. Zgadzam się, że nie powinienem oszukiwać Jackie. Jest moją córką i zasługuje na to, żeby poznać prawdę. Joan i ja się kochamy. Tak się po prostu stało. Sprawia, że jestem szczęśliwy, i nie mogę z niej zrezygnować. Proszę, pozwól mi odejść, a wszystkie kłamstwa się skończą. Czasami mam wrażenie, jakbyś mnie chciała ukarać, zatrzymując przy sobie na siłę, każąc mi żyć z dala od niej i wytykając mi w kółko wszystkie moje słabości. To dla mnie okrutna nauczka i koszmar dla nas obojga. Ty na pewno też masz tego dosyć. Jesteś wspaniałą kobietą i chciałbym, żebyś ułożyła sobie życie po swojemu i mnie dała zrobić to samo. Zostanę ze względu na Jackie. Ale to nie znaczy, że nie chciałbym być gdzie indziej, bo tak jest. Ja także na swój sposób Cię kocham, ale dobrze wiemy, że to nie zawsze wystarcza. Nikt nie mówił, że będzie łatwo. Don”.

Jacks opadła na łóżko, potrząsając z niedowierzaniem głową.

– On chciał nas zostawić. Nie mogę w to uwierzyć. Mój tata?!

Pete położył się przy niej.

– To było dawno temu. Nie miałaś z tym nic wspólnego. On cię bardzo kochał, dobrze o tym wiesz.

– To jest na pewno ten list, o który tak się martwiła. Pamiętasz, raz powiedziała, żebym broń Boże go nie czytała. Krzyczała na mnie: „Nie wolno, zabraniam ci!”. A wtedy, gdy wymknęła się z domu i znaleźliśmy ją u Ange i Ivora, powiedziała, że przyszła po coś, co tam zostawiliśmy. Tego musiała szukać. – Jacks uderzała trzymanymi w rękę kartkami o rozpostartą dłoń. – Chciała je ukryć przede mną. Och, mammo!

Rozpląkała się, nareszcie z głębi serca, po raz pierwszy od śmierci Idy.

– Krzyczałam na nią – łkała. – Jak mogłam na nią krzyczeć? Czasem już nie wytrzymałam i traciłam cierpliwość, kiedy trzeba ją było umyć. Nie chciałam jej zrobić przykrości. Byłam tylko zmęczona. Tak potwornie zmęczona. I... zabrałam ją po ciemku nad urwisko rzeki. Jak ona musiała się bać. Jakie to było podłe z mojej strony. W ogóle nie myślałam – zawodziła rozpaczliwie, bliska hysterii.

– Nie płacz, kochanie. Nie płacz. Już dobrze, Jacks, spokojnie. – Pete wziął ją w ramiona. – Zrobiłaś dla niej wszystko. Była szczęśliwa i wiedziała, że jest kochana.

– Pete... Pete... – chlipała, krztusząc się przez łzy. – Tak mi jej brakuje. Dlaczego nie może być tutaj teraz ze mną? Przez całe życie myślałam, że mój tata był doskonały! Naprawdę! Że był najwspanialszym człowiekiem na świecie!

Pete’owi przypomniał się wieczór kilka miesięcy wcześniej, gdy siedział przy stole w kuchni i wpatrywał się we wskazówki zegara, które posuwały się tak wolno, że niemal miał wrażenie, jakby czas płynął do tyłu.

– Nikt nie jest doskonały – wyszeptał.

– Ale ja myślałam, że on był. A najgorsze jest to, że nienawidziłam mamy za to, jak go traktowała. Miałam do niej żal, pogardzałam nią, a ona cały czas nosiła to w sobie. Pomyśl tylko, co musiała czuć. Tak ją potwornie zranił, a ja nic nie wiedziałam! – Jacks zaniosła się płaczem, wtulając twarz w haftowaną kapę. – Mamo! Tak cię przepraszam. Moja kochana mama! A teraz jest już za późno. Boże, tak mi przykro!

Pete przytulił ją mocniej.

– Nie mogę uwierzyć, Pete. Jak on mógł nam to zrobić? Zdradzał ją, okłamywał mnie. I przez całe życie się z tym ukrywali.

– Jacks, każdy coś ukrywa. Ale nie możesz pozwolić, żeby to cokolwiek zmieniło. Uwielbiałaś swojego tatę, a on uwielbiał ciebie. To, co zaszło między nim a twoją mamą, to całkiem osobna historia. Całe szczęście byli na tyle dorośli, że potrafili cię przed tym uchronić.

Jacks oswobodziła się z jego objęć i usiadła, oddychając nierówno.

– Kiedy tata umarł, jego obraz wyrył mi się przed oczami. Widziałam jego twarz we wszystkim, na co patrzyłam. Ale teraz go nie ma. Zniknął.

Pete wziął ją za rękę.

– Może to dobrze. Może teraz lepiej zobaczysz swoją własną rodzinę.

– Masz na myśli Marthę? – Jacks znowu zalała się łzami i osunęła się na pierś męża.

– Tak – wyszeptał. – Pamiętasz, Jacks, jak uzgodniliśmy, kiedy jej powiemy? Ta chwila już się zbliża, wiesz o tym, prawda?

Jacks kiwnęła głową. Jak mogłaby zapomnieć? Siedzieli razem w milczeniu, przetrawiając odkrycia z przeszłości i to, co z nich potem wynikło. Jacks odezwała się pierwsza:

– Muszę sobie wszystko od nowa poukładać, Pete. Muszę się zastanowić, jak to ma dalej być. Mój tata miał rację. Trzeba patrzeć naprzód, przed siebie,

i widzieć, dokąd się idzie. Oglądanie się wstecz nie przyniesie mi nic dobrego. – Wróciło do niej wspomnienie ostatniego spaceru z Idą, kiedy wystawiła rękę przed siebie. – Mama też starała się mi powiedzieć, żebym szła do przodu. Wiesz, Pete, nie wydaje mi się, żeby ona była aż tak nieprzytomna, jak sądziliśmy.

Pete słuchał jednym uchem, bo tymczasem sięgnął po kopertę formatu A4 i zaglądał do środka. Wydobył plik dokumentów i podniósł sobie do oczu.

– Jezus Maria!

– Co? – przeraziła się Jacks. – Nie zniosę kolejnego dramatu.

– To nie dramat, kochanie. To akt własności Idy poświadczony przez notariusza i jej list do ciebie i do mnie.

Jacks wzięła od niego dokument i zachłysnęła się, wymawiając sumę.

– Trzydzieści pięć tysięcy funtów w obligacjach!

Przeczytała tekst.

– Odziedziczone po ojcu... Przypomina mi się, że kiedy byłam mała, cały czas mówiła, jakiego to majątku dorobił się dziadek. Tatę aż nosiło, jak o tym wspominała, bo był przekonany, że zmyśla!

Pete utkwiał w niej oczy i dopiero po długiej chwili wydobył z siebie głos:

– Nie wiem, co powiedzieć.

– To jest ten jej skarb, Pete! Myślałam, że coś sobie uroiła, nie sądziłam...

Zamilkli na kilka minut. W końcu Jacks wyprostowała się i zakaszła.

– Mam pomysł, Pete, ale tylko jeżeli się zgodzisz...

– Dawaj. – Pete oparł się o wezglowie łóżka Idy i w skupieniu wysłuchał słów żony.

Trzydzieści dwa

Trzydzieści lat wcześniej

Pete i Jacks stali nad brzegiem sadzawki, obserwując, jak Martha odkłada torebkę z okruciami na ziemię, by sięgnąć do kieszeni po paczkę paluszków.

– Martha, skarbie, chlebek jest dla ptaszków, a paluszki dla ciebie!

– Ale ja nie lubię paluszków, więc się wymieniamy! – odparła prostolinijnie.

Jacks spojrzęła na męża i zawisła mu na ramieniu, zdjęta atakiem śmiechu. Pete poklepał żonę po ręce.

– Wykapana mama.

– To prawda. – Jacks pokręciła głową, myśląc o sobie samej, kiedy miała pięć lat.

Chmara ptaków zleciała się do nóg Marthy. Dziewczynka pisnęła i odskoczyła na bok.

– Tato! Zabierz je stąd! – Rzuciła się do ucieczki i przypadła buzią do nóg matki.

– Martha, kaczki nic ci nie zrobią. Zobacz, jak się cieszą, że im przyniosłaś jedzenie. One też muszą zjeść obiadek.

– To są gęsi, nie kaczki.

Pete obejrzał się na rozwrzeszczane stadko i pokiwał głową.

– No jasne, oczywiście. Ale ze mnie głuptas!

Martha popatrzyła na ojca.

– Łatwo je odróżnić, bo kaczki mają ładne pisklątka, a gęsi brzydkie.

– A tak, bardzo słusznie. Przypomniałaś mi, że jest taka bardzo znana

historia o brzydkim kaczątku, które wcale nie jest kaczątkiem, bo kiedy dorasta, zmienia się w pięknego łabędzia. Znasz to?

– Nie. – Martha zmarszczyła nosek. – A ja byłam brzydkim dzidziusiem czy ładnym? – zapytała.

– O, byłaś najpiękniejszym dzidziusiem na świecie. Najładniejsze dziecko, jakie kiedykolwiek urodziło się w naszym szpitalu! Chcą nawet powiesić taką niebieską tabliczkę na ścianie z napisem: „Tutaj urodziła się Martha Davies”! – oświadczył Pete solennie.

– Naprawdę? – upewniła się Martha.

– Oczywiście – przytaknął Pete.

– Chyba coś kręcisz, tato! – Martha pogroziła mu paluszką, naśladując to, jak sami ją czasem karcili.

– Ja? W życiu! Chcesz, żebym opowiedział ci historię o brzydkim kaczątku? – zapytał, nachylając się ku niej.

Martha rozważyła jego propozycję.

– Nie – odpowiedziała i pobiegła zrobić jeszcze jedno kółko wokół sadzawki.

Jacks ryknęła śmiechem.

– Dobrze ci tak, tatuśku. To cię oduczy kręcenia!

Pete włożył sobie jej rękę pod ramię.

– Chyba tracę urok.

– Nie sądzę, czarusiu – rzekła Jacks z westchnieniem.

– Pamiętasz, jak przychodziliśmy tu na randki? Kładliśmy się na trawie i patrzyliśmy w niebo.

Jacks uśmiechnęła się.

– Pamiętam. Opowiadałeś mi niestworzone rzeczy o tym, jak to się o ciebie bije cała pierwsza liga! Zbałamuciłbyś samego diabła.

– Nie, próbowałem tylko zbałamucić ciebie. – Zatrzymał się w miejscu.

– No i ci się udało. Patrz, jak się dałam złapać. – Obejrzała się na Marthę biegnącą po ścieżce.

– No. A walczyłem w nieswojej wadze. – Pete pochylił się i pocałował żonę.

Jacks przywarła do niego, poddając się pieszczotom, a po ciele przebiegł jej dreszcz podniecenia. Cały czas tak samo na nią działał.

– Kocham cię, Jacks.

Skinęła głową.

– Ja też cię kocham. I to nam chyba wystarczy, co? Nie rozpaczasz już, że piłkarska kariera przeszła ci koło nosa?

– Na chwilę obecną wystarczy – odpowiedział z uśmiechem. – Bez dwóch zdań.

– Ale ona ma rację, Pete... – zawiesiła głos.

– Kto?

– Martha. Nie powinniśmy jej okłamywać. Nigdy. Musimy być z nią szczerzy we wszystkim. – Spuściła oczy na ziemię, unikając jego spojrzenia.

Pete wypuścił głośno powietrze.

– Wiem. Ale jak o tym myślę... wszystko się we mnie przewraca – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Jacks dosłyszała drzenie w głosie męża i przylgnęła do jego piersi.

– Musimy jej powiedzieć, kiedy będzie starsza. Na tyle duża, żeby móc zrozumieć.

– To znaczy kiedy, Jacks? – zapytał w popłochu.

– Nie wiem. Może kiedy sama zostanie mamą? – powiedziała Jacks.

Minęło kilka chwil, w trakcie których oboje przyglądali się, jak ich mała dziewczynka podskakuje nad wodą i pogaduje do kaczek, próbując trafić

okruchami chleba i paluszków w ich łakome dzioby. Wreszcie Pete odpowiedział:

– Dobra. Powiemy jej, jak zostanie mamą. Tak chyba będzie uczciwie, prawda?

Jacks objęła go mocno.

– Tak myślę, kochanie.

Trzydzieści trzy

Lato nadciągnęło i dobiegło końca, a Jacks wciąż dziwnie się czuła, spacerując po Marine Parade bez fotela na kółkach. W tym roku Weston-super-Mare przeszło samo siebie pod względem turystycznych atrakcji, lecz teraz, z nadejściem września, w mieście panował nastrój jak w sali balowej na dzień po hucznej imprezie. Wakacyjne emocje opadły i trzeba było dokonać ogólnego przeglądu, zrobić porządki i przestawić się na zwykły tryb życia. Wzrok Jacks powędrował w stronę mola. Uśmiechnęła się do siebie, myśląc, że jej rodzinne miasto wygląda teraz piękniej niż kiedykolwiek.

Wciągnęła morskie powietrze, nie mogąc się nadziwić, ile zmian nastąpiło w ciągu tych kilku miesięcy po odejściu Idy. Dzień jej pogrzebu okazał się dniem przełomowych odkryć i nowych początków. Przypomniała sobie, jak po odnalezieniu maminego „skarbu” trudno jej było udawać, że nic się nie wydarzyło. W czasie kiedy Pete układał Jonty’ego do snu, napełniła czajnik i przygotowała cztery kubki herbaty. Zaśmiała się pod nosem na wspomnienie, jak otworzyła sobie kopniakiem drzwi do salonu, na co Martha błyskawicznie cofnęła nogi z kolan Gideona, a Gideon gorączkowo przyklepywał włosy, jak para wylęknionych dzieciaków, którą przecież byli.

Jacks wręczyła każdemu po kubku i usiadła na wolnym fotelu.

– Tata zaraz przyjdzie. Czas na rodzinną naradę.

Gideon podniósł się i przestąpił z nogi na nogę.

– To ja się pożegnam. Mam nadzieję, że lepiej się pani czuje, pani Davies. Chciałem powiedzieć, że to była bardzo udana ceremonia. W sensie, nie to, żeby na pogrzebie mogło być miło, ale było najlepiej, jak mogło.

– Siadaj, Gideon. Należysz już do rodziny. I na litość boską, mów do

mnie „Jacks”.

Gideon usiadł. Martha posłała mu pytające spojrzenie. Była tak samo zdezorientowana jak on.

Wszedł Pete i wziął kubek z tacy.

– No więc... – Pociągnął łyk gorącego napoju. – Ależ to był dzień. – Uśmiechnął się do żony. – Rozmawialiśmy z Jacks i chcemy wam coś powiedzieć. Prawda, skarbie?

Jacks kiwnęła głową. *Tak. Życie jest zbyt krótkie, tyle zrozumiałam. Nie byłam może doskonałą córką, ale mogę być dobrą matką i jeszcze lepszą babcią.*

– Rzecz w tym, Gideon, że mieliśmy nieco inne plany wobec naszej córki.

– Tak, wiem, ale...

– Pozwól mi skończyć – powstrzymał go Pete. – Ale trzeba przyznać, że z ciebie jest przyzwoity chłopak.

– Bardzo przyzwoity. – Martha chwyciła wolną dłoń Gideona i ścisnęła mocno.

– Powierzamy ci nasz najcenniejszy skarb. Kocham tę dziewczynę od chwili, kiedy wzięła swój pierwszy oddech, i będę ją kochał do czasu, aż wydam swój ostatni. – Pete był wyraźnie wzruszony.

Jacks przełknęła łzy, które dławiły ją w gardle. *Jesteś jej tatą, Pete, i zawsze tak pozostanie.*

– Nie zawiodę państwa zaufania – odparł Gideon żarliwie, prostując się jak struna.

Pete zerknął na żonę, która skinęła głową prawie niedostrzegalnie.

– Ptaki ćwierkają, że masz zamiar otworzyć własny warsztat, sprzedawać dodatkowe usługi i tego typu rzeczy.

– Tak! – Twarz Gideona rozjaśniła się o tyleż z zaskoczenia, co

z entuzjazmu. – To się na pewno uda. Zrobiłem biznesplan. Wszystko się ładnie spina.

– Nawet znaleźliśmy miejsce. – Martha popatrzyła kolejno na każde z rodziców. – A Gideon był już na rozmowie w banku. Musimy jeszcze poczekać, ale któregoś dnia to zrobimy, prawda? – Obejrzała się na ukochanego.

– Tak – potwierdził skinieniem głowy.

– Dlaczego musicie czekać? – zapytał Pete.

Gideon wzruszył ramionami.

– Potrzebny jest własny kapitał. Wielka szkoda, ale muszę najpierw jeszcze trochę zarobić, zanim będzie można o czymkolwiek pomyśleć.

– Możemy ci pomóc, Gideon. – Jacks zwróciła się bezpośrednio do niego.

– Jak? – Gideon obejrzał się, skonsternowany, na Marthę, po czym znów popatrzył na Jacks.

– Damy ci z Pete’em pieniądze na rozkręcenie biznesu, żebyście mogli z Marthą stanąć na własnych nogach.

Gideon wpatrywał się w nią, oniemiały.

– Pokażesz swój biznesplan Pete’owi, sprawdzicie, czy nie trzeba czegoś w nim poprawić, i jeżeli jest tak solidny, jak twierdzisz, Pete pójdzie z tobą do banku. Mamy swoje udziały w tym domu i trochę pieniędzy. A jeżeli wszystko dobrze pójdzie, kto wie...? – dodała z uśmiechem.

– Ale... Jak to? Mamo! Ja nie... – Martha nie mogła mówić, bo wzruszenie odebrało jej głos.

Gideon wstał, podszedł do Pete’a i uściśnął mu dłoń.

– Nie wiem, jak mam dziękować. Naprawdę. Nikt mi nigdy wcześniej nie pomógł. Nigdy. A państwo są gotowi tyle dla mnie zrobić.

– Nie dziękuj, tylko obiecaj, że będziesz się opiekował naszą małą dziewczynką. – Pete spojrzał mu prosto w oczy.

– Obiecuję. Kocham ją. – Gideon promieniał.

Jacks wstała i przeniosła się na miejsce na kanapie, gdzie wcześniej siedział Gideon. Martha zarzuciła jej rękę na szyję.

– Dziękuję, mamó. Nie wiem, jak to możliwe, ale dziękuję! Kocham cię.

– Ja też cię kocham, słonko. Zawsze cię kochałam i zawsze będę cię kochać, bez względu na wszystko. – Jacks pocałowała córkę. – O Boże, ale dzień! Jestem wykończona.

– Ja też! – Przeciągnęła się Martha.

– Angela podrzuciła ci parę rzeczy dla dziecka, widziałaś?

– Nie! – Martha poderwała się, podekscytowana, wreszcie mogąc swobodnie rozmawiać o maleństwie, które rośnie w niej z każdym dniem.

Jacks podskoczyła i wyszła na korytarz po koszyk i ubranka podarowane przez sympatyczną sąsiadkę. Martha rozłożyła jedną małą koszulkę i przyłożyła sobie do piersi.

– Jaka tycia!

Nikt nie usłyszał, kiedy do pokoju wszedł Jonty. Nie mógł spać przez hałasy na dole i zszedł na dół zobaczyć, co to za święto. Teraz przyjrzał się siostrze krytycznie.

– Chyba się nie zmieścisz.

– To nie dla mnie, gamoniu! – zawołała Martha.

– Nie nazywaj brata gamoniem – zareagowali Jacks i Pete jednocześnie.

Jacks uśmiechnęła się, odgrywając w myślach tę scenę, i przeszła przez ulicę do supermarketu. Błąkała się po alejkach, mamrocząc do samej siebie, niezdecydowana, co zrobić na kolację.

– Kurczak? Nie, kurczak był wczoraj. Kotlety wieprzowe? Nie, Jonty

będzie marudził. Może ryba w cieście? Cholera, nie wiem, czy Gideon lubi...

– Jacks? – usłyszała za sobą.

– Lynne! Miło cię widzieć. Co słyhać? – uradowała się.

– Bardzo dobrze! Ashley przyjechała na tydzień lub dwa. Lubię, kiedy jest w domu, zawsze ma tyle rzeczy do opowiedzenia. No i może spędzić trochę czasu z Molly, córeczką Caitlin-Marie.

– Jakie śliczne imię. Jak się chowa? Pewnie szybko rośnie?

– Tak, jest przeurocza. Ma już prawie siedem miesięcy, dasz wiarę? Ale ten czas leci. A co u Marthy?

– Rodzi lada dzień. Torba leży już spakowana pod drzwiami, a jej ojciec nie rozstaje się z kluczykami dzień i noc, na wszelki wypadek! Mama Gideona pracuje w Szpitalu Głównym, więc wiemy już dokładnie, jak to będzie przebiegać!

Doszły w końcu z Allison do porozumienia, zgadzając się, że obu im zależy na tym, co najlepsze dla dzieci, zwłaszcza że w danej sytuacji i tak nic nie mogą poradzić. Jacks ostatecznie uznała, że podoba jej się prostolinijny styl bycia Allison, i były na najlepszej drodze do zostania bliskimi przyjaciółkami.

– Wydajesz się bardzo spokojna, zważywszy na okoliczności – zauważyła Lynne.

– A wiesz, że tak. Kiedy musiałam opiekować się mamą, nie miałam głowy do niczego innego. Funkcjonowałam jak na autopilocie. Ale przez tych kilka ostatnich miesięcy mogłam porządnie się zastanowić i wszystko sobie na nowo poukładać. Zwolniłam trochę tempo i dobrze mi to zrobiło. Myślę, że teraz wyraźniej dostrzegam pewne rzeczy. – *Biedna mama*. Jacks przypomniała sobie zakupy, kiedy poruszała się między półkami z wózkiem Idy i koszykiem na jej kolanach. – Chociaż bardzo mi jej brakuje. Naprawdę.

Lynne pogłaskała ją przyjaźnie po ramieniu.

– Oczywiście. Bardzo mi było przykro, kiedy dowiedziałam się o jej śmierci. Ale podziwiam cię za to, jak się nią zajmowałaś tak długo. Zawsze była niezwykle zadbana i wyglądała przy tobie na szczęśliwą.

– Dziękuję, Lynne. – Jacks poczuła się onieśmielona tak znaczącą pochwałą. – No dobrze, muszę lecieć.

– Wszystkiego dobrego! – zawołała Lynne, kiedy rozchodziły się w przeciwne strony. – A, byłabym zapomniała, jak egzaminy Marthy?

Jacks przystanęła i odwróciła się.

– Egzaminy?

– Mhm – kiwnęła Lynne.

– A, tak, dostała trzy A!

– A niech mnie! – roześmiała się Lynne.

Jacks uśmiechnęła się i sięgnęła po puszkę gruszek, które zamierzała podać wieczorem na deser. *Święte słowa. A niech mnie!*

Dwa dni później Jacks zrobiła kolację dla kolegów Pete'a, którzy remontowali strych, czy raczej, jak się teraz mówiło, „piętro Jonty'ego”. Minęła pokój Idy, odmieniony nie do poznania, odkąd zamieszkali w nim Martha z Gideonem. Kiedy opróżnili go ze wszystkich gratów, okazało się, że jest w nim całkiem sporo miejsca, a to niesłychane, jakie cuda może zdziałać trochę świeżej farby i ładny, nowy dywan. W kącie czekało już łóżeczko, a pod oknem stał fotel do karmienia z ulubionym kocem Idy na oparciu.

– Mamo?

– Tak, kochanie? – Jacks wetknęła głowę przez drzwi.

– Mogłabyś zadzwonić do Gideona? – poprosiła Martha.

– Pewnie. A gdzie jest?

– W warsztacie. Dzisiaj wprowadzają się nowi lokatorzy.

Jacks i Pete z ulgą przyjęli wiadomość, że Gideon postanowił wynająć mieszkanie na piętrze nad warsztatem. Uzyskane w ten sposób dochody były w tej chwili ważniejsze niż życie na własną rękę. Uznał poza tym, że po narodzinach dziecka Martha chciałaby zapewne być blisko rodziców.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – Jacks przyjrzała się córce, która siedziała na kołdrze, z rozdymającym jej piżamę brzuchem, przytrzymując się z tyłu za plecy.

– Chyba coś się dzieje!

– Naprawdę?

Martha skinęła głową, spokojna i uśmiechnięta.

– Matko Boska! Tak! Już do niego dzwonię. Zostań tu! – Jacks wskazała na łóżko.

Martha zaśmiała się.

– A gdzie, myślisz, miałabym się wybrać w tym stanie?

Jacks popędziła do kuchni, łapiąc za telefon.

– Gdzieon? Tfu, gdzie jesteś, Gideon? Przyjeżdżaj do domu, Martha mówi, że chyba się zaczęło! – krzyknęła.

– A, dobrze, Jacks. Jestem w warsztacie. Zaraz skończę i wracam.

– Nie! Nic tam nie kończ, tylko natychmiast przyjeżdżaj! – wrzasnęła. – Nie rozumiem, jak oboje możecie być tacy spokojni!

– Okej – roześmiał się. – Już jadę. Mam wstąpić po coś do sklepu?

– Do sklepu? – jęknęła Jacks, bliska omdlenia. – Nie! Nie zatrzymuj się nigdzie po drodze! Wracaj prosto do domu!

Gideon śmiał się w głos.

– Żartuję. Będę za chwilę.

– Tylko jedź ostrożnie! – upomniała jeszcze, zanim przerwała połączenie i zaczęła wystukiwać numer Pete’a.

– Mamo! – krzyknęła Martha.

– Poczekaj, Pete! – zawołała Jacks, odkładając słuchawkę, i wybiegła z kuchni na korytarz. – Co, kochanie? Wszystko w porządku? Dzwonię tylko do taty i już do ciebie wracam!

– Tak, wszystko okej. Tylko czy mam jakąś czystą bluzkę?

Jacks oparła się o poręcz schodów i wybuchnęła śmiechem.

– Tak, w bieliźniarce, na Boga!

W poczekalni Jacks wierciła się na niewygodnym, plastikowym krześle, podczas gdy Pete i Jonty, nachyleni nad telefonem Pete’a, oglądali razem film animowany.

– Mam nadzieję, że to będzie chłopiec! – Jonty podniósł głowę.

– Cóż... – Jacks spojrzała na zegarek. – Jeszcze chwila i się przekonamy.

– Posłała uśmiech mężowi.

– Jestem za młody na to, żeby zostać dziadkiem – zrzędził Pete.

– Za późno – odparła Jacks. – Masz ochotę wyjść na dwór, Jont? – Zauważyła, że chłopca zaczynało nosić.

– Okej. – Wyszedł za nią z budynku w chłód wieczoru.

Usiedli na niskim murku przed wejściem i popatrzyli w niebo.

– Wiesz, Jonty, że księżyc znajduje się prawie czterysta tysięcy kilometrów od nas?

Jonty popatrzył na nią.

– Nie wiedziałem.

– A co jeszcze ciekawsze, mimo że ma blisko trzysta pięćdziesiąt tysięcy kilometrów średnicy, może ci się cały zmieścić za paznokciem. Popatrz! – Wystawiła kciuk do góry i zmrużyła oko, a synek zrobił to samo.

– Rzeczywiście. To niesamowite!

Jacks uśmiechnęła się.

– Ma-mo?

– Tak, kochanie?

– Mamy robić prezentację w szkole i pani Palmer kazała nam przynieść jakieś zwierzątko. Powiedziałem, że my nie mamy, a ona powiedziała, że mogę przynieść zwierzątko kogoś innego, więc muszę coś pożyczyć.

– Żartujesz! To będzie trudne. Na kiedy potrzebujesz mieć zwierzątko, Jonty? – *Proszę, nie na jutro. Proszę, tylko nie jutro...*

– Na jutro – odpowiedział.

– Skąd ja to wiedziałam? – Przygarnęła swojego chłopca do piersi. – Wracajmy. Nie chcielibyśmy czegoś przegapić.

Allison wyszła zamaszystym krokiem z za wahadłowych drzwi i padła na krzeselko obok Jacks.

– Niczego się nie mogę dowiedzieć – rzekła z rozdrażnieniem. – Znam kilka pielęgniarek na tym oddziale, ale one też, cholera, nie chcą mi nic zdradzić!

– To jest w tym wszystkim najgorsze, prawda? Czekanie. – Jacks uśmiechnęła się i sięgnęła do torby po słodycze, które zabrała dla uzupełnienia energii. – Kto chce cukierka? – zapytała, trzymając otwartą puszkę w wyciągniętej ręce.

– Ja! – zawołała Gina, wpadając do poczekalni z wielkim naręczem kwiatów. – Co się urodziło?

– Jeszcze nic, Gi. Ciągłe czekamy. – Jacks uśmiechnęła się do przyjaciółki.

– A niech to. Myślałam, że uda mi się wpaść tylko na chwilę, popieścić bobasa i zdążyć do domu na *Coronation Street*! – Cmoknęła z niezadowoleniem Gina.

– Jonty lubi się pieścić. Obleci? – przekomarzał się Pete.

– Nieprawda! Wcale nie lubię. – Jonty skrzywił się i trzepnął ojca w ramię.

– A na mnie pieszczoty czekają wieczorem w domu – powiedziała szeptem Allison.

– Ooo! Allison, cicha woda z ciebie! Kim jest ten szczęśliwiec? – chciała wiedzieć Jacks.

– Cóż... – Allison ujęła poły rozpinanego swetra i otuliła się ciasno. – To dość świeża historia, ale przyznam, że zapowiada się obiecująco. – Uśmiechnęła się.

– Gdzie go poznałaś? – dopytywała Gina, łasa na ploteczki.

– Na molu. On tam pracuje. Jest uroczy, nazywa się Richard. Richard Frost.

– Dobrze się czujesz, Gina? – zaniepokoił się Pete, bo Gina zgięła się w pół, krztusząc się landrynką.

Jacks zerwała się z miejsca i trzęsąc się z tłumionego śmiechu, klepała przyjaciółkę po plecach.

– To pewnie z podekscytowania, dziecko i w ogóle...

Przyjaciółki wymieniły porozumiewawcze spojrzenia i opanowały się.

Godzinę później, gdy emocje w poczekalni nieznacznie opadły, wszedł Gideon, popychając przed sobą wózek z Marthą.

– Pomyłka! Fałszywy alarm! – zawołała Martha, wymachując rękami.

– O nie! – jęknął Jonty.

Pete stęknął z rozczarowania, a Gina ze stropioną miną popatrzyła na bukiet, który kosztował ją całe piętnaście funtów.

– Tak czy siak, one są dla ciebie. – Podała Marcie kwiaty. – Postaraj się, żeby dotrwały do narodzin, bo więcej nie przyniosę!

Martha zanurzyła twarz w białych płatkach i z lubością wciągnęła zapach.

– Dziękuję, ciociu. Teraz też mogę się nimi cieszyć. Piękne.

Gideon odwiózł Marthę i Jonty'ego do domu, a Jacks i Pete przecięli parking i wsiedli do furgonetki.

– Myślałem, że wrócimy już w szóstkę – westchnął Pete. – Cała nerwówka na nic. Czuję się jakiś oklapły.

Jacks roześmiała się.

– Wiesz co, dobrze nam wszystkim zrobił taki test na sucho. Osobiście dosyć mam nerwówki jak na jeden dzień. Z przyjemnością trochę sobie oklapnę. Podjedziemy przy okazji po frytki na kolację?

– O, teraz mówisz do rzeczy. Zaraz padnę z głodu! – Pocałował żonę.

Pete skręcił w Sunnyside Road i znalazł wolne miejsce na ulicy, gdzie zajechał tyłem, na przemian wrzucając wsteczny i podjeżdżając do przodu, aż udało mu się zaparkować, mimo że trochę krzywo. Jacks czekała na niego na chodniku, obciążona torbami gorących frytek z solą i winegretem. Pete wyskoczył z szoferki i ruszyli chodnikiem ramię w ramię.

– Fałszywy alarm, psiakrew. Jak to w ogóle możliwe? Kto mi odda te kilka godzin życia, które właśnie zmarnotrawiłem? – zachichotał Pete, obejmując żonę za szyję. – Ona zawsze wszystko musi robić na ostatnią chwilę i zaręczam ci, że z porodem będzie tak samo. – Zaśmiali się oboje.

Pete'owi zaćwierkał telefon w kieszeni. Zerknął na ekran i zabrał rękę z pleców Jacks.

– A niech to, coś się wykrzaczyło na budowie.

– O tej porze? Nie możesz im powiedzieć, że jesteś zajęty?

– Nie, kochanie. Muszę jechać i to poprawić. To skomplikowany projekt i jest jakiś problem z płytami. Postaram się szybko wrócić. Zabieraj te frytki do domu, bo wystygną. – Cmoknął ją w policzek i wrócił do samochodu.

Kilka minut później Pete zatrzymał się przy promenadzie i czekał z bijącym sercem. Z tyłu omiotły go światła reflektorów. Tuż za nim przystanął samochód, od którego warkotu poczuł wibracje w żebrach. Wysiadł z furgonetki nieco zażenowany swoim roboczym ubraniem noszącym ślady błota i cementu. Mógł się chociaż rano ogolić. Był zły sam na siebie za te głupie kompleksy i narastające w nim zdenerwowanie.

Sven wysunął się zgrabnie z czerwonego ferrari i stanął na chodniku.

– Witaj, Pete. Jak się masz? – Zbliżył się pewnym krokiem, jakby widzieli się ostatnio kilka miesięcy temu, a nie dwadzieścia lat wcześniej. Skinął głową i wyciągnął rękę, ale Pete zignorował jego powitanie. Zamiast tego przyjął postawę obronną i obrzucił Svena twardym, zaczepnym spojrzeniem.

– Czego chcesz? – zapytał.

– Byłem akurat w Londynie w interesach i pomyślałem, że wpadnę. Tym sprzętem zajmuje mi to najwyżej dwie godziny. – Wskazał na sportowy samochód. – Dostałem twój numer od Giny.

– Pytam, czego chcesz? – Pete starał się zapanować nad głosem.

– Porozmawiać – odpowiedział Sven, stając w lekkim rozkroku i wywracając dłonie do góry, jakby w dowód swoich pokojowych zamiarów.

– Masz dwie minuty – odrzekł Pete łaskawie.

– Czyżby? – zapytał Sven z lekkim rozbawieniem, nienawykły do przystosowywania się do woli innych. Przeniósł wzrok nad ramieniem Pete'a w stronę ciemnej toni za nadbrzeżnym wałem. – Obawiam się, że to może potrwać jednak trochę dłużej.

Jego ton wyprowadził Pete'a z równowagi. Rzucił się naprzód, złapał Svena za klapy marynarki i przygwoździł go do sportowego auta.

– Powiedziałem: dwie minuty. Teraz minuta pięćdziesiąt! – wycedził niemal szeptem.

Sven zaśmiał się bezbarwnie.

– Widzę, że nadal stosujesz prawo pięści jako wyjście z każdej sytuacji. Pamiętam, że byłeś w tym wyjątkowo sprawny.

Najwyższym wysiłkiem woli Pete’owi udało się zignorować zaczepkę. Kiedy się odezwał, jego głos był spokojny, ale mówił przez zaciśnięte zęby:

– Nie lubię cię. Nie lubię niczego, co sobą reprezentujesz, i nie będę tego ukrywał. – Nie zauważył pana Vickersa ze sklepu z narzędziami nadciągającego chodnikiem wraz ze swoim zapuszczonym psem.

– Wszystko w porządku, Pete? – zapytał pan Vickers, przechodząc obok, jakby nie zauważył niczego niezwykłego w tym, że Pete obezwładnia kogoś na masce czerwonego ferrari.

– W porządku – odparł Pete, nie spuszczać oczu ze Svena.

Pan Vickers gwizdnął i przywołał psa, po czym obejrzał się i krzyknął przez ramię:

– A tak przy okazji, mógłbyś powiedzieć Ivorowi, że mam jego farbę?

– Powiem. – Kiwnął głową Pete.

– Zawsze uważałeś się za nie wiadomo kogo – rzucił Sven jadownicie. – Ty i twoi koledzy od piłki. Łatwo było się ze mnie nabijać, co? Nie powiem, to było nawet zabawne – banda napompowanych prostaków z zabitej dechami dziury, ale z głowami nadętymi jak balon!

– Nie mów mi, że chcesz rozmawiać o tym, jak robiłem sobie w szkole jaja z twoich kretyńskich sweterków. – Pete odsunął się i opuścił ręce.

Sven stanął prosto, wygładził białą koszulę i obciągnął uszytą na miarę marynarkę. Odchrząknął i przecesał jasne włosy palcami, ale nic nie powiedział.

– Jesteś naprawdę żaloszny! Nawet nie widzisz tego, że wygrałeś? – roześmiał się Pete. – Masz wypasioną furę, luksusowy jacht, pieprzone

platynowe karty kredytowe. Żyć nie umierać. A ja? Muszę szukać drobników w poduszkach od kanapy, żeby mieć na piwo. Więc odwal się, wracaj tam, skądkolwiek przyjechałeś, i ciesz się swoim życiem. A mnie pozwól cieszyć się moim.

– A ja nie uważam się za wygranego. Ty dostałeś Jacks i moją córkę.

Pete skamieniał. Poczul zawroty głowy, a żołądek podszedł mu do gardła.

– Martha jest moją córką! – oświadczył Sven dobitnie, jak gdyby to miała być dla Pete’a jakaś nowość.

Twarz Pete’a skurczyła się. Zaciśnął powieki i wykrzywił się jakby w niemiłosiernym bólu. Gdy na powrót otworzył oczy, z całych sił próbował opanować drżenie ciała i przywołać niezachwiany ton głosu.

– Coś ci się pomyliło, serdeńko. Nie jest twoją córką. Ja jestem jej ojcem i koniec. A teraz zrób, co mówię, i zabieraj się stąd, ale już. I zostaw nas w spokoju.

Sven przebierał kluczykami w palcach.

– Staram się to załatwić polubownie, ale myślisz, że nie mógłbym inaczej? Oficjalne ustalenie ojcostwa trwa kilka dni, nie więcej.

– I co by ci z tego przyszło? O co ci chodzi, człowieku? – Pete przypomniał sobie, gdzie był zaledwie kilka godzin temu. Miał taki dobry dzień. Ale teraz po radości ze zbliżających się narodzin wnuczka nie zostało śladu i czuł tylko zimny, rozpaczliwy strach. Chyba nigdy tak bardzo się nie bał.

– O uczciwość. Wydaje mi się, że wszyscy powinni wiedzieć, na czym stoją. – Sven uśmiechnął się blado.

Pete wziął głęboki oddech i odparł, z rozwagą wymawiając każde słowo:

– Zakochałem się w Jacks, kiedy byłem tylko gówniarzem niemającym pojęcia o życiu. I nagle okazało się, że mam na siebie wziąć odpowiedzialność za dziecko! Większość chłopaków w mojej sytuacji

wzięłaby nogi za pas, ale ja nie. I na tym to właśnie polega. Ojcem nie zostaje się od machania fiutem. Byłem przy niej, kiedy wydała z siebie pierwszy krzyk, trzymałem ją za rękę pierwszego dnia w szkole i czytałem jej bajki przed zaśnięciem. Ja jestem jej tatą. – Stuknął się palcem w pierś. – I nikt na całym świecie mi tego nie odbierze.

Dwaj mężczyźni stanęli na wprost siebie. Pete zrobił krok w stronę Svena.

– Nie jestem człowiekiem honoru, więc będę cię błagał. Moja córka niebawem będzie rodzić. Nie poradzi sobie jeszcze teraz z twoim cudownym powrotem, moja żona też nie. I prawdę mówiąc, ja też.

Odwrócił się, przeciął chodnik i usiadł na wale ze wzrokiem utkwionym w Steep Holm. Oczami wyobraźni ujrzał Marthę padającą Svenowi w ramiona i poczuł bezdenną pustkę. Potem pomyślał o Jontym, jak byłby zachwycony przejazdką odlotową bryką. Świadomość, że jest o dwa kroki od utraty córki i że nie może dać swojej rodzinie tego, co ten człowiek, bolała go wręcz fizycznie. Nigdy w życiu nie czuł się tak bezsilny.

Sven podszedł i usiadł koło niego. Podniósł ręce do góry.

– Nie bij!

Pete pokręcił głową.

– Nie uderzyłem nikogo, odkąd byłem w szkole. – Zauważył, że Sven się odprężył.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał.

– Tak naprawdę to nie wiem, po co tu przyjechałem – westchnął w końcu Sven. – Czasami dopada mnie uczucie takiej strasznej pustki i zastanawiam się, jak by to było mieć swoją rodzinę. I pomyślałem, że mógłbym... Sam nie wiem...

– Zabrać mi moją? – odpowiedział Pete i potarł o siebie dłonie. Nawet po tylu latach pracy na świeżym powietrzu ciągle nie znosił zimna.

– Nie. Nie zabrać, tylko... może się dołączyć. Chociaż teraz to nie wygląda na najlepszy pomysł.

– Bo taki nie jest. – Pete obrzucił rywala spojrzeniem. – Bałem się, że w pewnym momencie wrócisz. Od dnia, kiedy się urodziła. W ciągu całego jej życia wisiało to nade mną jak powracający koszmar. Jesteś jedyną rzeczą, która mnie przeraża. Bo możesz rozpieprzyć mi rodzinę, skrzywdzić tych, których kocham ponad wszystko.

– Nie zrobię tego – powiedział Sven stanowczo. – Ale chciałbym dać ci ten list. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wydobył kremową kopertę. Pete wziął ją do ręki, odwrócił i położył równo na rozpostartej dłoni.

– Jest tu coś, co mogłoby ją zranić? – zapytał cicho.

– Nie – zaprzeczył Sven. – To przeprosiny. Napisałem, że przepraszam, że ją porzuciłem, zanim się urodziła, i jakie miała szczęście, że trafiła na takiego ojca jak ty, który zawsze był przy niej i zawsze przy niej będzie...

Pete skinął głową.

– Napisałem też, że nie będę próbował nawiązać z nią kontaktu, ale gdyby kiedykolwiek chciała się ze mną spotkać, zawsze jest mile widziana w San Francisco. Tyle. – Wzruszył ramionami i splótł ręce na kolanach. – Daj jej to, kiedy będziesz chciał, ale mam nadzieję, że to zrobisz.

– Zawsze towarzyszył mi cichy głos – rzekł Pete, jakby nie słyszał jego słów – który szeptał, że miłość mojej córki została mi dana na kredyt i przyjdzie dzień, kiedy będzie trzeba za to zapłacić. Nienawidzę tego uczucia.

Sven pokręcił głową.

– Wiesz, Pete, są na tym świecie ludzie, którzy mogą przyjść do mnie i dostać miliony. Ty też mogłeś to zrobić, pomógłbym z przyjemnością.

– Nie chcę twoich milionów, chcę tylko moją rodzinę.

Sven pokiwał głową.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, ale dziękuję, że się nią opiekujesz.

Pete popatrzył na niego, nie wiedząc, czy ma na myśli Marthę czy Jacks. Z jednej strony miał ochotę wygarnąć temu obcemu człowiekowi, który miał czelność jeszcze mu dziękować, ale z drugiej poczuł cień współczucia i swoiste zadowolenie, że przynajmniej doceniał jego trud. Podniósł się.

– Bądź tak miły, Sven, i trzymaj się od nas z daleka. Jeżeli kiedykolwiek zależało ci na Jacks i jeżeli choć trochę obchodzi cię, co jest dla Marthy najlepsze, to po prostu zniknij. Nie chcę cię więcej widzieć. – Ruszył do samochodu i usiadł za kierownicą, odkładając list na tylne siedzenie.

– Nie zobaczysz – wyszeptał Sven, zapatrzony w morze.

– Mamo? – zawołała Martha z korytarza.

– Tak, kochanie? – Jacks rozproszona mleko w filiżance kawy.

– Chyba się naprawdę zaczęło. Wracajmy do szpitala! – W głosie Marthy słychać było niepokój, kiedy położyła sobie rękę na brzuchu.

Pete wszedł do domu i przyjrzał się swojej małej dziewczynce.

– Co się dzieje, kochanie?

– Nie wiem, tato, mam takie straszne bóle wzdłuż kręgosłupa, w brzuchu i w górze ud.

Pete przyjrzał się jej bezradnie i pomyślał o dniu, w którym się urodziła. Tak by chciał móc wziąć jej ból na siebie.

Martha zaczęła płakać.

– Bardzo źle się czuję.

– Kochanie, wszystko dobrze, obiecuję ci, że wszystko będzie dobrze. – Jacks ogarnęła córkę ramionami i kołysała łagodnie.

Martha zgięła się wpół.

– Boję się.

– To zrozumiałe, ale nie ma takiej potrzeby. Będziesz pod dobrą opieką.

– Martha? – krzyknął Gideon, stając w drzwiach od łazienki bez koszulki i w ręczniku na biodrach. – Gdzie jesteś? Wszystko w porządku?

– Chyba się zaczęło na dobre. Jest jakoś inaczej. Powinniśmy jechać! – Martha wsparła się o stos pudeł w korytarzu.

– Wezmę torbę. – Gideon wpadł do pokoju, naciągnął pośpiesznie dzinsy i podkoszulek i zbiegł na dół z torbą Marthy i kluczami w rękach. – Chodź, kochanie, jedziemy do szpitala. Wszystko będzie dobrze, nic się nie bój. Spotkamy się na miejscu? – zwrócił się do Pete’a i Jacks. – Ivor mówił, żeby przyprowadzić do nich Jonty’ego, gdyby poród zaczął się w nocy. Dacie radę przyjechać? – zapytał, wyprowadzając Marthę przez drzwi. Usadził ją w samochodzie i zapiął pas na wystającym brzuchu.

Jacks kiwnęła od progu, podziwiając w duchu, jak ten chłopak potrafi się troszczyć o rodzinę.

– Będziemy jak najszybciej.

– Jedźmy już, proszę! – wrzasnęła Martha przez okno i samochód ruszył nagłym zrywem.

– Wszystko z nią okej? – zapytał Pete.

Jacks wzięła głęboki oddech.

– Oczywiście. Ale kiedy widzę ją taką, uświadamiam sobie, że to nadal tylko mała dziewczynka, prawda? – Wcisnęła Pete’owi do ręki pozostałą torebkę frytek i zawróciła do domu, żeby wyekspediować Jonty’ego do sąsiadów.

Jacks i Pete tkwili w poczekalni, w której panował teraz znacznie większy spokój niż kilka godzin wcześniej.

– Udało ci się załatwić ten problem z płytami?

Pete zawahał się.

– Nie byłem w pracy, kochanie.

- Nie? – Jacks rzuciła mu pytające spojrzenie.
- Widziałem się ze Svenem.
- Jezu, Pete! Ja...
- Nie. Nie trzeba nic mówić – przerwał jej. – Sprawa załatwiona. – Kiwnął głową. – Już po wszystkim.
- Kocham cię, Pete. – Ścisnęła go za rękę.
- Ja też. No to jak, gotowa na nasze pierwsze wnuczę? – Pokręcił głową z ciągłym niedowierzaniem.
- Czy to nie zabawne, że Martha urodziła się tutaj i ja też? Od razu myślę o mamie.
- Jacks oparła mu głowę na ramieniu, a on wdychał jej zapach.
- Och, Ida, nasz dobry anioł stróż – wyszeptał i objął żonę. – Powiem ci, że trochę mi żal Svena.
- Co ty mówisz? Dlaczego? – Jacks podniosła oczy.
- Bo zmarnował szansę, żeby cię mieć. Może i ten facet posiada wszystko, Jacks, pieniądze, samochody, jachty, ale wiesz co? Tak naprawdę to on nie ma nic. Zupełnie nic.
- Jesteś pewien, że nie zamieniłbyś mnie na motocykl?
- Nie! – roześmiał się. – Chociaż... czekaj. O jakiej marce mówimy?
- No pięknie! – zachichotała Jacks, a Pete nachylił się i ją pocałował.
- Przez rozkołysane drzwi wpadła Allison.
- Przegapiłam coś? – spytała bez tchu.
- Nie. Wszystko w porządku. Zabrali ją na salę porodową. Gideon jest przy niej. Chyba pozostaje nam czekać.
- Masz jeszcze te cukierki, Jacks? – spytał Pete, pocierając się ręką po brzuchu.
- Niestety – roześmiała się, odczytując aluzję do Richarda Frosta.

Jakiś czas później Jacks ocknęła się z wrażeniem, że minęły wieki, i rozejrzała się wokół, skołowana. Przez ułamek sekundy nie wiedziała, gdzie się znajduje, i zdawało jej się, że słyszy dzwonek mamy w oddali.

– Już dobrze – uspokoił ją Pete. – Zdrzemnęłaś się trochę.

Przed nimi stał Gideon w niebieskim czepku, który wyglądał jak gąbka z zestawu środków czyszczących, i zielonym, szpitalnym fartuchu. Powiódł wzrokiem po twarzach swoich bliskich, którzy utworzyli wianuszek wokół niego. Z trudem łapiąc oddech i krztusząc się przez łzy, powiedział:

– Martha jest niesamowita. Wiedziałem, że ją kocham... – Pociągnął żałośnie nosem. – Ale nie sądziłem, że mógłbym kochać ją tak bardzo jak w tej chwili. Jest niewiarygodna. Wykonała kawał roboty. Jestem z niej taki dumny. Wspaniale jej poszło, naprawdę.

Jacks i Pete, oboje ze łzami w oczach, przywarli ciasno do siebie. Ich mała, dzielna Martha!

– Och, Gideon, oboje świetnieście się spisali. Co się urodziło? – powiedziała Allison z rozanielonym uśmiechem i dłońmi złożonymi przy ustach z podniecenia.

– Dziecko! Piękne dziecko! – Kolejna fala łez odebrała mu głos. Pete poklepał go po ramieniu, przełykając wzruszenie.

– Gideon? – odezwała się Jacks surowo.

– Tak? – zapytał z roztargnieniem.

– To dziecko, które Martha właśnie urodziła...

– Tak? – chlipnął.

– To chłopiec czy dziewczynka?

Gideon wyprężył się i obwieścił z dumą:

– Dziewczynka. Mała, śliczna dziewczynka.

Zamilkli wszyscy czworo, szlochając i łapiąc oddech.

– Idź pierwsza. – Allison położyła dłoń na plecach Jacks, kierując ją delikatnie ku drzwiom.

– Na pewno?

– Oczywiście. Pewnie chce zobaczyć się z mamą – skinęła Allison.

Jacks poszła za Gideonem do sali poporodowej, w której leżała Martha. Na widok swojej małej dziewczynki jaśniejącej szczęściem mimo wyraźnego zmęczenia, z małą córeczką w ramionach, wzruszenie odebrało jej głos.

– Mamo! – zakwiliła Martha półgłosem. – Popatrz na nią! Popatrz, jaka jest piękna!

Jacks nachyliła się i wsunęła palec do drobniutkiej rączki.

– Jest cudowna, Martha. Cześć! Cześć, malutka!

Niemowlę zacisnęło paluszki wokół palca babci.

– Widziałaś to? Jaka silna i zmyślna! Złapała mnie za palec i nie puszcza!

– *Urodzona pianistka, jak nic! Będzie występować w filharmonii w długiej sukni z tafty, a przy kasach będzie wisieć napis: „Bilety wyprzedane”, bo będą się rozchodzić jak świeże bułeczki. Pete i ja będziemy siedzieć w łoży i przyglądać się, jak wszyscy ją podziwiają!*

– Jak ma na imię? – zapytała Jacks, nie mogąc oderwać oczu od maleństwa.

– Maggie. Poznaj panienkę Maggie Idę Parks.

– Jak ładnie! Cześć, Maggie. Moja śliczna, mądra dziewczynka! Jesteś tak samo mądra i śliczna jak twoja mama, wiesz? Jesteś doskonała.

Epilog

– Pete? – krzyknęła Jacks, stając u podnóża schodów. Nikt nie odpowiedział.

– Pete! – zawołała ponownie, tym razem trochę głośniej.

– Co tak wrzeszczysz, kobieto? Na Boga, byłem w łazience! – odkrzyknął z podestu na górze.

– Gotowy jesteś? Nie chciałabym się spóźnić! – zajęczała.

– Nie do końca, ale gdybyś mnie ciągle nie wołała, tobym był!

Jacks cmoknęła ze zniecierpliwieniem.

– Myślałem, że nie wolno się wydzierać na cały dom! – zawołał Jonty z poddasza.

– Bardzo śmieszne, kochany. Ty też schodź już na dół. Pożegnaj się z kolegami. Mamy bardzo ważne przyjęcie urodzinowe.

Jacks stanęła przed lustrem w holu i malowała usta, podczas gdy na schodach zadudniły trzy pary młodych nóg, aż szyby w oknach zadrżały.

– Dziękuję za zaproszenie! – zawołał Milo, siadając na podłodze, żeby założyć trampki. Jacks stanowczo się sprzeciwiała noszeniu butów w domu w obawie o swoje dywany. Milo wyrzął na ulicę, gdzie w samochodzie przed domem czekała jego mama, żeby odwieźć jego i Elliota do domu.

– Bardzo proszę, mój drogi. – Jacks uśmiechnęła się w odpowiedzi i kiwnęła mamie Milo przez otwarte drzwi.

– To była supernoc! – przyłączył się Elliot.

– Cieszę się. Pewnie wkrótce Jonty znowu was zaprosi.

Pomachała im z progu na odjeżdżającym i poszła po tort czekający na błyszczącym blacie odnowionej kuchni, którą zaprojektowali razem z Pete'em. Nie mogła się nacieszyć powiększoną przestrzenią,

czyściuteńkimi szafkami i lśniąca, chromowaną kuchenką. I, rzecz jasna, oranżerią ciągnącą się przez całą szerokość domu od strony ogrodu. Interes Gideona i Pete'a kręcił się coraz lepiej.

Pete stanął za nią.

– Mmm. – Z upodobaniem wciągnęła jego lekko cytrynowy zapach. – Powiedz, Pete, jak ci się widzi ten tort? Nie jestem przekonana, może trzeba było raczej zamówić u cukiernika? Może jednak wyskoczę i kupię coś w sklepie? Jest jeszcze trochę czasu.

Pete, który wiedział, ile godzin kosztowało ją upieczenie tortu na piąte urodziny Maggie i ukręcenie lukru w idealnym odcieniu różu, zmrużył oczy i przyglądał się dziełu, zakładając jednocześnie półbuty. Postanowił przemilczeć fakt, że napis zdawał się głosić: „Wszystkiego najlepszego, Moggie”.

– Jest fantastyczny, kochanie. Świetnie się spisałaś. Bijesz Mary Berry* na głowę.

– Teraz to przesadziłeś! – fuknęła, w głębi serca uradowana z pochwały.

Wpakowali się we troje do samochodu, Jacks z tortem na kolanach.

– Jedź powoli, Pete! – zawołała, gdy krążyli po jednokierunkowych ulicach w drodze do przepięknej wiktoriańskiej willi Gideona i Marthy nad samym brzegiem morza.

Gideon otworzył szerokie drzwi frontowe i ustąpił na bok.

– O rety, Pete, ledwo cię poznałem w tych dzinsach! – zażartował.

– Śmieć się, śmieć, ale ja muszę być w pracy w garniturze – odpowiedział Pete. – Chłopaki w warsztatach mogą sobie łązić w kombinezonach, ale menedżer sprzedaży musi się prezentować, kiedy jeździ po wszystkich zakładach!

– Tak jest, szefie. Pokażcie no ten tort, o którym tyle słyszeliśmy! – Gideon klasnął w dłonie i całując Jacks na powitanie, rzucił okiem na

wypiek.

– Kto to jest Moggie?

Pete za plecami żony dawał mu rozpaczliwe sygnały.

– Maggie! – poprawiła Jacks z politowaniem.

– A, no tak, jasne, gdzie ja mam oczy. – Gideon skrzywił się i powiódł ich do ogromnej kuchni, mrugając do Pete’a na boku.

Maggie siedziała na podłodze, a Gina, Allison i Richard przyglądali się jej, bijąc brawo i wydając okrzyki zachwytu, kiedy otwierała kolejne prezenty.

– Dziękuję! Mamo, patrz! – zawołała, odkładając migoczącą tiarę i mały plecaczek na okazały stos podobnych gadżetów dla małej księżniczki.

– Tu jesteś! Najpiękniejsza dziewczynka na świecie! – zaświergotała Jacks. *Moja mała, sławna pianistka!*

– Babciu! Dostałam opaskę! – pochwaliła się Maggie swojej ulubionej osobie w rodzinie.

– Cześć, kochanie. Piękna! Zaraz dam ci buzi, tylko odstawię tort.

– Chodź teraz, babciu! Ja chcę na kolana, czekam już na ciebie cały dzień! – zawyła dziewczynka.

– Ej, panna, urodziny nie urodziny, nie ma dyrygowania! – Martha przewróciła oczami.

Między kominkiem a lodówką Martha rozwiesiła zrobione przez Jacks girlandy ciągnące się w poprzek całego pomieszczenia i Jacks z radością zauważyła, że wprowadzają przemiłą atmosferę. Martha stała przy zlewie i odcedzała makaron, krojąc na boku cebulę. Jak zwykle nie zdążyła na czas i miotła się teraz w panice, chociaż miała cały dzień na przygotowania.

– Jaki śliczny, mamo! – zachwyciła się na widok tortu. – Co ty mówiłeś, tato? Wyraźnie widać „Maggie”, a nie żadne „Moggie”!

– O czym ty mówisz? – Jacks spojrzała na córkę.

– Nic, tylko tata przysłał wiadomość, żeby nie czytać „Moggie”, bo podobno strasznie się napracowałaś. Ale wcale tak nie wygląda, więc w ogóle nie wiem, w czym rzecz!

Pete schował się za plecami Roba i ojca Gideona, którzy, z piwem w dłoniach, stali przy szerokich, dwuskrzydłowych drzwiach balkonowych i podziwiali okolony murami ogród.

– Obiad trochę się opóźni, więc co powiesz, mamo, jeżeli zaczniemy od tortu? – zapytała Martha, trzaskając szufladami, i odwróciła się znów do kuchenki.

– Pewnie, oczywiście! – Jacks śpieszno już było, żeby go pokroić i uniknąć dalszych komentarzy.

– Zaśpiewamy jej później, a świecek wetknie się w to, co zostanie. I tak się nie połapie! – Martha puściła oko.

– Ja dziękuję za tort. – Jonty potarł się ręką po brzuchu.

– A co się dzieje, stary? Masz bóle menstruacyjne? – zakrzyknął Gideon, który wszedł do kuchni ze skrzynką schłodzonego piwa.

– Bardzo śmieszne! – Jonty zdążył przywyknąć do rodzinnych docinków, które mimo upływu lat jakoś nie mogły się znudzić.

Jacks skupiła się na krojeniu ciasta, kiedy Martha odłożyła nóż i spojrzała na nią.

– Mamo, mogę cię o coś poprosić?

– Oczywiście, kochanie. – Jacks wyjęła talerzyki z kredensu.

– Mogłabyś we wtorek odebrać Maggie ze szkoły? Muszę iść do sądu, a rozprawa może się przeciągnąć. – Zwinęła włosy w rulon i ułożyła na ramieniu z boku.

– Naturalnie. Wiesz, że zawsze chętnie się nią opiekuję. Uwielbiam,

kiedy jest u nas – odparła Jacks z uśmiechem. Wnuczka całkowicie ją zawojowała. Jak zauważyła Gina, twarz jej się zapalała na sam dźwięk imienia dziewczynki.

Jacks spojrzała na zdjęcie z ceremonii zakończenia studiów, na którym Martha w todzie i w birecie dumnie wznosiła dyplom. Przypomniała jej się rozmowa, którą odbyła z córką, kiedy Maggie miała pół roczku. Zaczęło się niewinnie podczas wieczornej kąpieli.

– Mamo?

– Co? – Jacks natychmiast odwróciła głowę.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Co? – Zamarła, gotowa na najgorsze.

– Dostałam ofertę z Uniwersytetu w Bristolu.

– Ta-ak...?

– Mhm.

– Z jakiego wydziału?

– Prawa. Chcę zostać prawnikiem. – Słowa Marthy rozeszły się po łazience. – Co o tym myślisz?

Jacks odjęło mowę, więc tylko wpatrywała się w córkę.

– Co o tym myślisz, mamo? – powtórzyła Martha.

Jacks spojrzała na Maggie, ale obraz zamazywały jej łzy.

– Myślę... Myślę, że możesz zrobić wszystko, co sobie postanowisz, moja genialna dziewczynko.

– To dlaczego płaczesz? – roześmiała się Martha.

– Bo jestem szczęśliwa – zaszlochała Jacks.

– A niech mnie, strach pomyśleć, jak wyglądasz, kiedy jesteś smutna. – Martha objęła matkę i przytuliła ją mocno.

Pete zareagował mniej uczuciowo:

– Jacks, masz jeszcze ten toster? – zapytał.

Dodatkowa korzyść polegała na tym, że w czasie studiów Marthy Jacks miała okazję częściej zajmować się wnuczką. Martha znakomicie dawała sobie radę, ale ciągle nie mogła się obyć bez pomocy mamy, ku jej ogromnej radości. Jacks była więc bardzo zajęta, dzieląc swój czas między obowiązki babci i pracę księgową w firmie Pete’a i Gideona, którą podjęła z ochotą.

Dzień rozdania dyplomów na zawsze pozostanie jej w pamięci. Zaśmiała się sama do siebie na wspomnienie tego, jak pędząc autostradą na złamanie karku niebieskim BMW Pete’a, wymijali zygzakiem inne samochody. W mieście utknęli jednak w gęstych korkach, przez co musieli bez tchu sadzić po schodach Wills Tower, kiedy uroczystość już się zaczynała. Jacks wierciła się niespokojnie w trakcie wyczytywania nazwisk kolejnych absolwentów i nagle nadszedł czas na jej córkę. Kiedy z ambony padło nazwisko Marthy oraz wyrazy uznania dla najlepszej studentki na roku, zerwała się z miejsca i zaczęła klaskać jak szalona, nie zważając na nic dookoła. Całe życie czekała na tę chwilę. Patrzyła, jak jej córka wchodzi spokojnie na podium i odbiera dyplom wraz z gratulacjami. Łzy zalały jej twarz, a serce wezbrało dumą. *Zrobiła to! Naprawdę to zrobiła! Moja dziewczynka, moja córeczka. Sama zdecydowała o swojej przyszłości i będzie przeklętym prawnikiem.*

– Babciu! Patrz, co dostałam! – Maggie wyrwała Jacks z rzewnych wspomnień, kręcąc się wokół siebie w jasnoblękitnej sukience z czymś, co przypominało tren ślubny, i w tiarze do kompletu na głowie.

– Pięknie wyglądasz, Maggs! – Roześmiała się.

Wyszła do ogrodu zanieść Pete’owi ciasto.

– Co tak sam tu stoisz? – zapytała.

– Prawdę mówiąc, myślałem o twoich rodzicach. Wyobrażasz sobie, co by powiedzieli, gdyby mogli to wszystko zobaczyć? – Zatoczył ręką wokół

domu Marthy i Gideona. – Ale by byli dumni, co?

– Tak, kochanie. – Uciekła myślami do swojej biednej mamy i dalekiego od doskonałości taty, pary zwykłych rodziców.

Pete uśmiechnął się, zatapiając widelczyk w udekorowanym różowym lukrem cieście.

– Pycha. Jestem pewien, że Moggie też posmakuje! – Stanął za plecami żony i położył jej rękę na pupie, muskając ją ustami po karku.

– Pete! – Odskoczył na bok. – Jonty może tu wyjść w każdej chwili!

– Och, żeby już prędzej był wieczór, kiedy zniknie tam u siebie wysoko...

– Znów ją pocałował, a Jacks zachichotała.

– Co jest wysoko? – spytał Jonty. Żadne z nich nie słyszało, gdy wyłonił się z domu.

– Księżyc – odparował Pete błyskawicznie.

– Wiem. Niecałe czterysta tysięcy kilometrów od Ziemi. Ale mimo to może zmieścić się za paznokciem, prawda, mamó?

Jacks popatrzyła na syna, który wystawił kciuk i zmrużył jedno oko.

– Prawda. – Skinęła głową, po raz pierwszy od dawna wspominając Svena i... nie czując nic poza zwykłą nostalgią za przyjacielem z dzieciństwa. Przypomniał jej się moment, kiedy powiedzieli o wszystkim Marcie i przekazali jej list. Zaskoczyła ich jej spokojna i nad wyraz dojrzała reakcja.

– Mam najlepszego tatę na świecie i nic więcej mi nie potrzeba – stwierdziła po przeczytaniu, włożyła list do koperty i rzuciła się Pete'owi na szyję.

– Nigdy cię nie opuszczę, panienko Martho – wykrztusił Pete przez łyżę. Co to był za dzień. Martha zrozumiała nareszcie, dlaczego jej mamie tak bardzo zależało, żeby skończyła studia i nie pozwoliła historii się powtórzyć.

Jonty wrócił do środka.

– Ciekaw jestem, co ona jeszcze wymyśli, ta nasza mała dziewczynka – stwierdził Pete. – Trzeba przyznać, że odbyła niesamowitą podróż.

– Prawda? – przytaknęła Jacks. – Tak jak i my. Wszystko przydarzyło nam się tak wcześnie, że chociaż jesteśmy ledwo po czterdziestce, mamy już tyle za sobą.

– Tak. To, kochana, nasz najcenniejszy skarb. Cała nasza wspólna historia, wszystko, przez co przeszliśmy razem. Nie żałuję ani sekundy. A ile jeszcze nas czeka? – uśmiechnął się do żony.

– Masz rację, Pete. Jedno, co wiem na pewno, to że życie trzeba sobie samemu poukładać. Nikt tego za ciebie nie zrobi. Trzeba je złapać za rogi i wskoczyć mu na grzbiet, bo inaczej całkiem cię strątuje. I robić wszystko, żeby było coraz lepiej. O to chodzi, prawda?

– Tak, kochanie. Prawda.

* Brytyjska autorka książek i telewizyjnych programów kulinarnych.

TYTUŁ ORYGINAŁU:

Perfect Daughter

Redaktor prowadząca: Aneta Bujno

Redakcja: Adrian Kyć

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © gorillaimages (Shutterstock)

Skład: skladigrafika@gmail.com

Copyright © by Amanda Prowse, 2015

Copyright © 2017 for Polish edition by Wydawnictwo KobiECE, an imprint of
ILLUMINATIO Łukasz Kierus

Copyright © for Polish translation by Anna Sauvignon

ISBN 978-83-65506-93-1



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

ISBN 978-83-65506-93-1

Plik opracował i przygotował Woblink

